

Ronnie O'Sullivan

AUTOBIOGRAFIA MISTRZA SNOOKERA

Running



Ronnie O'Sullivan

AUTOBIOGRAFIA MISTRZA SNOOKERA

oraz Simon Hattenstone

Running

TŁUMACZENIE:

Konrad Mazur i Bartosz Sałbut

Kraków 2015

Dla ukochanych Lily i Ronniego

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować następującym osobom: Mamie, Tacie i Danielle, Lily i małemu Ronniemu, Laili za miłość i wsparcie; Damienowi Hirstowi, Antony'emu Gennowi, Sylvii, Chrisowi Irlandczykowi, Johnowi Liverpoolczykowi i Little T za to, że zawsze był w moim narożniku; Jimmy'emu White'owi i Stephenowi Hendry'emu za wskazanie mi drogi; Django i Sonny'emu za ich talenty menedżerskie; wszystkim świnkom na mojej farmie, za to, że dzięki nim wciąż jestem zajęty i zdrowy; Tracey Alexandrou, Chrisowi Daviesowi, Terry'emu Daviesowi, Barry'emu Elwellowi, Amandzie, Markowi, Terry'emu McCarthy'emu, Davidowi Webbowi, Alanowi, Sian, Claire, Jasonowi Wardowi za bycie najlepszym z kumpli; genialnemu doktorowi Steve'owi Petersowi za nauczenie mnie, jak sobie radzić, niezwykłemu agentowi Jonny'emu Gellerowi, Alanowi Samsonowi i Lucindzie McNeile za ich umiejętności edytorskie; i Simonowi Hattenstone'owi za jego przyjaźń, zdolność trafienia do mojej głowy i za to, że jest tak samo świrnięty jak ja (swój pozna swego).

WSTĘP DO POLSKIEGO WYDANIA PRZEMEK KRUK

Każdy, kto śledzi snookera i karierę O’Sullivana, w jego autobiografii znajdzie wiele wątków, których był kiedyś świadkiem – czy to siedząc przed ekranem telewizora, czy przeglądając doniesienia mediów – a które nabiorą teraz całkiem nowego wymiaru. Jak choćby ta nietrafiona czarna w China Open 2010. Dla mnie szokujące było zamieszczone w książce wyznanie O’Sullivana. Wcześniej nie wierzyłem, że mógł spudłować celowo...

Snooker jest jednak tylko kanwą dla historii faceta, w którego życiu nie brakowało chyba niczego oprócz... stabilizacji. Faceta, który harmonię próbował odnaleźć na różne, nierzadko skrajne sposoby. Szukał jej w alkoholu, narkotykach, w grupach wsparcia, w chrześcijaństwie, islamie, buddyzmie, związkach, przeprowadzkach, mieszkaniu na barce, nieodpłatnej pracy na farmie czy tytułowym bieganiu. Kiedy tylko coś zaczynało się układać, coś innego musiało się zawalić – a to wsadzili Ronniemu tatę do więzienia, a to za kratki trafiła jego mama, a to wpadł na kontroli antydopingowej. Innym razem odstawił numer na konferencji prasowej, jeszcze innym – rozpadł mu się związek, oprócz tego latami trwała sądowa batalia o prawo do widywania dzieci. Kiedy indziej zmienił się system rozgrywek w zawodowym snookerze lub O’Sullivan źle zinterpretował zapisy kontraktu. Zawsze coś...

Swoje wspomnienia Ronnie spisuje typowym dla siebie językiem. Nie wygładza, nie koloryzuje, nie stara się samego siebie idealizować. Odmieniane na różne sposoby słowa „pierdolić” i „gówno” pojawiają się w książce chyba równie często co „snooker”. To jednak nie razi – bo przecież to Ronnie: prawdziwy, szczery, normalny. Przerzucając kolejne strony, można chwilami zapomnieć, że czyta się jego autobiografię, i odnieść wrażenie, że koleś siedzi razem z tobą przy kominku i od czasu do czasu uśmiechając się półgębkiem, opowiada ci o wszystkich ważnych wydarzeniach ze swego życia.

Running to również opowieść o dumie. Dumie z bycia tatą i spełnionym sportowcem. Jeden szczególny dzień w życiu O’Sullivana przyniósł kumulację emocji, sprawiając, że oba te rodzaje dumy osiągnęły apogeum.

Właśnie wtedy, 7 maja 2012 roku, Ronnie sięgnął po swój czwarty w karierze tytuł mistrza świata. Tytuł szczególny, bo zdobyty po dwóch latach porażek w pierwszych rundach i przepychanek sądowych o prawa rodzicielskie. Finał skończył się wtedy dosyć wcześnie, chyba koło 21.00 czasu brytyjskiego – na tyle wcześnie, że na trybunach Crucible Theatre wciąż siedział synek nowego-starego mistrza świata – niespełna pięcioletni Ronnie.

Wydarzenia tamtego wieczoru – pomeczową fetę – pamiętam wyjątkowo dobrze, bo były to jedne z najbardziej wzruszających chwil, jakich doświadczyłem „po tamtej stronie mikrofonu” – po której zasiadłem przecież po raz pierwszy całe 15 lat wcześniej.

Scena, która najbardziej utkwiła mi w pamięci, to ta, kiedy duży Ronnie idzie w stronę trybun po małego Ronniego. Szczęśliwie wyłapał ją i uwiecznił któryś z fotoreporterów. O’Sullivan robi małą minę, wygląda jak ten emocjonalny „szympan”, przed którym kilka lat później przestrzegać go będzie psychiatra sportowy Steve Peters. Mimo że wokół jest tysiąc wiwatujących ludzi, widać, że przynajmniej Ronnie tata ma poczucie, że są tam tylko we dwóch – ojciec i syn.

„Fakt, że mały Ronnie był obok i kibicował mi z całych sił, stał się wisienką na torcie. Jeszcze niedawno nie mogłem go widywać, a teraz siedzi tuż obok i dzieli ten moment razem ze swoim ojcem, który znów stoi na szczycie świata – to uczucie było po prostu doskonałe. (...) Wśród wspomnień z ostatniego dnia pamiętam tylko ich – Damiena, Sylwię, siebie samego i małego Ronniego. Ktoś zszedł z nim na dół i włożył mi go w ramiona, a ja trzymałem go mocno. Mój skarb. Niewiarygodne. Nie interesował mnie puchar, nie miałem potrzeby wznosić się jeszcze wyżej. Liczyliśmy się tylko my dwaj. Nasza chwila. Bezcenna. Chciałem, by trwała wiecznie”.

Połączenie tamtego zdjęcia i tego fragmentu książki to połączenie idealne. Nie jestem typem płaczka, nie porusza mnie każda ckliwa historia, ale ta – jakby to ujął sam O’Sullivan – po prostu totalnie mnie rozpierdala.

Kim jest Ronnie? Celebrytą czy pustelnikiem? Balangowiczem czy przykładowym tatą? Wulgarnym skandalistą czy ambasadorem snookera? Oportunistą czy fighterem? Konformistą czy kowalem własnego losu? Schizofrenikiem czy perfekcjonistą, który próbuje pogodzić w sobie wszystkie te skrajne, niemożliwe do pogodzenia osobowości?

Przemek Kruk,
Eurosport



Długo wahałem się nad tytułem tej książki. Wybierałem pomiędzy *Rok na aucie*, *Powrót* a *Biegnać**. Pierwsze dwie opcje wydawały mi się zbyt oczywiste – wiadomo było, że po wygranych mistrzostwach świata w 2012 roku – z różnych przyczyn – zawiesiłem karierę, by po roku wrócić i obronić tytuł. Pierwszy raz udało mi się wówczas wygrać ten turniej dwa razy z rzędu. Byłem pierwszym zawodnikiem od czasów Stephena Hendry’ego (1996) – w mojej opinii najlepszego snookerzysty w historii – który tego dokonał. Wspaniałe dni.

Ostatecznie zdecydowałem się na *Biegnać*. Książka ta opowiada bowiem o tym, co trzymało mnie przy życiu w drugiej fazie mojej kariery. W pierwszej był to alkohol, narkotyki i Prozac. Choć brzmi to żałośnie – tylko dzięki temu zestawowi potrafiłem stać prosto. Dziś to bieganie sprawia, że idę przez życie z podniesionym czołem, choć w pełni wyprostowanej pozycji przyjąć już nie sposób. Pisanie nie sprawiało mi przykrości tylko wtedy, gdy byłem w 100 procentach obiektywny. Kiedy 12 lat temu napisałem swoją pierwszą książkę, byłem świeżo upieczonym, 25-letnim mistrzem świata. Nikt nie spodziewał się, że sięgnięcie po tytuł zajmie mi aż tak dużo czasu. Z wyjątkiem mnie samego. Zaczęto wówczas mówić o mnie jako o najwspanialszym snookerzyście w dziejach, który nigdy nie wygrał mistrzostw globu. Uwierzcie, ciążyło mi to niczym kamień u szyi.

Gdy wreszcie sięgnąłem po upragnione zwycięstwo, odczułem nieopisaną ulgę. Szybko pojawił się jednak kolejny niepokój – obawa, że jest to jednorazowy sukces. Ale dziś mam na swoim koncie pięć tytułów. Lepsi byli tylko Steve Davis i Ray Reardon z sześcioma triumfami i Hendry z siedmioma. Wbrew wszystkim moim zapowiedziom końca kariery (i nieważne, co ludzie o tym myślą – jeśli coś mówię, to wierzę w to, co mówię), wciąż mam nadzieję, że pobiję ich rekordy. W 2013 roku, podczas finału w Crucible przeciwko Barry’emu Hawkinsowi, przeskoczyłem Hendry’ego w liczbie brejków 100-punktowych w mistrzostwach świata (131) i czułem się z tym rewelacyjnie. W decydującym o mistrzostwie meczu wbiłem aż sześć takich brejków, co jest kolejnym rekordem. Więc powolutku, ale pewną ręką, zapisuję się na kartach historii snookera.

Gdyby nie bieganie, moja kariera już dawno by upadła. Bieganie to moja religia, system wartości i przekonania, coś, co mnie uspokaja. To niezwykle bolesna i wymagająca dziedzina sportu, ale również jedyna, która pozwala mi osiągnąć najwyższy stan duchowy. Chciałbym zarazić swoją pasją biegania wszystkich – ci, którzy złapali już tę fazę, rozumieją, o czym piszę w książce. Być może znajdą tu kilka

cennych wskazówek. Innych być może ośmielę do wyjścia na świeże powietrze w poszukiwaniu zbawiennego zastrzyku serotoniny.

Uznałem, że bieganie powinno być *clou* tej książki. To nie tylko moje hobby czy obsesja, to temat, który cyklicznie pojawia się w moim życiu. Jakby to określił znakomity psychiatra sportowy doktor Steve Peters, całe moje życie to jeden wielki bieg – ucieczka przed syfem, który mnie niszczy, i pogoń za nim – za gorzałą, prochami, złymi i dobrymi ludźmi, Anonimowymi Alkoholikami, Anonimowymi Narkomanami, klubami lekkoatletycznymi, rodziną, jedzeniem, kamerami, wielkimi postaciami snookera, własnymi demonami... Wybierzcie sami.

Rzecz jasna ta książka to także opowieść o snookerze – grze mojego życia, dyscyplinie, którą czasem potrafiłem znienawidzić, by po chwili znów stała się największą miłością mojego życia. Najważniejszym fragmentem mych zapisków będzie okres pomiędzy majem 2012 a majem 2013 roku – nawet jak na moje standardy najbardziej szalony czas w moim życiu. W 2012 roku zdobyłem mistrzostwo świata po raz czwarty. Najwspanialsze uczucie ogarnęło mnie pod sam koniec imprezy, gdy mój mały synek Ronnie przybiegł do stołu. Wziąłem go wtedy na ręce, a tłum zareagował gorącą wrzawą. Czysta rozkosz. Chwilę potem ogłosiłem zawieszenie kariery, które ostatecznie potrwało 11 miesięcy. Zgodziłem się na powrót do Crucible, by obronić koronę. Nie miałem wielkich ambicji – w końcu ostatnim zawodnikiem, który potrafił zdominować mistrzostwa przez dwa lata z rzędu, był w latach 90. Hendry. Przez cały sezon rozegrałem zaledwie jeden oficjalny mecz. W światowym rankingu spadłem na 29. miejsce, a mimo wszystko uznawano mnie za największego faworyta. Miałem wrażenie, że ludzie zwariowali. Przygotowania zacząłem sześć tygodni przed startem imprezy. Wcześniej przez rok prawie nie dotykałem kija.

Niemal wszyscy w Sheffield dopytywali, czemu odszedłem i co mnie skłoniło do powrotu. Nie byłem w stanie odpowiedzieć wyczerpująco, dlatego niektóre moje tłumaczenia przyjęto jako durne, nie mówiąc o tym, że nikogo nie przekonały. Gdy stwierdziłem, że wróciłem po to, by zarobić na szkołę dla dzieci, ludzie śmiali się ze mnie i kpili: „Ech, cały Ronnie. Jak to możliwe, że nie stać cię na chesne?”. Myśleli, że robię sobie z nich jaja. Ale nie robiłem. Wszystko wyjaśnię w tej książce.

Chciałbym Was wprowadzić do świata sportowca, pokazać jak skomplikowane jest jego życie i jak trudne może być złapanie odpowiedniego balansu między rodziną a karierą. Nie zrozumcie mnie źle – nie łaknę Waszej sympatii. Wiem, jakie mnie spotkało szczęście, bo mam talent i możliwość, by zamieniać go w pieniądze, podróżować po świecie i uprawiać dyscyplinę, którą kocham (choć tylko w przerwie od przeklinania jej). Zgadza się, prowadzę fantastyczne życie. Ale czasem, gdy sprawy nie idą po twojej myśli, nie da się utrzymać równowagi między pracą a najbliższymi. A wtedy musisz niestety wybrać jedno z dwóch.

ŁAPIĄC FAZĘ

Środa, cztery mile, 30 minut, 6 x 400 metrów, 30-sekundowe przerwy, czas trwania powtórzeń – 72, 71, 70, 72, 73 i 71 sekund.

Ej, Ron, wstawaj!

Tato, błagam... Wrzućmy na luz, jestem wykończony.

– Dawaj, synku, czas na miłą małą przebieżkę. Sam wiesz, że tego chcesz.

Boże... Miałem 12 lat, gdy zacząłem biegać. Zmuszany przez ojca czułem się jak na chińskich torturach wodnych. Nienawidziłem tego. Wolałem rzucić szkołę i na poważnie zająć się snookerem. Tata tłumaczył więc, że muszę się nauczyć dyscypliny – wcześniej chodzić spać, każdego dnia biegać po trzy mile i prowadzić zdrowy tryb życia. Wiecie, w zdrowym ciele zdrowy duch. Twierdził, że jeśli będę odpowiednio przygotowany fizycznie, łatwiej mi będzie się skupić przy stole. Był święcie przekonany, że nawet w tak młodym wieku jestem w stanie wygrywać małe turnieje. Warunkiem ewentualnego sukcesu było doskonale wyćwiczone ciało. W dawnych czasach zawodnicy zupełnie nie dbali o formę. Huragan Higgins, gdyby mógł, najchętniej grałby z cygarem w ustach i ze szklaneczką guinnessa u boku. Z kolei Kanadyjczyk Big Bill Werbeniuk załatwił sobie specjalne zaświadczenie lekarskie, zgodnie z którym mógł sączyć piwo podczas gry, bo bez odpowiedniej dawki nie był w stanie opanować drżenia rąk. Przynajmniej tak tłumaczył. Ci młodszy, dopiero rozpoczynający karierę, woleli spędzać czas przy automatach do gier niż na siłowni.

Kiedy biegałem, ojciec wolniutko jechał za mną samochodem. Koszmar. Przyznam, że zawsze czułem przed nim lęk. Na tyle silny, że nigdy nie odważyłem się mu sprzeciwić. Ale jego słowa jednak miały sens. Nie byłem superszybki, jednak dawałem radę. Z minimalną nadwagą spokojnie mogłem przebiec ponad trzy mile w porządnym tempie.

Szkołę rzuciłem, gdy miałem 16 lat. Przeszedłem wtedy na zawodowstwo i nadal zasuwałem trzy mile dziennie. Nie miałem wyboru. Wszystko zmieniło się, gdy ojca wsadzono za morderstwo. Od tamtej pory przestałem biegać i trenować. W zasadzie przestałem funkcjonować.

Mój umysł dryfował gdzieś daleko, nie potrafiłem się na niczym skupić. Nie

umiałem się pogodzić z faktem, że cały mój świat legł w gruzach, że tata został oskarżony o zabójstwo innej osoby i rzeczywiście był winny. Znalazłem się w totalnej rozsypce. Gdy w końcu wyszedł za kaucją, nalegał, bym wrócił do dawnych dobrych nawyków.

– Ron, czy to, że mnie już nie ma, może być wymówką?

A nie? Facet od kilku miesięcy siedzi w pace – to raz. Dwa – gdy policja zdradziła mi, jaką krzywdę wyrządził przypadkowemu biednemu facetowi, roztrzaskałem się na kawałki. A teraz ma czelność mieć pretensje o to, że przestałem biegać? Bezczelny typ.

– Nie, tato... – wymamrotałem.

– Właśnie. Dawaj synu.

Wsunąłem więc buty i biegnąc przed wolno śledzącym mnie samochodem, pokonałem swoje trzy mile.

Cholerne trzy mile. Myślałem, że umrę. Wystarczyło odpuścić na kilka miesięcy, by mieć wrażenie, że biegnę pierwszy raz w życiu. Serce waliło jak oszalałe, nie czułem nóg, a na stopach pojawiły się pęcherze.

– Widzisz, nie jest tak źle, Ron – powiedział tato z szerokim uśmiechem.

– Ta, nieźle... – parsknąłem, zupełnie nie czując dupska.

Ale ojciec ostatecznie miał rację w kwestii symbiozy ciała i umysłu. Kiedy biegałem, lepiej grałem w snookera. W turniejach typu „pro-am”, gdzie rywalizują równocześnie zawodowcy i amatorzy, szło mi o niebo lepiej. Pro-am to uciążliwe zawody trwające niemal cały dzień. Zaczynasz o ósmej rano, kończysz – jeśli dotrzesz do finału – w środku nocy. Przez cały czas musisz zachować koncentrację. Kiedy olewałem bieganie, mój umysł krążył wszędzie, tylko nie wokół stołu.

Ponadto – co stanowi pewien paradoks – bieganie pomogło mi wyleczyć nadmierną potliwość. Zawsze lubiłem nosić długie włosy, przez co strasznie się pocilem. A widok mokrego T-shirtu czy bluzy nie był fajny. To był koszmar, niezwykle wstydlivy problem. W końcu zauważyłem, że kiedy nie biegam, moje pachy tryskają niczym Fontanna di Trevi. Gdyby nie jogging, na zawsze musiałbym spędzać czas w toalecie, osuszając je pod dmuchawą. Trening biegowy zlikwidował ten problem. Działał jak detoks – wydobywał ze mnie cały syf. Ponadto bieganie miało też inne zalety. Dzięki niemu moje uda przestały się o siebie ocierać, bo moje nogi po prostu stały się chudsze.

Ojciec przesiedział w areszcie dziewięć miesięcy, a gdy wreszcie wyszedł, pierwszą rzeczą, jaką powiedział, był bezdyskusyjny nakaz powrotu do biegania. Przybrałem trochę na wadze, ale moje ciało nie zmieniło się zbyt drastycznie. Co innego głowa. Stałem się maruderem: „Dajcie mi spokój, zrobię to jutro”. Pobiegałem więc trochę podczas jego przepustki, a później – gdy już prawomocnie skazano go za zabójstwo – olałem sprawę. Wtedy bum! Koniec. Odpuściłem na mniej więcej sześć lat. Porzuciłem bieganie na rzecz chlania i narkotyków.

Zapuściłem się, utuczyłem jak świnia. Gdy miałem 20 lat, ważyłem 98 kilogramów,

a w pasie mierzyłem 95 centymetrów. W moich gaciach zmieściłoby się dwóch 15-letnich Ronniech... Wyglądałem jak nosorożec i wcale się tym nie przejmowałem. Uważałem, że to naturalny proces dojrzewania. Innym też to nie przeszkadzało.

Ale któregoś wieczoru, gdy łąziłem z kumplem po klubach nocnych, pewien gość zagaił do swojej dziewczyny:

– Spójrz, ten facet to Ronnie O’Sullivan.

Zmierzyła nas obu wzrokiem, po czym odparła:

– Tłuscioch czy ten drugi?

Dobrze wiedziałem, który z naszej dwójki jest tłusciochem. Pomyślałem: „Kurwa, naprawdę muszę być gruby”. Nigdy wcześniej tak na siebie nie patrzyłem. Nawet przez głowę by mi to nie przeszło. Trafiała więc w czuły punkt. Gdybym dziś spotkał tę kobietę, uścisnąłbym jej dłoń i podziękował z całego serca za przysługę. Następnego dnia ostro wzięłem się do trenowania. Czułem się ciężki, oblesny i tłusty. Wiedziałem, że muszę coś z tym zrobić.

Wróciłem więc do regularnego biegania i moja waga znacznie spadła. Ostatecznie zgubiłem 20 kilogramów i poczułem się zdecydowanie lepiej. Zrzuciłem z barków ciężką, chybotliwą belkę i nabrałem mięśni. Wow! Niesamowite uczucie spotęgowane przeświadczeniem, że wszystko stało się tak szybko, jakby podczas jednej nocy. Wcześniej nie widziałem postępów, ale któregoś dnia, po jakichś trzech miesiącach wytężonej pracy, spojrzalem w lustro i nie mogłem poznać faceta w odbiciu. Był 1997 rok, miałem 22 lata i zamiast 100 kilogramów ważyłem już tylko 80. Ale wynik!

Biegałem regularnie przez kolejnych sześć–siedem lat. Były momenty zwątpienia, gdy mój umysł znajdował się w rozsypce – zbyt wiele razy, by je dobrze spamiętać – ale zawsze sobie powtarzałem, że gdybym przerwał ćwiczenia, byłoby o wiele gorzej. Szedłem więc na siłownię, biegałem, pływałem, czasem grywałem w piłkę. Bez ekstremalnych wyzwań, na luzie. Po prostu taki miałem sposób na utrzymanie ciała i umysłu w ryzach.

W 2004 roku wreszcie zacząłem biegać na poważnie, rywalizować z innymi. Mój kumpel Alan, z którym trenowałem na siłowni, namówił mnie do zapisania się do klubu lekkoatletycznego. Od początku czułem się tam w porządku, mimo że nikogo nie znałem, a z natury jestem raczej nieśmiały. Cała ekipa okazała się przyjazną paczką i już pierwszej niedzieli umówiliśmy się na długą przebieżkę.

Nawet mistrzostwo świata, które wówczas zdobyłem, nie wprowadziło mnie w tak dobry nastrój. Miałem za sobą cudowny dziewięćmiesięczny pobyt w szpitalu psychiatrycznym Priory, gdzie zachowałem trzeźwość, każdego dnia chodziłem na mitingi osób uzależnionych od narkotyków i alkoholu – czułem się rewelacyjnie. Zmartwychwstałem. Wstawałem wcześniej rano, biegałem, jadłem tylko zdrowe rzeczy – nie mogłem w to uwierzyć.

Moje życie wreszcie miało ręce i nogi. Czułem się zdrowy, byłem wypoczęty

i rześki. Wszystko dzięki decyzji o dołączeniu do grupy Anonimowych Narkomanów i staraniom, by każdy dzień miał swoją strukturę. Dobrą strukturę. Znow zacząłem cieszyć się z gry w snookera, dzięki czemu stawałem się coraz lepszy. Miałem większą werwę przy stole niż wtedy, gdy byłem nastolatkiem.

Każdego wieczoru, podczas naszych spotkań, przypomniano mi, dokąd zaprowadził mnie mój nałóg. Z dala omijałem wszystkich świrów, którzy chętnie namawiali mnie do złego. Do snu układałem się możliwie jak najwcześniej, by dzień, w którym mogę popełnić kolejne głupstwo, kończył się jak najszybciej. Spotkania AN traktowałem jak azyl. Tam mogłem się otoczyć ludźmi, co do których miałem pewność, że nie biorą. Wcześniej najgorzej było między 18.30 a 22.30, gdy już zasypiałem. Te zdradliwe trzy-cztery godziny wypełniała nuda. Był to czas rozmyślań i szukania sobie miejsca. „OK, załatwiłem sprawy, pograłem w snookera, ale – do cholery – co teraz?”. Dlatego wieczorne mitingi dla narkomanów były dla mnie zbawienne. Popijając herbatę, siedziałem wśród zaufanych osób, słuchałem ich, sam przemawiałem, a później piłem kolejną herbatkę albo wychodziliśmy na kawę. Ta kompania okazała mi więcej niż tylko pomoc.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie mam wystarczająco siły, by na zawsze odstawić wódkę i dragi. Zawsze pojawiała się jakaś pokusa. Po dziewięciu miesiącach walki uległem. Wpadłem w cug. Popijawy trwały w nieskończoność – wciągałem i wypijałem nawet 15 szklanek guinnessa jednej nocy. Niby dużo, ale nie gdy wspomagasz się innymi używkami. Na haju możesz chlać całą noc. Potem zaczynasz brać coraz więcej, bo przecież ciągle pijesz. Uwielbiałem wypalić całego jointa. Problem polegał jednak na tym, że jednym skrętem odpala się drugiego – palisz w zasadzie non stop. To wzmacnia apetyt, a co za tym idzie – przybierasz na wadze.

Pod koniec takiej imprezki trafiałem do czyjegoś domu, odpalałem lolka i bum! Czuję się dobrze. Wyśmienicie! Nie chciałem wracać do permanentnego stanu upojenia i odurzenia narkotykami, ale równie silne było przeświadczenie, że nigdy z tym nie wygram. Jednak pewnej nocy wreszcie dociera do ciebie, że życie znow wymyka ci się z rąk. Zastanawiasz się, co, do kurwy nędzy, znowu odjebałeś i jak bumerang wracają do ciebie wszystkie nauki, które odebrałeś w Priory. Poczucie wstydu jest wtedy miazdzące.

Po swoim pierwszym cugu zdołałem się opanować na jakieś trzy-cztery miesiące. Potem wpadłem w kolejny. Takie cykle stały się w moim życiu regułą. Myślałem sobie (dziś to uważam za urocze): „Tak długo, jak będę chodził na spotkania, będzie OK, a jedna imprezka to tylko odskocznia, która nie wyrządzi mi większej krzywdy”. Usprawiedliwiałem się, wmawiając sobie, że każdy drink czy skręt jest tylko okazjonalny. Oczywiście po jakimś czasie piłem i paliłem codziennie. Zwyczajnie się ludziłem. W rzeczywistości nałóg wciąż trzymał mnie na uwieży.

W swoim najgorszym okresie od wypalenia jointa zaczynałem dzień. Ranny skręt

pozwalał mi normalnie funkcjonować. Bez niego popadałem w paranoję, z którą w żaden inny sposób nie potrafiłem sobie poradzić. Wreszcie zawarłem ze sobą układ, że jeśli mam wpadać w cug, to tylko raz na trzy–cztery miesiące. Imprezy nie szły w parze ze snookerem, choć i grę zacząłem w końcu traktować jako... element treningu przed ostrymi popijawami. Imprezy stały się moimi prywatnymi igrzyskami – raz na cztery miesiące zamierzałem się zniszczyć – uchlać i naćpać do nieprzytomności. Wmówiłem sobie, że to dobry powód, by w międzyczasie pozostać czystym. Mój cokwartalny reset miał wówczas smakować o wiele lepiej.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób udawało mi się wtedy zaliczać testy antydopingowe. Pamiętam, że na każde mistrzostwa świata jeździłem z myślą, by przeleciały jak najszybciej. Po turnieju sezon się kończył, badań nie przeprowadzano przez kolejne trzy miesiące, więc mogłem spokojnie dać czadu. Tylko raz dałem się przyłapać, ale to na wczesnym etapie kariery. Testy wykonywano między turniejami, więc brałem tylko wtedy, gdy miałem pewność, że organizm zdąży się oczyścić. Mimo wszystko jechałem po bandzie, miałem kupę szczęścia.

Matka zawsze powtarzała:

– Synku, wkrótce cię złapią. Nie pociągniesz tak długo.

– Spokojnie, dam radę. Jeśli tylko nie przesadzę i odstawię dragi na tydzień przed turniejem, będzie dobrze – odpowiadałem.

Ostatecznie znalazłem jednak nowy nałóg, który okazał się o wiele silniejszy niż chęć wypicia i przypalenia. Bieganie. To zasługa Alana – tego, który zaprowadził mnie do klubu – człowieka, z którym trenuję do dziś. Facet ma już 50 lat, a nie dorastam mu do pięt. Jest najlepszym weterynarzem w hrabstwie Essex i spokojnie przebiega 10 kilometrów w 36 minut.

Po jednej z porządnych bib spotkałem go na siłowni. Spojrzał na mnie i w mig ocenił, że nie jestem w najwyższej dyspozycji.

– Co się z tobą dzieje, Ronnie?

– Ech, wiesz, jak jest, miałem średnią noc.

– Na moje oko zdecydowanie gorszą niż „średnia” – stwierdził.

Nie odpowiedziałem.

– Wszystko gra, Ron?

– Jasne.

– Myślałem, że nadal chodzisz na spotkania AN.

– Bo chodzę.

– Wydaje mi się, że ostre popijawy nie są jednym z 12 kroków, które realizujesz, prawda?

Zaskoczył mnie. Powiedział to zupełnie życzliwie. Dotarło do mnie, że on po prostu się o mnie troszczy. Niepokoi.

Zdobyłem się wyłącznie na uśmiech. Zresztą dość głupi, ale po prostu nie potrafiłem

znaleźć odpowiedniego słowa.

– Otrząśnij się, Ron. Chodź ze mną pobiegać. Nie potrzebujesz ani wody, ani prochów. Świeże powietrze sprawi, że serce zacznie pompować serotoninę. Tego ci właśnie trzeba.

Pokonałem jakieś osiem kilometrów, może trochę więcej. Ta krótka trasa prawie mnie zabiła. To właśnie tego dnia Alan przedstawił mnie w słynnym klubie lekkoatletycznym Woodford Green w Essex. Do tamtej pory potrafiłem jedynie przebiec parę kilometrów na siłowni. Dwa miesiące później byłem w stanie rywalizować ze stałymi członkami klubu. Byli zdziwieni, jak szybki potrafię być.

Z początku czułem się tam nieswojo. Nie odzywałem się zbyt często. Robiłem, co do mnie należało, i wymykałem się do domu. Ale koledzy biegacze okazali się bardzo przyjaźni. Po drugiej czy trzeciej wizycie sami się przedstawili, po każdym ostrym treningu zapraszali do baru na szklanekę soku. Niektórzy mnie rozpoznali, ale nie interesowali się tym, co robię. Nigdy nie rozmawiałem z nimi o snookerze. Cały ich – nasz – świat kręcił się wokół biegania. Gdy przekraczali próg sali, zostawiali za sobą pracę i życie prywatne. Wtedy liczyło się tylko współzawodnictwo na bieżni.

Najfajniejsze były wtorkowe noce. Na tor przychodziło wówczas od 50 do 60 ludzi. Biegacze, oszczepnicy, miotacze kulą, skoczkowie w dal, niemal wszyscy. Pełne małych grupek pasjonatów miejsce tętniło życiem.

Wcześniej, gdy przebywałem w większym gronie, spuszczałem nisko głowę. Ludzie mnie znają, podchodzą, chcą rozmawiać. Nie mam nic przeciwko krótkim pogawędkom, przyzwyczałem się do nich, ale czasami zdarza się, że mam ochotę krzyknąć: „Dajcie mi wreszcie spokój!”. Tam jednak było zupełnie inaczej – nic więcej niż uprzejme gadki szmatki, które tylko mobilizowały do walki i osiągania lepszych wyników. Gdy już ich dobrze poznałem, nie unikałem standardowych pytań o snookera, typu: „Hej, jak ci idzie, Ron?”, ale generalnie nikt się tym nie interesował. To był czas przeznaczony tylko i wyłącznie na bieganie.

Swój pierwszy wyścig odbyłem na dystansie 3000 metrów – dokładnie siedem i pół okrążeń. Zajęło mi to 10 minut i sześć sekund. Tylko raz pokonałem taką trasę, dlatego ten wynik traktuję jako rekord życiowy. Doskonale pamiętam, jak jeden z trenerów krzyczał do mnie:

– Siedz mu na ogonie, siedz mu na ogonie!

Staralem się. Biegłem jakieś 40, może 50 metrów za gościem, który znajdował się między dwoma grupami.

– Dawaj Ron, dawaj, przesuwaj się do czołówki – słyszałem.

Wreszcie znalazłem swój rytm i odpowiednią prędkość. Pomyślałem, że skoro trener we mnie wierzy, mam potencjał, by powalczyć.

– Wyprzedzaj, goń następnego, goń następnego! – krzyczał, a ja mijałem kolejnych rywali.

Na ostatnim okrążeniu biegłem już ramię w ramię z trójką najszybszych chłopaków. Pamiętam tylko ostatnie 100 metrów i to, jak wyprzedzam dwóch z nich. Nigdy wcześniej bym nie przypuszczał, że zobaczą moje plecy. Byłem pozytywnie zaskoczony.

Po sześciu wspaniałych miesiącach w klubie postanowiłem się przerzucić na 10 kilometrów. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale ten dystans jest po prostu idealny. Niby sprint, a jednak szalenie długa droga. Jeśli jesteś w stanie przebiec 6 mil, to znaczy, że 10 też nie będzie problemem. Jeżeli zrobisz 10, spokojnie stać cię na 13. Od momentu gdy zacząłem biegać – ale biegać na poważnie – nie byłem zainteresowany joggingiem. Zawsze chciałem dawać z siebie absolutnie wszystko. Nie jestem pierwszym sportowcem, który ma obsesję na punkcie 10-kilometrówki. Wielki angielski krykiecista Kevin Pietersen ma tak samo. Podczas jednego z wyjazdów do Indii tak brakowało mu 10-kilometrowych przebieżek, że gdy drużyna skończyła sparing, wracał do hotelu, biegnąc. W pewnym momencie swojej kariery zastanawiał się, na czym powinien skupić swoją uwagę – biciu rekordów w krykiecie czy jednak bieganiu. Rozumiem go, bo mój umysł pracuje tak samo.

W miarę upływu czasu bieganie zmieniało mnie w nudziarza. O niczym innym nie można było ze mną porozmawiać. Zdawałem sobie sprawę, że kumpli grających w snookera zupełnie to nie interesuje, ale z chłopakami z klubu mogłem o tym dyskutować w nieskończoność. Ostatecznie kontakty ze snookerzystami ograniczyłem do rywalizacji przy stole. Niekiedy potrafiłem zadzwonić do biegaczy z różnych miast, w których akurat grałem, na przykład z Telford, i powiadomić, że po turnieju wpadnę do ich klubu na małą przebieżkę.

Jedynym sposobem na to, by cieszyć się grą w snookera, było bieganie. Nawet krótkie. Dlatego z czasem turnieje oznaczały dla mnie swoisty obóz przygotowawczy – okres, który dawał mi możliwość trenowania z innymi nowo poznanymi ludźmi i pokonywania nieznanymi dotąd szlaków.

I tak bieganie stało się w moim życiu dużo ważniejsze niż snooker. Po pewnym czasie przestałem się przejmować niepowodzeniami w mistrzostwach świata, ponieważ równolegle poprawiałem swoje rekordy biegowe. Wszystko inne miało wówczas status spraw drugorzędnych. Wieki temu odkryłem, że moja osobowość jest niezwykle podatna na wszelkiego rodzaju nałogi, a moje działania często mają charakter obsesyjno-kompulsywny – każdą sprawę muszę doprowadzić do końca. Kluczem do sukcesu było więc znalezienie sobie nałogu, który będzie po prostu zdrowy. Wiedziałem, że siedząc w pubie lub klubie bilardowym, będę szukał innych form ekscytacji – oczywiście ostrych imprez. Doszedłem więc do wniosku, że dopóki uda mi się trzymać z daleka od tych miejsc i skupiać się na wizytach na siłowni czy na bieżni, dopóty będę w stanie skierować swoje uzależnienie w tę dobrą stronę.

W porównaniu do snookera bieganie to zupełnie inny świat. Świeże powietrze,

ciężki fizyczny wysiłek – odwrotność klaustrofobicznych warunków sal bilardowych. Czasem gdy gram przed kamerami, wstydzę się swoich wyuczonych niegdyś zachowań – dotykania uszu, dłubania w nosie, mrugania. To jest okropne i mnie przytłacza. Ale snooker i bieganie mają również wiele wspólnego. W obu tych dyscyplinach jesteś zdany wyłącznie na siebie. To od ciebie zależy, czy będziesz zawiedziony, czy staniesz w blasku chwały. To sporty na wskroś indywidualne. W snookerze chodzi jednak o technikę, podczas gdy bieganie to krew, flaki, potężna determinacja i sztuka znalezienia w sobie czegoś, co pozwoli ci jechać dalej. Po każdym wyścigu, gdy ledwo żywy przekraczasz linię mety, wmawiasz sobie, że już nigdy nie doprowadzisz się do takiego stanu. Ale robisz to za każdym razem. Piekielny ból przeszywa twoje ciało, a ty zastanawiasz się, jakim cudem dobiegłeś do końca. To cecha niemal wszystkich biegaczy – nawet tych, którzy sprawiają wrażenie, że wygrywają łatwo, szybko i przyjemnie. A gdy już widzisz swój wynik, otrzymujesz nagrody i pochwały, wszystko staje się warte tych cierpień.

Jak wspomniałem, pokonanie pierwszej w moim życiu 10-kilometrowej trasy zajęło mi 39 minut. Kolejne biegi były już o wiele szybsze – jedną milę potrafiłem przebiec w nieco ponad sześć minut. Kolejnym wyzwaniem było więc pokonanie tej granicy. Ten cel stał się moją obsesją. 5 minut 50 sekund – oto rezultat, o którym marzyłem. Pamiętam 10-kilometrówkę w Southend. Zacząłem fatalnie. Moje nogi były jak z waty, bo poprzedniego dnia zaliczyłem bibę. Niezbyt ostrą, ale wypaliłem kilka blantów, co nazajutrz przyniosło swój skutek. Czuję się ospale. Po pierwszych trzech milach spodziewałem się totalnej klęski, ale w drugiej części dystansu odżyłem. Ostatecznie wykręciłem rekord życiowy – na metę wpadłem po 36 minutach i 30 sekundach. Mimo tego byłem wściekły – do złamania granicy sześciu minut na milę zabrakło naprawdę niewiele.

Potem stanąłem do przełajowego wyścigu na 8,5 mili w Essex. Zająłem 27. miejsce, co – uwierzcie – było całkiem dobrym wynikiem. Pod koniec trasy czułem się już wyspany z energii, całkowicie wyczerpany. Odpłynąłem. Byłem gotów zasnąć nawet na stojąco. Ale wszyscy gratulowali dobrego występu, twierdząc, że pokazałem się z dobrej strony.

Największym biegowym wydarzeniem, w jakim wziąłem udział, był wyścig przełajowy w Południowej Anglii. Na starcie stanęli najlepsi na kontynencie – faceci biorący udział w zawodach w całej Europie i na mistrzostwach świata. W 1200-osobowej stawce osiągnąłem 180. rezultat. Na mecie stara śpiewka: „Już nigdy więcej, mam tego dosyć”, bo trasa była naprawdę wymagająca, według moich przyjaciół najtrudniejsza w mojej dotychczasowej przygodzie z bieganiem. Trzymilowa pętla wokół Parliament Hill, którą trzeba było pokonać trzykrotnie, była najeżona ciężkimi podbiegami. Pokonanie jej zajęło mi ponad godzinę. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że to naprawdę wielkie osiągnięcie.

Biegowe wtorki w klubie odpuszczałem tylko wówczas, gdy znajdowałem nowych kompanów do przebieżek. Przykładowo, poznałem Irlandczyka Matta, który mógł biegać tylko pomiędzy 6.00 a 8.00, więc spotykałem się z nim wcześniej rano. Zdecydowanie przewyższał możliwościami resztę znajomych – był najszybszym człowiekiem, z jakim przyszło mi trenować. Przy nim mogłem poprawić swoje osiągi, więc ćwiczyłem z nim nawet dwa–trzy razy w tygodniu. Zwykle nie biegaliśmy więcej niż osiem mil, ale narzucaliśmy sobie takie tempo, że już w połowie trasy zwykle nie wiedziałem, jak się nazywam. Robiłem jednak wszystko, by utrzymać go w zasięgu wzroku. Jego umiejętności sprawiły, że z czasem zacząłem się wznosić na wyższy poziom.

Często zastanawiałem się, czy podczas biegania kieruje mną ten sam instynkt współzawodnictwa, który pozwalał mi wygrywać przy zielonym stole. Myślę, że tak. Nie jest co prawda tak, że nie umiem przegrywać, ale z pewnością bardzo tego nie lubię. To zupełnie dwie różne rzeczy. W bieganiu nie chodziło zaś o wygrywanie, lecz o rozwój i pokonywanie własnych słabości. Bieganie uczyło mnie również snookera. Mimo że obie te dyscypliny sportu znacząco się różnią, wskazówki dotyczące pierwszego świetnie sprawdzały się przy stole, dlatego szybko zacząłem je stosować w życiu codziennym. W bieganiu możesz być świetnym trenerem lub zawodnikiem, ale nie jednym i drugim. Chodzi mi o to, że niemożliwym jest dawać z siebie wszystkiego na obu tych polach równocześnie. Jeśli chcesz być rzeźki podczas wyścigu, musisz trochę odpuścić ćwiczenia. Jeśli zaś chcesz poprawić formę, odpuszczasz zawody na rzecz ostrego treningu. Widzisz ludzi we wtorek i myślisz, że potrafią tak cały tydzień. Owszem, w czwartek jeszcze dadzą radę, ale w sobotę ich nogi już odmawiają posłuszeństwa. Stają do wyścigów, ale ich wyniki są dużo poniżej oczekiwań. Zawsze – po każdym treningu – musisz pozostawić coś w baku. Zapierdalaj, ile sił, we wtorek i czwartek, ale odpuść w sobotę. Albo zaplanuj mocny trening we wtorek, ale we środę, czwartek i w piątek daj sobie na wstrzymanie, a twoje nogi będą gotowe na sobotnie zawody.

Ostatecznie zbiłem swój czas na 10 kilometrów do 34 minut. Wszystkie wyniki poniżej 36 minut uznawałem za godne, ale rekord był już imponujący – 5 minut i 40 sekund na milę. Nie mogłem uwierzyć, że potrafię biegać tak szybko. To już nie były tylko świetne liczby – to było bieganie na prawdziwie profesjonalnym poziomie.

Reżim, pod którym funkcjonowałem, wiele mnie nauczył. Lekcje, które z niego wynosiłem, skutecznie przekładałem na snookera. Jeżeli biegasz bez ustanku, wkrótce zniszczysz się fizycznie. Zawsze sądziłem, że by odpowiednio przygotować się do turnieju w snookera, trzeba dawać z siebie wszystko, zbliżać do granicy wytrzymałości, albo że sześć godzin dziennie przez pełen miesiąc to minimum przed – dajmy na to – mistrzostwami świata. Bieganie nauczyło mnie, by nie przesadzać. Czasami wystarczy pół godziny. Tydzień przed turniejem powinno się zakończyć przygotowania i narzucić

o wiele wolniejsze tempo.

Zniecierpliwienie i frustracja są wrogiem każdego zawodnika. Kiedyś na miesiąc przed ważną imprezą większość czasu spędzałem przy stole. Teraz na siedem dni przed zaczynam się relaksować. Gdyby na tydzień przed maratonem biegacze wypruwali swoje żyły, nie osiągnęliby celu – zeszliby z trasy po dwóch, może trzech milach. Nic na siłę. Forma i umiejętności zostały już wypracowane, wystarczyło jedynie odpowiednio zregenerować organizm. A wtedy bum! Nieważne, czy grasz dobrze, czy nie, to był czas na to, by przestawić się mentalnie. Jeśli przystępujesz do zawodów z pełnym bakiem, nic nie wyprowadzi cię z równowagi, a formę z treningu bez trudu przeniesiesz na stół turniejowy.

Moja obsesja na punkcie biegania rosła wprost proporcjonalnie do licznika pokonanych kilometrów. Dziś przeradza się w nowe marzenie. Chcę zostać reprezentantem Anglii w biegach przełajowych (by nakreślić wam, jakie to wyzwanie, wspomnę jedynie, że mój rekord życiowy na 10 kilometrów stawia mnie wśród zaledwie 1500 najlepszych mężczyzn w Anglii, więc na medal olimpijski nie mam już co liczyć). By tego dokonać, trzeba się znaleźć w szóstce najlepszych zawodników w hrabstwie Essex. Z początku byłem przekonany, że nie zajmie mi to dużo czasu, wszak w swoim pierwszym występie zająłem tam 27. miejsce. Myślałem, że wystarczy trochę więcej poświęcenia i w dwa, może trzy lata osiągnę cel. Problem polega jednak na tym, że nie jestem w stanie poświęcić się bieganiu bardziej. Nadal jestem profesjonalnym snookerzystą, ponadto wszyscy zawsze próbowali mi wmówić, że bieganie jest tylko moją fanaberią.

Zacząłem startować również w lokalnych biegach ulicznych. Na pewnym etapie swojej obsesji w każdy weekend zaliczałem 10- lub 20-milowe gonitwy. Bieganie naprawdę stało się sensem mojego życia, najważniejszą jego częścią. Stało się też tematem numer jeden moich rozmów. Głędziłem o tym bez przerwy. Nawet przez telefon, nawet w nocy...

– Jak leci, Alan?

– Spoko, Ron. A co u ciebie?

– Nieźle, ale mogłoby być o niebo lepiej. Muszę zejść poniżej tych przeklętych sześciu minut. Czuję, że niewiele mi brakuje. Kurwa mać, dziś na 10. kilometrze już umierałem. Pogoda fajna – rześko, świeżo, zimno, ale ledwo dałem radę.

Ale i tak kocham to uczucie.

Kocham również rutynę. Kumpie przychodzą punkt 11.30. O 12.00 jesteśmy już gotowi do wyjścia, a pół godziny później w pełni przygotowani do biegu. Potem wyścig, prysznic, pach, pach, pach. Od 15.30 do 16.00 siedzimy w pubie, ale popijając jedynie sok pomarańczowy i skupiając się na swoich osiągnięciach. Każdy analizuje swój bieg, osiągnięty czas i zajęte miejsce.

To zabawne, że znalazłem w sobie tak wielką ambicję, by reprezentować Essex.

Powiedzmy sobie szczerze – kasa z tego żadna, sława też wątpliwa (znacie jakiegoś biegacza długodystansowego ze swojego kraju? No właśnie). Z finansowego punktu widzenia powinienem był się skupić wyłącznie na snookerze. Ale coś wciąż pchało mnie do tego celu. Desperacko pragnąłem biegać dla Essex. W końcu cel ten stał się tak samo ważny jak zdobycie mistrzostwa świata. Bieganie zastąpiło mi spotkania AA i AN. W sumie nie miałem na nie czasu. Mój dzień składał się ze snookera i biegania. Dziś jestem już zupełnie innym człowiekiem. Zbiłem wagę do 73 kilogramów, a obwód pasa zmniejszył się do 78 centymetrów. Paradoksalnie, gdy ludzie podejrzewali, że cierpię na jakąś chorobę, wiedziałem, że moje ciało wygląda tak jak należy. Z kolei gdy wołali: „Wyglądasz naprawdę dobrze”, myślałem: „Cholera, znów przytyłem”. Gdy wyglądałem na wychudzonego, byłem w najlepszej formie i moje wyniki były optymalne. Gdy widziałem swoją twarz bordową ze zmęczenia, przez głowę przechodziła myśl: „Rany, ja latam!”.

W 2008 roku byłem w doskonałej formie i po raz trzeci w karierze sięgnąłem po mistrzostwo świata. Wtedy też latałem. W finale pokonałem Alego Cartera. Moja córeczka miała nieco ponad roczek, a malutki Ronnie dopiero co się urodził. Byłem najlepszy na tej planecie. Życie smakowało doskonale. Jakiś tydzień po decydującym meczu w Crucible wygrałem swój pierwszy wyścig, który odbył się w celach charytatywnych. Pokonałem 150, może nawet 200 rywali. Wcześniej, gdy wystąpiłem w tej imprezie z lekką nadwagą, przekroczyłem linię mety w środku stawki, około 100. miejsca. Piękny okres.

W tym czasie zapisałem się również do wyścigu w Epping Forest, gdzie miałem rywalizować z moim kumplem, szalonym Irlandczykiem, o którym już wspominałem. Miał wtedy mniej więcej 42 lata i potrafił przebiec 10 kilometrów w jakieś 33 minuty. Klasa światowa. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że mógłbym go pokonać, więc już podczas biegu trzymałem się blisko niego, około czwartego, piątego miejsca. Przyjąłem taktykę, by „chwycić się jego ogona”, ale po dwóch i pół mili zdołałem go wyprzedzić. Pomyślałem: „Dawaj, jesteś z przodu, nacieraj!”. Dałem z siebie wszystko, wygrywając wyścig o 40–50 sekund. Dystans pięciu mil, czyli ponad ośmiu kilometrów, pokonałem w 27 minut. Nie mogłem uwierzyć w ten dreszcz przeszywający mnie po zerwaniu taśmy oznaczającej metę i nagrodę – skromną, bo wart 80 funtów voucher. Byłem odurzony. Byłem w ekstazie. Zobaczyłem swoje zdjęcie na ostatniej stronie lokalnej gazety. Ja w sportowej rubryce, i to nie jako snookerzysta! Zawsze chciałem trafić na okładkę „Athletics Weekly”, pomyślałem więc, że mogę tego dokonać tylko dzięki bieganiu.

Niestety dzień na Epping Forest był szczytem mojej formy. Nie wiem dlaczego, ale od tamtego momentu pikuję w dół. Nadal mam nadzieję, że wrócę do tamtego poziomu i znów zacznę bić osobiste rekordy. Może stałem się zbyt leniwy? Może źle spożytkowałem czas po tym zwycięstwie? Ponadto wydaje mi się, że nigdy nie udało

i nie uda mi się odpowiednio zbalansować swojej uwagi między bieganiem a snookerem.

Jedyny mój problem związany był wtedy z Jo, ówczesną partnerką, matką Lily i Ronniego. Moją pasję traktowała jak akt egoizmu. Miała mi za złe, że podczas gdy ona zajmuje się dziećmi, ja biegam lub gram w snookera. Nie lubiła, gdy wychodziłem na trening, nienawidziła syfu, który, chcąc nie chcąc, robiłem – ubłoconych dresów, brudnych nóg. Z czasem nauczyłem się prać rzeczy od razu po przyjsciu do domu, nie dając jej nawet czasu do narzekań. Bieganie stało się zapewne jedną z głównych przyczyn rozpadu naszego związku.

GDY ŻYCIE KOPIE CIĘ W DUPE

Poniedziałek, pięć mil, 47 minut. Niezbyt miły bieg, łydki mocno spięte. Przez chwilę straciłem uczucie do biegania. To był ciężki wysiłek.

Życie ma talent do kopania w tyłek. Gdy wszystko ci się układa, robi to, by przypomnieć, kto tu rządzi. Był 2008 rok, właśnie zwyciężyłem w UK Championship i mistrzostwach świata, wbiłem trzy brejki maksymalne w sezonie, bieganie szło mi świetnie, miałem piękne dzieci – wspaniałego bobaska i dwuletniego malucha. Byłem królem świata. W teorii. Niestety mój związek z Jo się walił i każdego dnia było coraz gorzej.

Rola ojca zawsze była dla mnie ważna. Wiedziałem, co znaczy mieć dobrego tatę – takiego, który zrobiłby dla ciebie wszystko. Wiedziałem również, jak to jest, gdy się go traci w tak ważnym i niesamowitym okresie życia, jaki przeżywa się, mając 20 lat. Zawsze wiedziałem, że kiedyś będę ojcem, nie przypuszczałem jednak, że stanie się to tak szybko.

Miałem ledwie 20 lat, gdy nim zostałem. Niestety nigdy tak naprawdę nie byłem częścią życia Taylor**, nie poznałem więc, co tak naprawdę oznacza rodzicielstwo. Ale gdy urodziła się Lily, spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Bum! Trudno opisać słowami, jakie to uczucie. Gdy moi przyjaciele spodziewają się pierwszego dziecka, mówię im, że jest ono najwspanialsze na świecie. Takie też było dla mnie. Nadało mojemu życiu znaczenie. Od tego momentu wszystko nabrało większego sensu.

Byłem przy porodzie. Jo miała cesarskie cięcie, bo pępowina oplatała szyjkę Lily, więc lekarze zdecydowali, że zrobią szybką cesarkę i wyjmą dziecko. Nie kreśliliśmy żadnych planów, ale wszystko szło dobrze, bo Lily była maleńka i słodka. Gdy zadzwonili po mnie, gnałem do szpitala tak szybko, jak tylko mogłem, nie wiedząc, czego się spodziewać. Była 2.00 lub 3.00 w nocy. Wiecie, docieracie do szpitala i wszystko dzieje się tak szybko. Panikujecie, ale dla pielęgniarek to chleb powszedni. I nagle, po 10–15 minutach, jest już po wszystkim. Dziewczynka. Piękna córeczka. Wow! Czysta euforia.

Miałem 28 lat, gdy moje życie nagle nabrało głębszego sensu. Dotychczas grałem po prostu jeden turniej za drugim. W ten sposób jeden rok przechodził w kolejny, ale

wraz z przyjściem na świat Lily pojawiło się poczucie odpowiedzialności. Towarzyszyło mu sporo stresu, bo przecież musiałem się zatroszczyć o to maleństwo. Co prawda od ośmiu lat zajmowałem się Taylor, ale ponieważ nie odgrywałem aktywnej roli w jej wychowaniu, czułem się zgoła inaczej. Przestałem myśleć o sobie jako o samowystarczalnej jednostce. Od tej pory byłem żywicielem – najważniejsze stało się to, czy dziecko jest najedzone, wyspane i czy dorasta w dobrej atmosferze.

Gdy troszczysz się tylko o siebie, wiesz, że przetrwasz najtrudniejsze momenty i w końcu wszystko samo się ułoży. Teraz odczuwałem niemal pierwotne instynkty – byłem tym, który poluje, który zapewnia byt. A że rodzina zawsze była dla mnie ważna, starałem się być blisko niej nawet wtedy, gdy rodzice – oboje – siedzieli w więzieniu. Mama, tata, ja i moja młodsza siostra Danielle, czyli rodzina O’Sullivanów, zawsze staraliśmy się wspierać. Miałem nadzieję, że w założonej przeze mnie rodzinie będzie tak samo. Pod każdym względem byliśmy bardzo blisko. W zeszłym roku kupiłem dom w Loughton, oddalony o zaledwie dwie mile od reszty rodziny w Chigwell, i nie mogłem sobie z tym poradzić. Pomyślałem: „Co ja zrobiłem?”. To był dla mnie nowy świat. Wydawało mi się, że od teraz będę tracił mnóstwo czasu na przejazdy z Loughton do Chigwell i z powrotem. Niezbyt mi to odpowiadało. Mama, mój stół do snookera, tata, Danielle, moje trasy do biegania, ulubione knajpy, jak choćby bar z bajglami – wszystko to mieściło się w Chigwell. Czasami człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wrósł w lokalną społeczność. Ja musiałem przeprowadzić się zaledwie parę mil dalej, żeby to sobie uzmysłwić!

Kiedy więc urodziła się Lily, przebywanie w pobliżu Chigwell stało się dla mnie niezwykle ważne. Przez kilka pierwszych miesięcy między mną i Jo było dobrze. Zaczęliśmy się spotykać w 2001 roku i od tamtej pory – od pięciu lat – byliśmy razem. Poznałem ją na spotkaniach Anonimowych Narkomanów, gdzie oboje szukaliśmy pomocy. Od samego początku czuliśmy, że jest między nami chemia, i na początku naszej znajomości dogadywaliśmy się świetnie. Mieliśmy swoje małe spięcia, jak każdy, ale sprawy zaczęły się komplikować dopiero po narodzinach Lily. Jak każdy inny sportowiec, byłem przyzwyczajony do pewnej rutyny. Bez niej jesteś zgubiony – nie uda ci się niczego osiągnąć. Biegałem, ćwiczyłem na siłowni, grałem w snookera. Ale gdy Jo zaszła w ciążę, spadła na mnie o wiele większa presja. Chciała, abym towarzyszył jej na wszystkich spotkaniach dla ciężarnych i przygotowywał się do roli ojca. Mnie jednak zupełnie to nie interesowało. Zapewne mogłem okazywać jej więcej wsparcia, ale wówczas uważałem, że te sprawy są wyłącznie jej domeną. Po powrocie do domu byłem cały jej. Mogła mi opowiadać o wszystkim, ale nie byłem w stanie tak po prostu rozbić sobie dnia wizytami w szpitalu i spotkaniami dotyczącymi basenów porodowych lub tego, jak się spakować na oddział położniczy.

Uznałem, że przed porodem nie muszę się w nic angażować i że w momencie rozwiązania po prostu będziemy wiedzieć, co robić. Nigdy nie byłem typem osoby

przygotowującej się na nowe sytuacje – czekałem, aż same się rozwiną lub zakończą. Myślę, że pod względem biologicznym mężczyźni są skonstruowani inaczej niż kobiety. W kobietach jest coś, co każe im się przygotować na dziecko i z racji tego, że noszą je w sobie, są gotowe o wiele wcześniej. W tym samym czasie my, faceci, w rzeczywistości nie zdajemy sobie sprawy z powagi sytuacji. Dopóki dziecko nie przyjdzie na świat, nie mamy za bardzo pomysłu na nasz wkład w przygotowania do narodzin.

Nie twierdzę, że mam rację, ale właśnie tak wygląda życie większości sportowców, którzy odnoszą sukcesy. Potrzebujemy własnej rutyny, porządku, skupienia. Pod tym względem jesteśmy egotyczni – zawsze stawiamy siebie na pierwszym miejscu. Jo chciała, abym poświęcał jej więcej czasu, ale ja nie byłem przekonany, czy jestem w stanie się zmienić.

Na ogół sportowcy są również przesądni. Wydawało mi się, że jakakolwiek mała zmiana w tym, co robię, może odwrócić moją uwagę od ścieżki, którą zmierzam. Poza tym trening jest cholernie ważny. Matthew Syed w swojej wspaniałej książce *Bounce* stwierdził, że to nie talent wyróżnia tych, którzy odnoszą największe sukcesy na tle przeciętnych, ale właśnie trening. Jego zdaniem warunkiem osiągnięcia sukcesu jest przepracowanie minimum 10 tysięcy godzin. Gdy osiągniesz ten limit, nie będziesz w stanie przestać. Będziesz zasuwał dalej, aby utrwać dobre nawyki. Zatem pomysł, że można jeździć na turnieje, odpuszczając wcześniej treningi, od zawsze był dla mnie niedorzeczny.

Być może zabrzmiało to staroświecko, ale przy moim trybie życia wychowanie dzieci należy zawsze do obowiązków partnera. Ale nie w tym seksistowskim znaczeniu. Chętnie sam bym się tego podjął, gdybym nie grał, i jestem szczęśliwy, mogąc to robić w czasie wolnym. Życie sportowca stoi jednak pod znakiem licznych wyjazdów, podróży z jednego hotelu do drugiego i zarabianiu w międzyczasie na chleb. Oczywiście powinienem być do dyspozycji po każdym treningu – wracać do domu, kąpać dzieci, karmić je, robić wszystko, co należy. Ale taki system zupełnie nie działał.

Kwestie ojcostwa chętnie poruszałem z innymi graczami, którzy również musieli łączyć grę w snookera z wychowaniem dzieci. Opinie zasięgałem u Stephena Hendry'ego i Joego Perry'ego. Wybrałem ich, ponieważ Stephen to najlepszy zawodnik, jakiego znam, a Joe – choć może nie osiągnął jeszcze tak wiele – całe swoje życie poświęcił sportowi. W teorii nie było między nimi wielkiej różnicy, ale Stephen był siedmiokrotnym mistrzem świata, z kolei Joe nigdy nie zdobył tego trofeum. Chciałem poznać dwie różne perspektywy. Według Perry'ego wyglądało to tak: „Wstaję rano, idę pograć w snookera. Później siłownia. Gdy wracam, żona pyta, czy chcę pomóc przy karmieniu, potem usypiam dziecko i gra gitara”. „Nieco” inaczej było u Hendry'ego: „Moje życie nie uległo zmianie, bo żona wiedziała, jaki jestem, i szanowała to. Trenowałem w klubie po pięć godzin dziennie. Wcześniej rankiem przez

godzinę ćwiczyłem na siłowni. Żona jest szczęśliwa, bo robię to, co muszę. Jeśli byłaby inna, kazałbym jej wypierdalać, bo wówczas wchodziłaby mi w drogę”, opowiadał.

Dla każdego sportowca udany związek to kwestia trudnych negocjacji, szczególnie gdy w grę wchodzi dzieci. Porozmawiajcie na ten temat z przedstawicielami świata golfa czy tenisa, z kimkolwiek, kto większą część roku spędza w trasie. Oczywiście każdy z nich chciałby spędzać więcej czasu w domu, dzielić z żoną wszystkie obowiązki, ale to nierealne, jeśli chce się uprawiać sport na poważnie. Nierealne. Prawda jest taka, że gdy rywalizujesz na najwyższym poziomie, nie możesz utrzymać prawdziwej równowagi pomiędzy rodziną i pracą. Jedna z szal musi przeważać. W udanych związkach żony lub narzeczone akceptują fakt, że same muszą dźwigać na swoich barkach ciężar wychowania dzieci. Mogą go również zrzucić na barki opiekunki. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale życie samo w sobie nie jest idealne. Oczywiście wiele kobiet nie akceptuje takiego układu – chce robić własne kariery, mieć swoich mężczyzn przy sobie każdego wieczoru i dzielić się z nimi obowiązkami. Jaką mam dla nich radę? Nie angażujcie się w związki ze sportowcami, a już na pewno nie decydujcie się z nimi na dzieci. Jeden z nielicznych wyjątków stanowi piłka nożna. Mecze rozgrywane są raz lub dwa razy w tygodniu, zaledwie po 90 minut, a po treningach zawodnicy mają swobodę. Im o wiele łatwiej spędzać czas w domu. Ale nawet wtedy nie można poświęcić partnerce większości swego czasu.

Po raz kolejny chciałbym podkreślić, że nigdy nie byłem osobą, z którą łatwo wytrzymać. To było jasne od samego początku. Od zawsze dość obsesyjnie podchodziłem do treningów. Nie ma w tym nic niezwykłego – Steve Davis powiedział kiedyś, że gdy był na szczycie, trenował zbyt mocno, a gdy tego nie robił, czuł się winny. Jeśli nie trenujesz, ogarnia cię poczucie winy, a jeśli czujesz się winny, zaczynasz partaczyć. Wiem, brzmi debilnie, ale tak to właśnie działa. Bardzo trudno pracować nad związkiem, sprawić, by wszystko w nim funkcjonowało jak trzeba, ale jeszcze trudniej jest, gdy całe swoje życie spędzasz w trasie. Nie mogłem winić Jo za to, że czuje się sfrustrowana, ale nie mogłem również zmienić swojego stylu życia. Przynajmniej dopóki grałem w snookera.

W tamtym okresie bieganie znów przychodziło z pomocą. Pozwalało oczyścić myśli. Osiągałem wtedy niezłe wyniki, dlatego spisywałem wszystkie swoje osiągnięcia. Latałem. Bieganie pozwalało mi zebrać się w sobie. Uczyłem się radzić sobie z problemami rodzinnymi, konfliktami, snookerem najlepiej, jak tylko mogłem. Trzy dni przed rozpoczęciem turnieju postanowiłem wyprowadzić się z domu. Chciałem oczyścić swój umysł jeszcze przed pierwszą rundą.

Uciekałem. Zdałem sobie sprawę, że tylko w ten sposób uratuję karierę. Musiałem grać. Chciałem jak najwięcej czasu spędzać z dziećmi, ale najważniejsza w mojej głowie była myśl o tym, by iść do pracy i wykonać ją najlepiej, jak potrafię, by utrzymać rodzinę.

Mój związek z Jo rozpadł się i jako ojciec zacząłem się czuć bezużyteczny. Nadszedł okres, w którym nawet bieganie nie pomagało mi poukładać myśli. Czułem się pokonany. Chciałem być w domu z rodziną, móc pracować. Straciłem szczęście, które powinienem był docenić, ale tak się nie stało.

Od zawsze, od wczesnego dzieciństwa, byłem zdania, że wszystkie swoje siły należy poświęcić pracy. Moją pracą był snooker, zatem myśl, że mógłbym się ogrzewać w ciepłe domowego ogniska, jeśli tylko porzuciłbym grę przy zielonym stole, była czymś, z czym zawsze musiałem się zmagać.

Uciekałem przed nieuchronnym, czyli rozpadem naszego związku. Myślałem naiwnie, że jeśli będę w pobliżu, przetrwam ten zły czas i sprawy potoczą się inaczej. Przy Taylor czułem, że postępuję źle. Chciałem być częścią jej życia i czułem się z jej powodu winny. Nie chciałem rozbijać rodziny. Zawsze mam w pamięci ten czas, kiedy sam byłem dzieckiem i rodzice się kłócili. Tata wyjeżdżał wtedy na cztery lub pięć dni, a później przyjeżdżał po mnie w sobotę i zabierał, by pograć w piłkę. Zawsze wtedy płakałem, bo wiedziałem, że nie zobaczę go przez następny tydzień lub dłużej. Nie chciałem, aby moja rodzina przez to przechodziła. Głęboko w sercu pragnąłem z nimi pozostać. Nie chciałem nas rozdzielać.

W przerwach od snookera chciałem być obok Lily. Czasami zabierałem ją na biegi przełajowe. Opatulałem ją, dbałem, by było jej ciepło i przyjemnie, wsadzałem do wózka i ruszaliśmy. Oczekiwałem, że właśnie tak to się będzie układać – kiedy grałem, Jo zajmowała się dziećmi, gdy nie grałem, założyłem, że będę przejmować jej obowiązki. Nawet jeśli pod pewnymi względami życie sportowca jest bezkompromisowe i brak w nim elastyczności, ma także wiele zalet. Gdy pracujesz na etacie, od 9.00 do 17.00, nie jesteś w stanie nawet odebrać dzieci ze szkoły. W moim zawodzie nie było takiego problemu.

Pierwsze dwa miesiące po narodzinach Lily były wspaniałe. Oboje z Jo byliśmy podekscytowani faktem, że mamy dziecko, ale już wkrótce gorycz ponownie wkradła się w naszą codzienność i żyliśmy niemal obok siebie. To wtedy Jo wyznała mi, że znów jest w ciąży. Byłem wniebowzięty. Wierzyłem, że kolejne dziecko nam pomoże. Poza tym zawsze chciałem mieć dwójkę.

18 miesięcy po narodzinach Lily, w szpitalu Harlow, na świat przyszedł mały Ronnie. Poród był naturalny i wydawało się, że trwa całą wieczność. Gdy byłem tam przy narodzinach Lily, przepełniała mnie prawdziwa ekstaza. Czułem wyłącznie pozytywne wibracje. Zabrakło mnie przy porodzie Taylor, więc doświadczałem tego po raz pierwszy. Gdy mieliśmy przywitać wśród nas Ronniego, byłem gotowy. Znałem już wszystkie towarzyszące temu emocje, więc nie zrobiły już na mnie takiego wrażenia. Cudownie mieć dwójkę dzieci. Już od chwili narodzin Lily czułem, że musimy mieć drugie dziecko – nie byłoby w porządku pozbawiać ją braciszka lub siostrzyczki. Nie chciałem, żeby została jedynaczką.

Gdy przyszła na świat, wydawała się taka świadoma – rozglądała się w taki sposób, jakby rozumiała, co się wokół niej dzieje. Mały Ronnie był spokojniejszy, jakby trochę bardziej oderwany od rzeczywistości. Różnili się od siebie i, w sumie, nadal tak jest. Chłopiec jest bardziej wycofany, z kolei Lily niezwykle wygadana i towarzyska. Ale to ona pozostaje nieśmiała i nieufna wobec ludzi, których widzi po raz pierwszy w życiu. Ronnie zawsze pozostaje taki sam, niezależnie od tego, z kim przebywa. Mam wrażenie, że jest moją kopią.

Gdy po raz pierwszy zabrałem dzieci na odwiedziny do dziadka, wokół całego przedsięwzięcia zrobiło się sporo zamieszania. Zaraz po narodzinach Lily ojciec przebywał w Long Lartin. Był niezwykle podekscytowany. Gdy Jo po raz kolejny zaszła w ciążę, od razu zdradziłem mu, że oczekujemy syna.

– Musisz nazwać go Ronnie – powiedział.

– Tak, przypuszczam, że tak – odparłem.

Sprawa imienia była raczej przesadzona. Ostatnie trzy pokolenia mężczyzn w rodzinie O’Sullivanów nosiło to samo imię: Ronnie senior, Ronnie junior i mały Ronnie. W niezwykle błyskotliwy sposób rozróżniała nas mama. Zawsze było wiadomo, do którego z nas się zwracała. „Ronnnie”, wymawiane delikatnie, z ogromną dozą miłości i wyższym tonem na końcu – to do mego synka. „Ronnnnie” – nadal delikatnie i z miłością, ale jakby doroślej – to do mnie. No i burknięcie: „Ron!”. To oczywiście do taty.

Zażyłe stosunki z matką miały – przynajmniej w ocenie Jerry’ego, doradcy małżeńskiego, z którym zaczęliśmy się spotykać – negatywny wpływ na moje relacje z Jo. Jerry sugerował, że odcięcie pępowiny zdecydowanie pomoże naszemu związkowi. Pomyślałem więc o wyprowadzce z Chigwell, miejsca, w którym mieszkałem praktycznie od zawsze i w którym mieszkam także dziś, zaledwie milę drogi od mamy, taty i Danielle.

To Jo ją zaproponowała. Zgodziłem się, dałem jej zielone światło do szukania dla nas nowego domu. Padło na posesję w Ongar oddaloną o 15–20 mil od Chigwell, leżącą na głębokiej prowincji. Nie byłem zachwycony, ale postanowiłem spróbować. Z czasem okazało się, że to najgorsza decyzja w naszym życiu. Staliśmy się sobie obcy – Jo tam utknęła, ja jeździłem do Chigwell, by grać w snookera, a gdy wracałem do domu, nie było nawet dokąd pójść.

W tym czasie coraz lepiej dogadywałem się z Jerrym. Facet był zafascynowany hinduskim guru Osho i wciąż opowiadał o drodze do wewnętrznego spokoju. Mówiłem mu: „Wiesz co? Odczuwam to za każdym razem, gdy gram w snookera. Dokładnie wiem, o czym mówisz. Zatracam się w tym, co robię, i to uczucie jest fantastyczne”. Jerry próbował osiągnąć ten stan duchowego oświecenia poprzez ruch Osho, a ja tłumaczyłem mu, że dla mnie snooker nie jest tylko grą czy pracą, lecz czymś znacznie ważniejszym. Wszak nie robiłem nic innego, odkąd skończyłem siedem lat. Jestem

perfekcjonistą i pragnę się wznieść na wyżyny swoich umiejętności. Szybko znaleźliśmy wspólny język.

W moim odczuciu Jerry był zafascynowany tym, z jaką pasją podchodziłem do sportu. Był guru na swoim własnym małym poletku. Lubilem nasze sesje. Nie spotykał się ze mną tylko dla pieniędzy. Czasem w ogóle nic ode mnie nie brał. Po pięciu czy sześciu spotkaniach polubiłem je, bo wiedziałem, że gość nie wciska mi kitu.

W pewnym okresie mojego życia próbowałem różnych religii, z buddyzmem włącznie, ale ostatecznie żadna nie uspokajała mego ducha tak jak snooker. Były chwile, kiedy wiara trzymała mnie w kupie, ale zawsze trwało to niezmiernie krótko. Odkryłem sposoby zamiany złych emocji na dobre i osiągnięcia spokoju, ale okazały się one tymczasowe. Za każdym razem, gdy próbowałem czegoś nowego, mój instynkt podpowiadał mi, że kończą mi się pomysły, i czułem się zdesperowany.

Po narodzinach dzieci rozważałem zakończenie kariery. Chciałem być lepszym ojcem, pełnoprawnym członkiem rodziny. Ostatecznie doszedłem jednak do wniosku, że jestem za młody, by odejść od stołu. Taka decyzja by mnie zniszczyła. Nieważne, jaki ból powoduje snooker, rezygnacja z gry kosztowałaby dużo więcej. Zaakceptowałem fakt, że nie jestem osobą, z którą łatwo żyć. Czasem zamykam się w sobie – wracam do domu i nic nie mówię. Zdaję sobie sprawę, że dla większości kobiet byłoby to zbyt trudne. Często czuję, że moje myśli rozplývają się gdzieś daleko, uciekają do innych spraw, zwykle niedorzecznych – dlaczego nie mogę uderzyć bili, czemu tak walczę z tym wybiciem – i wszystko inne staje się wówczas nieważne. Nie oznacza to jednak, że mi nie zależy. Nie uważam się za złą osobę. Złoszczę się na siebie, czuję frustrację związaną z moim zachowaniem lub spowodowaną grą. Nawet teraz, gdy pracuję nad książką, odtwarzam w głowie niektóre uderzenia, zastanawiając się, dlaczego moje ramię nie jest połączone z resztą ciała, i cały czas się wiercę. Chciałbym móc o tym zapomnieć, po prostu skupić się na wykonywanej właśnie czynności, ale nie potrafię. Taki już jestem. Ludzie, którzy mnie otaczają, właśnie z tym mają największy problem – z moją niemożnością wyłączenia tych myśli.

Pod wieloma innymi względami nie byłem najgorszym partnerem. Czułem się szczęśliwy, mogąc się ustatkować i będąc ojcem. Nie podrywałem innych dziewczyn, byłem zbyt skoncentrowany na snookerze i swoim bieganiu, więc byłem wierny. Ostatecznie jednak Jo i mnie skończyła się cierpliwość i opcje poprawy sytuacji się wyczerpały. Zwyczajnie przestaliśmy do siebie pasować. Ogromną przykrość sprawiała mi myśl, że nie mogliśmy sobie z tym poradzić, ale jeszcze więcej bólu przysporzyłoby mi pozostanie z Jo. Było oczywiste, że nic już nas nie łączy. Poza tym panująca atmosfera była również niszcząca dla dzieci – ostatnią rzeczą, której pragniesz jako rodzic, jest skazywanie swojego potomstwa na oglądanie kłótni między tobą a drugim rodzicem.

Po jednej z awantur wyprowadziłem się z domu. Spakowałem walizki i przez jakiś

miesiąc mieszkałem w samochodzie i spałem na kanapach u różnych osób. Miałem w Ongar kumpla, którego nazywałem Chrisy Flight – do niego przychodziłem, by się wyspać. Trzymał on w domu wszystkie stare książki o snookerze, których nie przeczytałem. Którejś nocy wziąłem do ręki zapiski Joego Davisa, niepokonanego snookerzysty, który w latach 1927–1946 sięgał po mistrzostwo globu rekordowe 15 razy. To on jako pierwszy w historii wbił maksymalnego brejka. Wcześniej niczego o nim nie czytałem – szczerze, to nigdy nie czytałem książek podręczników. Gdy sięgnąłem po tę pierwszą, pomyślałem: „Cholera, to jest niezłe”.

Za jej sprawą cofnąłem się do podstaw. Ponieważ gra nie szła mi wówczas za dobrze, pomyślałem, że sprawdzę, co stary Davis ma mi do przekazania. Po lekturze moja gra się poprawiła. Joe podkreślał, jak ważne jest, aby podczas wybicia pozostawać nieruchomym, aby trzymać kij równoległe do stołu. Tymczasem ja zawsze podnosiłem jego koniec. Joe nakazywał, by trzymać rękę delikatnie niżej, gdy wykonuje mostek, by kij poruszał się płynnie, wzdłuż klatki piersiowej i wreszcie aby stopy były solidnie oparte o podłogę, a ciało mocno do niej przytwierdzone. Dużo musiałem poprawić. Gra znów stała się prosta. W końcu bile zaczęły wpadać i w sezonie 2007/08 wygrałem UK Championship i zdobyłem mistrzostwo świata. To był jeden z moich najlepszych sezonów, a to wszystko za sprawą książki Joego Davisa. Ponadto byłem zdrowy jak ryba, biegałem niezwykle dużo i przy wadze 73 kilogramów pokonywałem 10 kilometrów w 34 minuty. Znów byłem chudy i czułem się rewelacyjnie.

Mistrzostwa Essex ukończyłem na 25. miejscu i właśnie wtedy zdecydowałem, że jestem gotowy, że rzucę wszystko, jeśli tylko dostanę się do reprezentacji hrabstwa. Wydawało mi się, że jestem już w stanie wskoczyć do szóstki, która dostępowała tego zaszczytu. Patrzyłem na chłopaków przede mną i widziałem ich wysportowaną sylwetkę i szybkość, ale ze swoją obsesją i odpowiednim nastawieniem wierzyłem, że dam radę. Dziś z perspektywy czasu wiem, że nie miałem szans. Warunkiem było całkowite oddalenie się od rodziny, a tego zrobić zwyczajnie nie potrafiłem.

W tamtym czasie bieganie było najważniejszą, poza dziećmi, sprawą w moim życiu. Opuszczałem turnieje snookera, jeśli w tym samym czasie odbywały się zawody biegowe, w których mógłbym powalczyć. Bieganie dawało ujście moim emocjom i złym myślom. Dzięki niemu czułem się dobrze. Podniecał mnie również towarzyski aspekt biegania, więc z niecierpliwością czekałem na weekendowe przełaje. Kochałem to.

I być może, co najważniejsze, pomogło to mojej głowie. Pierwsze pięć–dziesięć minut jest trudne, ale jak już się spocisz, nie ma możliwości, żebyś czuł się gorzej niż na początku. Bieganie to tak naprawdę czysta serotonina. Nie chcę nawet myśleć, w jakim mógłbym być stanie, gdybym tego nie odkrył. Mógłbym mieć ze 25–30 kilogramów nadwagi, bo lubię jeść i jestem skłonny do lenistwa. Bieganie dało mi poczucie profesjonalizmu i wyznaczyło cel. Sprawilo, że chciałem co rano wstawać z łóżka

i dbać o swój wygląd. Dzięki niemu nabrałem szacunku do samego siebie, a to wszystko zaprocentowało w mojej grze w snookera.

Mogłem przecież skierować się w drugą, tę złą stronę. W zasadzie bywały chwile, gdy tak się działo. Przeszedłem okres, kiedy raz w tygodniu trochę sobie folgowałem. No, może więcej niż trochę. Wychodziłem na wódkę z kumplami i nie wracałem do rana. W domu pojawiałem się o 7.00 lub 8.00. Działo się tak tylko we czwartki – graliśmy w backgammona, wypijaliśmy kilka drinków, wypalaliśmy parę skrętów. Wracałem do domu wczesnym rankiem, spałem do wczesnego popołudnia i gdy wreszcie wstałem, wychodziłem przebiec sześć–siedem mil. Po powrocie czułem się tak marnie, że po prostu siedziałem na kanapie. W piątek było już dużo lepiej, więc byłem w stanie pokonać nawet do ośmiu mil, a w sobotę znów latałem. Tego typu libacje trwały około sześciu miesięcy – alkohol, narkotyki i backgammon. Zaczynaliśmy około 21.00 lub 22.00 i walczyliśmy całą noc. Zawsze piłem wyłącznie wódkę. To jedyny alkohol, jaki znam, który nie sprawia, że pijąc go, czuję się źle. Po piwie mam gazy i jestem nadęty. Wódka po prostu gładko wchodzi.

Zasypiałem na kanapie kumpla, budziłem się i brałem taksówkę do domu. Czasami biegłem ubrany w duże skórzane buciory, koszulkę, szeroki sweter i dżinsy. Któregoś dnia, jadąc taksówką, utknęliśmy w korku, a ja musiałem wrócić do domu na urodziny Lily. Powiedziałem kierowcy, że wysiadam i zamierzam pobiec, bo tak będzie szybciej. Zdziwił się, mówiąc, że zostały jeszcze trzy mile. Pokonałem je w 16 minut, więc i tak byłem tam wcześniej niż on. Zebrałem swój majdan i pobiegłem do domu. Byłem w tak dobrej kondycji, że trzy mile były dla mnie jak bułka z masłem.

W końcu zrezygnowałem z czwartkowych popijaw. Wiedziałem, że jestem uzależniony i nie mogę tego kontynuować. Powiedziałem sobie: „Dopłyn do drugiego brzegu, a jak już z tym skończysz, trzymaj się z dala od tych ludzi i miejsc. Trzymaj głowę nisko”. Nauczyłem się tego w Priory. Wiedziałem, że choć bardzo chcę się nachlać, nie mogę. Wróciłem na odpowiedni szlak i nie mogłem się z niego stoczyć. To nie było łatwe. Pozwoliłem sobie na odskocznę, na odrobinę rozrywki. Ale po sześciu miesiącach powiedziałem definitywnie: dość, koniec.

Mimo cotygodniowych libacji przy stole dawałem z siebie wszystko. Może więc to się liczy? Rady Joego Davisa miały na mnie większy wpływ niż wódka, prochy i backgammon. Dotarły do mnie. Bieganie i Joe Davis (w umiarkowanych ilościach) pokonają wszelkie uzależnienie! Ironia losu – wszyscy wokół powtarzali mi, że kiedy przestanę pić i palić trawę, moje życie będzie lepsze. Mieli oczywiście sporo racji, ale ten niesamowity sezon trafił się w czasie ostrych popijaw i rozpadu mojego życia prywatnego.

WALCZĄC Z PRAWEM

*Środa: na pierwszym i drugim okrążeniu równe tempo, na ostatnim przyspieszyłem.
Nogi zmęczone, ścięгна przeciążone, w udach zakwasy.*

Moje rozstanie z Jo w pewnym sensie przyniosło ulgę, ale całe to gówno zaczęło oddziaływać na nasze dzieci. Kompletnie nie mogliśmy się dogadać w kwestii moich spotkań z Lily i Ronniem, więc z czasem zatrudniłem adwokata. Nie chciałem tego robić, ale musiałem się posunąć do rozwiązań ostatecznych – nie mogłem bowiem pozwolić na niewidywanie się z dziećmi.

Czułem głęboki żal, ale nie była to depresja. Moje życie wywróciło się do góry nogami. Przez pierwsze trzy miesiące spędziłem z dziećmi łącznie z 20 godzin. To mnie zabijało. Szczególnie, że przysługiwało mi po pięć godzin w każdą sobotę i dwie w środy. W teorii sąd nie powinien łączyć decyzji o tym limicie z pieniędzmi, ale prawda była zgoła inna – im częściej chcesz widywać swoje pociechy, tym większe alimenty musisz płacić. Trwało to 18 miesięcy, później dwa lata – czas płynął, a koszty rosły w zatrważającym tempie. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego poszliśmy tą drogą. Nie miałem problemów z tym, by dawać Jo pieniądze na dzieci i dla niej samej. Ja po prostu chciałem być przy Lily i Ronniem. Nie powinniśmy byli angażować w to prawników.

Zacząłem więc walczyć sam, bez pomocy adwokata. I to okazało się kompletną katastrofą. Nie miałem pojęcia, co robić, byłem w szoku. Dziś te chwile wspominam jako najgorsze w całym swoim życiu. Oni mieli nade mną przewagę, a ja musiałem płacić za swoje przywileje. Po jakimś czasie sędzia powiedział: „Panie O’Sullivan, sugeruję, by zaczął pan jednak korzystać z usług adwokata. W innym przypadku będzie to pana słono kosztować”. Trafił w punkt. W pojedynkę nie dawałem rady. Znalazłem więc obrońcę i jemu w całości powierzyłem swoje zadanie. Poprosiłem, by załatwił to możliwie jak najszybciej. Jak się okazało, takie sprawy nie toczą się prędko.

Pieniądze i prawnicy – to zożydziło nasze życie. Wreszcie dotarło do mnie, że jest tylko jedno – choć bardzo drastyczne – rozwiązanie. Skończyć grać w snookera. Gdybym to zrobił, nie miałbym problemów, by spotykać się z dziećmi w soboty i we środy. Mógłbym obserwować, jak dorastają i sam bym złapał trochę luzu. Niby proste.

Był jednak pewien szkopuł. Koniec kariery oznaczał brak dopływu gotówki. Wysokość alimentów ustaliliśmy w 2008 roku – najbardziej obfitym w sukcesy w całej mojej przygodzie ze snookerem. Gdybym nie wygrywał wówczas największych turniejów, nie byłoby mnie stać na tak wysokie alimenty. Nie chodziło o to, że to mnie brakowałoby pieniędzy. To dzieci, które dziś chodzą do prywatnych szkół, nie dostałyby ich. Ponadto nie zdołałbym spłacić wszystkich prawników, którzy wystawili mi rachunek na łączną kwotę 200 tysięcy funtów.

Byłem wkurwiony. Przez tyle lat ciężko pracowałem, by zarobić godne pieniądze dla swojej rodziny, a teraz większość z nich szła na pieprzonych adwokatów. Nie miało to dla mnie najmniejszego sensu. Bolało mnie, że kodeksy zmieniły moje relacje z dziećmi w transakcje gotówkowe. Destrukcyjne było to pełne chorego paradoksu poczucie, że w sobotę czy w środę – dni, w których miałem możliwość zobaczyć się z Lily i Ronniem – rozgrywałem mecze po to, by dzięki zarobionej kasie powalczyć o częstsze widywanie.

W końcu zacząłem się wkurzać na to, że jestem wkurzony. Nie poznawałem się – z natury zawsze byłem spokojnym człowiekiem. Owszem, czasem bywałem zły, ale zawsze starałem się odnaleźć w ludziach ich ukryte dobro.

Walka w sądzie rodzinnym była dla mnie abstrakcją. Zachowywałem się tam jak kura z odrąbaną głową. Słuchałem porad rodziny oraz przyjaciół i nie wiedziałem, komu mogę tak naprawdę zaufać. Nie potrafiłem ocenić, czy ludzie radzą mi z sensem, czy chcą wyłącznie na mnie zarobić. Patrząc na kolejne faktury wystawiane przez prawników, zaczynasz wątpić w sens wydawania wszystkich swoich pieniędzy. Ale jak już raz wleziesz na tę karuzelę, nie zdołasz z niej zeskoczyć. W głowie pojawiało się milion myśli naraz. Znikały tak szybko, jak wbijane przeze mnie bile: pach, pach, pach. Za chwilę pojawiały kolejne. Doprowadzało mnie to do szaleństwa.

Cały ten syf nasilił się podczas Welsh Open w 2010 roku. Z początku w ogóle nie chciałem w nim wystąpić. Po dotarciu do półfinału miałem serdecznie dość. Chciałem czym prędzej wracać do domu. Czułem się przegrany, samotny, więc... odpuściłem mecz. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem, nigdy nawet o tym nie pomyślałem. Ale wtedy byłem rozbity. Podałem się. Różnica jest jednak spora – niektóre takie porażki są planowane, ustawione. Ta była nieświadoma. Dopiero później zadajesz sobie pytanie: „Szlag, co ja tam w ogóle robiłem?”.

Oprócz Welsh Open zrobiłem to na China Open, które odbyło się chwilę potem, i w ćwierćfinałowym pojedynku mistrzostw świata przeciwko Markowi Selby’emu. W Sheffield byłem gotowy na zwycięstwo – grałem dobrze, ale w pewnym momencie osiągnąłem taki stan, że nie potrafiłem już znieść tego miejsca. Byłem wściekły – z jednej strony nic nie liczyło się dla mnie bardziej niż triumf w mistrzostwach, z drugiej nie miałem już siły, by tam zostać nawet o dzień dłużej. Przegrałem w głowie, zabrakło mi cierpliwości. Odbiło się to na mojej grze – chciałem wbijać bile, które nie

miały prawa wpaść, byle tylko mecz skończył się jak najszybciej.

Chwilę przed wylotem do Chin powiedziałem mojemu agentowi Django, że zostaję w kraju.

– Stary, nie czuję się na siłach, by wsiąść do tego samolotu i przelecieć pół świata. Zwyczajnie nie dam rady – stwierdziłem.

– Spokojnie. Czeka tam na ciebie 25 patyków i sponsor. Jedyne, co musisz zrobić, to pojawić się tam, uścisnąć parę dłoni i poznać kilku ludzi – odparł.

Więc poleciałem. Ludzie okazali się wspaniali, a hotelu, w którym mieszkałem, nie da się porównać do żadnego innego. Był po prostu najlepszy. Tylko co z tego, skoro w apartamencie, który mieścił się na przeznaczonym wyłącznie dla nas najwyższym piętrze budynku, co noc wypłakiwałem oczy. Czułem się zagubiony i kurewsko smutny. Jakbym dostał obuchem w głowę – przecież powinienem być szczęśliwy: miałem wspaniałe dzieci, przebywałem w luksusowym hotelu, byłem w najlepszej formie i uprawiałem dyscyplinę, którą kocham. Zamiast tego byłem niczym żywy trup.

Dzień po nieprzespanej od łez nocy miałem zagrać z jednym z miejscowych. Powiedziałem Django, że za wszelką cenę muszę stamtąd uciec. Zamierzałem wycofać się z turnieju. Agent powstrzymał mnie jednak od tej decyzji, strasząc, że Chińczycy zamordują mnie za tę samowolkę. Kara finansowa za takie zachowanie była słona. Nie byłem jednak w stanie utrzymać kija, a co dopiero wygrać meczu. Myślałem wyłącznie o powrocie do domu, choć miałem wrażenie, że gdy stanę przy stole, gra pozwoli mi zapomnieć o cierpieniu. Niestety, po przekroczeniu progu sali było jeszcze gorzej.

Chłopczek ledwo potrafił wbijać bile, a jednak doprowadził do stanu 3:3, a potem wyszedł na prowadzenie. Graliśmy do pięciu wygranych frejmów, więc wiedziałem, że mecz – nie wiadomo jak przedłużany – nie zostanie przeniesiony nazajutrz. Nie miałem więc czasu, by się otrząsnąć. Ogarnęła mnie totalna desperacja. Następną partię rozpocząłem dobrze, powoli czyściłem stół. Spudłowałem jednak banalną czarną z punktu. Szok. Nawet Lily by ją wbiła! Na domiar złego zostawiłem ją tuż obok kieszeni. Młody dokończył dzieła i pokonał mnie 5:3. Sam byłem w szoku, a ja wiedziałem, że to koniec. Wsiadłem do samochodu i bum – pojechałem do hotelu, a następnego dnia poleciałem do domu.

Ludzie zawsze mówili mi, że miewam dni, gdy nie nadaję się do niczego i nie powinno się mnie wtedy niepokoić. Był w tym element prawdy, ale tu chodziło o coś innego.

Nigdy nie wychodziłem do stołu z przeświadczeniem, że nie mam z rywalem żadnych szans. Lecz gdy któregoś dnia przeczytałem w gazecie, że przez sześć kolejnych miesięcy nie potrafiłem wygrać żadnego meczu pierwszej rundy, w głowie zapaliła się czerwona lampka. W sześciu turniejach z rzędu nie potrafiłem przebrnąć pierwszej rundy! Pierwszej rundy! Ludzie twierdzili, że to niesłychane. Sam – dopóki nie znalazłem tego w prasie – nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero potem

pomyślałem: „Kurwa, co się ze mną dzieje?!”.

Byłem w totalnym dołku. Wepchnęły mnie do niego sytuacja rodzinna i tragiczna forma. Postanowiłem zmienić swoje życie. Kupiłem łódź, zacumowałem ją w Sheffield i zamieszkałem w niej. Był 2010 rok i dopiero co wróciłem z Chin, gdzie wylałem więcej łez niż kiedykolwiek. Relacje z Jo nie poprawiały się. Któregoś dnia zostałem zaproszony przez kumpla na jego barkę pływającą po Sheffield i uznałem, że to coś dla mnie. Wydałem więc 80 tysięcy na własną i przenieśliśmy tam swoje graty. Znudziło mi się po trzech miesiącach. Typowe dla mnie, serio... Sprzedałem ją za 60 tysięcy, więc sporo straciłem. Po raz kolejny – typowe.

Żyłem jednak przez jakiś czas na kanale Hertfordshire i przez chwilę naprawdę czułem się tam świetnie. Spokój, piękny widok, karmienie kaczek każdego ranka... Codziennie o 6.00 cała kaczka rodzina przypląwała pod moje okienko na karmienie. Traktowałem je jak członków własnej rodziny, wypełniając w ten sposób pustkę po utracie najbliższych. Te kaczki były dla mnie jak dzieci. Nazwałem je Lily i Ronnie.

W pobliżu znajdowało się 15 innych tego typu „rezydencji”. Problem polegał jednak na tym, że wszyscy pracowali, więc niemal przez cały dzień dryfowałem po kanale samotnie. Na towarzystwo mogłem liczyć dopiero po 18.00. Nie znałem tu nikogo. Hertfordshire było daleko od mego prawdziwego domu. Każdego dnia biegałem wzdłuż kanału – wiedziałem, że jeśli nie zmuszę się do ruchu, załamie się psychicznie. Ta myśl również wpłynęła na moją decyzję o przeprowadzce. Niedaleko mieściła się siłownia, więc po każdej przebieżce spędzałem tam dodatkowe pół godziny. Byłem w niezłej formie, a to właśnie formy potrzebowałem, by wrócić na odpowiednie tory.

Miarą desperacji, prowadzącej do permanentnych ucieczek od problemów, jest liczba miejsc, w których mieszkałem przez ostatnie siedem lat. Było ich osiem. Plus łajba! Powinienem się zgłosić do programu *Dom pod młotek!*. Jeśli ten wynik nie jest metaforą mego niestabilnego życia, to nie mam pojęcia, co nią jest.

W tamtym okresie spędzałem w sądzie tyle czasu, że sędziowie żartowali, iż powinienem w nim wynająć pokój (liczba moich mieszkań wzrosłaby do dziewięciu!). Początkowo rozprawy trwały około godziny, ale końcowe posiedzenia, gdy ustalane są wysokość alimentów i warunki spotkań z dziećmi, trwają w nieskończoność. Przeszedłem koszmar, ale podobno to norma.

W końcu zgłosiłem się do Families Needs Fathers, organizacji działającej na rzecz praw ojców. Usłyszałem audycję z ich udziałem w radiu. Sprawiali wrażenie rozsądnych. Odnalazłem informacje o spotkaniach i wybrałem się na jedno z nich, by się przekonać, co mają do powiedzenia. Od jednego z działaczy usłyszałem, że moja sytuacja – byłem niemal zupełnie pozbawiony praw do dzieci – jest książkowa i organizacja powstała po to, by pomagać właśnie takim ludziom jak ja. Facet był świetny – prawdziwie pomocny, dlatego do dziś zwracam się do niego o porady. Ostatecznie uznałem, że spotkania w Families Need Fathers nie są dla mnie – rozmowy

z innymi ojcami wyzwalały we mnie jeszcze większą złość. Uświadomiłem sobie, że zamiast babrać się w brudach przeszłości, muszę zacząć od nowa.

Nigdy nie przyznałem się federacji snookera do swoich problemów osobistych. A chyba powinienem był. Najpewniej otrzymałbym od nich wsparcie. Tymczasem byli przekonani, że mają w swych szeregach primadonnę – gracza, który zaczął olewać turnieje i był jak kula u nogi. Otrzymywałem wówczas mnóstwo upomnień i kar dyscyplinarnych. Nic dziwnego – naprawdę mieli prawo być wkurzeni.

Nie przywiązywałem jednak do tego większej wagi. Turnieje były wtedy wydarzeniami drugiego planu. Najważniejsza była budowa odpowiednich relacji z dziećmi, a to osiągałem wyłącznie poprzez regularne spotkania. To oznaczało odpuszczanie wybranych zawodów. Gdybym przedkładał snooker nad Lily i Ronniego, w sądzie zostałyby to wykorzystane przeciwko mnie. Przecież sam domagałem się częstszych widzeń.

W pewnym momencie zacząłem cierpieć na bezsenność. Mnożące się jak grzyby po deszczu faktury wystawiane przez prawników i ich rosnące żądania dobijały mnie. Każde otwarcie listu przyprawiało o zawał serca. Każda koperta z pieczętką sądu oznaczała kolejne koszty. Wpadałem wtedy w prawdziwą panikę. Do skrajnego wkurwienia doprowadził mnie pewien formularz do wypełnienia: 40 stron, 350 pytań. Chcieli znać szczegóły każdego mojego konta bankowego, każdej hipoteki i własności, której wartość była wyższa niż 500 funtów. Pytali o moje wakacje – na przykład jakie wybieram pensjonaty – komu wiszę pieniądze, komu pożyczyłem... Chcieli wiedzieć dosłownie wszystko.

Specjalnie powołany przez sąd księgowy węszył wszędzie, gdzie tylko mógł. Potrafił przyjechać i zapytać: „Co z tą kartą American Express, którą dostałeś?”. Nawet nie pamiętałem, że mam taką kartę. Jak się okazało dokonałem nią jednej transakcji w ciągu dwóch lat. Domagali się jej pełnej dokumentacji. Tłumaczyłem więc, że zapłaciłem nią za kilka biletów. Drążyli więc dalej: „A co z firmą, którą prowadzisz w Chinach? Musimy przejrzeć wszystkie powiązane z nią konta”. Nie wiedziałem nawet, o co im chodzi. Wreszcie przypomniałem sobie, że razem z Django zarejestrowaliśmy w Chinach działalność na wypadek ewentualnych zleceń na tym rynku, ale koniec końców nie prowadziliśmy tam żadnych interesów. To im nie wystarczyło, żądali wglądu w konta. Prześladowali mnie, a cała sytuacja zaczęła mnie przerażać. Myślałem, że zwariuję.

W sądzie straciłem trzy lata. Ten niekończący się proces sprawiał, że w pracy byłem rozkojarzony, przez co wielu rywali zaczęło mnie przewyższać. Stałem się kruchy – podczas wielkich imprez, na których miałem dawać z siebie wszystko, górę brały samotność i smutek. Grając coraz gorzej, traciłem zaufanie w oczach sponsorów. Większość z nich po pewnym czasie odstępowała od umów. Same porażki.

Z drugiej strony do maksimum wykorzystywałem wtedy czas, który przysługiwał

mi na spotkania z dziećmi. Każdy weekend, od piątku do poniedziałku, spędzałem z Lily i Ronniem. W środę zostawały u mnie na noc, a we czwartek odwoziłem je do szkoły. Nasze relacje wyraźnie się poprawiły. Pragnąłem być częścią ich życia. Przy nich czułem się wyśmienicie. Malutki Ronnie i Lily skutecznie poprawiali mi humor. Nie zrozumcie mnie źle: to była naprawdę ciężka praca. Wychowywanie dzieci, szczególnie w pojedynkę, nie jest łatwym kawałkiem chleba.

Oboje z Jo to zrozumieliśmy. Doszliśmy więc do wniosku, że dla dobra dzieci warto się czasem spotkać. Mówiła wtedy: „Ech, byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy zajmowali się nimi razem”. Miała rację, ale prawda była taka, że nasze charaktery zupełnie do siebie nie przystawały. Nadal mogliśmy grać do tej samej bramki, wychowywać dzieci razem, ale już nie jako para. Musieliśmy zachować rozsądek. Miałem nadzieję, że zejdziemy z wojennej ścieżki. Proces był wyniszczający zarówno pod względem finansowym, jak i emocjonalnym. Prawnicy wysysali nasze dusze.

W lutym 2013 roku postanowiłem wrócić do snookera i wystąpić w mistrzostwach świata. Byłem znudzony i brakowało mi gry, ale to brak pieniędzy miał na moją decyzję decydujący wpływ. Wcześniej nie musiałem się o nie martwić – zawsze miałem więcej, niż potrzebowałem, więc byłem w stanie odłożyć na czarną godzinę. Ale alimenty na rzecz Ronniego i Lily – a także starszej córki Taylor – i opłaty za ich prywatne szkoły zmusiły mnie do powrotu do gry. Wcześniej hołdowałem romantycznej wizji świata, w którym życie bez pieniędzy jest prostsze, a ludzie chętnie sobie pomagają w potrzebie. Naiwne, co? Nie zapomniałem jednak o jednym małym szczególe – niezależnie od tego, jak często go przeklinałem, snooker był grą, którą kochałem nad życie.

REWOLUCJA BARRY'EGO HEARNA

Trzy minuty na maksa, kolejne trzy – regeneracja. Dwie i pół minuty na maksa, dwie następne – odpoczynek. Potem 90 sekund po cztery razy, minuta regeneracji. Sześć razy 60 sekund i 30 sekund odpoczynku. Na koniec 600 metrów sprintem. Chyba obtarłem kostkę.

Snooker tkwił w głębokim dołku, gdy w 2010 roku próg jego drzwi przekroczył Barry Hearn. Na początku nie miałem zielonego pojęcia, co facet wyprawiał z moim sportem. Myślałem, że stroi sobie żarty, ale z biegiem czasu jego działania nabierały sensu.

Barry był główną postacią snookera w latach jego chwały, gdy wraz ze Steve'em Davisem i Tonym Meo stworzył organizację Matchroom. Niestety wraz z początkiem 2000 roku nasz sport zaczął schodzić na psy. Przede wszystkim stracił swego głównego sponsora, koncern tytoniowy Embassy, i zaliczył duży spadek notowań telewizyjnych (co nie było zaskoczeniem z powodu ogromnej konkurencji w postaci nowych stacji telewizyjnych). Snooker zbliżył się do etapu, w którym nawet najlepszy zawodnik nie mógł wyżyć z gry, a pewni zawodowcy nie dostawali szans. Impas przerwał w lipcu 2010 roku Barry, który wówczas piastował funkcję przewodniczącego Światowego Związku Profesjonalnego Bilarda i Snookera. Postanowił wypłynąć z naszą dyscypliną na szersze wody. Po czerwcowych wyborach przejął pakiet kontrolny w spółce World Snooker i rozpoczął prawdziwą rewolucję.

Znamy się z Barrym jak łyse konie. Po raz pierwszy spotkałem go, gdy miałem 12 lat i potrzebowałem jeszcze taboretu, by móc grać przy stole. Już wtedy był legendą snookera – były księgowy, który prowadził klub w Romford i kierował karierami najlepszych graczy na świecie, ze Steve'em Davisem na czele. Pewnego dnia zatelefonował.

– To do ciebie – powiedział tata. – Barry Hearn.

Myślałem, że się ze mną droczy. Dopiero gdy chwyciłem słuchawkę, byłem pewien – tak, to rzeczywiście Barry. Życzył mi powodzenia w Mistrzostwach Amatorów. Później stwierdził, że ma „jeszcze jedną sprawę”.

– Chciałbym pokierować twoją karierą – wypalił.

Jasny gwint! Barry Hearn. Chce. Kierować. Moją. Karierą! 12-latka! Niewiarygodne. Ojciec uznał, że sam zrobił dla mojego rozwoju wszystko, co mógł, i nadszedł czas, by pieczę nade mną przejęli profesjonaliści. Barry okazał się prawdziwym przyjacielem. Nasze relacje miały wzloty i upadki, ale traktuje go jako pełnoprawnego członka rodziny.

Czasem, jak twierdzi, doprowadzam go do szaleństwa, ale mimo to zawsze mogę na niego liczyć. W zeszłym roku Sports Life Stories nakręciło o mnie dokument, a Barry był jedną z przepytanych osób. „Dwukrotnie zarządzałem jego karierą. I cóż, nie da się ukryć, że jedne z najwspanialszych dni mego życia wiążą się właśnie z osobą Ronniego O’Sullivana. Oczywiście bywają momenty, w których mam ochotę go ukatrupić. Czasem chce się go uściskać, ale innym razem sprzedać mu soczystego kopa. Wolę jednak to pierwsze”. To zresztą działa w dwie strony!

Barry to nie tylko wyśmienity biznesmen. To jeden z nielicznych ludzi, którzy mnie rozumieją. „Bywa, że brakuje mu pewności siebie – opowiadał w dokumencie. – Czasami potrzebuje więc kija, ale czasem też marchewki. Jego największą siłą jest talent, który otrzymał od Boga. On urodził się, by grać. Z kolei największym wrogiem Ronniego O’Sullivana jest on sam”.

Oglądając ten wywiad, doszedłem do wniosku, że staruszek mógłby być również moim terapeutą.

Charakteryzował mnie niemal w samych superlatywach. Ale robił to niezwykle wnikliwie. „To gracz, który tak samo szybko zakochuje się jak i odkochuje w tej grze. Podobnie jest z władzą. Czasami zdaje mu się, że dźwiga na swych barkach ciężar całego świata, ale nawet wtedy pozostaje najmiłszą osobą, jaką możesz spotkać. To enigma. Jak każdy geniusz”.

Gdybym był singlem lub trwał w stałym związku jako głowa cudownej rodziny, stwierdziłbym, że rewolucja Hearna była najwspanialszą rzeczą, jaką spotkał snooker. Z pozoru sielanka – więcej turniejów, więcej okazji do gry, więcej podróży i czasu z dala od domu. Życ, nie umierać. Z mojej perspektywy nie wyglądało to jednak tak różowo. Wolałbym te osiem turniejów rocznie, jak przed przyjściem Barry’ego – odbębniłbym swoje i wracałbym do domu. Nie musiałbym tyle podróżować, dopasowałbym wówczas swój czas do godzin widzeń z dziećmi, i to bez prawników, którzy wykorzystywali mój terminarz gier przeciwko mnie. Więc kiedy Barry zmienił system z 8 do 27 turniejów – i to w ciągu sześciu miesięcy! – byłem wkurwiony.

To była niebywała zmiana i pod wieloma względami jedna z tych, które pozwoliły snookerowi przetrwać. Nasza dyscyplina przechodziła głęboki kryzys. Ludzie twierdzili, że snooker traci swą popularność, ale mówiąc w ten sposób, bagatelizowali problem. Ten tkwił gdzie indziej – władze nie były przygotowane na ustawę, która w 2005 roku zabroniła koncernom tytoniowym sponsorować sportu.

World Snooker był stowarzyszeniem prowadzonym przez byłych profesjonalnych

graczy, z których większość nie miała nawet pojęcia o podstawach przedsiębiorczości. Gdyby we władzach zasiadał ktoś taki jak Bernie Ecclestone, bylibyśmy przygotowani nawet na największy pożar. Ludzie z World Snooker mieli pięć lat, by znaleźć nowego sponsora. Nie znaleźli. Ba, nawet nie szukali. Banda arogantów. Myśleli, że skoro wcześniej dyscyplinę finansował tak możny sponsor, to kolejne potężne firmy same będą się pchać do nich drzwiami i oknami, więc prędzej czy później oferta się pojawi. W rezultacie inne dyscypliny znalazły alternatywne rozwiązanie i rozwijały się za pieniądze otrzymywane od firm telekomunikacyjnych, banków i tym podobnych, a snooker tkwił w martwym punkcie.

W 2004 roku wygrałem mistrzostwa świata sponsorowane przez firmę tytoniową Embassy. Rok później umowa sponsorska wygasła. Od tamtej pory World Snooker nie znalazł nikogo na jej miejsce. Nawet nie ogłosił przetargu. Z czasem niesponsorowane turnieje były jedynym, co im pozostało. Gdyby Barry, już pal sześć tego Ecclestone'a, był wtedy u władzy, nigdy nie doprowadziłby do takiego stanu rzeczy. Brakowało pieniędzy nawet na organizację zawodów. Pozostały jedynie te, które były finansowane przez BBC i Sky, a także kilka w Chinach i jeden w Irlandii. Żałosne. Prawdziwe upokorzenie dla snookera. A wystarczyło znać podstawy ekonomii...

Ian Doyle, menedżer Stephena Hendry'ego i założyciel agencji 110 Sport, próbował nawet zorganizować konkurencyjny cykl i przejąć najważniejszych graczy. Gdyby tak się stało, World Snooker by upadła. Nic więc dziwnego, że zaproponowali swoim najlepszym zawodnikom ogromne pieniądze za pozostanie w ich szeregach. Ci, widząc że jedynym sposobem na wyjście z kryzysu jest wzmożona promocja dyscypliny, zgodzili się na nowe warunki. Ludzie z World Snooker wiedzieli, że zatrzymując nas – nawet za wszelką cenę – zatrzymają przy sobie pieniądze z BBC. Nic więc dziwnego, że zaczęli panikować i oferować swoim asom horrendalne wręcz honoraria. W ich skład wchodziło wynagrodzenie za grę i pieniądze za akcje promocyjne – sesje zdjęciowe do magazynów i temu podobne. Czułem, że to forma przekupstwa, ale strzelaliśmy w ciemno – desperacko broniliśmy się przed wejściem do gry 110 Sport. World Snooker dopiął swego, ale nie wpłynęło to korzystnie na koniunkturę. Potrzebni byli ludzie znający się na biznesie.

A czy sama gra straciła kiedykolwiek na popularności? Nie sędzę. Fakt, gdy Steve Davis wygrywał w finale mistrzostw świata z Dennisem Taylorem, ich ruchy śledziło 18,5 miliona widzów BBC, ale wówczas w telewizji miałeś do wyboru ledwie cztery kanały. Gdyby w pewnym momencie stacja Sky nie włączyła się skutecznie do walki o prawa telewizyjne, nigdy już nie zbliżylibyśmy się do takich liczb. Świat się zmieniał, a snooker nie zamierzał pozostać wyjątkiem od reguły. Przyczyną upadku była krótkowzroczność działaczy. Gdyby ktoś uprzednio umiał trochę pogłównkować, a Barry Hearn dostał się do władz dużo wcześniej, snooker byłby dziś tak samo popularny jak golf. Nawet nasz olbrzymi potencjał na Dalekim Wschodzie nie był w pełni

wykorzystany. Działacze mieli klapki na oczach. Zadowalali się czterema wydarzeniami, którymi zainteresowane było BBC, oraz kilkoma w Tajlandii i uznali, że nie ma się czym martwić. Ale kiedy skończyła się kasa z papierosów, nie było już odwrotu.

Brak zawodów był mi na rękę, ale inni przeżywali prawdziwy koszmar. W pocie czoła ćwiczyli przez miesiąc lub sześć tygodni pomiędzy imprezami i nie dostawali jakiegokolwiek wynagrodzenia. Jeśli byłeś w słabszej formie, na kolejnych zawodach czułeś ogromną presję, by cokolwiek zarobić. Dziś postawa zawodników jest zupełnie inna – skoro gram w ponad 30 turniejach, mogę skupić swą uwagę na trzech z nich.

Gracze objazdowi, ci, którzy brali udział w każdym turnieju, ale nie potrafili żadnego wygrać, znaleźli sposób na radzenie sobie z kryzysem. Dostrzegli, jak nieopłacalny stał się snooker. Wraz ze spadającą liczbą turniejów obcięli swoje wydatki – wybierając na przykład te zawody, podczas których nie trzeba płacić za hotel. Bardziej opłacalne było ograniczenie się do kilku imprez rocznie i zminimalizowanie wydatków za nocleg, benzynę, jedzenie i tak dalej.

Dziś, gdy turniejów jest o wiele więcej, wydawałoby się, że objazdowicze – dopóki nie wygrywają – ledwo wiążą koniec z końcem. Wydatki wciąż są przecież takie same – pokój w Hiltonie nadal kosztuje 100 funtów za noc, a napełnienie baku kolejną stówkę (wiem, że nie każdy zamierza zatrzymać się w Hiltonie i spalać tyle benzyny co ja). Wydawałoby się, że jeśli wybierają się, dajmy na to, na 28 turniejów, ich wydatki mogą być pięciokrotnie wyższe niż w czasach przed Hearnem. Wielu graczy uważa, że dziś jest o wiele trudniej niż kiedyś, gdy oprócz rozgrywania turniejów mogli się zatrudnić w klubie na pół etatu. Ale koniec końców sam snooker ma się o wiele lepiej niż dawniej.

Im dłużej Barry był u władzy, tym więcej problemów rozwiązywał. Wiedział, że system rankingowy był mocno niesprawiedliwy, więc go zmienił. Przeszliśmy z 6 turniejów rankingowych do 20 i chociaż zwycięzca mógł ugrać w nich tylko 10 tysięcy funtów, zdobywane punkty wzmacniały ich rangę. Początkowo wygranie czterech małych imprez z serii PTC (Players Tour Championship) dawało tyle samo oczek, co triumf w mistrzostwach świata. Słabsi gracze mogli więc piąć się w górę rankingu. Obecnie liczba punktów odzwierciedla skalę nagród pieniężnych – jeśli więc wygrana w jednej z imprez PTC daje 10 tysięcy funtów, musiałbyś wygrać 25 takich turniejów, by zrównać się punktami z mistrzem świata, który za triumf w Sheffield otrzymuje 250 tysięcy.

To sprawiedliwe rozwiązanie, ponieważ tylko najlepsi wygrywają mistrzostwa. Jeśli zapytacie każdego z osobna, czy wolałby zostać mistrzem świata, czy zwycięzcą 25 zawodów PTC, gwarantuję, że każdy wybierze pierwszy wariant. System zmienił jednak podejście najlepszych do turniejów mniejszej rangi. Musieli oni rozpocząć sezon od imprez PTC, by zdobywać punkty i uniknąć spadku w rankingach.

Nie było już graczy, którzy utrzymywali się na szczycie światowych list, mimo że nigdy nie wygrali ważnego seniorskiego turnieju. Jak w tenisie, gdy Karolina Woźniacka długo była numerem jeden, choć nie wygrała w tym czasie żadnego Szlema i miała nawet trudności z dotarciem do półfinału. Po zmianach Barry'ego ranking stracił lidera z prawdziwego zdarzenia, który przez większość sezonu utrzymywałby się na tronie. Chodziło o stworzenie większej liczby okazji do gry – mogli na tym skorzystać niemal wszyscy. Mnie to przyprawiało o ból głowy. Znalazłem się między młotem a kowadłem – musiałem wybierać pomiędzy ważnymi punktami na mało ważnych imprezach a spotkaniami z dziećmi.

Mimo to występy w małych wydarzeniach sprawiały mi frajdę. Pozwalały szlifować technikę i pomagały mi na chwilę wyrwać się z domu i sprawdzić, na jakim etapie przygotowań aktualnie jestem. Gdy w 2012 roku wziąłem udział w większości zawodów PTC, zauważyłem sporą różnicę w swojej formie. Gdy rozgrywasz tyle spotkań, nie masz nawet czasu się martwić o to, czy uderzasz dobrze – po prostu celujesz i wbijasz, działasz jak automat. Po jakimś czasie łapiesz rytm. W trudniejszych chwilach to właśnie powtarzalność, systematyczność pozwoliła mi przezwyciężyć kryzys.

To uodparniało. Jak wtedy, gdy jeździłem do Blackpool, gdzie jeszcze jako 16-latek wygrywałem mecz za meczem. Jedno spotkanie przechodziło w kolejne i każde miało olbrzymie znaczenie. Dziś stawka była bardziej wyrównana. W większości z tych turniejów na widowni zasiadała garstka ludzi. Zupełnie jak w Blackpool! Rozgrywaliśmy wtedy mecze w małych kabinach. Wokół stołu było z osiem miejsc dla kibiców, jedno dla sędziego i dwa dla graczy – to wszystko. Zero telewizji i czegokolwiek innego.

Uwielbiałem to. Pewnego razu oglądało mnie dziewięciu ludzi i wówczas był to dla mnie niezły wynik. Wielu zawodników narzekało na życie na walizkach, zbyt częste podróże, ale mnie to kręciło. Znowu poczułem się jak dzieciak. Kabiny? Nie zawracałem sobie nimi głowy. Po prostu kochałem grę w snookera i cała reszta nie miała znaczenia.

Przebierałem się na parkingu. Zdejmowałem buty do biegania oraz dżinsy i wrzucałem je do bagażnika. Wskakiwałem w garnitur i szedłem grać dla garstki fanów. Po skończonym meczu przebierałem się z powrotem i zaczynałem biegać. Nie zrozumcie mnie źle – mimo wyczuwalnego w tych słowach optymizmu było mi ciężko. Bywało, że czułem się tragicznie i zastanawiałem się nad sensem przyjazdów, ale koniec końców miłość do gry zwyciężała. W 2012 roku odniosłem trzy z dziewięciu zwycięstw w cyklu PTC. Nie przyszły one łatwo. Wymagały siedmiu triumfów nad przeciwnikami w zaledwie trzy dni. Trzy pojedynki w piątek lub w sobotę, później – jeśli awansowałeś dalej – cztery w niedzielę. Ci, których los przydzielił do drabinki grających w sobotę, następnego dnia byli już wykończeni. Najlepszy scenariusz zakładał trafienie do piątkowej sesji. Sobotę przeznaczano się wówczas na regenerację.

Gra w takim systemie stanowiła doskonały plan przygotowań do mistrzostw świata. Pozwalała wejść w odpowiedni rytm, zbudować formę, rozkręcić się przed najważniejszym turniejem w roku.

Barry zrobił mądrą rzecz. Ogrom turniejów, które zaczął organizować, nasycił nasz rynek. Gdy ktoś chciał stworzyć kolejny, rozmowy wyglądały mniej więcej tak:

– Niestety nie mamy zbyt wielu terminów... Kiedy chcielibyście go zorganizować?

– Powiedzmy, że wtedy – po czym padała konkretna data.

– Hmm, w tym terminie mamy już inną imprezę. Musielibyśmy się jej pozbyć, a to – jak się pewnie domyślacie – będzie was sporo kosztować.

Prawo podaży. Barry doskonale je rozumiał i dzięki temu, tworząc popyt, potrafił rozwijać ten biznes. Gdy w pewnym momencie Chińczycy zgłosili akces do organizacji kolejnej imprezy, Hearn powtarzał jak mantrę: „To będzie was kosztować”. Dziś w Chinach odbywa się pięć turniejów, a w Australii i Irlandii po jednym. Trzy najważniejsze pozostały w Anglii. Dzięki Barry’emu snooker znów zaczął zmierzać w odpowiednim kierunku.

Chociaż zdarzało nam się sprzeczać w kwestii jego nowego reżimu – i, jak sam mówi, wielokrotnie doprowadzałem go do szewskiej pasji – zawsze stałem za nim murem. Nawet niesnaski, które pojawiły się przy konstruowaniu mojego nowego kontraktu, były wynikiem niewinnego nieporozumienia. Gdybym usiadł z Barrym do stołu tuż po mistrzostwach świata w 2012 roku, najpewniej zagrałbym w kolejnym sezonie. Źle zrozumiałem szczegóły umowy, którą mi przedstawiono, a której ostatecznie nie podpisałem. Była w niej mowa o dyskwalifikacji w przypadku odpuśczenia czterech turniejów. Nie podobał mi się ten zapis, ponieważ już wcześniej zdecydowałem się na kilka miesięcy przerwy. Dopiero później Barry wytłumaczył mi, że chodzi o cztery wydarzenia w roku. Po zakończeniu sezonu licznik się zerował. To był dla mnie kluczowy punkt tego kontraktu.

Był w nim również zapis ograniczający nasz zawód – podpis pod nim uniemożliwiał występy w innych telewizyjnych eventach, które nie miały związku z organizacją World Snooker. Ostatecznie Barry’emu chodziło jedynie o wydarzenia kolidujące z tymi, które sam promował. I miał facet rację – w końcu starał się zbudować cykl z najlepszymi na świecie zawodnikami. Nie chciał tracić mnie, czy – powiedzmy – Stephena Hendry’ego na rzecz innej organizacji. Chciał mieć nas na wyłączność. W kwestii konfliktu interesów mówił: „Chodź, pogadajmy o tym. Jeśli będzie luka w kalendarzu, nie będę miał nic przeciwko, byście razem z Hendrym zagrali dla kogoś innego”.

Zlikwidował również premię za maksymalne brejki, co niestety uderzyło w najlepszych graczy. Kiedyś za wbiecie w Sheffield 147 punktów w jednym podejściu zgarniało się 167 tysięcy funtów – 147 tysięcy za samego maksa i 20 tysięcy za najwyższy brejk w turnieju. Hearn uznał, że suma ta jest zbyt wysoka w stosunku do skali trudności tegoż wyczynu. Tłumaczyłem mu, głośno sobie żartując, że na dobrą

sprawę tylko dwóch ludzi potrafić dokonać tej rzeczy – ja i Hendry – więc nie powinien tej kwestii bagatelizować. W całej karierze razem ze Stephenem wbiliśmy po 11 maksów. Kolejnym na tej liście jest John Higgins z siedmioma 147-punktowymi brejkami. Tylko trzykrotnie dokonałem tej sztuki na mistrzostwach świata, Hendry dwa razy. A pierwszy w historii Sheffield maks to wcale nie tak odległa przeszłość – 1983 rok i Cliff Thornburn. Wtedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że jakikolwiek snookerzysta doprowadzi swoją grę do takiej perfekcji. Proszę zauważyć, że nie zajęło mu to około tygodnia!

Jednak ogólnie rzecz ujmując, Barry zrobił dla snookera wiele genialnych rzeczy. Gdybym teraz zaczynał karierę, byłbym w siódmym niebie. Mając 18 czy 19 lat, spałbym spokojnie, wiedząc, że w kolejnych 15 czy 20 sezonach zarobię naprawdę spore pieniądze. W przyszłym roku za samo zdobycie mistrzostwa świata czeka na nas 300 tysięcy funtów. Zwycięzca UK Championship zgarnie 150 tysięcy. Oczywiście wciąż nie są to stawki rodem z piłkarskiej Premier League, ale – nie oszukujmy się – nigdy do nich nie dobijemy.

W starych czasach – gdy sezon ograniczał się do ośmiu turniejów – choć nasza dyscyplina umierała, mogłem się skupić na bieganiu. Idealne połączenie – osiem imprez (sześć rankingowych i dwie „zaproszeniowe”: Masters i Premier League). Miałem kasę, a do tego mnóstwo czasu, by pobiegać. Byłem szczęśliwie zajęty.

W każdy weekend startowałem w biegach przełajowych. Z czasem stawały się one dla mnie ważniejsze niż snooker. Oczywiście gra w półfinałach czy finałach wielkich zawodów to świetna rzecz, ale od pewnego momentu nie dawała mi takiej satysfakcji jak rywalizacja na trasie. Podświadomie zacząłem liczyć na relatywnie wczesną porażkę w turnieju – na takim etapie, by zgarnąć kilka punktów do rankingu, ale wrócić do domu na tyle szybko, by w niedzielę stanąć na starcie kolejnego wyścigu. Bieganie przejmowało nade mną kontrolę.

Zacząłem się uzależniać, ale był to najlepszy nałóg, jaki mógł mnie dopaść. To nieustanny i nasilający się z każdym dniem haj. Takiego nie jest ci w stanie zapewnić żadna używka. Nie mówię o joggingu, tylko o bieganiu. Jogging to harówka, z kolei bieganie jest proste jak mycie zębów. Gdy widzisz biegaczy pokonujących 10 kilometrów w 27 minut, uwierz, że to nie jest dla nich trudne. Ten sam dystans w 54 minuty – to już katorga. Jogging to męka, podczas której musisz pracować niemal całym ciałem – ramionami, pośladkami – a twoje kolana zwyczajnie cierpią. Podczas biegania wszystko płynie. Jak w tańcu – osiągasz pewien rytm i wszystko pracuje w odpowiedniej symbiozie. Twoje ciało się nie rusza, twoja głowa się nie rusza, barki się nie skręcają. Twoje biodra się przenikają, a stopy dłużej utrzymują się nad ziemią. Mijasz kolejne latarnie i myślisz: „Jestem naprawdę szybki”. Słuchasz tylko swojego oddechu, serca, kroków, czasem śpiewu ptaków gdzieś w oddali. To jest coś pięknego.

Nigdy nie włączam muzyki. Chcę słyszeć samego siebie, swój organizm i świat,

który przemierzam.

Te czasy już nie wrócą. Biegam, ale nie tak intensywnie jak jeszcze pięć czy sześć lat temu. Chcąc utrzymać mocne, wysokie tempo, po dystansie trzech i pół mili muszę robić krótkie przerwy. Wolę przystanąć na chwilę, niż biec jednostajnym, ale wolnym rytmem. Jak już pisałem, jogging nie jest dla mnie. By poczuć satysfakcję z biegu, muszę wejść na odpowiednie tempo i dać z siebie wszystko. By co niedzielę startować w ośmio- czy dziewięciomilowym wyścigu, trzeba wyrobić swoją normę – w moim przypadku 35–40 mil na tydzień. Mam nadzieję, że gdy będziecie czytać tę książkę, wrócę do dawnej formy i znów zacznę latać.

COMEBACK KID

Las. 50 minut, około siedmiu mil w towarzystwie Johna. Sesje szybkościowe: 10 x 30 sekund z 30-sekundowym odpoczynkiem. Pięć minut przerwy. Później 12 x 30 sekund. Czuję się dobrze. Fizycznie w sam raz.

Była zima 2011 roku, a ja staczałem się coraz niżej. Fatalna sytuacja rodzinna sprawiała, że kompletnie nie spałem, byłem przybity i wyczerpany. W grudniu tamtego roku pokonałem Ding Junhuia 7:1 w finale Premier League. Od kilku lat nie potrafiłem zanotować żadnego znaczącego sukcesu w turniejach rankingowych, ale w Premier League szło mi bardzo dobrze – to był mój dziesiąty tytuł w tych rozgrywkach, siódmy w ostatnich ośmiu latach. Dwa dni później ruszyłem do Sheffield na kolejną imprezę cyklu PTC.

Turniej skończył się dla mnie już w pierwszej rundzie, po porażce 2:4. Przeciwnik zagrał dobrze, więc nie chcę na siłę szukać usprawiedliwień. Sam nie grałem najgorzej, ale zwyczajnie brakowało mi energii. Wróciłem do hotelu, gdzie nocowali również Robbie Gej (tak naprawdę nie był gejem, był tylko strasznie zniewieściały), mój przyjaciel ze Szkocji Charlie oraz Patsy Fagan, zwycięzca UK Championship z 1977 roku. Tego ostatniego poprosiłem o pomoc. Potrzebowałem kogoś, kto spojrzy z boku na moją grę i udzieli mi kilku wskazówek.

Spędziliśmy przy stole cały dzień. Następnego ranka, schodząc na śniadanie, czułem się, jakbym miał za chwilę umrzeć. Byłem obolały, wycieńczony, wyzuty z sił. Zadzwoniłem do rodziców i po chwili rozmowy uznałem, że muszę wrócić do domu. Początkowo mój plan przewidywał dłuższą wizytę w Sheffield, ale z fizycznego punktu widzenia było to niewykonalne. Nie mogłem jeść, żołądek wzywał pomocy – zwyczajnie czułem się do niczego. Wizja trzygodzinnej podróży i stania w korkach przyprawiała mnie o mdłości.

Dlatego uznałem, że najlepiej będzie zostawić samochód w Sheffield i ruszyć bezpiecznie pociągiem. Taki plan – mimo tłumaczeń, że nie chcę ryzykować jazdy za kółkiem – nie spodobał się mojemu ojcu. Gdy wyszedłem z hotelu i spojrzałem na wóz, pomyślałem: „Dobra, jebać to. Wrzucaj torbę do bagażnika i w drogę!”. Po jakiejś godzinie i 20 minutach, gdy minąłem Peterborough, byłem już na skraju wytrzymałości.

Auto zaczęło zjeżdżać na pobocze, moje powieki stawały się coraz cięższe. Chciałem mieć tę podróż za sobą, więc wcisnąłem gaz do dechy.

Gdy przekroczyłem już próg znajdującego się w Chigwell domu mamy, w zasadzie nie wypełzałem z łóżka. Przez trzy czy cztery dni nie jadłem nic oprócz kleiku. Wreszcie ogarnąłem się trochę, przeniosłem się do siebie i, gdy tylko poczułem lekką poprawę, pojechałem na UK Championship. W pierwszej rundzie ograłem Steve'a Davisa, ale już w kolejnym meczu wyeliminował mnie Judd Trump. Grałem niezłe i choć od kilku ładnych lat nie mogłem dotrzeć choćby do ćwierćfinału żadnego ważnego turnieju, pomyślałem, że zmierzam w dobrą stronę.

Sił mi jednak nie przybyło. Gdziekolwiek przebywałem, zasypiałem jak dziecko. Nawet gdy szedłem trenować do klubu, kończyłem, chrapiąc na kanapie. Zero energii do życia. Samą grą też nie mogłem się pobudzić. Powbijałem przez 20 minut, pół godziny, czasem godzinę, ale niezależnie od tego, jak mi szło, lądowałem na wersalce. Tak właśnie wyglądały moje przygotowania do mistrzostw świata – mało efektywny trening i leżenie do góry brzuchem.

Kończyłem mecz, wracałem do domu i zasypiałem. To było chore i ciągnęło się od grudnia 2011 do maja 2012 roku. To nie mogło jednak trwać wiecznie. Wreszcie zdecydowałem się na wizytę u specjalisty. Wyniki były bezlitosne – mononukleozą zakaźną.

– I co ja mam teraz robić? – Miałem nadzieję, że lekarz znajdzie satysfakcjonującą odpowiedź.

– Nic. Nic nie możesz zrobić, Ron – odparł.

Bywały dni, gdy nie mogłem wejść po schodach. Mój organizm domagał się niemal wyłącznie odpoczynku. Uznałem więc, że pójdę z nim na kompromis i swoją codzienność oprę jedynie na dwóch fundamentach – grze i odpoczynku. Nic innego nie wchodziło w rachubę. Spodobał mi się taki styl życia – dużo snu i chillout przy stole. W sumie mogło być o wiele gorzej. Choroba zmusiła mnie, bym zwolnił. Koniec biegania, wyjazdów do Chin, przejazdów autostradami. Musiałem zrewolucjonizować swe dotychczasowe życie, które, podporządkowane walce o rodzinę i toczące się od turnieju do turnieju, zaczęło mnie przerastać. Wyluzowałem. Zacząłem odpuszczać niektóre zawody i ostatecznie dobrze na tym wyszedłem.

W lutym 2012 roku zagrałem w German Masters, w zasadzie rozpoczynając swój sezon. Wcześniej nie grałem źle, ale brakowało mi wyników. Dwa lata bez jakiegokolwiek sukcesu w turnieju rankingowym – z taką sytuacją mierzyłem się po raz pierwszy.

Żadnych problemów nie miałem za to w rozgrywkach Premier League. To był turniej skrojony na moją miarę. Czas gry mierzył specjalny zegar, który dawał zawodnikom tylko 25 sekund na wykonanie zagrania. Ponieważ – zważywszy na mój styl gry – dawało mi to olbrzymią przewagę nad resztą, zwycięstwa w tych zawodach

nie przynosiły mi pełnej satysfakcji. Zapewniały jedynie środki, z których spokojnie mogłem spłacać kredyt hipoteczny.

Wracając do German Masters... Już w pierwszej rundzie byłem bliski spektakularnej klęski. Gdy Andrew Higginson wyszedł na prowadzenie 4:0, uznałem, że czas odpalić samochód i szykować się do powrotu. Czułem, że to, co kiedyś pozwalało mi triumfować w najważniejszych turniejach, uleciało. German był imprezą rankingową, więc zaliczał się do cyklu turniejów głównych, z kolei wspomniana wyżej Premier League to rozgrywki, do których organizatorzy zapraszają, kogo chcą. Ściągają więc do stołu Jimmy'ego White'a czy Steve'a Davisa tylko po to, by zwabili tłumy. Z całym szacunkiem dla nich (obaj są przecież moimi idolami), ale najlepsze lata mają już dawno za sobą. Podczas gdy światowa czołówka walczyła o punkty do rankingu, ulubieńcy Barry'ego Hearn'a grali między sobą na o wiele mniej ważnych turniejach – tak to było postrzegane. Każdy chce wpisać sobie w CV triumf w imprezie głównej – mistrzostwach świata czy UK Championship, których trofea uważa się za najcenniejsze. Ale ja straciłem tę możliwość. Przynajmniej tak mi się wydawało.

A więc w meczu do pięciu wygranych frejmów przegrywałem 0:4. Pomyślałem, że jeśli nie wzniosę się na wyżyny swych umiejętności, przegram z kretesem. Od pewnego czasu pracowałem z psychiatrą sportowym Steve'em Petersem, więc nie popadałem w panikę. Gra nie wyglądała bowiem tak źle jak wynik. Dostałem kilka szans, ale zwyczajnie ich nie wykorzystałem. Zamiast popadać w histerię i wściekać się na siebie, myślałem: „Spokojnie, grasz całkiem OK przy sporej, dwuipółtysięcznej publiczności. Ciesz się tym. Jeśli przegrasz 0:5, to przegrasz 0:5. Trudno. Po prostu daj z siebie wszystko”. Takiego sposobu myślenia uczyłem się od Petersa. Kluczem do sukcesu było pozostać cierpliwym i – jeśli tylko nadarzy się okazja – wyrzucić na rywala presję. Zobaczyć, co się wówczas wydarzy.

Wygrałem piątego frejma w jednym podejściu do stołu. Tak efektowna wygrana zawsze buduje morale. Uznałem, że jeśli rywal ma zacząć trząść portkami, to właśnie teraz. Ale wtedy mój przeciwnik zbudował 62-punktowego brejka, a ostatnią czerwoną miał pod samą kieszenią. Pomyślałem, że już po mnie. Kurwa, kolejny ważny turniej i znów klęska. Nagle, przy próbie pozycjonowania do czerwonej, biała bila otarła się o zieloną i ustawiła w pozycji snooker. Niewiarygodne! Przed tym feralnym uderzeniem szanse Higginsona na przegranie meczu wynosiły pewnie 1 do 1000. Ale dostałem kolejną szansę. Ostatnią. Choć wciąż przegrywałem 1:4, miałem 63 punkty straty, a na stole było jeszcze tylko 75 oczek do wbicia.

Po chwili trafiłem czerwoną po długości stołu i sczyściłem układ. Tak zaczęła się moja droga do 4:4, do jasnej cholery! Ostatniego frejma wygrałem gładko. Wyszedłem więc cało z potyczki, w której leżałem już na łopatkach, a większość widzów zaczęła już kopać dla mnie grób. Rywal był wyraźnie zniesmaczony. Uścisnął moją dłoń i po chwili zniknął. Andrew to dobry gracz zawsze plasujący się w okolicach 20. miejsca

w rankingu. Tacy zawodnicy jak on potrafia ogrywać najlepszych. Po meczu wygladał jednak, jakby miał zejść na zawał. Był oszołomiony, więc dało mi to potężnego kopa. On był przybity, a ja byłem w totalnej euforii. Wow, to było coś – 0:4 w dupę, jedna bila do przegranej... Nikt by nie wymyślił takiego scenariusza.

Gdy dotarłem do ćwierćfinału, uznałem to za spory sukces. W poprzednich dwóch latach moim największym osiągnięciem był bowiem awans do 1/8 finału. Dzień później byłem już w półfinale. „Kurwa, to już tylko krok od finału”, myślałem niezwykle podekscytowany. Ale pojedynek ze Stephenem Lee był z gatunku tych gównianych. Tych, w których nachodzą mnie te cholerne myśli pod tytułem: „Chcę stąd wyjechać, mam dość, zabierzcie mnie, wolę wrócić do domu i obejrzeć to w telewizji”. Poradziłem sobie z tym. Grałem agresywnie, chciałem zdominować rywala, jednak Stephen doskonale prezentował się w obronie. Mimo to w najważniejszych momentach czułem, że nie jest w stanie mnie złamać. Wygrałem 6:4.

W finale moim rywalem był Stephen Maguire. Wiedziałem, że aby nawiązać z nim walkę, muszę utrzymać wysoki poziom z fazy półfinałowej. Zapowiadał się niezwykle długi dzień. Na pierwszą przerwę schodziłem z tylko jednym frejmem na koncie. Maguire grał jak z nut, wbił trzy 100-punktowe brejki i wyszedł na prowadzenie 3:1. Znów naszły mnie czarne myśli: „OK, grałem nieźle. Ogólnie w całym turnieju osiągnąłem wiele. Ale czy już każdy mecz przeciwko tym nowoczesnym graczom będzie tak wyglądał? Za każdym razem, gdy wyjdę przeciw nim do stołu, będę dostawał po łbie? Dopóki sam nie wbijesz przynajmniej trzech setek, możesz pomarzyć o wygranej”.

Na szczęście po chwili się ogarnąłem: „Nie myśl tak, ciesz się grą, spróbuj pokazać to, co w tobie najlepsze. To przecież wszystko, co możesz zrobić”. Sesja skończyła się wynikiem 3:5, co uznałem za dobry dla mnie rezultat. Równie dobrze mogłem przegrywać 1:7 czy 0:8, ale uniknąłem lania i wieczorem mogłem powalczyć o odwrócenie losu meczu. Dałem z siebie absolutnie wszystko.

Stephen grał wyśmienicie, więc najpewniej był zawiedziony tak niską przewagą. Nie zrobił wszystkiego, co mógł, więc w szatni był tym, który – mimo prowadzenia – nie był zadowolony z obrotu spraw. Na początku kolejnej sesji szybko doprowadziłem do remisu 6:6. Co ciekawe, nie grałem najlepszego snookera na świecie, więc sam zachodziłem w głowę, jakim cudem udało mi się odrobić straty. W zasadzie w każdym elemencie gry ustępowałem rywalowi. Ale gdy od stanu 6:6 Maguire zaczął pudłować, zwietrzyłem swoją szansę. Mecz się zaczął niemal od nowa, zwyciężyć miał ten, kto pierwszy wygra trzy frejmy. Nakręciłem się. To jest ta rzecz, która ma olbrzymie znaczenie w snookerze i w ogóle w sporcie – psychologia. To ona rzuca cię ze skrajności w skrajność. Walczyłem przez cały dzień, by pod koniec meczu wreszcie odebrać swoją nagrodę.

Niedługo potem wbiłem bilę na 8:6 i byłem już tylko maleńki kroczek od wygranej.

Wtedy fatalnie spudłowałem dość prostą bilę. Na liczniku było 40 punktów, kontynuowałem brejka, a w głowie już rozszalała się myśl, że dopiąłem swego. Powoli zacząłem układać końcowe przemówienie i nagle bum! Pomyłka. Rywal wyczyścił stół i odrobił część strat. Demony, które w takich momentach atakują mój umysł, wróciły: „O nie, znów to zrobiłem. Zrujnowałem wszystko w ułamku sekundy”. Poza tym w ostatnim czasie nie byłem przyzwyczajony do zwycięstw, więc stres zaczął przejmować nade mną kontrolę. Dałem jednak radę. W kolejnej partii wbiłem kluczową niebieską i wygrałem 9:7. Moje ręce trzęsły się jak liście na wietrze. Czułem się, jakbym miał się zesrać, a obecność 2500 ludzi pod tym samym dachem wcale mnie nie odprężyła. Znów poczułem chęć ucieczki, bo to nie był ani moment, ani miejsce na to, by zemdleć i huknąć głową o podłogę.

Ostatni raz takie napięcie towarzyszyło mi w 2002 roku, gdy w półfinale mistrzostw świata grałem przeciwko Stephenowi Hendry’emu. German Masters nie ma oczywiście tak wielkiej renomy – podejrzewam nawet, że istnieje spora grupa kibiców, która nie wie o jego istnieniu – ale dla mnie to był olbrzymi sukces. Olbrzymi. Gdy niebieska schowała się w kieszeni, ledwo mogłem w to uwierzyć. Trząsałem się jak galareta, więc bałem się, że spudłuję o dobre 30 centymetrów. Na początku powiedziałem sobie: „Nie przejmuj się tym, zrób tak, by było bezpiecznie. Po chwili jednak uznałem, że taka zachowawczość nie przystoi mistrzowi. Prawdziwy czempion podchodzi do takiej bili i w głowie tłumaczy sobie: „Dobra, ta spokojnie wpada do luzu, więc zajmij się niebieską i po niej wyjdź z pozycją na różową”. O, tak to powinno działać. „Wykorzystaj tę chwilę”, wymamrotałem. Sport na wysokim poziomie rządzi się takim prawem. Jesteś dobry, jeśli potrafisz się odciąć od reszty. Wyłapujesz swoje szanse i je wykorzystujesz.

Wróciłem do fotela i klapnąłem bezwiednie. Byłem wyczerpany. Ale tym razem ze świadomością, że wygrałem turniej, i to całkiem konkretną imprezę rankingową. To był drugi najważniejszy punkt zwrotny w mojej karierze. Zaraz po pucharze w Champions Cup, który zdobyłem chwilę po opuszczeniu Priory. Wtedy, w 2000 roku, było to o tyle ważne, że przez siedem poprzednich lat piłem i paliłem gandzię. Tamto zwycięstwo było pierwszym, które odniosłem jako czysty człowiek. Potraktowałem je jako drugą szansę. Po wygranej w German Masters czułem się podobnie. Nigdy nie spodziewałem się, że dane mi będzie posmakować tego stanu ponownie – przez dwa lata byłem chłopcem do bicia, ale udowodniłem, że drzemie we mnie dawny Ronnie. Zgarnąłem 50 tysięcy funtów – niewiele, ale to kompletnie nie miało wtedy znaczenia.

Dwuletni kryzys oczywiście odbił się na moich finansach. I nie chodzi tu tylko o brak nagród. Gdy przestałem wygrywać, prywatni sponsorzy przepadli jak kamfora. W porównaniu do lat, w których zaczynałem, snooker – pod względem ekonomicznym – zmienił się nie do poznania.

W czasach Steve’a Davisa czy Dennisa Taylora standardy nie były może zbyt

wysokie, ale czołowa trzydziestka mogła sobie zapewnić przy stole całkiem luksusowe życie. Turnieje transmitowano w telewizji, oglądały je dziesiątki milionów widzów, a koncerny tytoniowe łożyły pieniądze za reklamę na pucharach. Gdy jednak tego typu firmom zabroniono sponsorować nasze imprezy, wszystko się zmieniło.

Gdy przestałem wygrywać, moje zarobki spadły z 750 do 150 tysięcy funtów rocznie. Wiem, wiem, to nadal wielkie pieniądze, ale jeśli odejmiecie koszty podróży, hoteli, menedżerów, agentów, ta wartość nie wygląda już tak imponująco. Mój księgowy zaczął się martwić bardziej niż ja. Facet nie wiedział, co się w ogóle dzieje.

Przykręcenie kurka nie wpływało jednak znacząco na moje życie. Nigdy nie byłem rozrzutny. OK, zaliczyłem chwilowy okres szaleństwa, gdy pod wpływem impulsu kupiłem ferrari, a potem opchnąłem je za grosze, gdy nagle doszedłem do wniosku, że mi się nie podoba. Miałem fajny dom i samochód, ale wszelkie tego typu dobra nie były dla mnie tak ważne jak bieganie i snooker. Zatrudnienie trenerów, którzy zajmowali się mną na bieżni, było najlepszą transakcją mojego życia. Cieszę się, że nigdy nie doprowadziłem do tego, że pieniądze definiowały mój status życia. Nigdy nie czułem presji, by żyć jak bogacz, bo taki styl bycia zwyczajnie mnie nie kręcił.

A więc to smak zwycięstwa, a nie obawa przed zerem na koncie, był dla mnie najistotniejszy.

Triumf w turnieju rankingowym był w tamtym momencie szalenie ważny. Wcześniej myślałem, że już nigdy nie dam rady. Zanim w 2010 roku ojciec wyszedł z więzienia, ogarniał mnie parazywy lęk, że już nigdy nie wygram niczego na jego oczach, że jako wolny człowiek nie obejrzy zwycięstw swojego syna. Nie wiem, skąd ta presja. Umysł płata czasami różne figle. Gdy byłem dzieckiem, olbrzymi stres wywoływała u mnie przecież jego obecność. Miałem trudności z pokonywaniem przeciwników, wiedząc, że ojciec siedzi na trybunach i obserwuje moją grę. Była też druga strona medalu. Po tak długiej rozłące chciałem z nim spędzać jak najwięcej czasu, więc podświadomie nabierałem niechęci do gry i traciłem koncentrację. Wiedziałem, że muszę nadgonić ten stracony czas. Nie chciałem wyjeżdżać, żyć na walizkach i rozstawać się z nim po raz kolejny.

Czekałem na niego 18 lat. Nie ma nawet skali, w której można by porównać, jaki to ogrom czasu. Kiedy więc wyszedł, nie mogłem nie cieszyć się ze wspólnych śniadań, oglądania stacji Sky, boksu, bycia w pobliżu niego. Myślałem o nim przez cały okres jego pobytu za kratkami i teraz chciałem być częścią jego życia. Udzielenie mu wsparcia stało się moim priorytetem.

Pamiętam, jak podczas odwyku w 2000 roku czytałem wszystkim historię swojego życia. Słuchał jej też niejaki Max. Nie byliśmy wielkimi kumplami, ale wtedy zareagował, jakbyśmy się znali od lat. Po usłyszeniu każdej opowieści grupa oceniała ją, próbując określić, na czym polega problem. Max powiedział jedynie: „Mam wrażenie, że co dzień odliczasz dni do powrotu ojca”. Trafił w sedno.

Do każdego turnieju podchodziłem z myślą o nim. Tłumaczyłem sobie, że moje zwycięstwo pomoże mu przetrwać. Tato mówił, że za każdym razem, gdy oglądał mnie w telewizji, czuł się jak na widzeniu. Wiedziałem, że moje mecze są dla niego jedyną rozrywką w tym nudnym jak flaki z olejem więzieniu. Miałem więc misję – nie wolno mi było dawać ciała, nawet w momentach, gdy nie mogłem patrzeć na stół. Największą motywacją, by kontynuować karierę, była więc chęć uszczęśliwienia taty.

Nie mam wątpliwości, że ojciec zawsze chciał dla mnie jak najlepiej, że robił wszystko, by dać mi choćby małą szansę na osiągnięcie sukcesu. Moje dokonania były więc w dużej mierze jego zasługą. Nauczył mnie, by stąpać twardo po ziemi i chwycić wszystkie możliwe okazje. Dał mi możliwości rozwoju – najlepsze kije, najlepsze sale treningowe, najlepszych sparingpartnerów. To dzięki niemu zyskałem świadomość, że w przyszłości cały trud zwróci się z nawiązką. Nawet gdy siedział, czułem jego obecność, dlatego gdy przebywał za kratkami, nie mogłem się od niego odwrócić. Moje życie to wynik starań całej drużyny – moich, Taty, Mamy i mojej siostry Danielle.

Podczas tych dwóch chudych lat naprawdę myślałem, że to zmierzch mojej kariery. Byłem w wieku, w którym większość mistrzów przestaje odnosić sukcesy. Stephen Hendry wygrał swój ostatni wielki turniej, mając 34 lata, ale w swojej erze zdominował tę dyscyplinę – zupełnie jak Pete Sampras tenisa. Być może przez olbrzymią liczbę zwycięstw w stosunkowo krótkim czasie wypalił się szybciej, niż wskazywał jego wielki talent. Ja nie grałem z taką intensywnością, dlatego jestem w stanie dłużej utrzymać wysoki poziom.

Bo sport – zresztą jak wszystko na tym świecie – to biznes i musisz spoglądać na niego pragmatycznie. Kiedy nadejdzie mój koniec? Czy zdołam dograć do czterdziestki? To moja praca, moje życie, coś, co kocham, więc chciałbym mieć wycucie, kiedy mniej więcej nadejdzie kres. Gdzieś w głowie powoli przygotowujesz się do tej myśli, ale robisz to na bazie doświadczeń zawodników, którzy skończyli wcześniej od ciebie. W moim sercu nadal tliła się chęć gry. Wciąż czułem się pewny swoich umiejętności.

Bywały jednak dni, gdy myślałem, że mój czas się skończył. Na turniejach brylowali świetni zawodnicy nowej generacji, a ja zwodziłem samego siebie. Przystawałem wierzyć w swój styl gry i jego skuteczność w starciu z młodymi wilkami. Miałem wrażenie, że mimo ofensywnego i bardzo agresywnego usposobienia przy stole tamci patrzą na mnie z politowaniem i myślą: „Kim jest ten stary dziwak?”. Jak ja, gdy 20 lat temu grałem z Terryem Griffithsem, który kompletnie nie podejmował ryzyka. Sądziłem, że teraz to ja jestem tak postrzegany: „Oto Ronnie O’Sullivan. Ma muchy w nosie, gra wcale go nie cieszy”. Ta wizja doprowadzała mnie do paranoi.

Musiałem się przystosować do nowych warunków, odrodzić jako gracz. Czułem bowiem, że wobec nowej fali jestem całkowicie wycofany. To oni byli dziś bardziej agresywni, grali zupełnie inny rodzaj snookera. Gdy zaczynałem, tacy zawodnicy jak

Steve Davis byli ostrożniejsi. Starali się nie otwierać zwartych układów bil, wbijali te bezpieczne, dlatego zaliczali się do grona tych z najwyższą skutecznością. Dzisiejsi gracze również są efektywni, ale częściej decydują się na ryzykowne zagrania i trudniejsze wbicia. Położenie konkretnej bili na stole, które kiedyś nazwałbyś bezpiecznym, dziś traktowane jest jako szansa na rozpoczęcie brejka. Tacy oponenti jak Davis mogli cię ograć, ale pewne było, że nie zdmuchną cię z powierzchni ziemi. Zaczynałeś więc powoli i w miarę rozwoju meczu sukcesywnie wskakiwałeś na swój poziom. Dziś już nie ma na to czasu. Wspomnijcie Higginsona – przegrywałem z nim 0:4, choć nie grałem źle. 20 lat temu ten chłopak wygrałby masę turniejów.

Nowe pokolenie jest bardziej bojowe. Przynajmniej 30 z jego przedstawicieli, jeśli ma swój dzień, może ograć każdego. Gdy zaczynałem, tego typu snookerzystów było może z siedmiu czy ośmiu, więc nie rywalizowało się z nimi wcześniej niż w ćwierćfinale. Teraz trafiasz na takiego już w pierwszej rundzie i myślisz: „Kurde, wolałem nie grać z tym typem!”.

Ironią losu jest fakt, że poziom snookera rośnie w czasach, gdy zachęta do trenowania tego sportu jest coraz mniejsza. Dwie dekady temu, grając w finale mistrzostw świata czy UK Championship, przyciągnąłbyś przed telewizory nawet 20 milionów ludzi. Dziś pięć milionów to już spory sukces. Koncerny tytoniowe łożyły wtedy pieniądze na reklamy i nagrody, zaplecze finansowe było gigantyczne. Snooker trafiał do wielu domów i wychował nową generację graczy. Piję więc piwo, którego sam nawarzyłem. Ludzie tłumaczą mi, że moja gra była dla nich inspiracją i zachętą, by wziąć do ręki kij i zacząć trenować. Grać szybko i efektownie.

Musiałem więc zmodyfikować nieco swój styl, dodać do repertuaru kilka nowych zagrań. Przez dwa ostatnie lata grałem przecież fatalnie. Po mistrzostwach świata w 2011 roku byłem gotów zrezygnować z dalszych startów, ale to właśnie wtedy poznałem mnie ze Steve'em Petersem. To on zmienił moje myślenie. Na nowo obudził we mnie pasję. Moje nastawienie było tysiąc razy bardziej pozytywne niż kiedykolwiek.

Już po kilku sesjach z doktorem Steve'em zniknęła we mnie chęć poddawania spotkań. Uzmysłowiłem sobie, że jeśli przegrywam, to tylko dlatego, że przeciwnik był tego dnia lepszy. Z taką świadomością żyło mi się o wiele łatwiej. Zrozumcie, nie łatwo – wszak poczucie, że dałeś z siebie wszystko, a mimo to zostałeś pokonany, jest przykre – ale łatwiej niż dotychczas. Przetrwiałem okres przejściowy, w trakcie którego zmieniłem swoją grę. Oglądając innych przy stole, zrozumiałem, że muszę wskoczyć na wyższy poziom. Zauważyłem, że pewne obszary gry nadają się do poprawy. Nowi wbijali bile z olbrzymią łatwością, podczas gdy dla zawodników starej daty stanowiło to ciężką pracę. Młodzi na każdą bilę spoglądali tak, jakby leżała pod samą kieszenią. Nie bali się żadnego zagrania. Musiałem zacząć myśleć jak oni. Zmieniłem chwyt, technikę uderzeń i podejście mentalne – jeśli miałem spudłować, to tylko z pełnym ryzykiem. Nie chciałem się cackać z żadną bilą.

W tym względzie miarą doskonałości stała się dla mnie gra Johna Higginsa. Patrzysz na niego i widzisz, że facet wszystko wykonuje wzorowo. Podobnie Judd Trump. Styl Neila Robertsona i Ding Junhuia również miał olbrzymie znaczenie. Obserwując ich technikę, trudno nie dostrzec masy podobieństw. Mają podobny wachlarz zagrań, bile słuchają się ich jak mało kogo.

Za wszystkim stoi nauka. Chodzi o kąt, po którym prowadzą kij, o timing, chwyt, balans, układ ciała. To bardzo silni gracze. Gdy rozbijają układ czerwonych, każda bila zdana jest na ich łaskę, kontrolują niemal wszystkie. Kilka lat wcześniej byli bardzo dokładni, ale nie mieli tego jednego uderzenia, które pozwalało im wygrać mecz. U wielu innych zawodników dostrzegasz braki techniczne i wtedy wiesz, że możesz ich złamać, ale wymieniona czwórka nie ma w zasadzie żadnych słabości. Na przestrzeni 17 dni (tyle trwają mistrzostwa świata) albo nawet całego sezonu zdarzy się, że poniosą porażkę, ale nigdy nie schodzą poniżej 90–85 procent triumfów. Wiedziałem, że jeśli chcę z nimi rywalizować, muszę poznać ich na wylot, nauczyć się ich gry i osiąść umiejętność przechylania szali zwycięstwa jednym zagranie. Agresywna gra wiąże się z ryzykiem spudłowania kilku kluczowych bil i wyboru czasem karkołomnych rozwiązań. Moja nowa strategia była więc skrajnie ofensywna i miała zmuszać przeciwników do wymiany ciosów. Chciałem, by rywal otrzymywał ode mnie taką wiadomość: „Gościu, jeśli tego nie wbijesz, ja to zrobię”.

Na pierwszy rzut oka było to sprzeczne z intuicją. Przecież w miarę upływu czasu, gdy stajesz się coraz starszy, starasz się ponosić coraz mniej ryzyka. Byłem jednak mądrzejszy o lekcję, jaką w późnym okresie swojej kariery otrzymali Steve Davis i Stephen Hendry. Myślę, że Davis byłby jeszcze lepszy, gdyby spróbował gonić Hendry’ego. Miał ku temu potencjał, ale był więźniem starych rozwiązań. Jeśli był do czegoś przekonany, nie zmieniał tego. Ta konsekwencja przyniosła mu oczywiście wiele trofeów, ale moim zdaniem warto również obserwować konkurentów i adaptować do swojej gry ich metody. Zawsze trzeba być gotowym na to, że kolejni gracze mogą przenieść naszą dyscyplinę na wyższy poziom. Jedyнным sposobem, by zostać w grze, jest pójście z duchem czasu.

Gdy przegrywałem, ludzie zmienili swoje zachowanie wobec mnie. Byli miłsi, co... jeszcze dodatkowo strasznie mnie denerwowało. Rozmawiali ze mną. Gdy przestałem być dla nich zagrożeniem, chcieli, bym został ich kumplem. Są gracze, którzy nie zachowują się w ten sposób – Matthew Stevens, Neil Robertson, Ding Junhui, Stephen Hendry czy Steve Davis. Niezależnie od tego, czy przegrywasz, czy wygrywasz, traktują cię tak samo. Ale niektórzy zawodnicy, menedżerowie czy znajomi wyraźnie się zmienili.

Gawędzą z tobą, jakby byli twoimi najbliższymi przyjaciółmi, ale nagle, gdy zaczynasz znów wygrywać, wyczuwasz zmianę w ich podejściu. Wtedy wiesz, że wracasz na właściwe tory. Ale jeśli mam wybierać – być zwycięzcą czy przegranym,

który słucha tekstów w stylu: „Cześć, koleżko, gdzie dzisiaj idziemy na obiad?“, „A kiedy wylatujesz do Chin? Jak już tam dotrzesz, to spotkamy się, nie?“ – wolę to pierwsze. Te bzdety to nic innego jak przejaw mentalności frajera. Frajer jest silny tylko w grupie. Wtedy ma odwagę, by żartować z innych. Hendry nigdy nie zniżał się do takiego poziomu, Davis i Higgins również. Ja też nie kpiłem z innych zawodników. Byłem tam tylko po to, by wykonać swoją pracę. Wkurzało mnie, że jeden czy drugi idiota pozwalał sobie na trzy- czy czterogodzinne plecenie głupot tylko dlatego, że poziom mojej gry stał się równie żalony co jego.

Przestałem zwyciężać w turniejach. Czuję się jak jeden z tych szaraków, którzy startują, by nabić sobie cyferki. Przestałem być zagrożeniem dla graczy z topu. A Hendry był w tym względzie zabójcą, ba, oprawcą. Davis również. I ja – ale w czasach swojej świetności – także byłem zabójcą. Nigdy nie staniemy się czyimikolwiek przyjaciółmi. Nie ma nic gorszego niż 13-godzinna podróż do Chin z poczuciem, że jedziesz tam jak na ścięcie.

Gdy wygrałem German Masters, reszta dokładnie rozumiała, jak ważny to dla mnie triumf. Sam chyba nie zdawałem sobie z tego sprawy. Do czasu, gdy nie wystartowałem w kolejnym turnieju, Welsh Open. Pojechałem tam ze świadomością, że nadal nie jestem w wybitnej formie, uznałem jednak, że muszę wykorzystać szansę. W pierwszej rundzie wygrałem 4:1 z Marco Fu, choć ten zawsze był moim postrachem. Za każdym razem gdy trafialiśmy na siebie w turniejowej drabince, Marco zacierał ręce i mówił z przekąsem: „Wspaniale, mam Ronniego w pierwszej rundzie, więc z pewnością zagram dobrze”. Ale tym razem byłem świeżo po wygranej w Niemczech, więc cała presja ustąpiła jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki. Dla mnie zwycięstwo z Fu jest tak samo ważne jak ogranie Higginsa czy Hendy’ego. Stojąc naprzeciw mnie, zawsze daje z siebie wszystko i wznosi się na rewelacyjny poziom. W kolejnym spotkaniu ograłem 4:1 Marka Williamsa. I znów – nie zagrałem świetnie, ale uważnie. Tacy gracze jak on, niezależnie, w jak słabej są formie, zawsze mają w sobie olbrzymie pokłady pewności siebie, co w każdym momencie może się przełożyć na lepszą grę i w konsekwencji na zwycięstwo. Do tamtej pory szło mu nieźle, więc triumf ten uznałem za spory sukces.

Na tym etapie sezonu ważyły się losy mojego występu w mistrzostwach świata. Słaba forma przełożyła się na pozycję w rankingu. Przez liczne porażki spadłem w nim w okolice 20. miejsca. Z każdą kolejną imprezą osuwałem się coraz niżej. Gdy Barry przejął stery federacji, zmienił zasady przyznawania punktów. Przedtem dzięki jednemu dobrze zagraniemu turniejowi mogłeś zagrzać sobie miejsce w czołówce na niemal cały sezon. Później, gdy Barry dodał do cyklu nowe imprezy, ranking zmieniał się praktycznie co dwa–trzy turnieje. Każde „oczko” było na wagę złota.

W ćwierćfinale ograłem Judda Trumpa, co było kolejnym bardzo ważnym momentem tego sezonu. Trump to absolutny top rankingów, finalista poprzednich

mistrzostw świata, zawodnik bazujący na niezwyklej pewności siebie. Postanowiłem, że zagram na jego zasadach, bez zbędnej ostrożności zrobię *show*. I tak właśnie było. Podchodzę do stołu, bang! Czerwona po długości stołu, 80 punktów w brejku. Kolejny frejm, Trump przy suknie, bang! Trudna czerwona siedzi, też 80 punktów w jednym podejściu. Moja kolej – długa czerwona, bang! 100 punktów. Co na to Trump? Bang! 70 punktów. Przy stanie 2:2 pomyślałem: „Tak, o to właśnie chodzi”. Cieszyłem się z gry. Po przerwie wyszedłem na prowadzenie 3:2, nie dopuszczając go w ogóle do stołu. Po chwili było już 3:3, bo Trump zaliczył kolejnego ponad 70-punktowego brejka. Wymienialiśmy ciosy jak rasowi bokserzy. Ale nagle on przestał grać swojego snookera. Ewidentnie zmienił taktykę, zagrywał coraz więcej odstawnych, czekał na mój błąd. Wyczułem krew, znalazłem szczelinę w twardym pancerzu, wiedziałem, że to mój moment. Przestał być maszyną, która wbija niemal każdą bilę. To nie był Higgins czy Hendry. W ich zbrojach nie ma nawet najmniejszej szparki. Są do ogrania, ale nigdy nie okazują żadnej słabości.

Zawsze, chcąc nie chcąc, porównujesz swoją grę do tego, co prezentuje czwórka, piątka najlepszych na świecie. By dotrzeć do istotnej fazy ważnego turnieju, musisz wznieść się na wyżyny i przeskoczyć poziom takich zawodników jak Judd. Pomyślałem, że skoro rywal nie chce wykorzystywać swoich okazji, ja to zrobię. Bang! Bang! Bang! 5:3 – dziękuję, do widzenia. Wygrałem mecz, który przed rozpoczęciem wydawał mi się niemożliwy do wygrania. 36-latek w pogoni za 22-letnim wilczkiem. Nie przypuszczałem, że dotrzymam mu kroku. Nie wiem, co zadecydowało o moim zwycięstwie – kondycja czy jednak głowa. Przecież taki sam przebieg miał finał z Maguire’em. Gdy było 6:6 i spotkanie weszło w decydującą fazę, on zaczął grać zbyt ostrożnie. Nie jest sztuką wbijać trudne bile na treningu czy na początku meczu. Trzeba umieć wziąć się za bary z losem, gdy wynik wisi na włosku, w kluczowych momentach wielkich imprez.

Gdybym zremisował 3:3 z Graeme’em Dottem czy Markiem Selbym, byłoby o wiele trudniej. Owszem, Trump gra bardziej agresywny i atrakcyjniejszy snooker, ale uwierzcie, że przy stanie 3:3 wolelibyście grać z nim, niż z wymienioną wyżej dwójką. Jasne, Judd jest w stanie zdmuchnąć każdego rywala, ale jeśli uda ci się podczepić pod jego grę i konsekwentnie deptać mu po piętach, szansa na zwycięstwo pojawi się sama. Nie urodził się jeszcze taki, który byłby w stanie zmiażdżyć wszystkich. Nieważne, że grasz w Barcelonie – Manchester United jest w stanie dotrzymać ci kroku przez 80 minut, nie stracić bramki, a jeśli tylko wyczuje, że trzęsą ci się nogi, wpakuje ci gola. Bo jego zawodnicy są przyzwyczajeni do presji i wierzą we własne możliwości. Kiks, piłka przelatuje pod nogami bramkarza, Barcelona pokonana. I snooker, podobnie jak większość dyscyplin, nie różni się w tym względzie. Wtedy to Trump znalazł się w sytuacji, w której porównywał swoją grę do mojej. I poległ. Myślałem sobie: OK, może nie jestem tak agresywny jak ty, ale staram się grać swoje, a przynajmniej dać

z siebie tyle, by czuć, że mogę cię pokonać”. Wykonałem misję. Jasne, podczas tego meczu i pojedynku z Maguire’em byłem cholernie zdenerwowany, ale w miarę rozwoju sytuacji czułem, że moje szanse rosną.

W półfinale zmierzyłem się z Selbym. My, gracze, nazywamy go katem. O ile z Trumpem prowadzi się miłą dla oka, otwartą grę w szybkim tempie, z której czerpiesz masę satysfakcji, o tyle z Selbym jest dokładnie odwrotnie. Zgłupiałem całkowicie. Nie mogłem wbić żadnej bili. Nie czułem się jak snookerzysta, bo facet potrafi zniwelować wszystkie twoje atuty i dopóki nie osiągniesz przewagi w pojedynczych aspektach gry, jesteś skazany na porażkę.

W grze na odstawnie nie ustępowałem mu ani o włos, ale gdy dochodziło do wbijania, pudłowałem. Ostatecznie przegrałem 2:6. Przynajmniej nie irytował mnie jak przy okazji poprzednich naszych spotkań. Są gracze, których grę podziwiasz, a porażki z nimi przyjmujesz raz za razem i nie robisz z tego sprawy. Ale są też tacy, których trudno docenić. To świetni snookerzyści, którzy wykonują swoją pracę w najlepszy z możliwych sposób, i za to ich szanuję, ale gra przeciwko nim po prostu sprawia ból. Tak jest z katem Selbym i Peterem Ebdonem (uwielbiam „Psychola” – taką ksywkę wymyślił mu mój tata – ale to gracz, który, co sam podkreśla, specjalnie opóźnia grę, przez co dławi, tłamsi psychicznie swoich przeciwników). Jeśli chodzi o taktykę, nie ma na świecie nikogo lepszego niż Selby. Jest doskonale przygotowany do wielogodzinnej gry. Mało tego, rozegranie pięciu frejmów w pięć godzin sprawia mu przyjemność. Ja tak nie potrafię. Grając w ten sposób, czuję, że okradam tych, którzy zapłacili za bilet. Gdy kibice pragną oglądać na żywo Ronniego O’Sullivana, nie chcę ich zanudzać 50-minutowymi partiami. Czuję się wtedy gównianie – wolałbym wrócić do domu i palnąć sobie w łeb.

Cóż, mamy z Selbym inne charaktery i inne mentalności. Jego sposób gry nie jest zły, ale po prostu mi nie pasuje. Jesteśmy wyznawcami dwóch skrajnych filozofii snookera. Nie tylko ja mam z tym problem. Wielu innych zawodników także nie lubi grać przeciwko niemu. Torturował już Graeme’a Dotta, Neila Robertsona w turnieju Masters, Shauna Murphy’ego. Żaden z nich tego nie przyzna, ale gra z nim zwyczajnie ich męczy. Ja tego nie ukrywam i czerpię satysfakcję, gdy ludzie mówią: „Oglądajcie to, bo Ronnie nie lubi grać przeciwko tego typu zawodnikom”, a mimo to wciąż jestem w stanie go pokonać. Między innymi wygrałem z nim 9:8 w UK Championship. Wbiłem nawet maksymalnego brejka. Stoczyliśmy wiele ciężkich pojedynków i czuję wobec niego i jego wyników olbrzymi szacunek. John Parrott wymyślił kiedyś idealne określenie: Żelazny Selby. Jest tak jednakowo twardy niezależnie od tego, jak dobrze grasz. Ma pewne kłopoty techniczne, szczególnie przy wyprowadzaniu kija, ale niezmiennie wierzy w swoje wielkie możliwości. Odnoszę jednak wrażenie, że obawia się sam siebie, nie cieszy się do końca ze swej gry, nawet jeśli osiąga wspaniałe rezultaty. Uważam, że nie jest do końca zadowolony ze swojej techniki uderzeń,

ponieważ cały czas nad nią pracuje – w ostatnich dziesięciu latach zaobserwowałem u niego około 20 różnych sposobów wbicia. Chylę czoła przed sportowcami, którzy nie boją się zmieniać swojej gry, eksperymentować, stawać się lepszymi. To pokazuje, jak bardzo Mark kocha snookera.

Podczas jednego z pojedynków z Selbym zacząłem liczyć plamki na srebrnej łyżce. Było ich 108. Za każdym razem, gdy traciłem rachubę, zaczynałem od początku, bo meczu zwyczajnie nie dało się oglądać. Przez szarpane, wydłużane przez niego tempo nie mogłem wejść w odpowiedni rytm. To był półfinał UK Championship w 2007 roku. Byłem w bardzo dobrej formie. Chwyciłem za łyżkę, bo nie mogłem tak po prostu wyjść i poczytać gazety albo zakryć twarzy ręcznikiem. Pomyślałem: „Pierdolę to, będę liczyć plamki”. Znalazłem więc metodę na to, by się nie rozpraszać, a reszta graczy uznała, że zwariowałem. Żaden z nich jednak nie chciał zagrać tego meczu za mnie. Dziś mierzą się z Selbym i dostają bęcki, więc może niech wrócą myślą do dawnych lat i stwierdzą: „No dobra, Ronnie dał radę. Rozumiem, dlaczego zaczął liczyć te plamki”.

Z powodu ostrego bólu pleców zrezygnowałem z występu w kolejnych zawodach rozgrywanych w Irlandii – Players Tour Championship. W zasadzie w ogóle nie powinienem był wsiadać do samolotu. Co gorsza – Ryanaira. Na ogół niezbyt miłe doświadczenie. To jedna z tych linii, która tylko szuka sposobu, żeby cię oszwabić. Razem z Robbiem Gejem weszliśmy na pokład jako ostatni. Od razu zauważyliśmy sześć wolnych miejsc. „Super – pomyślałem – skoro bolą mnie plecy, siądziemy właśnie tam”. Nagle pojawia się gość z Ryanaira i z radością objaśnia: „Każdy, kto jest zainteresowany dodatkowym fotelem, który jest wolny, musi dopłacić dziesięć euro”.

– Dziesięć euro! Nie ma mowy, zostaję tu i nie dopłacam.

– W takim razie nie może ich pan zająć.

– Słusznie. Wychodzimy stąd. Mam dość, nigdzie nie lecę. W sumie wyświadczył mi pan przysługę, dziękuję serdecznie. Nie jestem w nastroju na podróż, szczególnie, że nakurwiają mnie plecy. Spadam. Na szczęście nie mam jeszcze garba, wracam do domu. Nara.

Wyszedłem więc z samolotu, zadzwoniłem do agenta i powiedziałem mu, że zostaję.

Następnym turniejem było China Open. Od miesiąca nie wystąpiłem w żadnych zawodach, więc czułem się nieco zardzewiały. W pierwszym meczu przegrywałem 2:4 z Marcusem Campbellem, ale wyciągnąłem na 5:4. Nie wiem jak, ale udało się. W kolejnej rundzie ograłem 5:1 Marka Williama. Nie zaprezentowałem się rewelacyjnie, ale po wygranej w German Masters i półfinale Welsh Open byłem na gazie. W ćwierćfinale musiałem uznać wyższość Maguire’a (4:5). I znów – zostałem stłamszony na początku, by wyrównać do stanu 4:4. Czułem, że w odpowiednim momencie znalazłem swój rytm. W decydującej partii miałem dość łatwą bilę na zwycięstwo, ale przekombinowałem z wyjściem do czerwonej, której po chwili nie

trafiłem. Przegrałem, jednak miałem świadomość, że byłem bardzo blisko, więc *summa summarum* odwałem kawał dobrej roboty. Nie można zwyciężać zawsze i wszędzie. Czasem trzeba zachować to, co najlepsze, na najważniejszy moment sezonu. A więc: zwycięstwo, półfinał, ćwierćfinał. Czuję, że wracam, że odzyskałem pełne prawo do rywalizacji z najlepszymi.

Zagrałem wówczas także w wielu małych turniejach PTC, które stworzył Barry. Taki był jego plan – więcej meczów, niekoniecznie transmitowanych, które dadzą zawodnikom więcej możliwości treningu. Za awans do ćwierćfinału dostawało się tysiąka, do półfinału – dwa i pół, a dziesięć klocków przeznaczono dla zwycięzcy pojedynczej imprezy. Kokosów nie było, ale liczyły się punkty do rankingu. Gdybym odpuścił te turnieje, nie wywalczyłbym kwalifikacji do Sheffield, a taki scenariusz nie wchodził w rachubę. Barry chwycił nas za jaja – występ w małych turniejach był warunkiem zgłoszenia się do tych najważniejszych.

Udało mi się wskoczyć na 16., ostatnie premiowane bezpośrednim awansem do mistrzostw świata miejsce. To był mój główny cel – pozostać w szesnastce – i, choć z trudem, ale go zrealizowałem. Wygrałem kilka imprez PTC, zająłem nawet pierwsze miejsce w osobnym rankingu tego cyklu, więc moja forma była całkiem wysoka. Po triumfie w Niemczech wiedziałem, że niezależnie, co się wydarzy w Sheffield, wróciłem. Miałem za sobą świetny sezon, udowodniłem samemu sobie, że zasłużyłem na miejsce na tej karuzeli. Wciąż byłem graczem czołówki.

JA I MÓJ SZYMPANS

Popracowałem solidnie, czułem się OK, więc na koniec przyspieszyłem. Udana sesja. Środa, las, lekki bieg, 50 minut, jedna mila w jakieś siedem minut. Później pełna spina i zwiększenie tempa.

Doktor Steve Peters to mały geniusz, jeśli chodzi o kwestie związane z ludzkim umysłem. Ten psychiatra sportowy przez wiele lat pracował z czołowymi brytyjskimi kolarzami: Bradleyem Wigginsem, Chrisem Hoyem czy Victorią Pendleton i pomagał im wykrzesać z siebie to, co najlepsze.

Mój agent, Django Fung, jako pierwszy zasugerował mi wizytę u Steve'a. Był przekonany, że zdoła on oczyścić moją głowę. Ponadto, chcąc mnie bardziej zachęcić, przekonywał, że – podobnie jak ja – Peters ma świra na punkcie biegania. Stwierdzenie to okazało się jednak lekko naciągane. Owszem, Steve biegał jeszcze jako dzieciak, ale później miał przerwę aż do 40. roku życia. Dopiero po tym czasie został mistrzem świata weteranów na 100, 200 i 400 metrów (by wystartować, trzeba mieć więcej niż 35 lat). Setkę pokonuje w 10,9 sekundy. W wieku 44 lat przebiegł 200 metrów w 22,21 sekundy. Jest jak odrzutowiec. Gdy zajął trzecie miejsce w zawodach bez podziału na kategorie wiekowe w East of England, otrzymał powołanie do reprezentacji olimpijskiej. Myślano, że jest dobrze zapowiadającym się juniorem.

Z początku Django wkurzał mnie swym natarczywym gadaniem o Petersie. Ostatecznie zgodziłem się na wizytę, ale za pierwszym razem Steve spławił mnie, tłumacząc się brakiem czasu. Miał za dużo na głowie – pracował wówczas z kolarzami przygotowującymi się do igrzysk i z tymi, którzy trenowali w brytyjskiej grupie Sky. Gdy jednak poznał szczegóły mojego życia, sam zwrócił się do Django:

– Dobra, dawaj go tutaj. Facet jest w tarapatach, ale jestem w stanie mu pomóc.

Na pierwszym spotkaniu usłyszałem:

– Wiem, że potrzebujesz pomocy. Wiem też, że jestem w stanie ci pomóc.

I pomógł. Gdyby moje życie nie wyglądało jak gruzowisko, pewnie nigdy nie trafiłbym do Steve'a. Gdybym do niego nie trafił, nigdy nie wróciłbym na wysoki poziom i nie wygrał dwóch z rzędu mistrzostw świata. Peters wyplenił z mojej głowy samozadowolenie, sprawił, że znów zapragnąłem wygrywać. Jak to często bywa, nie ma

tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Niegdyś Steve był psychiatrą sądowym przy szpitalu Rampton High Security, dopiero później zaczął pracować z niemal każdym brytyjskim sportowcem. Przez większość czasu rezydował w Manchesterze, spędzając czas z kolarzami Sky.

Victoria Pendleton określa go mianem „najważniejszej osoby, jaką spotkała w trakcie swojej kariery”. Przed igrzyskami olimpijskimi w Londynie Chris Hoy mówił, że „bez niego nie przywiózłby z Pekinu trzech złotych medali”. Zanim Bradley Wiggins został pierwszym Brytyjczykiem, który triumfował w Tour de France, podziękował doktorowi Petersowi za „otworzenie oczu, pokonanie lęków i słabości oraz bycie największym ekspertem w dziedzinie rozsądku”. Steve pomógł także rzeszy sławnych, ale w gorącej wodzie kąpanych piłkarzy, między innymi Craigowi Bellamy’emu. W ostatnim czasie pracował z Luisem Suárezem z Liverpoolu.

Steve potrafi po prostu okiełznać każdy mózg. Nie zajęło mi dużo czasu zrozumienie, że facet ma w sobie coś wyjątkowego. Gawędziłem z nim bez skrępowania, otwarcie opowiadałem o swoich uczuciach i o tym, co się dzieje w moim życiu. Jest cichy, bezpretensjonalny, a przy tym niebywale mądry.

– Doktorze, czasem nie mam ochoty tu przychodzić – wyznałem pewnego dnia.

A on tylko słuchał ze zrozumieniem.

– Czasami mam ochotę złapać kij, wybiec z sali i pomknąć prosto do domu. Ale gdy już tam jestem, znów mam ochotę chwycić za niego i uciec gdziekolwiek, byle daleko. Najpewniej z powrotem. To chore.

– To, o czym mówisz, Ronnie, jest powszechne. Doświadcza tego wielu sportowców, a także wiele kobiet. Masa zwykłych ludzi walczy z tym w swoim codziennym życiu. To tak zwany tryb zamrożenia – tłumaczył. Sposób, w jaki to robił, niemal hipnotyzował. – Twoja osobowość jest po prostu zdezintegrowana. Myślisz: „Nie dam rady, nie potrafię, więc przestanę próbować”.

– Kiedyś zdarzył mi się mecz, który poddałem, mimo że do końca była jeszcze masa czasu...

Opowiedziałem mu wtedy o spotkaniu z Hendrym. Przegrywałem 1:4, więc podszedłem do niego, uścisnąłem mu dłoń i podziękowałem za grę. Ludzie myśleli, że mi odbiło.

– Cóż, co siedziało wtedy w twojej głowie, Ronnie? O czym wtedy myślałeś?

– Nie mam pojęcia... Spanikowałem, popadłem w jakąś paranoję. Po prostu chciałem wyjść. Nie mogłem już tam wytrzymać, nie potrafiłem stać wśród ludzi, którzy się na mnie gapili. Chciałem być sam. Zupełnie sam.

– To z kolei tryb samolotowy – odparł. – Dziś rzadko spotyka się sportowców z tym problemem. Tryb samolotowy to wzmocniona, skrajna wręcz forma trybu zamrożenia. Najczęściej zawodnicy „zamrażają się” mniej drastycznie i wtedy przybiera to różne formy: wycofują się przed meczem czy wyścigiem, twierdząc, że poczuli się gorzej, co

zresztą faktycznie następuje. Rezygnują w trakcie rywalizacji, pękają. O wiele rzadziej zdarza się, że wstajesz, gratulujesz przeciwnikowi i mówisz wprost, że masz dosyć.

Wy tłumaczył mi to w każdym szczególe, objaśniając, że zamrożenie i tryb samolotowy to forma ucieczki z pola bitwy. To miało sens.

– To, co robisz, Ronnie, to akt sabotażu. Sabotujesz swoje szanse. Wielu robi podobnie, zmienia się tylko czas i forma dywersji. Jestem tu po to, aby wyeliminować twoje zapędy antydestrukcyjne.

Objął mi skrupulatnie zasady działania ludzkiego umysłu. Podzielił go na dwa fragmenty – szympansa i człowieka.

– Szympans rządzi sferą uczuciową. Za każdym razem, gdy pochylasz się nad bilą, nieważne, czy podczas treningu w domu, czy na zawodach, on ma coś do powiedzenia. Zbyt dużo do powiedzenia.

Wyjaśnił, że szympans jest silny i bardzo żywiołowy – bez niego nie byłbym tym samym człowiekiem i zawodnikiem. Ale gdy zaczyna przejmować nade mną kontrolę, jest już po mnie. Kurwa, facet gadał z sensem. Trafiało to do mnie. Na moich barkach siedział olbrzymi szympans i krzyczał do ucha, kierując moim postępowaniem i myślami.

Później opowiedział mi o człowieku, przeciwieństwie szympansa. Człowiek jest rozsądny i zawsze kieruje się logiką. Gdy słuchasz go aż nadto, stajesz się strachliwy. To także miało sens. Pomyślałem o czasach, gdy trenował mnie Ray Reardon. Znacznie poprawił moją grę na odstawnych, ale przez to stawałem się zbyt ostrożny, a moja gra nudna. Według doktora Steve'a kluczem do sukcesu jest złapanie odpowiedniego balansu. Należy sprawić, by człowiek i szympans współpracowali w harmonii. Taki był właśnie cel naszej terapii.

– Tyle że ja jestem na granicy – odpowiedziałem. – Zawsze na niej stoję. Moje życie to ciągły lęk.

– Cóż, nie musi tak być. Musisz zacząć pracować nad tym, co jest dla ciebie najważniejsze.

– Snooker jest dla mnie całkiem ważny.

– To tylko gra z kijkami i kulkami, więc spróbuj złapać do niego dystans.

– OK. Ale dopóki nie będę grał dobrze, nie będę czerpał z tego radości.

– A jeśli już nigdy nie zaczniesz, to znienawidzisz snookera? Prawda jest taka, że nie zawsze będziesz grał wyśmienicie. Ale to nie powinno ci blokować doznań. Nadal powinieneś cieszyć się z gry i starać się dawać z siebie wszystko. To tylko sport. Zawsze są wygrani i przegrani, a ty możesz jedynie zagrać najlepiej, jak umiesz.

Ponieważ sam uprawiał sport na wysokim poziomie, dokładnie wiedział, przez co przechodzę. Mógł to porównać do swoich występów na mistrzostwach świata weteranów.

– Mój szympans może uaktywnić się nawet w finałowej rundzie, ale stawię mu

czoła – tłumaczył. – Mówię to teraz w dużym uproszczeniu: jeśli spojrzysz na swój mózg, to jedna połowa jest odpowiedzialna za odczuwanie. Pozwala ci myśleć impulsywnie, przez co potrafi być zdradliwa. Druga połowa to logika, rozsądek i spokój. To dwa zespoły. Jeden z nich nazywam człowiekiem, a drugi szympansem. Ale nad nimi jest jeszcze coś w rodzaju systemu komputerowego. Obie te drużyny mu podlegają, wspólnie odpowiadając za określony zbiór zachowań. Jeśli dawka substancji płynąca we krwi dotrze do szympansa, reagujesz bardzo emocjonalnie. Gdy z kolei trafia do człowieka – racjonalnie i analitycznie. Gdy staję na starcie biegu, budzi się szympan, dostarczając garść standardowych przemyśleń, typu: „Nie mogę tego przegrać”, „Muszę wyglądać idiotycznie”, „Nie jestem w najwyższej formie”. To klasyka. Sukces zależy od tego, jak sobie z nimi poradzę. Zrozumiałem to, pracując z innymi sportowcami. Umiem więc zrozumieć intensywność tych uczuć. Jeśli zaś to człowiek przejmuje nad tobą kontrolę, twoje zachowanie staje się zbyt rozsądne i analityczne. Tracisz wówczas spontaniczność – tłumaczył. – Więc jeśli komputer działa sprawnie, ale nagle budzi się w tobie człowiek, czujesz wewnętrzne ssanie, duchotę.

Facet dokładnie wiedział, o czym mówi.

Pracowałem z nim przez równe 12 miesięcy, przygotowując się do mistrzostw świata w 2012 roku. Był wspaniały. Po raz pierwszy w życiu nauczyłem się panować nad emocjami. Poczucie, że zaraz zwariuję, odeszło. Przestał dopadać mnie strach, że zareaguję zbyt emocjonalnie. Wiedziałem, że niezależnie od tego, jak źle się czuję podczas danego meczu, potrafię odłożyć problemy na później. Peters był ze mną przez cały turniej w Sheffield. W chwilach kryzysu schodził do szatni i rozmawiał ze mną. To mnie uspokajało. Mój wielki powrót to w głównej mierze jego zasługa.

Nie chciałem być od niego uzależniony, czuć, że jest mi potrzebny 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Raz, że stałoby się to niezdrowe, dwa – nie mógł mi poświęcać tyle czasu. Prowadził przecież również innych utytułowanych sportowców. Chciał stworzyć dla mnie model, według którego miałem nad sobą pracować. Dostawałem różne prace domowe, zadania do wykonania – miałem się dzięki temu nauczyć, jak samemu radzić sobie w złych chwilach. Z czasem wizyty u Petersa miały mieć jedynie charakter kontrolny, jak coroczny przegląd samochodu. Chciałem być dobrym uczniem, bo szanuję go i kocham. Nie chciałem mydlić mu oczu, więc porzucenie ćwiczeń, których mnie nauczył, nie wchodziło w grę.

Przychodził oglądać moje mecze w Sheffield, ale nie jestem pewien, czy lubi snookera. Co zabawne, rzadko kiedy o nim rozmawiamy. On lubi swoje psy, inne zwierzęta i bieganie. Ma dwa olbrzymie wilczarze irlandzkie i uwielbia, kiedy ludzie garną się do niego i obdarzają go zaufaniem. To sprawia, że czuje się dobrze.

Nie chciałem być również zależny od czegośkolwiek. Nawet gdy eksperymentowałem z religią, podskórnie wiedziałem, że własne problemy mogę

rozwiązać tylko za pomocą ciężkiej pracy nad samym sobą. Próbowałem wielu wyznań – buddyzmu, islamu, chrześcijaństwa. Czytałem fragmenty Koranu, przyjaźniłem się z wieloma muzułmanami. Ponieważ do grupy Anonimowych Narkomanów przystępowałem wolny od jakichkolwiek uprzedzeń, pomyślałem: „Sprawdźmy tego Allaha i zobaczmy, o co w tym wszystkim chodzi”. Nie jest wcale taki straszny, jak wam się wydaje. Ale ja nie poszukiwałem Boga, lecz samego siebie. Chciałem być sobą i będąc sobą, pragnąłem wreszcie być szczęśliwy. Poszukiwania odpowiedniej wiary przysporzyły mi też sporo problemów. Czas i miejsce akcji: piątek, meczet w londyńskim Regent’s Park. Niezwykła wpadka. Spotkałem się tam z Prince’em Naseemem i jego bratem Muradem. Usłyszawszy, że wybierają się na nabożeństwo, chciałem okazać im nieco szacunku i zaproponowałem, że dołączę. Myślałem, że pokręcę się trochę, wypije filiżankę herbaty i wrócę. Nie chciałem być niegrzeczny.

No i skończyłem na klęczkach, obmywając na tysiąc sposobów swoje ręce w towarzystwie setek ludzi. Gdy po przeczytaniu kilku formułek przenieśliśmy się do sali, w której czekała nas wyżerka, myślałem, że to koniec. Nic bardziej mylnego. Po chwili stałem przed grupą muzułmanów, którzy zaczęli mnie całować i odprawiać niezrozumiałe dla mnie modły. „Witaj, bracie, witaj, bracie”... O bum! Następnego dnia tytuły nagłówki gazet krzyczą: „Ronnie dokonał konwersji na islam”. A wszystko to świeżo po 11 września... Potrzebowałem tego jak dziury w głowie. Zadzwoiłem więc do Naza i zacząłem błagać, by wszystko odkręcił: „Wydostań mnie z tego, jestem przerażony”. I tak po raz kolejny wplątałem się w poważne kłopoty. Jestem jedyny w swoim rodzaju. Chrześcijaństwa próbowałem przez trzy miesiące, ale też nie zatrybiło. Widocznie nie nadaje się do drużyny Boga. Wszystko, czego się podejmuję, ma charakter jednorazowy. Wolę wierzyć w ludzi niż bogów.

Osobą, w którą wierzyłem najmocniej, był oczywiście Steve Peters. W końcu nauczył mnie, jak okiełznać szympansa. Za każdym razem, gdy czułem, że zaczyna mnie dusić (szympans, nie Steve), powtarzałem serię pięciu kroków służących oczyszczeniu umysłu. Nawet gdy szympans był uśpiony, wołałem prewencyjnie zastosować tę metodę. Steve nazwał ją pięcioramienną kotwicą:

1. Daję z siebie wszystko – to jedyna rzecz, którą mogę zrobić.
 2. Jestem tu, bo chcę tu być i chcę grać. Kropka.
 3. Jestem dorosłym człowiekiem, a nie małpą. Umiem sobie poradzić z każdą sytuacją, stawić czoła konsekwencjom.
 4. Muszę pamiętać, że nie da się grać cały czas na najwyższym poziomie.
 5. Co bym powiedział Lily i małemu Ronniemu, jeśli mecz by im się nie spodobał?
- Steve przekonywał, że walka z szympansiem nie ma sensu – to przeciwnik, którego nie da się pokonać. Trzeba go zaakceptować, poznać.
- Jeśli czujesz potrzebę schowania swojego szympansa w klatce na czas jednego

uderzenia, zrób to – tłumaczył – ale generalnie słuchaj go i nie panikuj. Pamiętaj, że to, co kotłuje się w twojej głowie, to właśnie szympans, a nie ty.

Steve poprosił mnie również, bym zaczął prowadzić pamiętnik. Miał być czymś w rodzaju opisu moich stosunków z szympansem. Oto kilka wpisów z czasu przygotowań do mistrzostw świata w 2012 roku:

Środa

Wstałem. Czuję, że szympans skacze mi po głowie. Szepcze do ucha, że za bardzo przejmuję się grą, że powinienem siedzieć w domu razem z dziećmi, trenować i biegać, by nie przytyć. Odpowiedziałem mu, że nie zamierzam z nim dyskutować i idę na śniadanie, którym mam zamiar się delektować. Potem chcę cieszyć się z gry w snookera.

Gdy zacząłem grać, szło mi rewelacyjnie. W zasadzie nie spudłowałem żadnej bili. Szympans siedział cicho. Czułem luz. Bywały mecze, gdy nie czułem się komfortowo podczas uderzeń, ale wtedy szybko przeganiałem szympansa. Bombardowałem go logiką i faktami. Fakty: wykonałem wiele rewelacyjnych zagrań; to nieprawda, że jestem słaby. Logika podpowiada, że nie mogę się samobiczować. Za każdym razem gdy zdołałem sobie to wszystko uzmysłwić, moja gra zmieniała się na lepsze.

Gdy wróciłem do domu, zacząłem myśleć o swoim barku, o tym jak pracuje przy wyprowadzaniu kija, i uznałem, że tak dobra forma nie będzie trwać wiecznie. Wtedy znów wykurzyłem szympansa i poczułem się lepiej. Ale on wciąż wracał. Trudno, przynajmniej potrafię go przegonić choć na chwilę.

PRZEKONANIE: Nie da się grać słabo i wygrać.

FAKT: Grywałem beznadziejnie, a mimo to wygrałem trzy tytuły mistrza świata.

PRZEKONANIE: Wszyscy są ode mnie lepsi.

FAKT: Mark Williams twierdzi, że to ja jestem najlepszy.

PRZEKONANIE: Jestem coraz starszy i moja gra na wbicie nie jest wcale taka dobra.

FAKT: Wbijam długie bile w większości swoich spotkań.

PERSPEKTYWA: Jeśli nie podniosę się wreszcie z tego łoża bóleści, to co powiem małemu Ronniemu i Lily? CIESZ SIĘ ŻYCIEM!!!

Co jest lepsze – przegrać, ale czerpać radość z gry, czy wygrać, będąc nieszczęśliwym? PRZEGRACĆ I BYĆ RADOSNYM!

Czwartek

Wstałem, czując na sobie ciężar szympansa. Wmawiał, że brak mi konsekwencji, że to, kiedy zacznę pudłować, jest tylko kwestią czasu. Pozwoliłem mu dokończyć

tę tyradę, po czym skontrolowałem go sporą dawką logiki: gra sprawia mi dużo radochy, jestem zadowolony z tego, co robię przy stole.

Moje myśli są czystsze, pracuję ze Steve'em, rozumiem swojego szympansa, więc pierdolisz głupoty. Nie zamierzam panikować, jestem jednym z najlepszych graczy w dziejach tego sportu. Nikt nie potraktuje mnie jak słabeusza, bo nie wyszło mi jedno zagranie, frejm, mecz czy nawet cały sezon. To nonsens. Zamierzam robić to, co potrafię najlepiej. Szypans w mig się uspokoił. Umysł zaczął pracować przejrzysto.

Wtorek

Wstałem, szypans już tam był. Słabszy niż wczoraj rano. Mówił, że moja prawa ręka straci celność.

Czwartek

Wstałem. Szypans wmawiał mi, że moje prawe ramie nie pracuje płynnie, brakuje mu solidności, przez co będę przecinał większość bil. Twierdził, że nie pracuje w symbiozie z resztą ciała. Tym razem nie chciał ustąpić. Nie potrafiłem wstać z łóżka i go wygonić. Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na jego słowa... Poszedłem więc pobiegać.

Według szypansa moja pozycja przy wbijaniu i sama technika są coraz gorsze. Po każdym meczu kpił, że z taką grą nigdy nie wygram żadnego turnieju. „Zapomnij o tym!”. Gdy wracałem do domu, ogarnęła mnie panika.

Prowadzenie pamiętnika sprawiało, że czułem się o wiele lepiej. Oglądanie się za siebie czasem jest przydatne. Przypomina mi, jak duży wpływ ma na mnie ten demon, który opętawszy człowieka, prowadzi go do autodestrukcji. Daje też poczucie, że dążenie do perfekcji jest bezcelowe.

Przy niektórych wpisach nie zaznaczałem dnia.

Ledwie się obudziłem, a szypans już zwisał mi z pleców. Znowu. Nie umiem przestać myśleć o brakach w mojej grze, bólu w klatce piersiowej, płytkim oddechu. Tak właśnie się czuję (po pokonaniu 3:2 Judda i porażce 1:3 z Dingiem w Premier League).

Są też chaotyczne hasła z uśmiechniętymi buźkami.

Zero snookera przez trzy tygodnie. Lubię czas, gdy nie gram.

Są też szalone notki, pisane wielkimi literami, też obok wielkiej uśmiechniętej twarzy.

17 DNI ZE SNOOKEREM
ZDOBYŁEM MISTRZOSTWO ŚWIATA
NIEWIARYGODNE
POTRZEBNY SOLIDNY ODPOCZYNEK
NIE WYPAL SIĘ

To był maj 2012 roku, chwilę po zdobyciu przeze mnie czwartego mistrzostwa świata. Sielanka nie trwała długo, bo już na początku kolejnego sezonu szympans powrócił. Pukał mnie w ramię, gapił się prosto w twarz i wmawiał, że jestem kupą gówna.

NOWY SEZON

Rozpocząłem przygotowania. Przez pierwsze dni czułem się bardzo dobrze, później nowe gremliny/gobliny/szympons zaczęły od początku. Po głowie znów krążą mi czarne myśli. Zupełnie odłączyły mnie od świata zewnętrznego. Czy ja sobie z tym poradzę? Czy ja w ogóle chcę stawić temu czoła?

Sporządzę listę tych gremlisko-goblińskich ataków:

Gdy nie gram, bark staje się sztywny, zablokowany.

Za każdym razem jestem przekonany, że przegram, bo moja gra nie jest wystarczająco dobra.

One oczekują ode mnie samych zwycięstw. Tak naprawdę czekają na pierwszą wpadkę.

Powinieneś skończyć, póki jesteś na szczycie.

Musisz polecieć do Chin aż trzy razy.

I tak dalej.

Zdaję sobie sprawę, że dla większości z was brzmi to jak bełkot pijanego idioty. Ale tego typu myśli naprawdę nękają mój umysł. Robią to nieustannie od 20 lat. Być może spisywanie ich jest jeszcze większym aktem obłędu, ale ten pamiętnik – prowadzony za namową doktora Steve'a – pomaga mi się trzymać. Zresztą wyniki mówią same za siebie.

NA SZCZYCIE ŚWIATA: SHEFFIELD 2012

Niedzielny poranek, las Epping, spokojne osiem i pół mili. 62 minuty, jakieś siedem i pół minuty na milę.

Wreszcie nadeszły mistrzostwa w Sheffield. Bum! Najlepsza edycja turnieju, w jakiej kiedykolwiek brałem udział. Wszystkie poprzednie kładła na łopatki. Bez porównania. Dzięki pracy z doktorem Steve'em smakowałem jej każdy moment. Jeszcze przed rozpoczęciem turnieju siedziałem w położonym niedaleko Sheffield domu Petersa, marudząc, że nie dam rady. W pamiętniku udokumentowałem moją ciężką pracę w ramach przygotowań do mistrzostw. Nie było łatwo.

Gdy spotkałem go po raz pierwszy, tłumaczył, że rezultaty terapii zależą tylko i wyłącznie od moich starań. Większa liczba ćwiczeń miała się przełożyć na lepsze samopoczucie. Pragnąłem więc osiąść całą jego wiedzę, ale czasem przygniatał mnie jej ciężar. Zapisywałem każde jego słowo, przeczytałem książkę *Paradoks szympansa*, dzięki której lepiej zrozumiałem teorie autodestrukcji i sabotażu oraz poznałem narzędzia do walki z nimi. Lecz pomimo starań problem nie ustępował. Przecież nadal pozostawałem sobą. Jadąc do Sheffield, miałem więc masę wątpliwości: byłem przerażony i przekonany, że dostanę lanie już w pierwszej rundzie. Trafiłem tam na Petera Ebdona, co uznałem za najgorszy z możliwych wariantów losowania. Gdy spojrzałem na turniejową drabinkę, byłem pewny, że „Psychol” swoimi torturami zamęczy mnie na śmierć. Zawsze był dla mnie wielkim rywalem. I wspomniałem gościem, mimo swojego przerażającego oblicza.

Razem ze Steve'em rozpoczęliśmy więc wzmożoną pracę nad moją głową. Każda pojedyncza sesja trwała od jednej do trzech godzin. Jej długość zależała od tego, ile wytrzymam, i od harmonogramu Petersa. Jego największym sukcesem było zaszczepienie we mnie zdolności do pozostawiania w tyle małych niepowodzeń. Kiedyś każde jątrzyło się w mojej głowie przez cały czas trwania meczu. Potrafiłem nieustannie rozpamiętywać jedno nieudane zagranie. Peters nauczył mnie podchodzić do każdej kolejnej bili z czystą głową. Mój naturalny proces myślowy wyglądał dotąd tak: spaprałeś tę bilę – jesteś gówniany, nie potrafisz w ogóle wbijać, nie jesteś w stanie nawet trafić w tę kulkę, za chwilę zbierzesz baty, bum! Nagle w meczu robi się 1:8 i już

wiesz, że nie masz szans. Poprawiasz swoją grę, bo nie masz nic do stracenia, ale ostatecznie – po tak nędznej pierwszej sesji – przegrywasz 9:13. Peters wpoił mi, że po każdym złym zagranium muszę pamiętać, kim tak naprawdę jestem – trzykrotnym mistrzem świata, czterokrotnym zwycięzcą turnieju Masters i pięciokrotnym triumfatorom UK Championship. Kluczem do sukcesu było wzmocnienie tego uczucia, wyeliminowanie strachu przed najgorszym. Miałem sobie wmawiać, że porażki się zdarzają, że rywal jest przecież w stanie mnie pokonać, ale równie realna jest moja wygrana; wymieniać w głowie fakty, które świadczą na moją korzyść – że moja gra rzadko mnie zawodziła, że oponenti są mocni, ale z większością mam dodatni bilans meczów.

Tego typu myśli miały się nasilać i wypędzać z mego umysłu strach.

Sama gra nie sprawiała mi problemów. To utrzymanie koncentracji było najtrudniejszym zadaniem – szczególnie w przerwach od rywalizacji, gdy miałem czas na analizę tego, co za mną i co przede mną. Musiałem się nauczyć pożytkować czas między meczami i pojedynczymi sesjami. O dziwo właśnie ten okres zaczął mi sprawiać największą frajdę. Schodziłem na przerwę, przegrywając 3:5 lub przy remisie 4:4, i znajdowałem w sobie moc, by w kolejnej sesji wygrać sześć frejmów z rzędu. Dzięki naukom Steve'a nauczyłem się być tu i teraz, odbierać wszystkie pozytywne emocje. Gdy zaczynałem panikować, bardzo szybko odzyskiwałem kontrolę. Nie spieszyłem się, nie decydowałem na szalone wbicia, ponieważ wiedziałem, że zacznie mnie to frustrować. Dokonywałem tylko rozsądnych wyborów, a gdy już znajdowałem swój rytm, zaczynałem dominować. Jeśli poziom mojej gry nie był najwyższy, nie pozwalałem, by to odbiło się na mojej psychice.

Steve pokazał mi, że z problemami można radzić sobie w dojrzały sposób. Tłumić emocje przejmujące kontrolę nad umysłem. Tłumaczył:

– Ta część twojego mózgu pozostanie niezmienna. Jedyne, co możesz zrobić, to nauczyć się ją kontrolować, więc jeśli nie będziesz jej ćwiczyć każdego dnia, emocje z czasem znów zaczną dominować i wrócisz do punktu wyjścia. Przez 20 lat karmiłeś te chore myśli, więc nie pokonasz ich teraz w jedną noc. Zaakceptuj tę sferę umysłu i walcz z nią.

Nie zgodził się, bym szukał spokoju na ścieżce duchowej. Chciał, żebym sam kontrolował swój rozum, wypracował mechanizm, który pozwoli dobierać odpowiednie zachowania w poszczególnych sytuacjach.

Gdy dotarłem do Sheffield, nie liczyłem się z możliwością wygranej. Nie wierzyłem, że sięgnę po kolejne mistrzostwo świata. To nie był turniej skrojony na moją miarę. Bardzo duża liczba frejmów sprawiała, że jedna gorsza sesja eliminowała mnie z gry. Brak cierpliwości był moim najcięższym przeciwnikiem. Dlatego niezwykle doceniam swoje dokonania na tej imprezie. Jeden tytuł mistrza świata to wielkie osiągnięcie. Dwa to już niewiarygodna sprawa. Trzy – nie ma skali. Choć nie jest to mój

ulubiony turniejowy format, doskonale zdają sobie sprawę, że przy ocenie przebiegu kariery każdego snookerzysty wyniki na mistrzostwach świata są papierkiem lakmusowym. To najtrudniejszy do zdobycia, przez co najbardziej prestiżowy, tytuł w całym tourze. Zupełne przeciwieństwo Premier League, gdzie rozgrywasz wszystkie swoje krótkie mecze w jeden dzień i wracasz szczęśliwy do domu. Sheffield to poligon. Dzieją się tu epickie rzeczy. Nie tak jak w innych turniejach, gdzie prawdziwa rywalizacja zaczyna się od fazy półfinałowej. Wielu ludzi z zapartym tchem ogląda pierwsze rundy, a gdy dochodzi do półfinałów, są przekonani, że to już decydujący mecz. Nie, jeszcze nie. Za sobą masz 60 wbitych solidnych brejków i 10 czy 11 intensywnych dni pełnych presji, a turniej dopiero co się rozkręca.

Gdy dochodzi do fazy ćwierćfinałowej, zaczynasz wyczuwać, kto zajdzie do końca, a kto pęknie. Część zawodników z czołowej ósemki jest już wycieńczona – wyglądają, jakby chcieli uciec. Wyczuwasz to instynktownie. Sześć dni wcześniej wyglądali na rześkich, ale narastająca presja wyniszczyła ich organizmy. Wiesz, że tylko kilku z nich podoła wyzwaniu. Reszcie może uda się wygrać jeszcze jeden mecz, ale droga do tytułu jest dla nich zbyt długa i zbyt wyboista. Zdobyć mistrzostwa świata to nie tylko kwestia talentu. Doskonale wiedzą o tym Graeme Dott i Peter Ebdon – oni na swój tytuł musieli solidnie zapracować.

Choć z początku nie dopuszczałem do siebie wizji kolejnego triumfu, okazało się, że przyszedł on najłatwiej ze wszystkich. 10:4 w pierwszej rundzie, 13:6 w kolejnej, 13:10 w ćwierćfinale, 17:10 w spotkaniu o finał i 18:11 przeciwko Alemu Carterowi w decydującym starciu. Nie znaczy to jednak, że zwycięstwo wywalczyłem bez problemu. Wiele czasu biłem się z myślami. Byłem przestraszony i zdarzały się momenty, że nie miałem ochoty podchodzić do stołu. Nie chciałem się zbłąźnić na tak wielkiej imprezie. Tylko dzięki doktorowi Steve'owi udało mi się zepchnąć te myśli do czeluści swego umysłu. Nigdy nie wypłynęły na powierzchnię, by przejąć nade mną kontrolę.

Przez bardzo długi czas mówiono o mnie jako o najwybitniejszym zawodniku w historii, który nigdy nie zdobył mistrzostwa świata. Pasma pierwszych niepowodzeń było tak długie, że w pewnym momencie straciłem nadzieję na pierwszy tytuł.

Dopiąłem swego w wieku 25 lat, w ósmym roku swojej profesjonalnej kariery. W 2001 roku pokonałem w finale 18:14 Johna Higginsa. W poprzednich latach odpadałem w ćwierćfinale lub w półfinale. I mimo że dziś jestem wielokrotnym mistrzem świata, często wracam do czasów, gdy okazywałem się zbyt słaby. Peter Ebdon, John Parrott, Stephen Hendry, Darren Morgan, David Grey – ci ludzie znaleźli na mnie patent. Grałem dobrze, ale w kluczowym momencie moja gra się rozpadała. Przez dziewięć czy dziesięć dni prezentujesz się znakomicie, ale przychodzi jedna fatalna sesja i jest po tobie. Mistrzostwa świata w snookerze to odpowiednik triathlonowych zawodów Ironman. Trwają dłużej niż igrzyska olimpijskie. 17-dniowa

impreza! To trzy tygodnie niezwykle intensywnej presji.

W 2012 roku miewałem momenty, w których nie dało się grać lepiej. Dostrzegałem wszystkie kąty, wbijałem swobodnie, mądrze się odstawiałem. Budowałem brejki, grając lewą ręką – to zawsze dodawało mi pewności siebie. Wcześniej, grając słabszą ręką, potrafiłem wystawiać bile przeciwnikowi. Ten podchodził do stołu, uderzał i bum! Po frejmie. Ale trzy lata temu moja lewa ręka była niezwykle pewna. Gwarantowała lepszy wymach, lepszą rotację, pozycjonowanie, kontakt na bili. Biała znajdowała odpowiednią strefę z większą regularnością. Ani razu nie zostawiłem przeciwnikowi żadnej bili do wbicia.

Jeśli chodzi o rozbitcie układu czerwonych bil, lewą ręką wykonywałem to z większą swobodą i mniejszym wysiłkiem. Miałem wtedy więcej czasu, miejsca i kontroli. Jak golfista, który przeciąga swoje uderzenie, albo piłkarz, gdy podczas strzału stara się być w dłuższym kontakcie z piłką, by mieć nad nią większą kontrolę. Tak właśnie się czuję, grając lewą ręką. Prawa nie daje takiej kontroli – zdarza się, że biała bila łapie trochę bocznej rotacji, traci odpowiedni tor i mija pozostałość trójkąta. Do jego rozbitcia lewa ręka jest niezawodna. W tamtych mistrzostwach świata okazała się kluczem do zwycięstwa.

Nie chciałem jednak, by moja forma zaczęła zależeć od gry lewą ręką. Czułem swobodę, trzymając ją kij, ale postanowiłem, że gdy nie ma takiej konieczności, będę wbijał prawą. Przez pewien czas byłem nieco zmieszany – jestem praworęczny, a to gra lewą ręką uspokajała mnie bardziej. Chcę czuć się jak gównon i wygrać czy cieszyć się z gry nawet za cenę porażki? Czasem zwyczajnie wolałem się zabawić.

Najzabawniejsze jest to, że gdy zacząłem grywać lewą ręką, inni zawodnicy sądzili, że robię sobie z nich jaja. Teraz to się zmieniło, ale wówczas potrafili się nawet obrazić. Dziś wielu zawodników stara się grać obiema rękoma, sześciu czy siedmiu potrafi to robić, a dwóch czy trzech wbija swoją słabszą dłonią wysokie brejki. Ja byłem pierwszym oburęcznym zawodnikiem na świecie. Nie chciałem wyjść na cwaniaka i mądralę, po prostu uznałem, że taka umiejętność znacznie ułatwi mi grę.

W 2012 roku grałem na tyle dobrze, że kajdany same spadły z moich rąk, a demony zniknęły. Czekałem na takie uczucie 20 lat. Gdy już go doświadczyłem, było mi z tym cholernie dobrze. Wszystko mi wychodziło – wbijałem, jak chciałem, zagrywałem takie odstawnie, że trudno je sobie nawet wyobrazić, wydostawałem się ze snookerów, nie wystawiając rywalowi żadnej bili, i zaliczałem ponad 100-punktowe brejki. Dobrą grę da się usłyszeć: bile wydają przepiękny dźwięk, gdy chowają się w kieszeniach – wbijas je wtedy z elegancją i wiesz, że masz nad nimi władzę. Czułem się prawdziwym mistrzem, prezentowałem zupełnie inny poziom – dla innych po prostu nieosiągalny. Nawet gdy nie szło mi najlepiej, nikt nie potrafił mi odskoczyć. Zdarzyło się, że przegrałem sesję 3:5 albo zremisowałem 4:4, ale to najgorsze, co mogło mi się zdarzyć. W kolejnych miażdżyłem 7:1 albo nawet 8:0.

Znów czułem się jak 16-latek, gdy zaliczyłem serię 74 wygranych w 76 meczach, po czym zwyciężyłem w 36 spotkaniach rankingowych. Często wracam myślami do czasów, gdy miałem 14, 15 czy właśnie 16 lat i wszystko było o wiele prostsze. Ludzie traktują moje wspominki jak bzdury, myśląc, że przeceniam tamten okres. Ale każdy, kto w tamtym czasie grał przeciwko mnie, wie, o czym mówię. Tacy jak Mark Williams pamiętają to doskonale.

Mimo późniejszych wielkich sukcesów wiem, że nigdy nie zbliżyłem się do poziomu, który prezentowałem jako dzieciak. Pokolenie Marka widziało to na własne oczy. Williams zdaje sobie sprawę, że moja forma z mistrzostw świata w 2012 roku była podobna do tej z przeszłości. Dlatego przez tyle lat chodziłem sfrustrowany – nie potrafiłem przeskoczyć poprzeczki, którą kiedyś sam sobie ustawiłem na niebotycznym wręcz poziomie. Z różnych przyczyn – przez coraz gorszą technikę, balans, utratę pewności siebie, coraz gorszą pozycję ciała przy wbijaniu – zacząłem zapominać, jak się gra.

Wiem, że w ustach trzykrotnego wówczas mistrza świata, zwycięzcy 23 turniejów głównych, może to brzmieć debilnie, ale tak właśnie było. Nie byłem w stanie produkować szczęścia. W 2012 roku wreszcie jednak wziąłem się w garść i – kurde – naprawdę czułem się rewelacyjnie. Kibice znów byli wdzięczni, widząc mnie powracającego na zwycięski szlak. Przeciwnicy – pewnie mniej. Bo niby dlaczego mieliby być? Gdybym miał zagrać przeciwko sobie, też bym się nie cieszył, że wraca stary Ronnie. Nigdy bym nie stwierdził: „Cieszę się, że Stephen Hendry wrócił do najwyższej formy”. Jasne, że byłbym wściekły. To tak jakby indyk skakał z radości z powodu zbliżającego się Święta Dziękczynienia.

Za to eksperci i byli zawodnicy szaleli z radości. Zawsze mogłem liczyć na wsparcie Dennisa Taylora. Uwielbiam go. John Virgo i Steve Davis również byli uradowani. Nawet Stephen Hendry, od kiedy odszedł na emeryturę, był żywo zainteresowany moją formą. Stale wysyłał mi krótkie SMS-y w stylu: „Dawaj, bracie! Wracaj do stołu!”. Coś wspaniałego. Mój idol prosi, bym wziął się w garść i zaczął grać na swoim poziomie. To niezwykle miłe czuć wsparcie ludzi, których ubóstwiał się za dzieciaka.

Ważna rzecz wydarzyła się w ostatnim frejmie tamtego finału. Wbiłem 50- czy 60-punktowego brejka, miałem 20 oczek przewagi. Po trafieniu kolejnej bili uspokoiłem się i zacząłem myśleć o małym Ronniem. Siedział na trybunach, obserwował moją grę, a ja czułem, jakbyśmy byli sami w tej wielkiej, przestronnej sali. Lily nie było z nami – nie za bardzo lubi snookera. Szczerze, nie liczyłem też na to, że mały Ronnie złapie bakcyła. Poprosiłem Jo, by syn mógł być tego dnia ze mną. Wy tłumaczyłem, że wyślę po niego osobistego kierowcę Damiana Hirsta, Rossa. Ten puści mu film i będzie się odzywać tylko wtedy, gdy mały Ronnie nabierze ochoty na rozmowę. Zapewniłem ją, że będzie traktowany jak najważniejsza osoba na świecie i trafi w bezpieczne ręce. Jo dała mi zielone światło, więc w decydującej fazie pojedynku synek był obok mnie.

Nazajutrz około południa Sylvia – menedżerka Damiena – przyprowadziła Ronniego do mojego pokoju. Przez długi czas po prostu się przytulaliśmy. To zmobilizowało mnie do działania w ciągu reszty dnia. Byłem przeszczęśliwy, mogąc dzielić dzień z synem i wiedząc, że może być świadkiem mojego wielkiego sukcesu. Zawsze marzyłem, by dzieci zasiadały na trybunach podczas moich meczów. Chciałem z nimi dzielić wszystkie swoje zwycięstwa i porażki. Nie spełniłem go od czasu, gdy Lily tańczyła na stole po moim triumfie w UK Championship 2008.

Widok Ronniego mnie uspokoił. Zeszło ze mnie całe ciśnienie. W niedzielny ranek, pierwszego dnia finału, czułem się fatalnie – nie wiem, czy zaszkoziło mi jedzenie, czy to efekt presji – ale nie mogłem przestać wymiotować, a moja twarz pokryła się dziwnymi plamami. Przez cały dzień nie mogłem nic przełknąć, a przez całą popołudniową sesję bekałem. Mimo to dałem radę, a następnego dnia wszystko wróciło do normy. Prowadziłem 10:6. Do dziś nie wiem, w jaki sposób udało mi się utrzymać wysoki poziom gry.

W miarę upływu czasu zacząłem odczuwać ból w gardle. Jakbym połknął kamień, który z każdą minutą stawał się coraz większy. Miałem ochotę się rozplakać. Myślałem: „Nie dasz rady, nie potrafisz”. Jednak odparłem te myśli. Najtrudniej przyszło mi powstrzymanie łez. Doskonale wiedziałem, że niżej już nie upadnę. Poprzednie dwa lata, pełne sądowych przepychanek o dzieci i porażek w pierwszych meczach każdego turnieju zostały zwieńczone zdobyciem tytułu mistrza świata. A fakt, że mały Ronnie był obok i kibicował mi z całych sił, był wisienką na torcie. Jeszcze niedawno nie mogłem go widywać, a teraz siedzi tuż obok i dzieli ten moment razem ze swoim ojcem, który znów stoi na szczycie świata – to uczucie było po prostu doskonałe. Miał wówczas cztery latka i z pewnością nie rozumiał jeszcze, jak ważny był to dla mnie dzień.

W tamtym momencie poczułem się spełniony, zyskałem pewność, że teraz będzie już tylko z górki. Byłem najstarszym mistrzem od czasów Raya Reardona. Wyłoniłem się z głębokiej czeluści. Od początku turnieju byli ze mną Damien i Sylvia, a ich obecność działała na mnie kojąco. Wśród wspomnień z ostatniego dnia pamiętam tylko ich – Damiena, Sylwię, siebie samego i małego Ronniego. Ktoś zszedł z nim na dół i włożył mi go w ramiona, a ja trzymałem go mocno. Mój skarb. Niewiarygodne. Nie interesował mnie puchar, nie miałem potrzeby wznosić się jeszcze wyżej. Liczyliśmy się tylko my dwaj. Nasza chwila. Bezcenna. Chciałem, by trwała wiecznie.

Na oficjalnej kolacji wytrzymałem zaledwie półtorej godziny. Ronnie zasnął w samochodzie Damiena. Pilnował go Ross. Wciąż sprawdzałem, czy wszystko z nim w porządku. O 23.30 zaniósłem go do pokoju, a sam – razem z Damienem, Sylwią i Sergiem Pizzorno, gitarzystą Kasabian, który jest dobrym kumplem Damiena – zamówiłem żarcie z McDonalda. Siedzieliśmy w hotelowym *foyer* i wcinaliśmy big

maki z frytkami. Poszedłem sprawdzić, czy mały śpi spokojnie. Z jednej strony łóżka on, z drugiej puchar za zdobycie mistrzostwa świata. Nie wróciłem już na dół. Położyłem się obok, przytuliłem się mocno i obudziłem się dopiero następnego dnia. To były najlepsze chwile mojego życia.

BUNTOWNIK Z WYBORU

Równe tempo na pierwszym i drugim okrążeniu. Potem przyspieszenie. Nogi jak z waty, ścięgnięta przeciążone, mięsień czworogłowy zakwaszony.

Po mistrzostwach świata ogłosiłem sześciomiesięczną przerwę. Nadal nie potrafiłem pogodzić pracy z rodziną i walką o prawa rodzicielskie, a na tym ostatnim chciałem się skupić najmocniej.

Bywały bowiem momenty, w których musiałem wybierać między wyjazdem na turniej a wizytą u dzieci. Bałem się, że jeśli nie będę ich odwiedzał w dni wyznaczone przez sąd – we środę i w sobotę – pozbawię się szans na rozszerzenie opieki rodzicielskiej, a widzenia zostaną ograniczone do dwóch godzin. Nie chciałem, by sędziowie oceniali moje zachowanie na zasadzie: „Zamiast widywać się z dziećmi, gra sobie w bilard”. Pogubiłem się. Byłem na tyle zdezorientowany, że raz zdarzyło mi się zapomnieć o turnieju, do którego się wcześniej zgłosiłem. W głowie miałem tylko spotkanie z małym Ronniem. Pamiętałem, że muszę go odebrać o 10.00 i odwieźć o 17.00. Zapomniałem natomiast, że tamtego dnia powinienem grać w Belgii. Oczywiście nie uprzedziłem nikogo, że nie przyjadę. Nic więc dziwnego, że World Snooker i Barry wpadli w szal. W sumie w ciągu dwóch lat opuściłem aż 12 turniejów, czym nieświadomie przyczyniłem się do zmiany regulaminu naszego cyklu. Cała ta sytuacja zwyczajnie mnie przerastała.

W 2011 roku zrezygnowałem z dwóch mniejszych turniejów – w Niemczech oraz Irlandii – i to pięć minut przed dzwonkiem. Na kolejnych dziesięć nawet się nie zapisałem. Uznałem, że skoro nie są transmitowane w telewizji, nie warto tracić na nie czasu. To nie było *fair* wobec władz federacji – liczba sprzedanych biletów często zależy od obsady danego turnieju – i innych graczy. Gdy z początku decydowałem się wziąć udział w konkretnym wydarzeniu, a potem z niego zrezygnowałem, fani czuli się zwyczajnie oszukani. Pozostałe dziesięć imprez było małymi turniejami PTC. Opuściłem je ze świadomością, że dla sądu sytuacja, w której gra jest ważniejsza od spotkań z dziećmi, nie wpłynie korzystnie na moją sprawę.

W pewnym momencie, głównie przez liczne występy w turniejach, moja rozłąka z Lily i Ronniem trwała aż siedem tygodni. Byłem w totalnej rozsypce. Nie potrafiłem

znaleźć żadnej motywacji, choćby najmniejszego bodźca do gry. Czułem, że omija mnie proces ich dorastania. Nic innego nie miało sensu. Było mi zwyczajnie przykro. W tle trwała niekończąca się batalia sądowa, która wysysała ze mnie wszystkie siły. Wtedy nadszedł moment, w którym powiedziałem sobie „dość”.

W tym czasie pojawiały się plotki na temat nowego kontraktu z Hearnem. Wiedziałem, że jeśli zrezygnuję z udziału w czterech turniejach, zostanę obciążony grzywną – 250 funtów za pierwszy z nich, 500 za kolejny, 1000 za trzeci i 5000 za czwarty. Kolejnym krokiem było zawieszenie na okres trzech zawodów. Wyjaśniono mi, że wprowadzony zostanie inspirowany prawem drogowym system punktów karnych, które nigdy się nie przedawniają. Nie miałem złudzeń, że wkrótce zostanę zawieszony. W obliczu mojej sytuacji rodzinnej nie miałem szans na kontynuowanie kariery.

Przebrnąłem przez trzy gówniane sezony, World Snooker szykował dla mnie stryczek za ignorowanie turniejów, a Jo zmywała mi głowę za olewanie dzieci. Miałem dość. Kurwa, po prostu miałem dość.

W końcu zostałem mistrzem świata, pokazałem wszystkim, że nadal potrafię grać. Czy nadarzy się lepszy moment, by zejść ze sceny? Presja ze strony federacji, która chciała, bym występował w każdym ich turnieju, była przygniatająca. Zwyczajnie przestałem za nimi nadążać. Wiedzieli, że przyciągam ludzi na trybuny, co kilka tygodni wysyłali więc oficjalne upomnienie. Ostatecznie każda nadana przez nich koperta czy e-mail zaczęły wywoływać u mnie ataki paniki. „Naruszyłeś regulamin. Złamałeś zasady. Potrzebujemy zaświadczenia lekarskiego”. Ponadto pojawiły się problemy finansowe. Zanim zdobyłem mistrzostwo świata, przez trzy lata – z powodu kiepskiej formy i odpuszczania zawodów – zarabiałem niewiele. A to, co udało się ugrać, prawie w całości przeznaczałem na koszty sądowe.

Wszystko kręciło się wokół szmalu, przez co wydawało się beznadziejne i wulgarne. W końcu moja decyzja o zawieszeniu kariery stała się wypadkową poprzednich wydarzeń. Coraz więcej czasu spędzałem w sądach, ponadto za wszelką cenę chciałem wykorzystywać czas wyznaczony na spotkania z dziećmi. W moim życiu nie było już miejsca na snooker. Moje odejście nie było wynikiem fanaberii, lecz olbrzymiego, wyniszczającego mnie stresu.

To nie była depresja. Depresja to czarna dziura, w którą wpadasz i z której nie masz siły się wydostać. To był zwykły stres. Powodowany tym, że musiałem słuchać bandy prawników przekonujących sąd, że nie jestem i nie będę dobrym ojcem. Ich słowa raniły, powoli zabijały. Dusili mnie za pomocą wyuczonych formułek. To wszystko potęgowało tkwiące we mnie napięcie.

Każdego dnia, gdy kładłem się spać, w mojej głowie toczył się wyścig myśli. Pragnąłem, by to wszystko się skończyło, ale do kresu było jeszcze daleko. Zasypiałem po 23.00, ale budziłem się przed 1.00 i całą noc nie mogłem zmrużyć oka. Wczesnym

rankiem zmuszałem się do treningu. W dwa i pół roku nie zaliczyłem ani jednej spokojnej, w pełni przespanej nocy. Nawet w 2012 roku, gdy wszystko szło mi jak po maśle, spałem dwie–trzy godziny na dobę. Czasem potrzebowałem całego dnia, by się zregenerować przed kolejnym meczem.

By zdjąć z siebie część stresu, nie licytowałem się z Jo o wysokość alimentów i zgodziłem się na stawkę zaproponowaną przez jej adwokatów. Ale nadal nie mogłem spać. Moje życie przypominało jedno wielkie gruzowisko i nie potrafiłem przywrócić go do porządku. Świeżo po finałowym zwycięstwie nad Alim Carterem oznajmiłem, że urlop, podczas którego chcę zająć się dziećmi, potrwa sześć miesięcy. Po tym czasie zrezygnowałem jednak z występu w październikowym International Championship w Chinach. W listopadzie ogłosiłem, że przerwa przedłuży się do końca sezonu. Django wystosował oficjalne oświadczenie dla prasy. Pisał w nim, że trudno mi pogodzić sprawy rodzinne z grą, że nadal borykam się z mononukleozą i uważam za niesprawiedliwe wobec fanów odwoływanie w ostatniej chwili mojego udziału w poszczególnych zawodach.

Media nie bardzo wiedziały, co z tym fantem zrobić. Niektóre gazety zinterpretowały te słowa jako żart, pisząc, że kibice z pewnością zobaczą mnie w kolejnym turnieju. Inne skreśliły mnie na dobre. Barry Hearn udzielił mi pełnego poparcia. Powiedział dziennikarzom, że muszę oczyścić głowę z pewnych spraw, i pochwalił decyzję o przedłużeniu przerwy.

Pewnego dnia zadzwonił.

– Odpuszczam. Możesz mnie wykluczyć ze związku, wycofać moje członkostwo, nie wiem, zrób co uważasz – powiedziałem. – Nie interesuje mnie dalsza gra.

Nie chciał jednak nawet o tym słyszeć.

– Spokojnie. Odpuść sobie te kilka turniejów, a w okolicach lutego czy marca zobaczysz, jak się będziesz czuł – tłumaczył. Jak zwykle kierował się rozsądkiem. – Zrób, co masz zrobić, ale nie odchodź ze struktur. Jeśli to zrobisz, będziesz potem musiał przejść przez turnieje kwalifikacyjne, a to nie jest dobre rozwiązanie. Być może za sześć miesięcy pozbierasz się i zmienisz zdanie.

– Zgoda, ale ogłoś oficjalnie, że nie wystąpię już w żadnym turnieju do końca sezonu – odpowiedziałem. – To „zagra albo nie zagra” zaczyna mnie już dobijać.

Gdybym porozmawiał z Barrym wcześniej, najpewniej w ogóle nie zrezygnowałbym z gry. Ale nie zrobiłem tego. Założyłem, że w moim kontrakcie nie ma zapisu, który mógłby mi pomóc. Żyłem w błędzie, dopóki nie usiadłem z Barrym przy jednym stole i nie wyjaśniliśmy sobie spornych spraw. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że źle zinterpretowałem naszą umowę. Zawieszenie zawodnika następowało po odpuszczeniu przez niego czterech turniejów w jednym sezonie, a nie, jak wcześniej sądziłem, czterech w ogóle. Od tamtej pory wiedziałem, że gdy zastrajkuję czterokrotnie, dostanę zakaz gry, ale w kolejnym sezonie mój licznik się wyzeruje. Taki układ mi pasował.

Gdzieś w głębi serca bałem się, że to bilet w jedną stronę i już nigdy nie wrócę do gry. Nie młodniałem. Był to więc idealny moment, by poszukać zajęcia na okres po zakończeniu kariery. Jako mistrz świata byłem medialny, pomyślałem więc, że mogę pracować w radiu lub jako ekspert telewizyjny.

Początek mojego rozbratu ze snookerem okazał się zbawienny. Wreszcie czułem się wyluzowany i przez pierwsze miesiące traktowałem tę decyzję jako jedną z najlepszych w swoim życiu. Zacząłem spędzać masę czasu z dziećmi i z tatą. W końcu nie czułem żadnego stresu.

Jak już wcześniej wspomniałem, nigdy nie miałem realnego wpływu na życie swojej pierwszej córki, 18-letniej dziś Taylor. Bardzo nad tym ubolewałem. Mniej więcej dwa lata temu skontaktowała się ze mną i od tamtej pory pracujemy nad naszymi relacjami. To, jak dziś wyglądają nasze stosunki, stanowi niezwykle silną przestrożę przed utratą Lily i małego Ronniego. Już wtedy jednak zdawałem sobie sprawę, że nie mogę po raz kolejny popełnić tego samego błędu.

Życie bez snookera stało się zwyczajnie prostsze. Nie musiałem analizować swojego kalendarza, patrzeć pięć miesięcy wprzód i zastanawiać się, czy w nadchodzący weekend uda mi się spotkać z dziećmi, czy jednak będzie to kolidować z kolejnym turniejem. Zacząłem żyć z dnia na dzień.

Codziennosc stała się zupełnie inna – wyplenilem z niej rutynę. Wstawałem, o której chciałem, biegałem, kiedy czułem taką potrzebę. Zacząłem jadać na mieście, odwiedzać ojca i dzieci. Życie wydawało się cudowne, a jednak po pewnym czasie zacząłem je postrzegać jako odrobinę monotonne. Czegoś mi zaczynało brakować... Pracy. Robota w mediach nie była jeszcze zaklepana i nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Już w grudniu uznałem, że dłużej tak nie pociągnę. Nudziłem się. Nosiło mnie, by coś zrobić. Snooker, który sprawował dyktat nad moim organizmem, nauczył mnie pewnego systemu zachowań. Pobudka o 7.30, szybki skok w dres, kilka łyków wody, od 8.30 cztery lub pięć mil przebieżki, krótki trening na siłowni, prysznic, śniadanie (owsianka, banan, rodzyunki, gotowane jaja – zawsze starałem się jeść zdrowo), potem od 11.00 klub i cztero- lub pięciogodzinny trening. Powrót do domu, relaks, trochę telewizji – ogólnie wieczorny odpoczynek. Tak od wielu lat wyglądał mój dzień. 22.30–23.00 grzecznie kładłem się do łóżka.

Gdy odłożyłem kij, cały plan rozleciał się na kawałki. Wstawałem po 10.00, jadłem śniadanie, o 13.00 wychodziłem pobiegać, potem brałem prysznic, odwiedzałem przyjaciół, szukałem sobie czegoś do roboty, później wypijałem kawkę, jadłem lunch i przesiadywałem w kawiarni. Zero presji, zero stresu. Z pozoru to przyjemny tryb życia, ale zupełnie nie dla mnie. Zacząłem lekceważyć dyscyplinę, której uczyłem się latami. Myślałem, że większa liczba wolnego czasu pozwoli mi się skupić na bieganiu. Miałem w planach przebiec maraton w mniej niż dwie godziny 45 minut,

przygotowywać się do niego dwa razy dziennie, a odpoczywać w dni spotkań z dziećmi. Ale tak to niestety nie działa.

Stawałem się coraz bardziej leniwy. Wiesz, że masz do zagospodarowania kupę czasu, ale nic z tym nie robisz. Zaczynasz myśleć: „Przecież mogę to zrobić później, mam czas”. Zrozumiałem, że – paradoksalnie – snooker czynił moje życie prościej, nie dawał czasu na wegetację. Chcąc wdrapać się na szczyt, musiałem być w pełni zdyscyplinowany. Dopiero wtedy doceniałem wszystkie swoje sukcesy. Musiałem słyszeć ten głos mówiący, że jeśli nie dam z siebie wszystkiego, przegram. Być może w rzeczywistości byłbym tak samo dobry, lub nawet lepszy, jeśli trenowałbym mniej, ale mój umysł nie przyjmował takich argumentów. Nienawidzę poczucia winy. Jeśli wiem, że nie zrobiłem wszystkiego, by wygrać, przegrywam. Samospełniająca się przepowiednia.

Przez brak zajęć straciłem pewność siebie. Czułem się winny za każdym razem, gdy płaciłem za kolację czy tankowałem samochód. Po raz pierwszy zacząłem spoglądać na rachunki i paragony. Myślałem: „Nie zarabiam, a wciąż wydaję: a to stówkę na paliwo, a to 120 w supermarkecie, do tego trzy–cztery posiłki tygodniowo w drogiej knajpce – kolejne 60–70 funtów”. Miałem świadomość, że mnie na to stać, a jednak poczucie winy nie dawało mi spokoju. Nadal oddawałem część pieniędzy Jo, płaciłem za szkołę Lily i Ronniego, ale z tyłu głowy pojawiał się głos, który szeptał, że ta rozrzutność w końcu mnie zrukuje. Zacząłem więc panikować i snuć wizje, w których nie stać mnie na pomoc dzieciom i na własne wydatki.

Z drugiej strony byłem tam, gdzie chciałem być. Owszem, pieniądze generują problemy, ale jeszcze większe kłopoty powoduje ich brak. Po jakimś czasie telefony przestają dzwonić, pracy nadal nie ma, a życie zaczyna wymagać od ciebie coraz większych nakładów – masz dwójkę wspianiałych dzieci i nie chciałbyś się tłumaczyć w szkole, że nie stać cię na kolejną ratę czesnego. Zbliżałem się właśnie do takiego momentu. Pomyślałem: „Kurwa, tak nie może być. Czas pójść do roboty”.

Ten rok był więc testem, który miał sprawdzić, jak sobie poradzę z życiem codziennym bez stałej pracy i jak na moje bezrobocie zareaguje rodzina. Oblaliśmy go. Okazało się, że żadne z nas nie może być szczęśliwe w momencie, gdy nie jestem w stanie pomóc. Silniej niż kiedykolwiek zacząłem odczuwać potrzebę współpracy z Jo. Pojąłem, że musimy sobie pomagać i wzajemnie się wspierać. Nie było szans, byśmy do siebie wrócili, ale to nie był powód, by nie starać się wspólnymi siłami uszczęśliwić naszych dzieci. To cud, że pojawiły się na świecie. Należało to zrozumieć jeszcze przed zrujnowaniem im dzieciństwa. Okazało się, że bez pracy, bez moich pieniędzy, żadne z nas nie jest w stanie cieszyć się z życia.

Poza tym strasznie tęskniłem za snookerem. Może nigdy nie dałem tego odczuć moim bliskim, ale lubiłem podróże, wyjazdy, hotele. Czerpałem przyjemność ze zwiedzania świata, spotykania się z biegaczami z różnych jego zakątków i trenowania

z nimi. Później cieszyłem się z każdego powrotu, ponownego spotkania z rodziną, rozpakowywania się, czyszczenia rzeczy i szykowania ich na kolejny turniej. Snooker determinował moje działania. Był celem samym w sobie.

Podczas przerwy za bardzo zasiedziałem się w Chigwell. Wcześniej przebywałem tam między turniejami i było to dla mnie miejsce przygotowań do następnych zawodów. Teraz, gdy przestałem na nie jeździć, praktycznie nie wychylałem stamtąd nosa. Miałem wszystko, co potrzebne do szczęścia – trasy biegowe, ulubioną kawiarenkę z bajglami, park, do którego zabierałem dzieci. Czułem się bezpiecznie. W licznych przeprowadzkach pomagał mi Savill, pośrednik w handlu nieruchomościami, a gdy byłem chory, udawałem się do Macey's – sklepu ze zdrową żywnością.

Essex ma ugruntowaną opinię. Od dziesiątków lat mówi się o „dziewczynach i chłopcach z Essex”. Wiecie, stereotypy – każda laska traktowana jest jak wypacykowana zdzira, a facet to nażelowany macho w sportowym wozie. Niestety pogłębiają je programy telewizyjne typu *Ekipa z Essex*. Ja w tych imprezujących, wiecznie pijanych ludziach nie widzę Essex. Nie znam tu tego typu osób. Czasami spotykam uczestników tego programu na ulicy, kiedy przechadzają się ostentacyjnie z telefonem w rękę i głową spuszczoną w dół. To celebryci. Zwykli ludzie ich drażnią. Typowe – zabiegasz o to, by wpełznąć do świata show biznesu, ale gdy już tam jesteś, okazuje się, że trafiłeś do szamba.

Chigwell to moje królestwo, moje życie. Kocham to miejsce, ale czasami mam go zwyczajnie dość. Dopiero gdy przestałem grać i zasiedziałem się tu na dobre, zrozumiałem, jak bardzo brakuje mi wypadów za miasto. Pewne rzeczy można docenić tylko wtedy, gdy się je straci. I niesamowite jest wtedy to, jak szybko spada poczucie własnej wartości. Woląłem przegrywać 0:10 w Sheffield, ale być tam, niż siedzieć beczynnym i pozwalać, by moje życie gniło.

Moja ucieczka od snookera pozwoliła mi zrozumieć także inną rzecz – byłem cholernym szczęściarzem, mogąc dostawać pieniądze za to, co kocham. Nie lubię traktować snookera jak pracy zarobkowej, ale koniec końców to właśnie on dostarczał mi chleba.

Najlepszą rzeczą, na jaką się zdecydowałem podczas mego urlopu, była praca na farmie. Mieściła się ona w Epping Forest, gdzie zwykle biegałem. W grudniu 2011 roku pojąłem, że niemal wszystkie moje plany idą w łeb. Audycja radiowa, którą miałem prowadzić, nie powstała. Propozycje pracy w charakterze eksperta także nie sływały. Nawet chęć biegania zaczęła we mnie umierać. Wychodziłem z domu raz, może dwa razy tygodniowo, co stawało się nieznośne. Uznałem, że jedynie jakieś poważne przedsięwzięcie, któremu będę się mógł poświęcić, pomoże mi wygramolić się z łóżka i pozwoli żyć nieco aktywniej. Zostałem więc pomocnikiem na jednej z pobliskich farm.

Dowiedziałem się o niej od dziewczyny pracującej w pizzerii, do której zabierałem

dzieciaki. 40–50 akrów ziemi w samym sercu lasu w Hainault. Poszedłem sprawdzić. Od razu zaznaczyłem, że nie oczekuję pieniędzy za swoją pracę. Chciałem jedynie pomóc, a przy okazji zażyć trochę ruchu. Otwarta przestrzeń, świeże powietrze – cóż więcej można chcieć. Pomyślałem, że jeśli w końcu wyjdę z łóżka i wrócę do aktywnego trybu życia, chęć do biegania rozgorzeje we mnie na nowo.

Wypełniłem jakieś druczki w ich biurze i czekałem na kontakt. Po kilku tygodniach dostałem e-mail z pytaniem, czy mógłbym się u nich stawić w niedzielę o 9.00 rano. Byłem punktualnie. Staruszek Tony, fantastyczny gość, który opiekował się resztą pracowników, oprowadził mnie po farmie i dokładnie wytłumaczył, czym mam się zająć. Rozpoznał mnie, ale – co bardzo mi się w nim podobało – nie robił z tego wielkich ceregieli.

– No więc tak to wygląda. Potrzebujemy pomocy. Dzięki, że wpadłeś.

W ogóle nie pytał o snookera. Nikt ani razu się na ten temat nie zająknął. Żaden z pracowników nie był nawet ciekawy, dlaczego stałem się jednym z nich. Po prostu byli wdzięczni za pomoc. Na pełen etat pracowało sześciu czy siedmiu ludzi. Reszta – nieco ponad 25 osób – działała jako wolontariusze. Uświadomiłem im, że nie mam zamiaru kształcić się w tym kierunku. Wytłumaczyłem, że potrzebuję ruchu, i gdyby mieli coś do zrobienia, chętnie się tym zajmę. Bez zobowiązań.

Wreszcie mogłem zaczerpnąć świeżego powietrza i zagospodarować swój czas. Pracowałem dwa dni w tygodniu, czasem trzy. Nigdy wcześniej nie robiłem takich rzeczy. Taszczyłem bale siana, po które chodziłem na pełne błota wzgórze, potem karmiłem zwierzęta. Dzięki treningom byłem w dobrej formie, więc dawałem radę. Zielone kalosze na nogach, prawdziwa fizyczna praca – cudo! Czyściłem stajnie i chlewy, przerzucałem gnój, naprawiałem płoty. Po prostu rewelacja.

Lubiłem też usuwanie błota z rozlewiska. Szpadlami ładowaliśmy muł na taczki i rozpędzając się, wjeżdżaliśmy nimi po rampie na przyczepę ciężarówki. Farma nie miała pieniędzy na zatrudnienie większej liczby pracowników, więc angażowała do tego ochotników. Wykopywaliśmy to błoto od 11.00 do 16.00 i choć plecy odmawiały już posłuszeństwa, nie czułem ramion i wracałem do domu kompletnie wyczerpany, czułem się doskonale.

Znów zacząłem biegać. Cztery, pięć mil wczesnym porankiem, potem do roboty i na koniec do domu. Ciężka praca i świeże powietrze pozwoliły mi wreszcie normalnie zasypiać.

Jedna z kobiet pracujących ze mną na farmie była w podobnej sytuacji.

– Rzuciłam pracę. Mam kilka nieruchomości. Zarabiam, wynajmując je ludziom – opowiadała. – Kiedyś pracowałam w handlu, ale miałam tego dosyć. Szukałam zajęcia na kilka dni w tygodniu.

Wspaniała kobieta. Były też dzieciaki z trudnych rodzin, których wyrzucano ze szkoły z powodu złego zachowania. Na farmie były posłuszne jak baranki. To

otworzyło mi oczy.

Jeden z nich rzucił kiedyś:

– Jesteś gliną?

– Nie, nie jestem.

– A jakim wozem jeździsz?

– BMW.

– Czyli jesteście policjantem! – krzyknął. – Każdy gliniarz jeździ BMW.

Nie miał bladego pojęcia, czym się kiedyś zajmowałem. Może dlatego świetnie mi się z nim rozmawiało. Lubilem go. Był ekscentryczny, nadpobudliwy, ale emanował dobrą energią.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytałem.

– Wpadam raz czy dwa razy w tygodniu.

– Ale czemu?

– Wykopali mnie z budy i kazali tu przychodzić.

Miał 15 lat. Patrząc na niego, zrozumiałem, że nie wszyscy mają tak łatwo jak ja. Być może chłopak nie może się zmusić do samodyscypliny i jedyne, na co go stać, to ucieczka przed problemami.

– Co odwalisz?

– Ech, po prostu kłóciłem się z nauczycielami. Wnerwiali mnie.

– A co na to twoi rodzice?

– Mają to w dupie – odparł.

Ci chłopcy nie mieli nikogo, kto mógłby ich wesprzeć. Ich matki i ojcowie nie dbali o nich. Widząc ich, coraz częściej myślałem o Lily i Ronniem, o tym, jak ważne jest, by być obok nich i dla nich, by wskazać im właściwy kierunek, sprawić, by czuli się kochani, ważni, chciani. By nauczyć ich szacunku do innych ludzi. Nie chciałem, by mój mały syn i córeczka traktowali swoich rówieśników czy nauczycieli tak jak ten chłopak. W głębi serca był dobrym dzieciakiem. Potrzebował jedynie przewodnika – kogoś, kto wydobędzie z niego same najlepsze rzeczy, kto sprawi, że zacznie doceniać siebie samego i poczuje się kochany. Sam miałem mnóstwo szczęścia, mając takich a nie innych rodziców. Wspierali mnie, dyscyplinowali, nauczyli odróżniać dobro od zła.

Nie jestem pewny, czy udało mi się przekonać tego dzieciaka, że nie byłem gliniarzem. Dużą zaletą tej pracy była możliwość pozostania anonimowym. Wolontariusze nie mieli bladego pojęcia, z kim mają do czynienia. Albo zwyczajnie mieli to gdzieś. Zazwyczaj gdy jestem wśród ludzi, do których nie mam pewności, czy są mili z natury, czy tylko dlatego, że jestem sławny, szybko zaczynam się denerwować. Zwykle wszyscy oczekują autografu albo wspólnego zdjęcia, chcą rozmawiać ze mną o snookerze, podczas gdy ci na farmie traktowali mnie jak normalną osobę, szarego człowieka, jakby to ujęła Liz Hurley. Ostatni raz doświadczyłem tego na wakacjach

w Nowym Jorku. Amerykanie nie oglądają snookera, więc odnosili się do mnie jak do zwykłego gościa.

Na farmie czułem się lepiej, bo znajdowałem się zaledwie trzy mile od domu, a jednak wkraczałem w strefę, w której stawałem się anonimowy. Po raz pierwszy nie byłem na językach innych osób i nikt się nie interesował się moją obecnością. To jakby wkroczyć w alternatywną rzeczywistość i sprawdzić, jak będą reagować na ciebie ludzie, którzy nic o tobie nie wiedzą. Byliśmy na równi.

Każdy z poznanych przeze mnie wolontariuszy zasługuje na osobną historię. Jeden z dzieciaków raczej unikał roboty. Nie przemęczał się. Bywało, że przez pięć czy sześć godzin siedział z założonymi rękoma.

– Kolego, to właściwie po co ty tu przychodzisz? Zajmujesz tylko miejsce.

Spojrzeliliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Miał 14, może 15 lat. Kolejny trudny dzieciak.

– Dawaj – zagailem. – Zaangażuj się. Chwyć za łopatę, pomachaj kilka razy i zobaczysz, że poczujesz się lepiej. Zaufaj mi.

Nie zaufał. Nadal siedział i wrzucał kamienie do stawu, kpiąc z innych ludzi. Był dobrym kompanem do żartów, ale jako pracownik okazał się kompletnie bezużyteczny. Moje słowa do niego nie docierały. Miał totalne uczulenie na pracę. Jedyne, na co potrafił się zdobyć, to usiąść obok i opowiadać, jak powinno się karmić zwierzęta.

– Ej, tak to nie rób – pouczał. – Połóż to tutaj, a tamto tam. Zrób to i tamto.

Któregoś dnia zauważył to Tony.

– On doprowadzi cię do nerwicy, oj, doprowadzi. To dobry chłopak, ale sprawi, że zwariujesz – żartował.

Później poprawiał mnie już we wszystkich czynnościach. Krytykował dosłownie każdy mój ruch, choć sam niczego nie robił. Taki miał sposób bycia.

Zajmowałem się także świniami i kozami. Z tymi pierwszymi był spory ubaw. Rzucasz im karmę do koryta, a one i tak żrą wszystko, co napotkają na swojej drodze. Przerazające i niewiarygodne. Od momentu, w którym zobaczyłem, jak te zwierzęta funkcjonują, przestałem jeść szynkę. Wcześniej uwielbiałem wędlinę, ale widząc, jakie gównie je świnia, dziś nie chcę jej nawet tknąć.

Z kozami też było w porządku, choć muszę przyznać, że trochę się ich bałem. Dopóki nie dałeś im żarcia, były bardzo agresywne. Zostawiałem więc siano na polu, by nakarmił je ktoś inny.

Dzięki pracy na farmie przekonałem się za to do kur. To czyste zwierzęta. Nie angażowałem się jednak przy pracy wokół nich – żywe stworzenia latające na wysokości mojej głowy zawsze lekko mnie przerażały.

Pracowałem tam przez sześć tygodni. Na początku lutego otrzymałem od kierownictwa e-mail z pytaniem, czy mimo dłuższej nieobecności nadal jestem zainteresowany wolontariatem. Jeśli nie, nikt nie będzie robić mi problemów.

Odpowiedziałem, że postanowiłem wrócić do normalnej pracy, ale nie wykluczam, że w przyszłości wrócę na farmę.

Podobał mi się duch społeczny panujący w tym miejscu. Ci ludzie byli autentyczni, tworzyli zgraną paczkę. Podczas gdy za płotem życie było pełne presji i stresu, tam czas nikogo nie gonił. Odnalazłem tam środowisko, w którym inni potrafią docenić twoją pomoc, ale niczego nie żądają. Jeśli dasz im pół godziny swojego czasu, obdarzą cię swoją wdzięcznością. To piękne uczucie być wśród ludzi, którzy nie dbają o to, kim jesteś i ile masz pieniędzy. Interesowała ich tylko wzajemna pomoc, nakarmienie kilku kur i kaczek. W sześć tygodni odzyskałem wiarę w życie. Przez ostatnie trzy lata chodziłem ze skołataną głową i chorym sercem. Na farmie znów stanąłem na nogi.

Ponadto – jak już wspomniałem – zacząłem lepiej spać. Wcześniej próbowałem wszelkich leków na bezsenność i żaden nie dał mi ukojenia. Lekarze twierdzili, że to pospolity problem, i wciskali kolejne prochy. „Weź te tabletki – mówili. – To antydepresant, ale to jedyny środek, który pozwoli ci przespać osiem godzin. Gwarantuję”.

Dziś śpię od czterech do pięciu godzin. Jeśli położę się o 23.00, wstaję między 4.00 a 5.00. Nie jest idealnie, ale na pewno lepiej niż wtedy, gdy zasypiałem o północy i budziłem się dwie godziny później, a tak miałem przez ostatnie dwa i pół roku. Po pewnym czasie mój mózg przestał normalnie funkcjonować.

Mimo coraz częstszych spotkań z dziećmi i wymagającej pracy na farmie jakaś część mnie pchała mnie do powrotu do stołu. Poza tym upewniłem się, że Jo nie będzie już sprawiać problemów, jeśli snooker kilka razy pokrzyżuje nasze plany. Przed wszystkim to doskonała matka i dobro dzieci naprawdę leży jej na sercu.

Dziś nadal nie wiem, która droga jest właściwa. Kocham Lily i Ronniego nad życie, ale snooker to moja kariera. Ona jednak nie będzie trwać wiecznie. W tamtym czasie udało mi się spędzić z dziećmi mnóstwo czasu, wspaniałego czasu, lecz nikt nie wmówi mi, że aby stan ten trwał, muszę dokonać tej jednej, najważniejszej rzeczy – poświęcić swoją karierę.

JESTEŚMY RODZINĄ

Ostry bieg. Tempo szybkie. W połowie trasy lekko zwolniłem, ale później mocno popracowałem na podbiegach.

Już w szkole trochę biegałem. Każdy z uczniów musiał zaliczyć bieg przełajowy i kilka sprintów. Nie mogę powiedzieć, że czerpałem z tego przyjemność. Ojciec zmusił mnie do regularnego biegania, gdy skończyłem 12 lat. Wtedy stało się ono niejako moim obowiązkiem. Taka była bowiem umowa – tata zgadza się na wczesne rzucenie szkoły, ja zobowiązuję się do utrzymania dyscypliny poprzez codzienne, przynajmniej trzymilowe treningi. Ojciec zawsze był wysportowanym facetem. Grał w piłkę, regularnie pojawiał się na siłowni, do tego uprawiał boks i skakał na skakance. Zapewne widząc syf, jaki jako dzieciak pochłaniam, uznał, że jeśli nie będzie o siebie dbał, sam stanie się obleśnym grubasem. Nieważne. Już od wczesnych lat tłumaczył mi, że powinienem regularnie biegać. A nie był typem gościa, z którym można polemizować. Miał jednak rację – już w wieku dziesięciu lat mnóstwo czasu spędzałem w salach treningowych, grając w snookera, więc potrzebowałem ruchu. Nie chodzi nawet o to, że jedzenie moich ulubionych chipsów i czekolady zrobi ze mnie tłuściocha. Pokoje ze stołami były ciemne i zadymione, więc bez regularnego dotleniania się szybko zacząłbym wyglądać jak Drakula. Ojciec zaszczepił we mnie silną wiarę, że ćwiczenia i pobyt na świeżym powietrzu to gwarancja lepszego samopoczucia, a to z kolei jest równoznaczne z dobrą grą.

Mój pierwszy kontakt ze snookerem miał miejsce u mojego kuzyna Glenna. Jego rodzice, wujek Peter i ciocia Maureen, mieli w swoim domu w Orpington w hrabstwie Kent niewielki stół. To właśnie na nim wbiłem swoje pierwsze bile. Nie szło mi najlepiej, ale bawiłem się rewelacyjnie. Widząc to, ojciec postanowił sprawić mi podobny stół na Gwiazdkę. Miałem wtedy ledwie siedem lat. Pamiętam, że przywiózł go już kilka dni przed wigilią, ale zakazał grać przed świętami. Zapraszał kumpli i rozgrywał z nimi partie, ale ja mogłem jedynie oglądać ich mecze. Prosiłem, by pozwolił mi wbić choć kilka bil, ale pozostawał nieugięty:

– Nie, poczekaj do świąt. Wtedy będzie już tylko twój!

To był wspaniały stół. Mały Ronnie ma dziś podobny i gdy widzę, jak ledwo sięga

do niego głową, wracają wspomnienia. Dałem mu kilka lekcji, wytłumaczyłem, jak powinien uderzać i co robi źle, ale w sumie nie chciałem, by został profesjonalnym snookerzystą. To niezwykle wymagający sport dla ludzkiej psychiki. Wolałbym go widzieć na korcie lub polu golfowym – na świeżym powietrzu. Jeśli jednak któregoś dnia oznajmi, że chce grać w snookera, będę go wspierał całym sercem i spróbuję obudzić drzemiący w nim talent. Gdy obserwuję, jak układa mostek, jakie wyrabia nawyki, uważam, że ma doskonałą koordynację na linii oko–ręka. Mimo to chciałem by zostawił snookera w spokoju.

Z wielu powodów to okropna gra. Przede wszystkim zmusza do tłumienia emocji, zatyka usta, nie pozwala na interakcję między zawodnikami. Można spędzić przy stole pięć godzin i nie wypowiedzieć ani jednego słowa. Snooker hoduje odludków, roboty. Zwróćcie uwagę na graczy – z zamkniętą na cztery spusty jadaczką snują się wokół stołu jak zombie. Snookerzystę da się poznać na kilometr – niezbyt wygadany, wyciszony, introwertyczny. Nie chcę, żeby mały Ronnie stał się takim człowiekiem. Pragnę, by był przebojowy, pewny siebie, żeby grał w jakiejś kapeli czy coś. By współgrał z otaczającym go światem.

Snooker to sport dla samotników. Całą pracę wykonuje się samodzielnie. Rzadko prosisz kogoś o pomoc, bo zostaje to przyjęte jako oznaka słabości. Nigdy nie dzielisz się z rywalem swoimi przemyśleniami – choć z kolei mnie zdarzało się być zbyt wylewnym – bo boisz się, że ten zyska nad tobą przewagę psychologiczną. Możliwe, że w innych dyscyplinach jest podobnie.

Gdy byłem mały, rodzice pracowali z dala od domu. Spędzali w nim niewiele czasu, a mimo to tworzyliśmy zgrane trio. Gdy skończyłem siedem lat, nasz zespół powiększył się do czterech osób – na świat przyszła moja siostra Danielle.

Nie mieli wcale obiekcji przed zostawianiem mnie pod opieką innych ludzi – niań, przyjaciół czy sąsiadów. Tylko z jedną z opiekunek czułem się źle – przerażała mnie. Nie potrafię sobie przypomnieć dlaczego, ale pamiętam, że się jej bałem. To jedyne negatywne wspomnienie z mojego dzieciństwa. Reszta była sielanką. Ponieważ rodzice pracowali niemal cały dzień, większość czasu przebywałem u sąsiadów mieszkających tuż za rogiem. Mieli dwie córki i syna. Zdarzało mi się u nich nocować. Czasem jedna z dziewcząt zostawała na noc u mnie. Obie były jak starsze siostry, których nie miałem – gdy ja chodziłem do podstawówki, one skończyły już edukację.

Mama i tata byli młodymi rodzicami – gdy skończyłem sześć lat, nadal było im bliżej do dwudziestki niż trzydziestki. Dopiero wchodzili w dorosłe życie. Jako że rodzina mamy prowadziła dobrze prosperujący biznes lodziarski w Birmingham (mieli mnóstwo vanów do rozwożenia produktów), oboje postanowili się tam przeprowadzić. Ojcu nie odpowiadała jednak taka praca, więc szybko wrócił do Londynu. Tam wynajął mieszkanie i sprowadził nas z powrotem. Miałem zaledwie 18 miesięcy, a starzy nie śmierdzili groszem. Problemy narastały, ponieważ wychodząc za mojego ojca, matka

ściągnęła na siebie gniew całej rodziny – jako Sycylijczyk mariaż z Anglikiem potraktowali jako hańbę dla ich rodu.

Dziadkowie traktowali ojca jak lenia, który ucieka od pracy. Nigdy go nie zaakceptowali. Potrafili siedzieć obok niego i – rzecz jasna po włosku – obrabiać mu tyłek.

– Spójrzcie na niego, bezużyteczny gnojek. Potrafi jedynie leżeć na kanapie i opróżniać lodówkę. Nawet lodów mu się nie chce rozwozić. Leń.

W tym czasie wyluzowany ojciec zajadał się makaronem, nie zdając sobie sprawy, o czym mowa. Jedynie matka, słuchająca tych wszystkich obelg, mogła zareagować.

– Wystarczy tego. Ron, wychodzimy!

– Ależ czemu? W czym problem? Przestań, przecież spędzamy tu miło czas.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że pozornie mili teściowie tak naprawdę go nienawidzą. Ale wkrótce i to się zmieniło – rodzice matki dorosli do tego, by go pokochać.

Matka zawsze była przedstawicielką starej szkoły ludzi ciężko pracujących. Ojciec z kolei faktycznie był leniuchem, mimo że prowadził firmę budowlaną. Praca nigdy nie warunkowała jego planu dnia, nawet gdy byłem mały i potrzebowaliśmy forsy. Matka trwała mu nad głową:

– Musisz w końcu się zebrać i zacząć zarabiać. Graniem z koleżkami w piłkę nie wykarmisz rodziny. Idź poszukaj normalnej pracy i bez pieniędzy nie wracaj!

To właśnie trudna sytuacja zmusiła oboje moich staruszków do ciężkiej roboty.

Najpierw myli samochody. Matka czyściła wnętrza, ojciec karoserię. Później matka szła do restauracji, gdzie była kelnerką, a ojciec wkręcił się do porno biznesu. Ta branża pasowała mu najbardziej. Zmobilizowany przez matkę znalazł pracę marzeń. Skończyło się siedzenie za biurkiem, zbijanie bąków przy pogaduszkach z kumplami. Wreszcie zaczął działać. Był niezłym handlowcem, znał się na cyferkach, więc szybko został doceniony.

W tym czasie policja prześwietlała niemal każdy sex shop, więc właściciele zaczęli się martwić – nikt nie chciał trafić do więzienia za łamanie konwenansów. Ale ojciec widział w tym tylko dobry zarobek. Nie bał się. Kalkulował, że pieniądze za sześć miesięcy czy rok w tym biznesie są warte ryzyka. Nigdy nie wpadł za prowadzenie sex shopu, choć robił to dużo dłużej niż planował.

Głównie zajmował się sprzedażą świerszczyków. Opowiadał mi, że większość wydawców umieszcza w miejscu wagin i penisów gwiazdki, by później móc się wytłumaczyć w sądzie. Ojciec kpił z tej praktyki. Miejsca intymne pozostawiał gołe, a zasłaniał łokcie, palce u stóp lub pachy, tłumacząc, że dla niego właśnie te miejsca są nieprzyzwoite. To był okres przed wprowadzeniem licencji dla sex shopów. Gdy znowelizowano prawo, jego bracia zachowali kilka sklepów w londyńskim West Endzie o nazwie Harmony, ale rodzice świadomie wypadli z gry. W mojej opinii przesądził

o tym strach matki przed więzieniem. Kiedyś przesiedziała w nim sześć czy siedem miesięcy i nie chciała znów przez to przechodzić. Wolała zrezygnować z pieniędzy, niż balansować na linii ognia. Swoje już zarobili, więc przyszedł czas na relaks, wyjazdy na wakacje i korzystanie z uciech życia.

Gdy miałem 11 lat, na końcu ogrodu postawiono mi salkę do gry w snookera. To był całkiem spory pokój ze stołem, wersalką i telewizorem. Spędzałem tam nawet 10 czy 11 godzin, wbijając bile. Dziś nie jestem pewien, czy taki styl życia jest zdrowy dla dzieciaka w tym wieku, ale sukces wymagał tego typu poświęceń.

Mówi się, że „dobry snooker jest zbudowany na zniszczonym dzieciństwie”. To ciekawe, że ludzie nie postrzegają tak golfa, piłki nożnej czy krykieta. Ale faktycznie jest w tym ziarno prawdy. Dlaczego miałbyś przesiadywać godzinami w ciemnym pomieszczeniu, zamiast biegać sobie skąpany w promieniach słońca? Przecież byłem jeszcze gnojkiem. Mimo to w wieku zaledwie dziesięciu lat wbijałem 100-punktowe brejki, a dwa lata później wygrałem swój pierwszy turniej dla półzawodowców. W wieku 15 lat zaliczyłem pierwszego w karierze maksymalnego brejka. Z punktu widzenia snookera mój niewiarygodnie wczesny rozwój wydawał się absurdalny. Nie sądzę, by Stephen Hendry zaczął grać wcześniej niż w wieku 13 lat. Steve Davis rozpoczął treningi w wieku 14 lat. Nie chodzi o to, że ich inicjacja miała miejsce zbyt późno. To moja nastąpiła niewiarygodnie wcześnie.

Szybko odkryłem, że snooker miesza w głowie bardziej niż jakikolwiek inny sport. W żadnej innej dyscyplinie nie zdarza się tak, że musisz siedzieć grzecznie na dupie i czekać, aż twój rywal skończy swoje podejście. Sterczysz jak idiota, wiedząc, że nic nie możesz zrobić. W rzeczywistości jest jednak trochę inaczej – jeśli zbliżysz się do swojego prawdziwego potencjału, uzyskasz wpływ na zachowanie rywala. Nawet jeśli fizycznie pozostajesz beczynnym, twoja dominacja przy stole utrudni mu grę. A wtedy z wielką satysfakcją będziesz mógł obserwować, jak popełnia błąd za błędem i rozsypuje się na twoich oczach. To nawet bardziej satysfakcjonujące niż samo wbijanie i budowanie brejków. Więc chociaż ta gra nie polega na wytrącaniu przeciwnika z równowagi poprzez uderzenie pięścią w twarz, istnieją sposoby na zdobycie sporej przewagi psychologicznej.

Pisząc to, pomyślałem, że wolałbym już dostać w ryj, niż zostać stłamszony przy stole. A są gracze, którzy potrafią mnie sterroryzować – czasem po meczach przeciwko Johnowi Higginsowi czy Stephenowi Hendry'emu czułem się jak staranowany.

Nie ma nic gorszego od wysiadania na krześle w Crucible, na wielkim turnieju, i przez osiem czy dziewięć frejmów znoszenia kolejnych upokorzeń. Nie wbija się ani jednej bili, tylko patrzy, jak licznik przeciwnika rośnie z minuty na minutę. Co ciekawe, wielu chorych fanów snookera uwielbia obserwować tych przegrywających – załamanych, rozlatujących się z każdą kolejną partią. Odczuwają wtedy pewną sadystyczną przyjemność. Te dwie rzeczy łączą się wówczas w obraz totalnej porażki.

Gdy zdarzają ci się takie mecze, wracasz zdewastowany, ale musisz jak najszybciej się pozbierać i zacząć z tym żyć. Nie jest to jednak proste – każda taka przegrana pozostawia trwałą bliznę w twojej psychice. W ciągu całej kariery stajesz się kolekcjonerem ran. Młodzi gracze nie czują strachu. Podchodzą do każdej bili z pozytywnym nastawieniem, chcąc po prostu wbijać i dobrze się bawić. Lecz wraz z wiekiem, mając już na koncie kilka klęsk, zaczynasz kwestionować wartość swojej gry. Gdy zaczynałem, ludzie mnie przestrzegali:

– Oj, teraz ci łatwo, nie czujesz przed nikim respektu, ale poczekaj kilka lat, a gdy zaczniesz pudłować, inni zaczną cię poniżać.

Mieli rację.

Kiedy wygrałem swój pierwszy turniej, pokonując Stephena Hendry’ego, byłem przerażony. Rywalizowałem ze swoim idolem i wydawało mi się, że kompletnie nie mam szans. Skończyło się jednak wielkim triumfem i gdy wracam do tego meczu, widzę w sobie człowieka bezkompromisowego, który nie bał się niczego i nikogo. Myślę: „Wow! Ten dzieciak faktycznie był pewny siebie”.

Jako dziesięciolatek byłem wiecznie wystraszony, ale nigdy nie dałem tego po sobie poznać. Wychodziłem na mecz z myślą, że nie mogę odsłonić swoich lęków. Przedtem strach paraliżował mnie przed grą, ale dawałem radę. Wcale nie wyglądałem na zdenerwowanego. Czasem wracam pamięcią do meczów, gdy byłem w totalnej rozsypce, a jednak maska, którą zakładałem, sprawiała, że wyglądałem na najspokojniejszego człowieka na świecie. Dochodzę do wniosku, że to, co faktycznie czujesz, nie musi się wcale łączyć z tym, co jesteś w stanie zaprezentować. Zawsze zastanawiałem się, skąd się to bierze. Doskonale zdaję sobie sprawę, że moja pewność siebie była zainfekowana masą wątpliwości i żądzą bycia doskonałym, a jednak nikt tego nie zauważał.

Czasem mnie to frustrowało. Woląłem, by ktoś w końcu podszedł i powiedział: „Zdaje mi się, że sobie nie radzisz, Ron. To i to robisz źle”. Ale nikt nie był zdolny wejrzeć w głąb mnie. Każdy klepał mnie tylko po ramieniu i chwalił. Nieustannie słyszałem, że wyglądam świetnie, że gram genialnie i że wyglądam na spokojnego. Słuchałem tego i pytałem sam siebie: „Czy ci ludzie mnie okłamują?”. Nie chciałem, żeby mały Ronnie szarpał się tak jak ja.

Moje myślenie nie było jednak wyłącznie negatywne. Już w wieku dziesięciu lat wiedziałem, że snooker jest tym, czym chciałbym się zajmować w życiu. Na nic innego nie miałem czasu. Kochałem grać i rywalizować. Sama myśl weekendowego wyjazdu na turniej juniorów elektryzowała mnie od stóp do głów. Wielkie emocje wzbudzała we mnie każda wizyta w klubie i pojedynczy trening. Kochałem to. Nie sposób było odciągnąć mnie od stołu. Godziny mijały jak szalone, a ja zmieniałem jedynie kolejnych przeciwników. Nigdy nie chciałem przestać.

Dopóki nie wygrałem kilku turniejów, wyniki nie były ważne. Ale w wieku 12 lat

zarabiałem już 20 tysięcy funtów rocznie. Niewiarygodne, co? Przecież to więcej niż zarobki niektórych dorosłych. Byłem małym wybrykiem natury. Inni gracze nie mogli uwierzyć, że mam zaledwie 12 lat – byłem wysoki i już goliłem zarost. W wieku 14 lat miałem w pełni owłosioną klatę.

Te olbrzymie jak na ten wiek zyski zawdzięczałem triumfom w porządnym turniejach amatorskich. Wielu dzieciaków grywało w zawodach dla juniorów, gdzie stawka za zwycięstwo wynosiła 300–400 funtów. Ale w cyklu amatorów, gdzie regularnie wygrywałem, nagrody sięgały nawet dwóch i pół tysiący funtów. Grywałem tu i tu, więc z łatwością wyciągałem przyzwoitą sumkę.

Nie byłem lubiany wśród rodziców innych młodych graczy. Gdy patrzyli na drabinkę, często słyszałem komentarze w rodzaju: „O nie, mój syn znów zagra przeciwko niemu!”. Większość z tych meczów kończyła się masakrą. Łatwe 3:0 – bywało że przeciwnik nie wbił żadnej bili, a całe spotkanie trwało mniej niż półtorej godziny.

Nie miałem litości. Nie czułem żalu wobec swoich rywali. Instynkt kiltera zaszczerpił we mnie ojciec, później pielęgnował go Ray Reardon – nauczyłem się, by nie wypuszczać nikogo z potrzasku, wbijać kolejne gwoździe i wykańczać. Jeśli któryś z przeciwników prosił się o snookera***, już podczas uścisku dłoni należało okazać swoją wyższość – żadnych miękkich dłoni, lecz pewny chwyt i spojrzenie prosto w oczy. Takie zachowanie nie leżało w mojej naturze. To ojciec zasiał we mnie ziarno bezwzględności. Pamiętam, gdy raz witałem się ze starszą ode mnie dziewczyną. Ścisnąłem ją tak mocno, aż ryknęła z bólu.

W głębi duszy jestem raczej łagodnym człowiekiem. Ale ojciec modelował mój charakter, bym stał się taki, jakiego chciał we mnie widzieć. Podejrzewam, że gdyby nie nasza rozłąka, byłbym jeszcze bardziej bezwzględny. Ale gdy siedział za kratkami, odnalazłem prawdziwego siebie. Znów zacząłem przypominać człowieka, którym faktycznie byłem. Nie znajdowałem w sobie żądzę pokonania przy stole całej ludzkości. Po prostu czerpałem radość z gry. Nie czułem wcale potrzeby pokonywania barier, bicia rekordów, ośmiokrotnego wygrania mistrzostwa świata, wzięcia rewanżu z każdym, kto mnie pokonał. To nie w moim stylu. Pomimo to pozostała we mnie pewna doza bezwzględności. Wynika ona jednak wyłącznie z marzeń o byciu doskonałym przy stole.

Ojciec ma nas, snookerzystów, za trudnych ludzi. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jest wiele rzeczy, do których w ogóle nie przywiązuję wagi. Interesuje go tylko sukces, kocha wyłącznie zwycięzców. Messi jest bogiem, a reszta to frajerzy – na takiej zasadzie to działa. „Mówią, że jest wielki, a wcale nie jest. Kurwa, jest beznadziejny. Spójrz na niego – pizda, gówno. Gówno. Co oni w nim widzą? Przecież to góóównooo”. Zabawny jest w tych swoich tyradach. Prawdziwy „Janusz”. Słuchając go, niezależnie, czy ma akurat rację, czy nie, mogę obstawiać bez pudła, że obsmarowuje

któregoś z graczy Arsenalu lub Tottenhamu. Surowy krytyk. Przesiąkałem tą mentalnością od małego, ale nigdy nie stałem się taki jak on. Pozostałem cichy i wycofany. Nadal potrafię wyłączyć telefon na kilka dni, by nikt nie zakłócał mojego spokoju. Gdy potem odkrywam dziesiątki nieprzeczytanych maili i SMS-ów, nie wiem, co z tym począć. To mnie przeraża. Nienawidzę tego. Marzę, by moje życie było proste. Ale to nie jest możliwe – każdy chce mieć cząstkę mnie wyłącznie dla siebie.

Część przegrywających ze mną dorosłych doprowadzałem do szału, ale byli też tacy, którzy to uwielbiali. Pamiętam doskonale Marcela Gauvreau, Kanadyjczyka kręcącego się wokół 30. miejsca w światowym rankingu. Oglądałem go w telewizji, gdy docierał do ćwierćfinału Mercantile Credit Classic. Nie był na tyle dobry, by wygrywać turnieje, ale zawsze kwalifikował się do czołowej ósemki czy szesnastki. Gdy trafiłem na niego w 1/4 finału półamatorskich zawodów w Stevenage – naprawdę dużym wydarzeniu na 128 uczestników, z konkretnymi zawodnikami w drabince, między innymi ósmym na świecie Steve'em Jamesem – potraktowałem to jak spotkanie z legendą.

Zagrałem rewelacyjnie. Wygrałem 3:2, wbijając trzy duże – ponad 80-, 90- i 130-punktowe brejki. Gdy wygrywałem pierwszego frejma, poczułem, że idzie mi nieźle. Kiedy wyszedłem na dwufrejmowe prowadzenie, pomyślałem, że nawet jeśli przegram 2:3, to wrócę do klubu z podniesioną głową i będę mógł się chwalić, że urwałem dwie partie samemu Marcelowi Gauvreau. Ostatecznie zwyciężyłem 3:2, zdobywając swój pierwszy cenny skalp.

Po zakończeniu spotkania podszedł do mnie i krzyknął:

– Ej, ludzie, ten dzieciak jest niesamowity! Zrobił 130-punktowego brejka i dziewięćdziesiątkę. Kim jest ten mały sukinsyn?

Byłem wniebowzięty, bo poczułem, że swoją grą zrobiłem na nim wrażenie. Zachowywał się jak mój najzagorzalszy fan. Nie chciał dać mi spokoju. Pojawiał się na każdym półprofesjonalnym turnieju, w jakim brałem udział. Podchodził i obwieszczał:

– To jest ten dzieciak! To jest ten dzieciak!

Czasem zastanawiałem się, o co typowi chodzi: „Czy on oszalał?”. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co takiego wyjątkowego we mnie widział, ale byłem niezwykle wdzięczny za okazywaną mi przyjaźń. Chciałbym wiedzieć, gdzie się teraz podziewa i czym się zajmuje.

Marcel był jednak jednym z wyjątków. Większość dorosłych przeciwników nienawidziła stawać ze mną w szranki. Jeszcze większą złość wywoływały u nich moje zwycięstwa. Kierowały nimi złe instynkty, nastawieni byli wyłącznie na wyniki.

Wiem, że w sporcie najważniejsze jest zdobywanie trofeów, choć ja na pierwszym miejscu stawiam jednak ducha rywalizacji. Szczerze wierzę, że rywalizacja bez nagród pieniężnych byłaby uczciwsza i bardziej sportowa. Nasz świat byłby wówczas przyjemniejszy, choć dużo biedniejszy.

Większość starszych graczy dopadała zwykła zazdrość. Kilku z nich wisiałem kasę. Między innymi Nicky'emu Lazarusowi, którego ojciec, Mark Lazarus, grał w piłkę w Queens Park Rangers. Prawdziwa rodzinka z jajami mieszkająca w Romford. Pożyczyłem od niego dychę, bo przegrałem wszystko na automatach. Bałem się go panicznie, więc podczas turniejów unikałem go jak ognia. Był z 20, może 10 lat starszy ode mnie, ale wyróżniał się z całej stawki. Dobry zawodnik.

Któregoś dnia wreszcie mnie dorwał.

– Oddawaj, kurwa, moją kasę! Myślisz, że możesz mnie wydymać, ale mój ojciec zna więcej skurwieli z miasta niż twój.

Prawie zesrałem się ze strachu, a przecież chodziło o głupią dychę. W rzeczywistości chodziło jednak o to, by pokazać, kto jest ważniejszy, kto w tym stadzie jest samcem alfa.

Do niczego bym nie doszedł, gdyby nie ojciec. Bez niego od razu władowałbym się w jakieś tarapaty, został odsunięty od gry. Tata potrafił mnie karać, ale robił to sprawiedliwie – był w tym dobry. Dzięki niemu nie musiałem się niczym przejmować. Skutecznie spławiał ludzi, którzy chcieli się mną zająć, wysyłając im sygnał, że sami doskonale sobie radzimy. Jednocześnie prosił wszystkich, by zwracali na mnie uwagę.

– Jeśli zaczniesz się źle zachowywać, od razu macie mi powiedzieć – tłumaczył.

No i donosili, bo stary wiedział o każdym moim wybryku.

Już jako ośmiolatek grałem na maszynach i przeklinałem. Gdy podczas treningu w klubie zepsułem zagranie, w eter szła wiązanka bluzgów.

– Pierdolona pizda, pierdołę to! – wrzeszczałem, tłukąc kijem o podłogę.

To było straszne. Przeżywałem każde nieudane zagranie. Nienawidziłem pudłować, więc gotowałem się w środku i uzewnętrzniałem swoją złość. Gdy miałem dziesięć lat, wyrzucili mnie za z klubu Pontins. Oczywiście ojciec szybko się o tym dowiedział.

Innym razem, gdy uciekałem przed jakimś Eddiem Manningiem, rzuciłem szklanką z colą o podłogę. Nie chciałem nikogo trafić – zrobiłem to, by przestał mnie gonić. Manning był zawsze opalonym, agresywnym chłopaczkiem z Leicester. Mówili na niego Szybki Eddie. Lubił pomiatać innymi i najwyraźniej widział mnie w grupie swoich ofiar. Gdy zaczął mnie szturchać i obrażać, wkurzyłem się. Obląłem go colą, którą miałem w kuflu. Usłyszałem tylko: „Ty kurwo” i po chwili uciekałem w popłochu. Nadal miałem w rękach szklankę, więc huknąłem nią o ziemię. Ta rozprysła się na kawałki. Uznano, że z premedytacją celowałem nią w starszą kobietę, która była na sali, co oczywiście było nieprawdą, i mnie zawiesili.

Mimo że wciąż pakowałem się w kolejne kłopoty, ojciec był dla mnie oparciem. Był twardy i surowy, potrafił zdobyć posłuch. Gdy dostawałem karę, dokładnie wiedziałem za co. Potrafił upokarzać mnie na oczach matki, dziadka i jego przyjaciół. Przed wszystkim słownie. Gdy wywalili mnie z Pontins, odwiedził Marka Kinga, który też jest snookerzystą, i jego ojca Billa. Poprosił, by ten zabrał mnie na wakacje. Zapłacił za

wszystko i powiedział:

– Opiekuj się nim i dopilnuj, by nie rozrabiał. Jeśli zacznie, po prostu daj mi znać.

Wyjechaliśmy, a w tym czasie zostałem zawieszony.

Ale gdy stanęliśmy przed komisją dyscyplinarną, z raportu sędziego Johna Williamsa wynikało, że kilka dni wcześniej Bill King sam nawoływał do „zrobienia porządku z wygłupiającym się Ronniem”. Okazało się, że facet, który miał się mną opiekować, donosił na mnie. Ojciec zaprosił Kingów do siebie, by wyjaśnić sprawę. Mark wytłumaczył mu, że nie cieszę się dobrą opinią i ludzie na każdym kroku powtarzają, że „mam niewyparzoną gębę”. Widząc reakcję ojca, wiedziałem, co się święci – gdy tylko goście zamkną za sobą drzwi, czeka mnie spotkanie z różgą.

Ostatecznie użył kaptura, ale i tak przez kilka kolejnych dni nie mogłem usiąść na dupie. Stary, dobry sposób na ustawienie mnie do pionu. Nie sądzę, by takie wychowanie czyniło mi jakąś krzywdę.

Przez snookera i fakt, że rodzice rzadko bywali w domu, szybko stałem się niezależny. Czasem byłem zdany wyłącznie na siebie. Od kiedy skończyłem 11 lat, dostawałem pieniądze na podróże i inne wydatki. Wiele dzieciaków podróżowało na turnieje z rodzicami, nawet jeśli mieli już 17 czy nawet 18 lat. Ja musiałem radzić sobie sam. I kochałem to. Mogłem wtedy grać na maszynach, wydawać kasę na głupoty. Gdy szybko odpadałem, miałem cały weekend na szwendanie się ze starszymi kumplami. Mogłem się wyszumieć i korzystałem z tego.

Nic więc dziwnego, że coraz mniejszą uwagę poświęcałem szkole. Ostatecznie opuściłem ją – nie podszedłem do egzaminów. Musiałem żyć w zgodzie z nauczycielami, którzy wyraźnie byli zaciekawieni moją osobą i tym, co robię. Gdy miałem dziesięć czy 11 lat, dyrektor szkoły, pan Challon, usłyszał, że za wygranie jednego z turniejów zgarnąłem 450 funtów. Nie mógł uwierzyć.

– Ronnie, czy to prawda, że wygrałeś 450 funtów na turnieju bilardowym? – zapytał.

– Tak.

– A czy mógłbyś przynieść puchar i czek? Chciałbym je zobaczyć. – Zdecydowanie bardziej zależało mu na czeku.

Gdy wróciłem do domu, zapytałem matki, czy mogę zabrać do szkoły wspomniane puchar i czek. Wyjaśniłem, że poprosił mnie o to ciekawski dyro.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała z uśmiechem.

Spakowałem je do torby i następnego dnia stawiałem się w gabinecie dyrektora. Czekał na mnie w towarzystwie kolegi.

– No, pokaż to trofeum!

Dumnie wyjąłem statuetkę.

– Świetna robota! Naprawdę świetna robota!

Lubiłem pana Challona. Zresztą czułem poparcie całego grona pedagogicznego.

Każdy z nauczycieli zdawał sobie sprawę, że jestem sfiksowany na punkcie snookera, i dopóki nie odpuszczałem zajęć, przepychali mnie do następnych klas, nie zmuszając do zdawania egzaminów.

Rosłem na samotnika. Nie miałem starszego brata czy siostry. Większość przyjaciół była moimi rówieśnikami. Jedynie George'a, mojego najlepszego kumpla, traktowałem jak brata. Jego pasją były komputery. Dziś projektuje strony internetowe dla klubów piłkarskich. Nie było w szkole większej przyjaźni od naszej. Staliśmy się niemal nierozłączni. Nie lubił snookera. Jego pasją była piłka nożna, ale był takim samym dziwakiem jak ja. Miał niezwykle umięśnione nogi, doskonale grał na skrzydle, a gdy pakował piłkę do siatki, nikomu nie mieściło się w głowie, że ma zaledwie 12 lat. Miał sylwetkę dorosłego faceta.

Ojciec zawsze pragnął, bym zrobił wielką karierę. Od początku wbijał mi to do głowy i starał się, bym obrał odpowiednią drogę. Próbował zakrzewić we mnie cechy odnoszącego sukcesy sportowca. To mądry facet i dokładnie wiedział, co robi. Dorastałem wśród dzieci, których rodzice wciąż powtarzali: „Mój synek to, a moja córeczka tamto”. Tato nigdy nie prawił mi komplementów, nie chwalił mnie. Nigdy nie powiedział: „Dobra robota, młody”. Zdarzało się nawet, że radziłem sobie bardzo dobrze, a i tak mnie krytykował. Koniec końców przestałem się tym przejmować. Mało tego, uważam, że takie wychowanie pomogło mi nabrać dystansu do pewnych spraw – „zdobyłeś mistrzostwo, ale to już historia. Zostaw to za sobą i skup się na kolejnym wyzwaniu”. Dla sportowców to odpowiedni model myślenia. Ojciec nigdy nie dopuścił do tego, bym myślał o sobie jako o mistrzu i osiadł na laurach. Bardzo wcześnie wypleniał ze mnie próżność.

Zapewne chciał ulepić ze mnie taki model sportowca, którym sam pragnął zostać. Marzył, by zostać profesjonalnym piłkarzem. Nie wiem dlaczego mu się nie udało, bo talent miał nieprzeciętny. Być może nigdy nie spotkał na swojej drodze mentora, którym sam potem się stał. Swoją rolę odegrało też lenistwo, więc był niezwykle zdeterminowany, bym ja nie popadł w gnuśność. Doskonale rozumiał, że jeśli mam odnosić znaczące sukcesy, muszę zacząć treningi w bardzo młodym wieku.

Już jako dzieciak analizowałem swoją grę chłodniej niż niejeden dorosły amator, przeciwko któremu grałem. Większość z nich miała od 18 do 20 lat. Od 10 lat trenowali w klubie i nie darzyli mnie wielką sympatią. Przez swoje leniwe podejście nie mieli szans zaistnieć. Gdybym posiadał taką mentalność jak oni, też bym przepadł. Potrzebne mi było przeświadczenie, że moim celem nadrzędnym jest zostać czołowym graczem.

Rola matki w moim rozwoju jako snookerzysty była znikoma. Co innego, jeśli chodzi o prowadzenie domu. Dzięki niej mieliśmy co jeść i żyliśmy w czystym otoczeniu. Ona miała swoje życie. Gdy ojciec był w okolicach trzydziestki, dzięki temu, że miał swoją firmę, w zasadzie nie musiał już pracować. Wymarzona sytuacja, biorąc pod uwagę jego leniwą naturę. Opowiadał, że spał do południa, a koperty z wypłatą

same trafiały pod drzwi. Śmiał się, mówiąc, że „nasłuchiwał ich i gdy nie były na tyle ciężkie, by spowodować huk po kontakcie z podłogą, dzwonił do swoich pracowników i opierniczał ich za to, że kiepsko pracują”. Jego zadaniem było kontrolować wpływy i strofować podwładnych. W wieku 30 lat został rentierem.

Gdy miałem 14 lat, zaordynował mi pierwszy poważny reżim biegowy. Zawarliśmy prostą umowę – jeżeli będę traktował snookera i formę fizyczną poważnie, jeżeli rozwinę samodyscyplinę, to dostanę pozwolenie na rzucenie szkoły w wieku 16 lat. Musiałem jedynie udowodnić, że nie stracę zapału i będę w stanie utrzymać ten rygor przez kilka lat.

– Ronnie, jeśli chcesz odpuścić szkołę, musisz zacząć żyć według tego schematu – codziennie rano trzy mile biegu, później powrót i prysznic. Punkt 10.30 stawiasz się w klubie. Wracasz punktualnie o 17.30. Od 18.30 do 19.00 jesz kolację i nie kładziesz się spać później niż o 21.00.

Nie podobał mi się ten pomysł. Mimo to podjąłem wyzwanie.



Ronnie O'Sullivan jest autorem najszybszego maksymalnego brejka w historii

MAMA I TATA: HISTORIA PRAWDZIWA

86. miejsce w stawce 300 biegaczy w zawodach ligi biegów przełajowych. Sporo do poprawy.

Gdy ojciec trafił za kratki, załamane się. Miałem 17 lat, byłem już profesjonalistą i właśnie zaliczyłem serię 74 zwycięstw w 76 meczach. Dodatkowo zakwalifikowałem się do mistrzostw świata, czując, że mam szansę w nich zamieszać. Byłem młody, ale niezależny, więc starałem się wyrzucać z głowy wszystko, co złe. Tym razem okazało się to niemożliwe. Trudna sprawa. Zanim ojciec został aresztowany, nie czułem zagrożenia nadchodzącej katastrofy. Byłem zajęty snookerem, większość czasu spędzałem w pokoju, w ogródku, gdzie miałem stół, i salach treningowych. Nie byłem więc świadomy sytuacji, jaka nastąpiła. W domu zaczęli się pojawiać różni ludzie, a ojciec z matką coraz więcej czasu spędzali na imprezach.

Nie dostrzegałem zagrożenia, bo świat, do którego należeli, był jednym wielkim show. Większość jego członków – dziennikarze tabloidów, bokserzy, inni sportowcy – baluje i pije. Ciągłe słyszy się o piłkarzach kręcących się wokół celebrytów. Wpadasz w to towarzyszo, ono cię wsysa i katastrofa gotowa. Łatwo zapomnieć, że ma się rodzinę, dzieci i zatracić system wartości.

Sam prowadziłem taki styl życia. Patrzyłem na ojca i podziwiałem go. Myślałem, że tak wygląda szczęśliwa codzienność – nie musiał pracować, miał mnóstwo przyjaciół i bogate życie towarzyskie. Kiedy więc go zabrakło, uznałem, że zapełnię po nim lukę w tym środowisku. Miałem wrażenie, że tak właśnie żyją ludzie sukcesu. Chciałem być jak tata, więc przez kilka lat żyłem jak on, aż ostatecznie trafiłem na odwyk. Poszedłem tą drogą, ponieważ wydała mi się naturalna. Ale krocząc nią, nie czułem się dobrze. Rodzice wracali późno albo o świcie, balowali, grillowali, ale pasował im taki styl życia – mnie nie.

Czasem patrzyłem na tych wszystkich ludzi wokół, rozglądałem się po miejscach, w których przebywałem, i zastanawiałem się: „Co ja tu właściwie tu robię?”. Szedłem do łazienki, patrzyłem w lustro i mówiłem, że czas uciekać. Czułem do siebie taką odrazę, że zamawiałem taksówkę i wracałem do domu. Bujałem się z palantami

z Chigwell, którzy nie potrafili nic innego poza ćpaniem i pieprzeniem głupot; nic tylko przechwalali się swoimi kryminalnymi historyjkami. Łaziliśmy do knajpy Charlie Chans i do klubu country w lesie Epping. Szwendaliśmy się po West Endzie, zbijając baki. Nigdy nie pasowałem do tego parszywego świata. Zawsze powtarzałem sobie: „Ron, skończ z tym. Tylko wydaje ci się, że jest fajnie, bo każdy w tym gównianym gronie sprawia wrażenie, jakby doskonale się bawił”. Ale i to nie przynosiło skutku.

Nie rozumiałem – mimo że ojciec wbijał mi to do głowy – że aby stać się dobrym sportowcem, trzeba być zdyscyplinowanym. Wierzyłem, że całe to gówno nie przeszkodzi mojej karierze. Myślałem, że każdy tak żyje. Dopiero później zrozumiałem, że to, co robiłem, nie było normalne. Prawdziwe szczęście dawały mi bieganie, gra w snookera, spokojne życie bez ekscesów, wypadki na chińszczyznę czy kebaba.

O zatrzymaniu ojca dowiedziałem się podczas pobytu w Tajlandii. Środek nocy. Telefon od matki. Czuję, że stało się coś złego. Ale że aż tak...?

– Tatuś został aresztowany – powiedziała. – Pilnuje go teraz policja. Brał udział w bójce, w której zginął jakiś człowiek.

Byłem w szoku. Wybuchłem płaczem. Okazało się, że ojca aresztowano tydzień wcześniej, ale matka nie chciała mnie tym obarczać podczas mistrzostw świata amatorów. Poza tym była przekonana, że to pomyłka i sprawa szybko się wyjaśni. Wierzyła, że zanim wrócę do domu, wszystko się unormuje. Było jednak wiadomo, że prasa nie odpuści, więc Barry Hearn przekonał matkę, że lepiej będzie, jeśli dowiem się tego od niej niż z gazet. Gdy wypowiedziała te słowa, mój świat runął. Czuję się, jakby ktoś mnie wypatroszył.

Wcześniej ojciec nie pakował się w żadne kłopoty, nawet mimo tego, że pracował w branży pornograficznej. Gdy wyznaczono kaucję, uwierzyłem, że wszystko skończy się dobrze – gdyby był winny, nie dostałby szansy na wyjście. Przecież nie ryzykowałiby jego ucieczki, jeśli mieliby pewność, że to on był sprawcą. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że to nie było morderstwo, że ojciec miał po prostu pecha, znajdując się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Kłamały.

Ojciec nie przyznawał się do zabójstwa Bruce’a Bryana, kierowcy Charliego Kraya – gangstera z East Endu. Mało tego, twierdził, że wcale nie zaatakował go nożem. Dziś, gdy sprawa została wyjaśniona, wiemy, że tamtej feralnej nocy był w jednym z nocnych klubów w Chelsea i zadźgał faceta, po czym zaatakował jego brata. Powinien był się uderzyć w pierś i przyznać do winy. Myślę, że dostałby wówczas kilka lat za zabójstwo w afekcie. Jak się jednak okazało, ojciec pokłócił się z kolegami o to, który z nich zapłaci rachunek (każdy z nich chciał to zrobić, więc nie mogli się dogadać...). Bracia Bryanowie nie zrozumieli całej sytuacji i postanowili wymigać się od płacenia. Doszło do potężnej awantury. Ojciec odciągnął ich na stronę, próbując załagodzić sytuację, ale wtedy jeden z nich chwycił za leżącą obok popielniczkę i zamachnął się, by rozbić ją tacie na głowie. Tato próbował się bronić –

podniósł ręce, zasłaniając się, i ostatecznie dostał w dłoń. Urwało mu dwa palce. Po chwili sięgnął po znajdujący się po drugiej stronie baru nóż. I stało się.

Prokurator namawiał go do przyznania się do winy w zamian za niższy wyrok, ale nie chciał słuchać. Był głupi, uparty jak osioł. Nie słuchał rad prawników, trwał przy swojej wersji. Był przy tym niezwykle zacięty. Nie rozumiałem wtedy działania organów prawa i tak naprawdę nie zdawałem sobie sprawy ze znaczenia jego postawy. Opowiadano mi o ludziach, którzy popełniali gorsze zbrodnie, a wychodzili z paki po kilku latach. Pytałem: „W jaki sposób?”. Zwyczajnie – szli na układ z sądem, w większości przypadków przyznając się do winy. A on nie chciał. Jezu, facet przesiedział za kratami 18 lat, bo trwał przy idiotycznej wersji, że tamtego dnia nie było go nawet w tym barze. Oszalał.

Ostatecznie sąd potraktował go możliwie najsurowiej, interpretując jego zbrodnię jako morderstwo na tle rasowym. Nonsens – tata miał wielu czarnoskórych przyjaciół. Ale okazało się, że facet zginął tylko dlatego, że był czarny. Dziś ojciec nie może sobie wybaczyć, że odebrał życie drugiemu człowiekowi i wyrządził tyle bólu jego rodzinie.

Na szczęście radziłem sobie ze snookerem. To pozwoliło mu wytrzymać. Moja gra towarzyszyła mu przez cały okres odbywania wyroku. Wciąż siedział na telefonie i sprawdzał – co robię, z kim trenuję i jak spędzam czas. Więzienie nie zepsuło naszych relacji. Rzecz jasna odebrało mu domowy dyktat – już nie mógł pukać do drzwi mojego pokoju i sprawdzać, co robię – ale mojego szacunku wobec jego osoby nie zmniejszyło. Nadal nie chciałem przynosić mu wstydu lub wkurzać go swoją grą.

– Za każdym razem, gdy oglądam cię w telewizji, czuję się jak na widzeniu – mawiał.

Wiedząc, że moja kariera jest teraz najistotniejszą częścią jego życia, nie mogłem przestać grać. Snooker w moim wykonaniu stał się istotą jego istnienia.

Nie mogłem sobie wymyślić lepszej motywacji. Snooker dodawał mu sił. Nawet gdy zsyłano go do bloku przeznaczanego dla najgroźniejszych przestępców, myślami był ze mną. Mógł chodzić i mówić: „Wiecie, właśnie rozpoczyna się UK Championship. Mój syn tam będzie. Da radę”. Przeżywał to tak jak ja. Był ze mną myślami. A ja byłem myślami z nim. Wiedział, że gdy wyjdzie, będzie z moim życiem na bieżąco. Tak właśnie snooker stał się sensem naszego życia. Czasami myślę, że gdyby ojciec nie trafił za kratki, dawno straciłbym chęć do gry.

Bardzo często próbował mnie przekonać, że więzienne życie ma swoje zalety.

– Jest fantastycznie: trzy posiłki dziennie, sporo ćwiczeń, dużo oglądania telewizji, czytania gazet. Genialnie – tłumaczył. – To więzienie wcale nie jest takie straszne.

Ściemniał. Cierpiał z powodu naszej rozłąki, szczególnie przez pierwsze dziesięć lat odbywania wyroku, gdy przez niewyparzony język pakował się w przeróżne kłopoty. Fakt, że był z dala od rodziny, zabijał go. Pewnego dnia wreszcie to przyznał.

– Widzisz, Ronnie, mój problem polega na tym, że ja nie potrafię odbyć tej kary.

Nie umiem jej zaakceptować. Te kłótnie z klawiszami, ze wszystkimi – to efekt mojej frustracji. Zmarnowałem swoje życie. Straciłem żonę, dzieci, biznes, wolność. Te wszystkie problemy, które tu sprawiam, to nie jest wyraz mojej pewności siebie. Wręcz przeciwnie – to odruch obronny.

To wyznanie mnie poruszyło. Wcześniej miałem wrażenie, że mnie nie słucha, nie traktuje poważnie, ale było ono błędne.

– Osiem czy dziewięć lat przed końcem odsiadki powiedziałaś mi, że czas zwolnić, że wszystko gra. Dopiero wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. Uspokoilem się, przestałem stawać w opozycji do wszystkiego. Dzięki temu mam szansę wyjść wcześniej.

Bardzo dużo czasu zajęła mu nauka rozmowy z ludźmi, odpowiedniego podejścia do innych. Ale gdy w końcu się przełamał, wszystko stało się dużo prostsze.

– Zrozumiałem, że nie można sprawiać, by ludzie czuli się przy tobie nieswojo. Jeśli chcesz, by ktoś coś zrobił, trzeba go do tego przekonać, a nie rzucać rozkazy. Poznałem tutejsze zasady – nie wychodzi się z celi w adidasach, koszulce na ramiączkach i czapce, bo wtedy możesz sprowokować jakiegoś zabijakę do bójki. Ale w więziennym uniformie i japonkach dajesz sygnał, że nie szukasz kłopotów. Zauważyłem to dopiero po pewnym czasie. Każdy chojrak w pewnym momencie zaliczy wpierdol. Ja chojrakowałem niemal cały czas, ale potem zmądrzałem. Zacząłem czytać. Głównie podręczniki psychologii.

Nawet dziś, już na wolności, zdarza mu się rzucić: „W tym więzieniu naprawdę bywało miło”. Słucham tych opowieści i myślę sobie, że wcale nie było tak przyjemnie, jak mu się wydaje. Wspominał na przykład strzelanie z petów na odległość i wielką ekscytację, gdy jednemu z nich udało się pobić rekord.

– Po dziesięciu dniach na bloku już nic się nie liczy. Czas po prostu leci. Przestajesz dbać o wygląd, nie myjesz zębów, zabierają ci telewizor i gazety. – Gdy to opowiadał, w jego głosie pobrzmiwała nostalgia. – Podarłem wszystkie zdjęcia. Nawet twoje. Jeśli nie masz pamiętek, nikt ci ich nie zniszczy, chcąc zagrać na twoich uczuciach. Zaciskasz zęby i wyrzucasz to z głowy. Jeśli potem wychodzisz i cieszysz się z tego faktu, znaczy, że dałeś radę.

Tak wyglądał ich test odporności. Potrafię zrozumieć jego radość związaną z tym, że przetrwał, ale sam wolałbym spędzić najgorszy dzień na wolności niż doskonały tam – za kratami.

Przez pierwsze dziesięć lat odsiadki był buntownikiem. Nigdy nie akceptował panujących w zakładzie zasad i nie kłaniał się pracownikom służby więziennej. Zawsze na zasadzie: „Robię, co mi się podoba, więc albo to uszanuj, albo spadaj”. Twardo obstawał przy swoim, walczył o należne mu miejsce w szeregu, ale swoją reputację zbudował, opiekując się innymi. Pomagał nowym, przekazując im liczne rady: „Rób to i to, a o tym i o tym nawet nie myśl, a będzie w porządku”. Po tym jak wyrobił sobie

pozycję, wszystko zaczęło się układać. Nie miał zwyczaju znęcać się nad innymi. Ludzie podkreślali, że zawsze mogli na nim polegać.

Handlował kartami telefonicznymi. Gdy zauważył u kogoś fajny T-shirt, proponował mu za niego 20 kart. Tak dokonywał transakcji. Kupował je, sprzedawał i, przede wszystkim, używał ich, by dzwonić do nas, do domu.

Gdy ktoś wysłał mu pieniądze, od razu kupował za nie karty – głównie od tych więźniów, którzy nie mieli do kogo dzwonić, woleli więc gotówkę, by wysłać ją do matek czy siostr. Zwykł mawiać: „Mam tutaj karty każdego z więźniów i gównem mogą mi zrobić”.

Zawsze był bardzo towarzyski – to prawdziwy gawędziarz. Za każdym razem gdy do kogoś dzwonił, nie kończyło się na szybkim „cześć” i „do widzenia”. Jego rozmowy trwały pełne 20 minut – do wykorzystania karty. Gdy dzwonił do mnie do Tajlandii, wyczerpał ich 40. Kiedy klawisze zauważyli, co się dzieje, za karę znów trafił na blok.

Handel kartami stał się tam prawdziwym biznesem. Ojciec miał produkt i ludzi, którzy dla niego pracowali – tak jak w sklepie: „Macie tu adresy, sprzedajcie tam kilka funciaków. Tony, rozprowadź je tu, a ty, Darbo, tam”. W grę wchodziły naprawdę spore sumy.

Jeden z więźniów, którego nazywano Dyrektorem Ronem, kupował wszystko, co chciał – koszulki, dzinsy, nawet radia. Ojciec lubił z nim robić interesy, bo oszczędzał dzięki niemu czas. Gdy Ron zauważył coś, co mu się podobało, od razu wymieniał to za karty.

Więzienie przepełniało mnie grozą. Ale przyzwyczailem się do niego do tego stopnia, że zacząłem je traktować jak drugi dom. Dom zły. Nienawidziłem tych ścian i ludzi. Zawsze gdy odwiedzałem ojca, czułem się osaczony. Pułapka na samym krańcu świata – czarna rozpacz, kres wolności, ślepa uliczka. Koszmar.

W kilku innych więzieniach zorganizowałem mecze pokazowe. Tam, gdzie przebywał ojciec, było to niemożliwe. Przyjęto by to za objaw faworyzowania, więc zrobiłem to dla jego kolegów siedzących w innych zakładach. Pewnego razu zagrałem dla młodych przestępców z Doncaster. Gdy oprowadzano mnie po wszystkich zakątkach więzienia, w szok wprowadziła mnie panująca tam cisza. Podczas śniadania żaden ze skazanych nie pisnął nawet słowa. Dziwne. Z kolei w innych był taki harmider, że myślałem, że przebywam w domu wariatów.

Jedną z „pokazówek” zagrałem przeciwko Jimmy’emu White’owi w Wormwood Scrubs. Jimmy miał tam sporo kumpli. Uwielbiali go, ale ja czułem się tam jak świeżo osadzony. Przypomniała mi się wówczas scena z filmu *Hołota*, w której Ray Winstone okłada innego więźnia bilą schowaną w skarpetce. Muszę przyznać – bałem się cholernie. Nigdy nie masz pewności, co się za chwilę wydarzy. Charles Bronson rzuciłby: „Hej, oto moja następna ofiara!”. Nie myślcie, że robiłem to po to, by trafić na pierwsze strony gazet.

Ale gdy już stanąłem przy stole, wszystko się zmieniło. Wzbudziłem pozytywne emocje, otrzymałem od więźniów olbrzymie wsparcie. Poczułem, że nie gram jedynie dla ojca, ale dla całego tego środowiska – dla każdego, kto w tamtym okresie siedział w mamrze.

– Gdy zdobyłeś swoje pierwsze mistrzostwo świata, wszyscy więźniowie zaczęli tłuc pięścią w drzwi – opowiadał ojciec.

Gdy to usłyszałem, nie wiedziałem, jak zareagować. Traktowali mnie jak jednego ze swoich. Czuli, jakbym to zrobił dla nich. Przez kilka następnych tygodni – nawet miesięcy – całe skrzydło, w którym przebywał tata, świętowało mój triumf. Na wiele dni stał się tematem numer jeden. I to w całym więzieniu.

Jimmy zagrał w Scrubs znakomity mecz, ale on zawsze jest genialny. Wszyscy go kochają – ma w sobie wdzięk. Każdy chciałby być taki jak on. Facet pasuje wszędzie. Nawet tutaj, po zaledwie godzinie gry, porwał tłum. Ten siedział dość daleko od stołu – nie wiem, czy ze względów bezpieczeństwa, czy tak po prostu.

Więźniów było znacznie więcej od klawiszy i podejrzewam, że gdyby chcieli, roznieśliby to miejsce w pył i spokojnie by uciekli. Myślałem przez chwilę, że mój dobry uczynek może się stać okazją do rozróby, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Byłem szczęśliwy, mogąc wystąpić przed taką publicznością.

Im bardziej się angażujesz w życie więźniów, tym częściej zaczynasz dostrzegać fakt, że wielu z nich to dobrzy ludzie. Na drugą stronę barykady pchnęło ich złe wychowanie, braki w edukacji lub po prostu środowisko, w którym przyszło im żyć. Nie zrozumcie mnie źle: owszem, wielu z nich to zwykli szaleńcy, którzy na wolności stanowiliby zagrożenie, ale część to pechowcy, którzy podjęli w swoim życiu jedną głupią decyzję.

Mnie łamanie prawa zwyczajnie przeraża. Pewnie ma na to spory wpływ to, co stało się z mamą i tatą. Nie lubię pakować się w tarapaty. Nawet pojedynczy niezapłacony rachunek za gaz wzbudza we mnie atak paniki – sprawia, że zaczynam wyglądać za komornikiem.

Dlatego w wielką histerię wpędzał mnie Word Snooker, który ścigał mnie za każdy odpuszczony turniej. „Naruszyłeś to prawo, złamałeś tamto, nie wierzymy, że masz mononukleozę, potrzebujemy zaświadczenia innego lekarza, tamto się nie liczy, mamy swojego, niezależnego doktora, który musi cię zbadać”. Doszło do tego, że panicznie bałem się spotkań z władzami federacji. Czułem się jak zwierzyna podczas polowania, dlatego w pewnym momencie uznałem, że kończę z grą. Zrozumiałem, że coś, co powoduje tak duży stres, nie jest mi w życiu do niczego potrzebne.

Swoją rolę odegrała też walka o dzieci. Oddałbym co tylko mam, by móc jej uniknąć. Wszystkie te rzeczy sprawiły, że chciałem po prostu uciec. Stąd też decyzja, by przez rok nie wychodzić z domu, zająć się bieganiem, gotowaniem, wieść życie pustelnika. Gotowanie stało się moją pasją, szczególnie gdy przyrządzałem ostre dania

kuchni indyjskiej lub chińskiej. Sporo w tej kwestii nauczyli mnie Django i Damien Hirst. Gdy przestałem grać, prawnicy przestali się mną interesować. Ich postawa zmieniła się w myśl zasady: „Nie gra, więc nie zarabia. Nie zarabia, więc nie jest już nam potrzebny”.

Nie jestem stworzony do kłótni. Wiem, że moje życie zostało zbudowane na konfliktach, ale nie sądzę, bym to ja je wywoływał. Nie jestem taki. Nie potrafię też cierpieć. Cierpienie mnie zabija – i to powoli. Brak swobody sprawia, że zaczynam uciekać. Czasem czuję się stłamszony – często przez ludzi, którzy mają mnie głęboko w dupie (prawników, cwaniaków, niektórych menedżerów), a czasem przez tych, którzy szczerze mnie kochają. Moje życie to ciągły bieg. Ucieczka. Przed adwokatami, fałszywymi przyjaciółmi, agentami. Przed działaczami z World Snooker, a nawet przed rodziną. Uciekam od wszystkich i od wszystkiego.

Bywają dni, gdy czuję się bardzo samotny. Wtedy potrzebuję bliskości mojej mamy. Jadę więc do niej i przez pierwsze kilka tygodni jest wspaniale. Ale potem zaczyna mnie irytować, a i ja gram jej na nerwach. Dla przykładu, nie używa gorącej wody, by zaoszczędzić na rachunkach. Po tygodniu zamarzania zaczynam myśleć o powrocie do siebie. Potem marzy mi się ucieczka do ojca, bo matka stale wtrąca się w moje życie. W głowie znów kołaczą się myśli o zrobieniu sobie przerwy, o wyjeździe do Sheffield, gdzie w spokoju mogę pobiegać i pograć w snookera. Za każdym razem, gdy chcę uciec, wybieram się na północ. Tam ludzie są bardziej uprzejmi i nie uczestniczą w wyścigu szczurów. „Napij się herbatki, brachu!” – za każdym razem, gdy to słyszę, wiem, że jestem w dobrych rękach.

W moim przypadku to klasyka – nie umiem z moimi bliskimi żyć, ale bez nich też nie potrafię. Jako rodzina nie możemy być już bliżej siebie. Sam fakt, że wszyscy mieszkamy w promieniu jednego kilometra, mówi sam za siebie. Mama, tata, ja i Danielle – każdy w swoim domu, ale wszyscy w Chigwell. Dzieli nas zaledwie kilka ulic.

Przy ojcu zawsze czułem, że gramy do jednej bramki, ale to z matką – z wiadomych przyczyn – zżyłem się mocniej. Gdy ojciec trafił do pudła, a Danielle była jeszcze małą dziewczynką, dzielnie spełniała się jako samotna matka. Katastrofa nastąpiła, gdy skończyłem 19 lat.

Jak na ironię, bolesne informacje znów dotarły do mnie, gdy przebywałem w Tajlandii. Tym razem zadzwonił kumpel.

– Ron, nie mam dobrych wieści.

– Co się stało?

– Twoja mama trafiła do aresztu. Zatrzymali ją za oszustwa podatkowe.

– Powiedz mi, że żartujesz...

– Niestety nie. Danielle jest z nami, a twoją matkę trzymają na komendzie przy Lime Street.

Nie mogłem w to uwierzyć. Śledztwo przeciwko mamie rozpoczęło się chwilę po tym, jak ojciec usłyszał wyrok. Obserwowali nasz dom przez 18 miesięcy, później dokładnie go przetrzepali i znaleźli to, czego szukali. Myślałem, że to jakiś rodzaj zemsty, że skoro dorwali ojca, teraz zniszczą resztę rodziny.

Czysty obłąd. Wszyscy powtarzali mi, że nie mogą jej wsadzić, ponieważ ma dwójkę dzieci, a jedno z nich jest jeszcze niepełnoletnie. Poza tym regularnie opłacała VAT. I nagle bum! Mama trafia do więzienia. Byliśmy w sądzie podczas rozprawy. Do dziś nie mam pojęcia, na czym polegała jej wina.

Było mi jej żal. Siedząc na ławie oskarżonych, pełna odwagi patrzyła, jak płacę. Duża, silna dziewczyna. Nie okazała ani krzty emocji.

Ojciec był silniejszy fizycznie, za to matka – żyjąc w męskim świecie – stała się niezwykle odporna psychicznie. Gdy wyszła, zmieniła się. Zrozumiała, że musi być twardsza. Zauważyłem, że przez ostatnich dziesięć lat zaszła w niej spora przemiana. Kiedyś była synonimem życzliwości – nawet przesadnej – dziś nie znajduje miejsca na pierdoły. Gdy zabrakło ojca, stworzyliśmy bardzo silną drużynę, ale pozostaliśmy niezależni. Ona miała swoje sprawy, a ja swoje.

Dawniej odnajdowałem w niej silną chęć niesienia pomocy. Później ta wola zanikła. I doskonale rozumiem dlaczego. Zwyczajnie miała dość skakania wokół mnie i ojca. W końcu zrozumiała, że musi się zająć sobą – własnym interesem, czasem własnym wypoczynkiem. Od tamtej pory byłem zdany wyłącznie na siebie.

To dla mnie uzasadnione podejście. Z pełną świadomością postanowiła być bardziej egoistyczna niż kiedyś. Znudziło ją życie samotnej matki dbającej wyłącznie o dobro innych. „Czas zająć się sobą”, pomyślała. Rozumiem ją. Przez ostatnie lata dzieci były dla mnie ważniejsze od kariery, ale nie jest to sposób na życie, które polecałbym innym. Nigdy nie rób czegoś tylko dlatego, że tak wypada. Dziś – mądry po fakcie – wiem, że nie powinienem był przerywać kariery. Wszystko i tak by się ułożyło. Ja zrezygnowałem ze swojego życia na zaledwie trzy lata, mama – na dużo dłużej. W pewnym momencie czara goryczy się przelała.

Zanim trafiła do więzienia, ojciec zwykł dzwonić do niej i rozmawiali dosłownie o wszystkim. Dopiero później, podczas widzenia, zauważyła na ścianie wielką tabliczkę mówiącą, że wszystkie rozmowy telefoniczne więźniów są nagrywane. Wpadli, bo najczęściej dyskutowali o pieniądzach. Ojciec radził matce, co z nimi robić i gdzie je chować. Dlatego gdy policjanci wpadli do naszego domu, dokładnie wiedzieli, gdzie szukać.

Mama częściowo obwinała ojca za to, co się stało. Ten, mimo że siedział w więzieniu, nie mógł się powstrzymać przed prowadzeniem swoich interesów. W ten sposób wepchnął matkę we własne szambo. Nigdy mu tego nie wybaczyła, dlatego gdy wyszła na wolność, postanowiła przewartościować całe swoje życie.

Od tamtej pory tworzyliśmy zgrany duet. Zbliżyliśmy się do siebie. Nadal miała

duży dom w Chigwell, dlatego wielu ludzi tylko czekało na jej potknięcie, licząc, że go sprzeda. Ale daliśmy radę – ja grałem w snookera, ona zajęła się swoim biznesem. To mnie nakręciło. Namówiłem ją, by każdego pensa, którego zarobimy, inwestować w nieruchomości. Ja zająłem się snookerem, ona sex shopami, a zyski lokowaliśmy w nasze, rozwijające się w niezłym tempie, imperium nieruchomości. Chcieliśmy działać razem i kierować się rozsądkiem. Tak właśnie robiliśmy. Połączyliśmy nasze budżety. To co moje, stało się teraz jej, i choć radziłem sobie o wiele lepiej, nie miało to znaczenia. Mama zajęła się wszystkim. Kierowała biznesem, a ja pompowałem w niego pieniądze. Nadal jesteśmy współnikami. Dziś nie mamy wielkiego majątku, ponieważ gdy kilka lat temu nieruchomości drastycznie podrożały, a nagrody w turniejach spadły, moja siła nabywcza wyraźnie osłabła. Ceny domów i mieszkań stały się zbyt wysokie, dlatego przestaliśmy je nabywać. Ponadto walka o dzieci wymagała ode mnie wielkich nakładów finansowych, dlatego musieliśmy sprzedać kilka posesji, by znaleźć pieniądze na prawników.

Wiem, że w razie kłopotów zawsze mogę liczyć na mamę. Ufam jej bezgranicznie.

JA I OJCIEC: HISTORIA OPOWIEDZIANA

Siłownia z Terryem. Wymęczył mnie konkretnie. Omal nie zemdlałem.

Gdy tata wyszedł na jednodniową przepustkę, jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobiliśmy, było wspólne bieganie. No, może bardziej trucht. Przypomniało mi to stare czasy, kiedy za dzieciaka, zmuszony przez ojca, ganiałem po ulicach. Wtedy też mi towarzyszył. Ale nie ramię w ramię, lecz w samochodzie, ciągnąc się za mną jak cień.

W więzieniu strasznie się zapuścił – miał dość dużą nadwagę, zrobił mu się spory brzuch i drugi podbródek. Nie mam pojęcia, czemu doprowadził się do takiego stanu. Przez większość pobytu za kratkami był zdrow jak ryba – był wysportowany i nie miał choćby jednego zbędnego kilograma. Możliwe, że pod koniec odsiadki pozwolił sobie na częstsze zagładanie do garnka.

Okazji do zrobienia z naszej wspólnej przebieżki sensacji nie przepuścili paparazzi. Cyknęli nam kilka zdjęć, które następnego dnia pojawiły się niemal we wszystkich tabloidach. I tak w lutym 2009 roku w „Daily Mail” można było przeczytać całą historię ojca okraszoną jego fotkami, na których paraduje w niebieskiej koszuli Hacketta opiętej na dużym brzuchu, w niebieskich rękawiczkach, szortach i wełnianej czapeczce. Nad nimi tytuł: *Ojciec Ronniego O’Sullivana, mistrza snookera, po 17 latach świętuje wolność... biegając.*

Pisali, że dostał przepustkę w ramach programu odwykowego, ale już w weekend ma się stawić z powrotem. Ojciec nie zareagował. Miał to w dupie, ale mama – poprzez World Snooker – wydała oficjalny komunikat. Pisała: „Prosimy uszanować naszą prywatność. Spokój jest jedyną rzeczą, której teraz potrzebujemy”.

Później zamiast jednodniowych przepustek dostawał zezwolenie na weekendowy pobyt w domu. Wreszcie, w 2010 roku, doczekał się całkowitego zwolnienia warunkowego – oznaczało to ni mniej, ni więcej, że znów jest wolnym człowiekiem, ale w razie dopuszczenia się choćby najmniejszego przestępstwa lub niestawienia się na komisariacie w wyznaczonych terminach bezzwłocznie wraca za kratki i dopełnia dożywotni wyrok.

Pamiętam dokładnie jego pierwszą przepustkę. Nie wiedziałem, czego się

spodziewać. Przyjechałem do położonego w East Midlands więzienia Sudbury i już po chwili siedziałem w aucie z moim ojcem. Był 2009 rok.

Spokojnie mógłbym zostać przewodnikiem po brytyjskich więzieniach, odwiedziłem ich bowiem całkiem sporo. Przynajmniej tuzin, możliwe nawet, że więcej. Sudbury było moim ulubionym – to zakład typu otwartego, co oznacza, że każdy ze skazanych czeka na powrót do domu. To sprawiało, że panował tam o wiele większy luz niż na przykład w Long Lartin czy w Belmarsh – pilnie strzeżonych zakładach, gdzie miało się wrażenie, jakby wewnątrz nich znajdowało się kolejne więzienie, a w nim jeszcze następne. Przez 15 lat, odwiedzając ojca, wkraczałem w ich dalsze, zamknięte kręgi. Czulem, że wyjście stąd jest po prostu niemożliwe.

W Sudbury nie było żadnych bram ani murów. Idąc przed siebie, można było wyjść na ulicę. Gdy odwiedzałem tam tatę po raz pierwszy, zacząłem wierzyć, że jeśli nie będzie sprawiał problemów, jego powrót do domu nabierze realnych kształtów. Po raz pierwszy trafił do spokojnego miejsca.

Najgorzej było w Brixton – cholernie paskudne miejsce. Za każdym razem musiałem przechodzić kontrolę, podczas której wymagano, bym rozebrał się do naga. Nie podobało mi się to. Czulem się upokarzany, i to celowo. Strażnicy po prostu robili sobie *show*.

Wracając do Sudbury – gdy ojciec wszedł wreszcie do wozu, nie mogłem uwierzyć. Znów byliśmy razem. Na wolności, choć wciąż na więziennym parkingu.

– Gdzie chciałbyś jechać? – zapytałem.

– Kurwa, nie wiem. To mój pierwszy raz od 17 lat!

– Znam tu niedaleko fajny hotelik. Czasem w nim zostawałem. Moglibyśmy tam pojechać, zjeść jakieś śniadanie, poczytać gazety.

– Dobry pomysł, jedźmy!

Mieliśmy do wykorzystania cały dzień – kupa czasu, a w głowie zero pomysłów. Pojechaliśmy więc do tego hoteliku i już się stamtąd nie ruszyliśmy. Płakaliśmy, choć żaden z nas nie wzrusza się zbyt łatwo. Tylko dwa razy widziałem łzy na jego twarzy. Po raz pierwszy, gdy wróciłem z Bangkoku, a jego zatrzymali za morderstwo. Rozbeczałem się przy nim i gdy to zobaczył, odebrało mu mowę. Drugi raz, gdy wyszedł po wpłaceniu kaucji – kolejnego dnia jechaliśmy autostradą na turniej, a w radiu puścili *Real Gone Kid* zespołu Deacon Blue. To piosenka z gatunku tych poprawiających humor, a jednak on znalazł w niej coś smutnego, bo osobistego. Słuchając tekstu o starych fotografiach, płytach, wspomnieniach i życiowych stratach, najpewniej poczuł, że to ja jestem *Real Gone Kid* – dzieckiem, które właśnie traci.

Gdy już dotarliśmy do hotelu, zatelefonował do mamy. Podczas rozmowy cały drżał, a gdy odłożył słuchawkę, wybuchł płaczem, dając w końcu upust wszystkim emocjom. Widok, który pozostanie ze mną na zawsze. Tak bardzo było mi go żal. Patrzyłem na niego, widząc wszystkie krzywdy, jakie wyrządziło mu więzienie.

Odzyskał wolność, ale trząśnięty, beczący – był w emocjonalnej rozsypce. Z drugiej strony, jak inaczej można by zareagować, mając za sobą trwający prawie 20 lat koszmar?

To nie był przyjemny widok. Czułem się przytłoczony, bo oto mój ojciec, bohater dzieciństwa, nie był w stanie niczego zrobić. To ja musiałem prowadzić samochód, kupić śniadanie, wspierać go. Role się odwróciły i w nowej nie czułem się komfortowo. Ostatnim razem, gdy był obok mnie, miałem 16 lat, próbowałem zakwalifikować się do mistrzostw świata i to on wszystkim się zajmował.

Po śniadaniu zabrałem go do fryzjera i na *manicure*. Później wynajęliśmy pokój i spędziliśmy w nim resztę dnia, oglądając rugby i rozmawiając.

Czułem olbrzymi stres, bo nie wiedziałem, czego się spodziewać, co robić. Przyzwyczailem się, że to on rządzi: mówi, co mam robić, jak spędzać czas. Czułem się dziwnie, planując ten dzień od początku do końca.

Od pierwszego dnia, gdy trafił za kratki, liczyłem godziny do jego wyjścia. To dodawało mi sił. Przyjaciele, dziennikarze, wszyscy przez 18 lat dopytywali się, kiedy wreszcie wyjdzie na wolność. W końcu ten dzień miał nastąpić. Moja wizja naszego nowego życia była naiwnie optymistyczna. Wierzyłem bowiem, że wszystko wróci do starego układu – że tata będzie cały czas w domu, mama będzie dla nas gotować i znów będziemy się czuć bezpieczni. Myślałem, że ojciec poprowadzi jakiś biznes, w domu zapanuje ten pozytywny zamęt i znów będę mógł liczyć na jego rady, które pozwolą mi wygrywać. Nic z tych rzeczy.

Cała rodzina snuła fantazje na temat „życia po więzieniu”. Łącznie z tatą. Miał dwa scenariusze na przyszłość: gdy nie śnił o szczęśliwym domu, myślał o wyjeździe do Brazylii.

– Będziesz mnie mógł odwiedzić, ale ja ukryję się za wielkimi okularami i będę obserwował. Jeśli wysiądziesz z samolotu z jakąś kobietą, udam, że cię nie widzę. Ale jeśli przylecisz sam, będzie OK.

– Jesteś szalony – odpowiedziałem.

Przez ostatnie cztery czy pięć lat jego odsiadki stale słuchałem o tym, co będzie robił, jak wyjdzie. Planów miał mnóstwo, ale żadnego nie zrealizował. Brazylia? Jego dom był tuż za rogiem – w Chigwell.

Mama od razu zadeklarowała, że się wyprowadza. Podczas odsiadki ojca bardzo się zmieniła. Stała się niezależną kobietą. Nie umiała zamieść wszystkiego pod dywan i udawać, że nic nigdy się nie stało. Była szczęśliwa w nowym życiu. Wreszcie je kontrolowała i nie chciała, by cokolwiek jej przeszkadzało. Ojciec musiał to zaakceptować. Chyba mu się udało.

Dziś znów mówi mi, co mam robić, co niestety zaczyna sprawiać pewne problemy. W końcu ja też się zmieniłem i – jak mama – stałem się niezależny. Przez ostatnie 20 lat musiałem być samowystarczalny i choć popełniłem w swym życiu mnóstwo błędów,

dziś nie potrzebuję przewodnika. Nie czuję potrzeby tłumaczenia się ze swoich wyborów. Robię to tylko dlatego, że to wciąż mój ojciec. Kierują nim przecież szlachetne pobudki, a jednak nie zawsze wychodzi nam to na dobre.

Ojciec nie rozumie sposobu mojego życia. Nie dostrzega w nim logiki. Być może dlatego, że faktycznie nie ma jej w nim zbyt wiele... Mawia, że moje życie to „błąd za błędem”.

– Zawsze będziesz tkwił w tym bałaganie. Zawsze masz kłopoty finansowe, zawsze...

Myślę, że mógłbym mu odpowiedzieć, że jestem wielokrotnym mistrzem świata w snookerze, że wcale nie doprowadziłem swojego życia do ruiny, ale co mi tam. Ojciec lubi mnie prowokować. Nie odzywam się wtedy, cichutko wychodzę, wyłączam telefon i na trzy czy cztery dni znikam. Skupiam się wówczas na bieganiu, snookerze, przywracając myślom harmonię. Wiem, że tata mnie kocha, martwi się i rozumie, ale niekiedy zwyczajnie przesadza.

Czasem mam wrażenie, że stara się mnie upokorzyć. A to wnerwia mnie strasznie, bo opiekuję się nim, chcę dla niego wszystkiego co najlepsze, wspieram go. Dobrze wie, że ma we mnie oparcie. Powiedziałem mu kiedyś, że wszystko, co moje, należy też do niego, ale niekiedy czuję się jak między młotem a kowadłem – jestem rozdarty między ojcem a matką, moimi menedżerami, gdy się z nimi kłóci, czy przyjaciółmi, których nie akceptuje. Ojciec nigdy nie ukrywa swojego zdania, a to zwykle powoduje ogromne napięcie. Kwestia zasadnicza jest taka – to są moi znajomi, to ludzie, z którymi pracuję, to moja matka i nie chcę stać pomiędzy nimi. Rodzina to cały mój świat. Kocham ją bezgranicznie, ale czuje się w niej jak jakiś pośrednik. Może gdybym odszczepił się od niej, znalazł swoją własną drogę, moje życie nabrałoby sensu. A tak wciąż gram rolę tego, który jest do dyspozycji innych, który bierze udział w wewnętrznych wojenkach. Nadstawiam jaja na kopy lub robię uniki. To popycha mnie do kolejnych ucieczek lub – jak mawia doktor Steve – sprawia, że przechodzę w tryb lotu.

Moja siostra Danielle dogaduje się z tatą o wiele lepiej. Są niemal tacy sami. Dzięki temu, że wyszedł, dziś ma ojca, którego zawsze tak bardzo jej brakowało.

Gdy tato wrócił z pierwszej przepustki, kolejne dostawał już regularnie. Pierwszym turniejem, na którym się pojawił, były jedne z zawodów Premier League. Na początku było OK, ale z czasem uświadomiłem sobie, że jego obecność na trybunach nie wpływa na mnie korzystnie. Przyzwyczałem się, że jestem zdany wyłącznie na siebie, że jedyne wsparcie, którego mogę oczekiwać, to doping kilkorga przyjaciół. A tu nagle pojawia się tata, jak w czasach gdy miałem 10 czy 11 lat, i znów zaczyna rozstawiać ludzi po kątach.

– Dawaj, kolego, rozstawiaj szybciej te bile – zawołał pewnego razu do sędziego, a ja znów poczułem się jak gnojek.

Nie podobały mi się jego zagrywki, a jednak nigdy nie zwróciłem mu uwagi. Marzyłem tylko, by nigdy nie pojawił się na którymś z wielkich turniejów. Jeden dzień, na przykład niedzielny finał, jeszcze bym zdzierzył, ale całe zawody w towarzystwie ojca? Oj, nie...

Mam swoje własne rytuały, pewną procedurę, którą stosuję przy okazji wszystkich ważnych turniejów. Każdego, kto mi w tym przeszkadza, wykopuję za drzwi. To nie podlega żadnym negocjacom. Przez te wszystkie lata nauczyłem się, że przy stole muszę się skupić wyłącznie na sobie. Nie myślę wtedy o mamie, tacie, siostrze, nawet o dzieciach. Jeśli czuję, że obecność kogoś z członków rodziny jest niewskazana, żadne z nich nie ma prawa się pojawić na zawodach. Począwszy od UK Championship, ojciec miał zakaz zbliżania się do stołu turniejowego. Uznałem, że taka decyzja będzie najlepsza dla mojej kariery.

Nie kłóciliśmy się o to. Co ciekawe, to ojciec wyszedł z taką inicjatywą.

– Wiesz co, chyba jednak wolę cię oglądać w telewizji.

„Co za ulga...”, pomyślałem. Być może wiedział, co tak naprawdę czuję, i zwyczajnie chciał mi ułatwić pracę.

– Poza tym to całe snookerowe towarzystwo mi nie odpowiada. Nie lubię ich – stwierdził z rozbrajającą szczerością.

To prawda: to grupa starych wariatów, ale uwielbiam ich. Ojciec należy jednak do innego świata. On lubi się śmiać, żartować i wszystkim sterować, a świat snookera tak nie działa. Każdy wykonuje tu swoją pracę, nic poza tym. Dopasowałem się do panujących tu zasad, ale ojciec nigdy tego nie potrafił. Najlepszym rozwiązaniem była więc decyzja o tym, by tata nie pojawiał się na moich meczach.

I to mu pasuje.

– Mogę rzucać różnymi rzeczami w telewizor – tłumaczył wyższość siedzenia przed ekranem niż na widowni. – Robiłem tak przez ostatnie 20 lat, czemu dziś miałbym to zmieniać? Kiedy pudłujesz, biorę coś do ręki i ciskam w odbiornik, a przecież nie mógłbym tego robić na trybunach w Sheffield.

Czasem wydaje mi się, że tata tęskni za więzieniem. Gdy po pierwszej wizycie w domu odwiozłem go z powrotem, pojąłem, że wraca do miejsca, gdzie czuje się u siebie. Tam miał swoich kolegów i pozycję w hierarchii. To był jego świat. niesprawiedliwie byłoby powiedzieć, że nie chciał wyjść na wolność, ale widać było, że zapuścił tam korzenie. Musiał to zrobić, by ocaleć. I gdybym dziś miał go określić jednym epitetem, byłoby nim właśnie „ocalały”.

Po jednodniowej przepustce przyszedł czas na wolny weekend. W niedzielę wieczorem ogarnął mnie olbrzymi smutek. Pamiętam go płaczącego, gdy pierwszym razem musiał wracać do pudła. Teraz to ja byłem w rozsypce.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Po prostu jest mi strasznie źle, że znów wyjeżdżasz. Nie chcę, żebyś tam wracał.

Podszedł i mocno mnie przytulił. To było trudne. Najpierw przywykłem, że go nie ma, a teraz, gdy przyzwyczajałem się do jego obecności, on znów musiał zniknąć.

Często słyszymy o ludziach, którzy zrobiwszy to samo co ojciec, nie potrafili wrócić do normalnego życia. Odrzucili się od niego i po wyjściu z więzienia nie umieli się odnaleźć w otaczającym ich nowym świecie. Niektórzy popełniają kolejne zbrodnie, by wrócić do miejsca, w którym coś znaczą i mają kolegów. Uważam więc, że tata i tak radził sobie świetnie. Nie zdziwiło mnie to szczególnie, bo jest człowiekiem, który szybko adaptuje się do nowych warunków. To niezwykła zdolność. Chciałbym ją osiąść.

Czasem zostaję u niego na noc, więc zdarza się, że spędzamy ze sobą kilka dni z rzędu. Mam u niego worek z najpotrzebniejszymi rzeczami – w tym szczoteczkę do zębów i strój do biegania. Tato przygotowuje śniadania. Zawsze to samo – gotowane jajka i tosty. To dlatego jadam je każdego ranka – przypominają o szczęśliwym dzieciństwie. Dzień bez jajek i tostów jest dniem straconym. Lubimy sobie usiąść z filiżanką dobrej herbaty, włączyć jakiś mecz, zamówić chińszczyznę albo coś indyjskiego. Zwykły relaks.

Tymczasem mama wymazała ze swej pamięci stary styl życia. Skończyło się imprezowanie w nocnych klubach. W tym względzie jesteśmy bardzo podobni. Kiedyś bawiła się w najlepsze, bo była młoda i miała przy sobie ojca. Dziś uważa, że otaczała ją zbyt duża liczba ordynarnych ludzi. Dopiero gdy zabrakło taty, poznała prawdziwą twarz tych osób, podtykających jej pod nos narkotyki i wołających: „Dawaj, Maria, to ci pomoże, ukoji twój smutek”. Rzuciła to towarzystwo w cholerę. Zrozumiała, że nie powinna się zadawać z tego typu ludźmi. W porę uciekła ze zgniłego świata ścierwojadów, którzy wydlubaliby ci oczy za piąta.

Póki bywała tam z ojcem, nie mieli na nią żadnego wpływu, ale później zachowywali się jak piranie, czekając jedynie na odpowiedni moment do ataku. Niektórzy wrócili po wielu latach niebytu. Ojciec nie jest pamiętliwy i choć uważam to generalnie za dobrą cechę, on wybacza zbyt łatwo. Matka stała się inna. Jeśli choć raz jej podpadniesz, nie odzyskasz jej zaufania.

Dlatego uważam, że o wiele trudniej żyje się, gdy twój partner trafia do więzienia, niż kiedy samemu siedzi się za kratkami. Na wolności musisz stawić czoła nowej, trudnej sytuacji, ogarnąć ten bałagan. W więzieniu prowadzisz regularny tryb życia – dostajesz trzy posiłki dziennie i wszystko jest zaplanowane. Ojciec mawiał: „Przestałem się martwić o dzieci i o cokolwiek. Musiałem, bo każdą słabość w mig wykorzystują przeciwko tobie”. Koniec końców nie musiał się przejmować biznesem, nami – niczym. W tym samym czasie matka musiała się zająć wszystkim – prawnikami, problemami, rodziną.

Zarządzanie związkiem nigdy nie jest proste. Pierwszym krokiem do sukcesu jest lepsze zrozumienie samego siebie.

Dzięki pracy z doktorem Steve'em Petersem stałem się bardziej świadomy tego, kim jestem i jak pracuje mój mózg. I choć sesje z nim nie zmieniają mojej pierwotnej natury, sprawiają, że radzę sobie z samym sobą. Klucz do sukcesu tkwi w pokonaniu własnych słabości i zaakceptowaniu siebie samego. Steve nauczył mnie także, by być ostrożnym w relacjach z innymi. Dzięki niemu potrafię lepiej radzić sobie w stosunkach z bliskimi. Przykładowo wiem, że pewien sposób prowadzenia rozmowy łatwo może wytrącić ojca z równowagi. Skupiam się więc na tym, by dyskutując z nim, nie wywoływać niepotrzebnych emocji. To samo jeśli chodzi o mamę.

Czasem bardzo pragniemy dzielić się z innymi naszymi uczuciami i nie zważamy, że mogą one sprowokować reakcje, które sprawią nam ból. Wtedy stajemy się wycofani i tłamsimy wszystko w sobie. Czasem też ludzie stają się zbyt bliscy i gdy dzielimy się z nimi swoimi smutkami, ranimy ich. Pogarszamy przez to sytuację, bo oprócz tego, że martwicie się o samych siebie, martwicie się też o tych, którzy martwią się o was. Błędne koło. Ktoś kiedyś powiedział, że życie jest jak pudełko czekoladek. Miał rację.

Nasza rodzina rozpadła się na dobre. Mama rzadko dziś rozmawia z tatą. Nie było go tak długo, że po wyjściu na wolność nie miał prawa oczekiwać, że wszystko będzie takie samo jak kiedyś. Ale powtórzę: myślę, że i tak poradził sobie z nową sytuacją nadspodziewanie dobrze.

Wielu ludzi tłumaczyło mi, że to nie będzie łatwe, że może minąć nawet dziesięć lat, nim ojciec zaakceptuje nową rzeczywistość, że będzie się bał wyjść z domu. Owszem, na początku miał spore problemy, bojąc się choćby zwykłego wyjścia na zakupy. Myślałem nawet, że robi sobie jaja. No bo jak to – bać się iść po tabliczkę czekolady?

– Synu, ja się po prostu od tego odzwyczaiłem. Ta przestrzeń, swoboda, wolny czas, ludzie wokół mnie – nie wiem, co z tym zrobić, bo to wszystko jest dla mnie nowe – tłumaczył.

Byłem w szoku, że taki twardziel przyznał się do bezsilności. Dziś ojciec dopasował się do nowych realiów. Ma mnóstwo nowych przyjaciół.

Wiele czasu poświęcił na przemyślenie pewnych spraw. Zrozumiał, że poprzedni styl życia nie czynił go lepszym człowiekiem.

– Chyba muszę nieco zmienić priorytety. Kiedyś próbowałem się dowartościować w klubach, kupując markowe ciuchy, bryki... Ale możesz założyć nawet najdroższy garnitur, a i tak pozostaniesz kupą gówna. Dziś wiem, że to wszystko na nic. Nie potrzebuję już drogich ubrań i imprez.

Zwolnił, uspokoił się. Jeśli ktoś chce się z nim spotkać, wpada do niego do domu. Skończyło się łażenie po knajpach. Ma kilku zaufanych przyjaciół, swoje ulubione dyscypliny sportowe, swój telewizor i filmy. Cieszę się, że znów korzysta z wolności.

Dziś tato zbliża się do sześćdziesiątki i dopiero teraz porzucił marzenia o byciu piłkarzem. Podczas jednego z meczów rozgrywanych w więzieniu przewrócił się, biegnąc z piłką. Zanim zdążył zrugać sędziego za to, że ten nie odgwizdał faulu,

zauważył, że nikogo nie ma w pobliżu. Kolana nie wytrzymały. Zrozumiał, że jego mecz właśnie się skończył.

IDOLE

*Rowerek na siłowni, sesja Fartlek, taka szwedzka metoda treningu – spacer, bieganie.
Bez konkretnego dystansu, ale dałem sobie spory wycisk.*

W moim życiu nigdy nie brakowało sportowych idoli. Dorastając, grałem w piłkę, w golfa i tenisa, ale największego hopla miałem na punkcie snookera. Gry zespołowe jakoś mnie szczególnie nie kręciły, choć lubiłem grać w piłkę nożną i raz trafiłem nawet na testy do Spurs. Coś mi jednak przez cały czas podpowiadało, że jestem raczej takim zespołowym indywidualistą. W piłce nożnej nigdy nie potrafiłem uszanować elementu zespołowości – nie lubiłem podawać, byłem boiskowym egoistą, stale usiłowałem ograć jeszcze jednego rywala. Lubię to, co zapewnia dreszczyk emocji, a takie skłonności nie zwiastują sukcesów w grach zespołowych. Zdecydowanie lepiej szło mi w dyscyplinach, w których rywalizuje się jeden na jednego. Zamiast w czasie przerwy obiadowej wychodzić na boisko i grać z kolegami w piłkę, przeznaczałem tę godzinę na tenis stołowy, przy czym zawsze próbowałem zagrać z tym, kto akurat w szkole radził sobie z raketką najlepiej. W swoim roczniku nie miałem sobie równych, no, może poza jeszcze jednym dzieciakiem, Paulem Hudsonem, który grał w międzyszkolnej lidze. Był niesamowity.

Ze sportem zawsze mi było po drodze. Nie miałem problemów z niczym, co wymagało gry piłką. Wydaje mi się, że albo ktoś piłkę czuje, albo nie. Czy miałem kopnąć futbolówkę, czy uderzyć piłkę tenisową, instynktownie wiedziałem, w które miejsce ją trafić. Moja mama grała w tenisa dla przyjemności ze swoimi koleżankami, a tata był niezłym półzawodowcem. Reprezentował Leyton Wingate, a w czasach juniorskich brał udział w testach w Arsenalu i QPR, tyle że jakoś nigdy się nie przebił. Sport stanowił integralny element życia mojej rodziny. Mój dziadek i jego bracia uprawiali boks – nazywano ich walecznymi O’Sullivanami. Pragnę podkreślić, że sam nigdy nie boksowałem, choć chętnie bym spróbował. Nie lubię bójek, ale boks to co innego – jest w tym więcej techniki; techniki i baletu. Do bitki nigdy mnie nie ciągnęło. Pewnie dlatego zresztą zostałem biegaczem – od każdej bójki uciekałem na kilometr. Nic dziwnego zatem, że za swoich idoli uważam raczej indywidualistów niż graczy zespołowych.

Idole snookerowi: Jimmy White, Steve Davis i Stephen Hendry

Moim pierwszym idolem był Jimmy White, najbardziej fascynujący snookerzysta z czasów mojego dzieciństwa. Im głębiej wchodziłem w snookera, tym bardziej chciałem wygrywać, więc moim idolem został Steve Davis. Uwielbiałem Jimmy'ego – tłumy go kochały, zapewniał widzom świetną rozrywkę i odnosił wielkie sukcesy. Ostatecznie jednak zawsze czegoś mu brakowało – sześć razy dotarł do finału mistrzostw świata i sześciokrotnie przegrał. Byłem tym tak rozczarowany, że postanowiłem wzorować się na Stevie Davisie – chciałem zwyciężać. Powtarzałem sobie, że jeśli w tym celu muszę grać jak Steve Davis, czyli jak robot, to tak właśnie będzie. Zasłynął jako Steve „Ciekawy” Davis. To przezwisko stanowiło jednoznacznie prześmiewcze nawiązanie do jego stylu gry. Może i w porównaniu z Jimmym faktycznie wypadł nudno, ale był niewątpliwie jednym z najbardziej agresywnych graczy w tamtych czasach. W jego pokoleniu nie brakowało nieznośnie powolnych snookerzystów, takich jak choćby Terry Griffiths czy Cliff Thorburn. Mogłem wybrać się na dziesięciokilometrową przebieżkę, a oni dalej rozważaliby następne uderzenie.

Ja zawsze grałem szybko, bo tak pracował mój mózg, nabyłem również „robotyczny” styl. Stałem nieruchomo i naśladowałem Steve'a Davisa – jak składał się do uderzenia, jak ustawiał biodra, jak zginał lewą nogę, jak wystawiał prawe ramię nad prawą nogę, jak zginał lewe ramię, jak daleko stawał od bili, jak bardzo prostował rękę... Obserwowałem go bardzo uważnie i naśladowałem w najdrobniejszych szczegółach. Zacząłem grać bardziej regularnie, bardziej mechanicznie, nadal zachowując dużą szybkość. Wciąż, podobnie jak Jimmy White, grałem otwartego snookera, z większą świadomością podchodziłem jednak do kwestii technicznych. Powiedziałbym, że w czasach juniorskich udało mi się osiągnąć techniczną doskonałość. Po 16. urodzinach do mojej gry wkradło się kilka błędów, które trochę wyhamowały moje postępy i odebrały mi część dawnej regularności.

Davis był moim pierwszym idolem sportowym, potem pojawił się jednak Stephen Hendry. Zacząłem obserwować jego grę i go naśladować. Davis był sztywny, natomiast Hendry też potrafił się nie ruszać, był jednak przy tym bardziej rozluźniony. Zamiast uderzać bile, delikatnie je pieścił, miał też lepsze wyczucie, jeśli chodzi o budowanie brejków. Nie miał największej siły uderzenia, za to potrafił wyczyniać z czarną bilą cuda, jakich świat nie widział. Osobiście uważam, że w całej historii tej gry nie miał sobie równych pod względem długich uderzeń, zwłaszcza oddawanych pod presją. Bowiem gdy gra pod presją, staje się najlepszym sportowcem, jakiego kiedykolwiek widziałem. To on był moim wielkim nauczycielem. Grałem z nim wielokrotnie i to on mnie nauczył, jak się wygrywa. Wcześniej grałem raczej zachowawczo, bardziej starałem się unikać ewentualnych błędów. W meczu przeciwko Hendry'emu to była najgorsza możliwa strategia. Zostawiałem czerwoną w bezpiecznym miejscu, a białą przy bandzie, a już dwa uderzenia później Stephen zagrywał czerwoną spod bandy,

trafiał i był na najlepszej drodze do wyczyszczenia stołu. Był jedynym, który pozwalał sobie na tak śmiało zagrania. Uznałem więc, że skoro odstawia takie numery i wygrywa, to najwyraźniej to on ma rację, a reszta z nas się myli.

W 2002 roku pokłóciliśmy się w śmiesznej sprawie i Hendry nie odzywał się do mnie przez trzy lata. Doskwierało mi to tym bardziej, że widziałem w nim swojego idola. Tak naprawdę jednak to była wyłącznie moja wina, no, może jeszcze też trochę mojego kumpla Naseema Hameda, boksera.

Przyglądałem się kiedyś treningowi Naza. Pewnego razu usłyszałem od niego, że powinienem opowiadać innym, jaki to ja jestem dobry i w ogóle najlepszy. Powiedziałem mu, że to nie w moim stylu. Później pomyślałem jednak, że może się mylę, że może to on ma rację i że powinienem być bardziej jak on.

Ostatecznie doszło do tego, że podałem w wątpliwość uczciwość Hendry'ego w związku z jednym zagranieniem sprzed paru lat, które zostało uznane przez sędziego za miss (czyste szaleństwo, ponieważ Stephen to światowej klasy sportowiec). Na konferencji prasowej ogłosiłem publicznie, że odeślę go do jego smutnego nędznego życia w Szkocji. Chryste, rumienię się ze wstydu na samo wspomnienie tamtych słów. Gdy tylko sam siebie usłyszałem, zacząłem się zastanawiać, co ja w ogóle wyprawiam. Przecież go uwielbiam, jest moim idolem. Niestety w zbyt dużym stopniu kierowałem się opiniami innych ludzi. W przypadku Naza ta metoda się sprawdzała, jemu takie nakręcanie przed walką służyło. U mnie to jednak nie działało. Gdy zrelacjonowałem mu moje słowa, powiedział:

– No nie! Na cholere chodzisz i wygadujesz takie rzeczy?

Naz nie po raz pierwszy wpakował mnie w gówno, ale mimo to go uwielbiam. To dobry człowiek, który mnie kocha, podobnie zresztą jak cała jego rodzina. Na marginesie dodam, że już nigdy więcej go nie posłuchałem, nigdy więcej nie byłem z nim w meczu i nigdy nie wybrałem się do niego po dodatkową motywację. Czasem razem coś przekąsimy, ale to wszystko. On jest dzisiaj wielki, dosłownie – wygląda jak gigantyczna pisanka w butach.

W 2002 roku spotkałem się z Hendrym w półfinale mistrzostw świata. To był piękny mecz. Przy stanie 12:12 podwyższyłem na 13:12, po czym została mi jedna czerwona bila, a poza tym kolorowe. Cały się trząsałem, więc nie trafiłem tej czerwonej. Wtedy Stephen wygrał pięć frejmów z rzędu i pokonał mnie 17:13. Odchodziłem od stołu z poczuciem, że w kluczowym momencie on wspiał się na wyżyny, a ja dałem ciała. Im bliższy był zwycięstwa, tym bardziej agresywnie grał, tym bardziej ryzykował. To właśnie czyni Hendry'ego wyjątkowym. Gdyby przyjrzeć się tak wybitnym talentom jak Judd Trump, okazuje się, że grywają czasem zachowawczo, gdy wychodzą na prowadzenie – rezygnują z uderzeń, których w innych okolicznościach by spróbowali. Trump, gdy gra pod presją, często wykonuje uderzenia z cofnięciem białej bili do linii bazy, tak na wypadek gdyby miał spudłować. Hendry grał w dokładnie odwrotnym

stylu i naprawdę onieśmiał w ten sposób rywala. Przypominał rozpedzony pociąg bez hamulców. Gdy prezentował akurat szczytową formę, mecze z jego udziałem kończyły się, jeszcze zanim się na dobre rozpoczęły.

Różnica między Hendrym a Juddem Trumpem w jego obecnej formie polega na tym, że Hendry w najważniejszym momencie poszedł na całość. Miał 18 lat, gdy wygrał swój pierwszy turniej rankingowy, i 21 lat, gdy po raz pierwszy został mistrzem świata. W sumie zdobył tytuł siedem razy i jak dotąd nikt mu nie dorównał. Judd to dobry zawodnik, zwycięzca UK Championship, ale ma przed sobą jeszcze długą drogę, jeśli w ogóle chce próbować pobić rekord Hendry'ego. Podczas meczów znakomicie spisuje się również Selby. Dobry jest też Ding, ma chyba jednak jakąś psychiczną blokadę, z powodu której nie radzi sobie w wielu turniejach tak dobrze, jak by mógł. Uwielbiam Dinga. Podczas turnieju Masters w 2008 roku rozplakał się w trakcie finału, który ze mną rozgrywał. Nie mogłem na to patrzeć. Ma wielki talent, niestety trzeba to umieć pokazać w decydujących momentach najważniejszych meczów – właśnie w takich okolicznościach Hendry przewyższał każdego. Na równi z nim można postawić jedynie trzech sportowców: Tigera Woodsa, Rogera Federera i dartera Phila Taylora. Gdy napięcie rośnie, oni zaczynają grać jeszcze lepiej.

Idole tenisowi: Roger Federer i Serena Williams

Moim kolejnym idolem jest Roger Federer. Podziwiam go za łatwość i wdzięk, z jakim gra. Wystarczy popatrzeć na jego rywali – Novak Đjoković, Rafa Nadal i Andy Murray to znakomici zawodnicy, ale w większym stopniu bazują na atletycznej budowie ciała, przez co prędzej czy później organizm odmawia im posłuszeństwa. Federer zawsze gra w swoim stylu, dzięki czemu kontuzje praktycznie mu się nie zdarzają. Nigdy nie spędzał na korcie dużo czasu. Wygrywał zawsze 6:0, 6:1, 6:2, i to bez większego wysiłku. Umiejętność szybkiego zakończenia gry i zachowania zapasu sił to wielki atut w każdej dyscyplinie. Federer stąpa jak baletnica, ma niesamowity wdzięk. To jedyny znany mi tenisowy mistrz, który nie wali nogami w ziemię. Nawet dzisiaj, gdy najlepsze lata ma już za sobą, regularnie dochodzi do półfinałów i finałów turniejów zaliczanych do Wielkiego Szlema – to niesamowite osiągnięcie. Trzecie lub czwarte miejsce w światowym rankingu tenisowym w wieku ponad 30 lat to kolejne wybitne dokonanie. Do tego ma na koncie mnóstwo różnych rekordów – więcej niż 300 tygodni na pierwszym miejscu rankingu, 237 tygodni z rzędu w latach 2004–2008 (szczęka opada!), 17 zwycięstw w Wielkim Szlemie (miejmy nadzieję, że tu nie powiedział jeszcze ostatniego słowa), siedem zwycięstw na kortach Wimbledonu (wyrównał rekord Pete'a Samprasa).

Federer nigdy nie spuszczał z tonu. Nawet gdy przegrywał, niemal zawsze następowało to po pięknej walce, w której obaj rywale dawali z siebie wszystko. Gdy w 2008 roku przegrał Wimbledon z Rafą Nadalem w pięciu długich setach, obaj

panowie rozegrali jeden z najwybitniejszych pojedynków w historii tej dyscypliny.

Tenis to mój ulubiony sport do oglądania w telewizji – widzi się wtedy wszystkie sztuczki i zagrania. Natomiast najgorzej w telewizji ogląda się golfa. Ktoś uderza piłeczkę i jeśli będziesz miał szczęście, to zobaczysz, gdzie wylądowała – nic więcej. Lubię też oglądać boks, tak naprawdę jednak sport oglądam z uwagi na sportowców, a nie dla samej gry. Oglądam Federera, Đjokovicia, Serenę Williams, a nie przypadkowych zawodników.

Serenę Williams wręcz uwielbiam, to prawdziwa królowa kortu. Ma niesamowity dorobek. Moim zdaniem liczą się nie tylko umiejętności i styl, lecz również utrzymanie pewnego standardu przez całą karierę. Właśnie to wyróżnia prawdziwie wybitnych graczy. Serena miała tyle problemów z kontuzjami i chorobami, dotknęła ją też osobista tragedia, gdy zginęła jej siostra, Yetunde Price, a poza tym musiała odpierać głosy krytyków twierdzących, że siostry Williams to tenisistki na pół etatu (to samo mówiono o mnie jako snookerzyście) i że tak naprawdę nie zależy im na sporcie.

Serena uporała się ze wszystkimi tymi przeciwnościami losu i za każdym razem udawadniała światu, że jej krytycy się mylą. Być może nie powinienem ich rozdzielać, lepiej byłoby powiedzieć, że moimi idolkami są siostry Williams, Serena i Venus.

Gdybym jednak musiał wybierać, z pewnością padłoby na Serenę. Ma w sobie tyle siły i pasji, że nigdy nie widać po niej słabości. Myślę, że pewne cechy nas łączą. Moim zdaniem to urocza dziewczyna, która ogólnie stroni od konfliktów, ale czasem musi się bronić, gdy ktoś próbuje ją skrzywdzić. Pamiętam tamten finałowy mecz w US Open, gdy zagroziła sędzi, że wepchnie jej piłkę do gardła. Cóż, to oczywiście nie było najmądrzejsze zachowanie, trzeba jednak wziąć pod uwagę ogólny kontekst tamtego wydarzenia – właśnie niesłusznie odgwizdano jej błąd przekroczenia linii, gdy przegrała pierwszego seta, w drugim przegrywała już 5:6 i 15:30. Ta błędna decyzja sędzi oznaczała dla niej dodatkowo pogorszenie sytuacji, 15:40. Piłka meczowa dla rywalki. Nic dziwnego, że straciła zimną krew. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany – „Przysięgam na Boga, że wezmę, kurwa, tę piłkę i wepchnę ci ją w pierdolone gardło” to nie jest wyważona reakcja sportowca. Z pewnością zasłużyła na karę, ale przy tym pokazała, ile to wszystko dla niej znaczy. Ma 32 lata, a nadal pozostawia w tyle rywalki z całego świata. W 2013 roku utrzymała pozycję najlepszej tenisistki, stając się tym samym najstarszym numerem jeden w historii tej dyscypliny. Być może to nawet bardziej imponujące osiągnięcie niż dokonania Federera (choć trzeba przyznać, że on przez całą karierę zmagał się z groźniejszymi rywalami). W 2003 roku skompletowała „Serena Szlem” – została równoległą zwyciężczynią wszystkich czterech turniejów zaliczanych do Wielkiego Szlema. W turniejach wielkoszlemowych w grze pojedynczej wygrywała 16-krotnie (plus 13 razy w deblu i dwa razy w mikście). Założę się, że zanim ta książka trafi do czytelników, jej uda się już ten rekord poprawić****. To chodzący fenomen. A przy tym jest na czym zawiesić.

Idole ze świata biegów: Haile Gebrselassie, Tirunesh Dibaba, Kenenisa Bekele i Mo Farah

Jeśli chodzi o biegaczy, to uwielbiam Hailego Gebrselassie. Fantastyczny człowiek i fantastyczna historia. Jak wielu wybitnych Etiopczyków, także on uczył się swojej dyscypliny, biegając codziennie do szkoły – a blisko nie miał. Był jednym z dziesięciorga dzieci wychowanych przez rodziców na wzgórzach Asala, jakieś 260 kilometrów na południe od Addis Abeby. W porze suchej codziennie biegał do szkoły po dziesięć kilometrów. W porze deszczowej nie było już tak lekko. Nie mógł biec na skróty, czyli przekraczać koryta rzeki, a wtedy dystans dzielący go od szkoły rósł do 24 kilometrów. Wziął udział w pierwszym maratonie w wieku zaledwie 15 lat.

Stanowi niesamowity wzór do naśladowania tak dla Etiopczyków, jak i dla całego świata. Zdobył dwa złote medale olimpijskie z rzędu w biegu na dziesięć tysięcy metrów, najpierw w 1996 roku w Atlancie, a potem w 2000 roku w Sydney. Co jeszcze bardziej imponujące, kontynuował karierę długo po trzydziestce – miał 35 lat, gdy w 2008 roku w Berlinie pobił rekord świata w biegu maratońskim, ustanawiając czas 2 godziny 3 minuty i 57 sekund. Niewiarygodne – pobił własny rekord o całe 27 sekund! Następnie wyjechał do swojego kraju, gdzie zrobił błyskotliwą karierę w biznesie. Prowadzi hotele, siłownie i warsztaty samochodowe, niosąc wielu Etiopczykom nadzieję na lepsze życie.

Dorastał w skrajnym ubóstwie, a dzisiaj jego majątek szacuje się na kilkadziesiąt milionów funtów. Za każde zwycięstwo w dużym miejskim maratonie inkasuje co najmniej 250 tysięcy funtów, ale nigdy nie traktował biegów jako źródła pracy zarobkowej. On to po prostu uwielbia, co rano zakłada krótkie spodenki i biegnie do pracy. To się nazywa pozytywnie zakręcony człowiek.

Ma zaledwie 165 centymetrów wzrostu, a przy tym dysponuje nadludzką siłą fizyczną i siłą charakteru. Kiedyś podobno przebiegł 60 kilometrów, po czym stwierdził, że to tylko taka mała, czterogodzinna przebieżka. Czyste szaleństwo. Podobnie jak wielu moich idoli dominował w swojej dyscyplinie przez wiele lat. W jego przypadku szło to nawet w dekady.

Kolejnym niesamowitym długodystansowcem jest Kenenisa Bekele. To wybitny biegacz, co tylko dodatkowo podkreśla wagę osiągnięcia Mo Faraha, który pokonał go na igrzyskach w Londynie w 2012 roku. Bekele wywodzi się z małej wioski Bekoji, oddalonej o jakieś 80 kilometrów od Addis Abeby. Wszystkie tamtejsze dzieciaki marzą, żeby wyrwać się z ubóstwa dzięki bieganiu.

Błędym świtem rozpoczynają treningi pod okiem Sentayehu Eshetu, emerytowanego nauczyciela, który wyszkolił kilku złotych medalistów olimpijskich, takich jak Bekele, Tirunesh, Dibaba, Derartu Tulu, Fatima Roba czy Tariku Bekele, młodszy brat Kenenisy. W 2004 roku w Atenach Kenenisa zdobył srebro na pięć tysięcy

metrów i złoto na dziesięć tysięcy metrów, a następnie dwukrotnie stawał na najwyższym stopniu podium w Pekinie. Nie do wiary.

U Kenenisy uwielbiam łatwość, z jaką się ścigał. Inni chcieli szybko? Biegł szybko. Inni wykonywali najpierw szybkie, a potem wolne kółka? Żaden problem. Nie robiło mu różnicy, jaką strategię obierali pozostali zawodnicy, zawsze doskonale orientował się w sytuacji, umiał dostrzec największe zagrożenie i wskazać właściwy moment, w którym należało dać z siebie wszystko. W okresie szczytu formy ruszał do mety i nikt za nim nie nadążał. Nawet nie oglądał się za siebie. Nie musiał – wiedział, że nikt go nie wyprzedzi. Właśnie to go wyróżniało z grona innych biegaczy. Obserwowałem go kiedyś podczas mistrzostw świata w biegach przełajowych. Akurat rozwiązał mu się but. Prowadził, ale musiał się zatrzymać, żeby go na nowo założyć. Zabrało mu to jakieś 20–30 sekund. Został wyprzedzony, ale ruszył przed siebie z chłodną determinacją, dzięki której wygrał tamten bieg. Zacząłem się wtedy zastanawiać, jakie zapasy w nim jeszcze drzemia, skoro dał innym 30 sekund przewagi, po czym i tak wygrał. Właśnie wtedy stwierdziłem, że to wyjątkowy zawodnik. Na oko dało się stwierdzić, że pobiegnie swoim tempem, dogoni ich wszystkich i na końcu jeszcze im dołoży. I pomyśleć, że na igrzyskach olimpijskich w Londynie Mo Farah go pokonał...

Dwa złote medale Mo Faraha z Londynu, na pięć i dziesięć tysięcy metrów, to wyczyn, którego nie sposób przecenić. Farah został piątym człowiekiem w historii, któremu udało się wywalczyć ten dublet. Przyznam szczerze, że wcześniej nie dawałem mu na to szans, najwyraźniej jednak cała jego ciężka praca się opłaciła. Pojechał do Kenii trenować na wysokości, zostawił w domu rodzinę, dał z siebie naprawdę wszystko. Dzięki samodyscyplinie i ogromnemu wysiłkowi przeszedł transformację i jako pierwszy Brytyjczyk w historii wywalczył dwa złote medale olimpijskie na tych dystansach.

Mo opowiada niesamowite historie ze swojego życia, na przykład o tym, jak opuścił żonę i córkę, gdy wracali z miesiąca miodowego w Zanzibarze i ich lot został opóźniony przez chmurę pyłu. Powiedział im, że muszą same pokonać drogę do domu, ponieważ on udaje się do Kenii na treningi. Cóż, tylko w ten sposób zostaje się wielkim mistrzem. Farah zachowuje niesamowity spokój pod presją, i to nie tylko na bieżni. Jako pierwszy uczestnik w historii telewizyjnego show pod tytułem *The Cube* wygrał program i zdobył 250 tysięcy funtów, które przeznaczył na cele charytatywne. W tym programie największy problem stanowi presja. Zawodnicy stoją wewnątrz sześcianu z pleksiglasu o wymiarach $4 \times 4 \times 4$ metry i wykonują zadania. Dostają ataku klaustrofobii już na sam widok tego sześcianu, a co dopiero mówić o tym, że miałbym do niego wejść.

Tirunesh Dibabę miałem okazję poznać osobiście w 2009 roku. Oczarowała mnie. Ta jedna z najlepszych biegaczek długodystansowych w historii również pochodzi z Bekoji w Etiopii. W 2008 roku w Pekinie wywalczyła dwa złote medale na pięć

i dziesięć tysięcy metrów. W 2012 roku w Londynie obroniła złoto na dziesięć tysięcy metrów i została pierwszą kobietą w historii, która dwa razy z rzędu wygrała bieg na tym dystansie. Na dodatek miało to miejsce po tym, jak na przełomie roku 2010 i 2011 kontuzja na 16 miesięcy wyłączyła ją z treningów.

Spotkałem ją w hotelu w Birmingham. Właśnie musiała się wycofać z zawodów Aviva Grand Prix z powodu urazu. Ucieliśmy sobie uroczą pogawędkę, a potem pokazałem jej mój tygodniowy harmonogram treningów i poprosiłem o ewentualne sugestie. Stwierdziła, że aż trudno uwierzyć, że pokonuję takie dystanse. Miałem do niej mnóstwo pytań: w jakim tempie biega na treningach, ile ma sesji na bieżni, ile robi okrążeń, w jaki sposób onieśmiela swoje rywalki? Przed spotkaniem z nią spisałem wszystkie te pytania na kartce, bo obawiałem się, że z powodu tremy zapomnę wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

To urocza dziewczyna! Zaproponowała, żebym pojechał potrenować z nią do Etiopii. Chętnie bym spróbował.

Idol golfowy: Tiger Woods

To niezmordowany facet i wielki zawodnik. Podobno został pierwszym miliarderem wśród sportowców. Stał się przedsięwzięciem biznesowym, marką, a mimo to nadal umie się skupiać na tym, żeby w pełni wykorzystywać swój potencjał. Już od pięciu lat nie wygrał turnieju Masters, ale dla mnie nadal pozostaje numerem jeden. Skandale w życiu osobistym zbiegły się u niego ze spadkiem formy. Wcześniej potrafił pomimo kontuzji bez większych problemów wygrać US Open. Był naprawdę dobry. Otaczała go aura niezwykłego. Potem zrobił sobie przerwę w karierze sportowej, przeszedł prawdziwy koszmar w życiu prywatnym i inni golfiści go dogonili. Czytam komentarze dotyczące jego osoby i stwierdzam, że na świecie nie brakuje jego hejterów, zawsze mnie to jednak zaskakuje. Uwielbiam go nawet wówczas, gdy łamie kij albo pluje na ziemię. To wszystko wynika z jego wielkiego pragnienia odnoszenia zwycięstw. On się celowo nakręca, a gdy wychodzi na green, staje się prawdziwą bestią. Ludzie chyba nie rozumieją, że zawodnik grający na tym poziomie nie zawsze jest w pełni świadomy tego, co się z nim wtedy dzieje. Tiger golfista to ktoś inny niż Tiger osoba prywatna. To samo można powiedzieć o wszystkich najwybitniejszych sportowcach. Okazują wszem i wobec, że to oni tutaj rządzą. Tiger niczym się pod tym względem nie różni.

Idol dartowy: Phil Taylor

Phil Taylor to chyba najwybitniejszy sportowiec we wszystkich dyscyplinach. 16 tytułów mistrza świata – kto jest w stanie choćby zbliżyć się do tego rekordu? Czuję się zaszczycony, gdy w 2013 roku zjawił się w Sheffield, aby oglądać moją grę w finale. Niesamowity koleś. Nigdy nie sprawia wrażenia, jak gdyby miał wygrać. Czy kiedykolwiek nie udało mu się trafić w pole potrójnej premii? Jest niewiarygodny.

Snooker i dart mają coś wspólnego, a konkretnie sumowanie punktów. Poza tym to zupełnie różne dyscypliny. Powiedziałbym, że snookerowi bliżej jest do golfa. To statyczne dyscypliny. Gdy piłeczka lub bila potoczą się nie tak, jak trzeba, można mieć pretensje wyłącznie do siebie. W innych dyscyplinach trzeba reagować na to, co z piłką robi rywal lub kolega z drużyny, poza tym trzeba się razem z nią przemieszczać. W golfie i w snookerze za wszystko odpowiada się samemu.

Idole trenerscy

Znakomitym trenerem był dla mnie Ray Reardon. Łączył w sobie pewne zabawne sprzeczności – z jednej strony był bardzo wyluzowany, a z drugiej cholernie wymagający. Prezentował podejście typu: „Idź do klubu, poćwicz trochę, rusz kijem, a jeśli nie będziesz miał ochoty, to go odstaw. Napij się herbaty, rozluźnij się. Wrócisz do stołu, jak już poczujesz się lepiej”. Ray to bardzo zabawny człowiek. „Idź pograj w golfa, czasu ci nie zabraknie, do snookera wrócisz później”.

Tak wyglądała gadka motywacyjna w jego wykonaniu. Świetna! Jest najzabawniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. To mój bohater, mistrz, po prostu go uwielbiam. Być może powinienem zaliczyć go do grona moich idoli snookerowych, w końcu sześciokrotnie został mistrzem świata, dla mnie jest jednak idolem jako trener i ogólnie jako człowiek. Jest dla mnie jak drugi ojciec, jak dziadek. Czułem, że ma do mnie duży sentyment. Bardzo to sobie ceniłem.

Pracowałem z nim w 2004 roku, gdy drugi raz zdobywałem tytuł mistrza świata. Ray nauczył mnie rzeczy, które mógł wiedzieć jedynie prawdziwy geniusz matematyczny. Przyjąłem jego filozofię i przez pewien czas podchodziłem do każdego uderzenia tak, jak zrobiłby to Ray Reardon. Moje mecze zaczęły się przedłużać, grałem trochę jak Mark Selby, torturowałem rywali. Wcześniej schodziłem na przerwę (po czterech frejmach), spoglądałem na monitor na wyniki innych meczów i widziałem tam 1:1, 1:0. Myślałem sobie wtedy: „Chryste, będą tam siedzieć całą noc”. Gdy zacząłem pracować z Rayem, schodząc na przerwę, widziałem wyniki 4:2, 4:3, inni zdążyli już wznowić mecz. Zacząłem się zastanawiać, co się, u diabła, dzieje. Moi rywale musieli przeżywać katusze. Mecze ze mną stały się dla nich prawdziwym koszmarem.

To był nowy styl gry. Wiedziałem, skąd się brały dobre wyniki i dlaczego nagle zaczęto mnie uważać za gracza kompletnego, ale mimo wszystko czułem się z tym dziwnie. Nie roznosiłem rywali w proch, za to pokonywałem ich taktycznie i intelektualnie. Ray przewidywał tyle uderzeń do przodu, że to aż niewiarygodne. Kiedyś mi powiedział, że gdy podchodzę do podstawionej na nowo czarnej, powinienem to rozegrać następująco: on zagra tak, ty zagrasz tak, on zagra to, ty zagrasz tamto i tak dalej. Pewnego dnia postanowiłem to sprawdzić w pojedynku z Johnem Parrottem. Skupiłem się na sekwencji ośmiu czy dziewięciu uderzeń i okazało się, że Ray miał absolutną rację. Był niesamowicie inteligentny, grał w snookera jak

w szachy. Dokładnie wiedział, co będzie wbijał za cztery uderzenia. Tymczasem ja waliłem z całej siły w czerwoną, rozbijałem bile, popełniałem błąd i było po meczu. Ray nauczył mnie grać w snookera w stylu szachowym.

Czy ten styl gry mi odpowiadał? Cóż, zdobyłem wtedy mistrzostwo świata i bardzo dużo się nauczyłem. Po mniej więcej półtora roku z Rayem stwierdziłem jednak, że pora odzyskać dawną agresję. Wiedziałem, że do jego stylu gry mogę w każdej chwili wrócić, co zresztą dawało mi poczucie pewności siebie. Mogłem znów zacząć grać agresywnie, a gdyby to się nie sprawdzało, zawsze mogłem sięgnąć po ten bardziej defensywny styl.

Ostatecznie jednak uznałem, że Ray stanowi dla mnie trochę zbyt duże obciążenie. Nie dawałem rady z ciągłymi poleceniami typu „uderzę tę, a teraz uderz tamtą”. Gdy wykonałem uderzenie inaczej, niż tego ode mnie oczekiwał, zaczynał się wkurzać. Bardzo na mnie naciskał, a ja miałem poczucie, że nie umiem mu dogodzić. Za każdym razem, gdy popełniłem jakiś błąd, z jego ust wydobywał się jęk zawodu. Sam zresztą miałem podobne odczucia. Ray był surowym mistrzem. Powtarzałem mu, że źle ustawiam biodra, źle stoję i że nie poukładałem sobie wszystkiego w głowie, na co on mówił: „Tym się nie przejmuj. Bij tę bilę tam, a tę bilę tam, reszta jest nieważna”. Odpowiadałem mu wtedy: „Cóż, przejmuję się. Zależy mi na odpowiedniej postawie i właściwym podejściu mentalnym, bo dzięki tym elementom wbijanie bil staje się łatwe. Ty oczekujesz, że zrobię coś, czego w tej chwili robić nie umiem, bo moja praca kijem jest do dupy”.

Nie potrafił tego zrozumieć. Powtarzał, że nie da się ze mną grać. „Ron, jesteś niepokonany. Jesteś najlepszy ze wszystkich, a do tego umiesz grać defensywnie”. Teoretycznie pewnie miał rację, ja wiedziałem jednak, że dopóki nie poukładałem sobie wszystkiego w głowie, to jego rady zdadzą się na nic. Powtarzał często: „Jak już uszczelnię twoją grę obronną, nikt nie będzie chciał z tobą grać”. Pewnie pod pewnymi względami miał rację, ostatecznie jednak stanęło na tym, że wolałem grać po swojemu.

Podczas jednego z meczów obok Raya siedział mój znajomy, który powiedział mi później:

– Gdyby mógł wyjść i wykonać uderzenie za ciebie, zrobiłby to bez wahania.

To tylko wzmogło poczucie presji. Podczas UK Championship grałem koszmarne w meczu z Markiem Kingiem. Ostatecznie postanowiłem próbować każdego, nawet najtrudniejszego uderzenia. Wiedziałem, że wyprowadzę tym Raya z równowagi. Zszedłem na przerwę gotowy powiedzieć: „Ray, daj sobie ze mną spokój, dłużej nie dam rady”, więc pytam jednego kumpla:

– Gdzie jest Ray?

– Poszedł do domu – odparł. – Po prostu wstał i opuścił widownię.

Byłem wstrząśnięty. On jednak najwyraźniej zorientował się w sytuacji. Zdawał sobie sprawę, że za bardzo namieszał mi w głowie, więc się zwyczajnie zawiął. Tak

czy owak, nadal żywimy do siebie ciepłe uczucia. Nie rozmawiamy zbyt często, ale wiem, że mogę w każdej chwili zapukać do drzwi jego domu w Torquay i że zostanę tam życzliwie przyjęty. Niewielu jest ludzi, z którymi miałem okazję przeżyć tak udane półtora roku.

Jego docinki, żarty, sposób bycia – wszystko to było szalenie zabawne. Dobijał ludzi w najśmieszniejszy możliwy sposób. Słuchałem go i myślałem: „Zmiażdżył tego człowieka, i to z uśmiechem na twarzy. Sam chciałbym tak umieć”. Swoją drogą to bardzo przydatna umiejętność. Gdy ktoś podchodził do nas tuż przed meczem, Ray mówił: „Koniec, taśma poszła w górę. Starczy gadania. Do zobaczenia później. Pa, pa”. W ogóle nie owijał w bawełnę, ja tak nie umiałem. Wydawało mi się, że nie można rozmawiać z ludźmi w ten sposób, a on swoje: „Nie. Taśma poszła w górę, czas się brać do roboty. Zabawa będzie po fajrancie”. Najogólniej rzecz biorąc, mówił ludziom, że mają spieprzać, że ja mam teraz robotę do wykonania – przy czym zawsze robił to z uśmiechem na twarzy. Miał oczywiście absolutną rację.

Z Rayem widziałem się w 2012 roku, już po zdobyciu kolejnego tytułu mistrza świata. Siedział na widowni tuż za moimi plecami. Gdy go tam dostrzegłem, prowadziłem 17:11, brakowało mi już tylko jednego frejma. Spojrzał na mnie, a ja pomyślałem sobie: „No pięknie! Obserwuje mnie”. Znowu presja! Kiedy wygrałem, niesamowicie się cieszył.

Ray nie znosił Johna Liverpoolczyka, jednego z moich najlepszych kumpli. Wydaje mi się, że trochę źle go postrzegał. Wygrywałem za każdym razem, gdy John towarzyszył mi w Sheffield. Wszystko dzięki temu, że umiał mnie rozbawić. Ray jakoś tego nie widział, więc się na niego jeżył. John zwracał się do niego per Raj, nie Ray, co doprowadzało go do szewskiej pasji.

Pewnego dnia jedliśmy śniadanie w Brighton. Ray to człowiek z klasą: wędzony łosoś, jaja w koszulkach, pogawędki z dziewczynami, które zawsze go uwielbiały. Facet bez skazy. Przesiadaliśmy tam codziennie, jedliśmy śniadanie z widokiem na morze, wszystko w najlepszym stylu. Jednego dnia siadamy przy stoliku i naszym oczom ukazuje się wielki kamper należący do Johna Liverpoolczyka. Ray zaczyna:

– Co to ma być? Co to jest? Gdzie się podział nasz widok?

Nie mogłem mu powiedzieć, że to samochód Johna, boby mnie opieprzył i kazał mi go przestawić. Ray wstał zatem i poszedł do kierowniczkii restauracji:

– Czy może się pani dowiedzieć, do kogo należy ta furgonetka, a potem się jej pozbyć?

Po chwili kobieta wraca do naszego stolika i mówi:

– To samochód pana O’Sullivana.

Cały John Liverpoolczyk.

Na koniec Ray po prostu wyszedł z mojego meczu, ja wolę jednak pamiętać wszystkie dobre chwile, które razem przeżyliśmy. To prawdziwy dżentelmen. Jeśli

chodzi o intelektualny aspekt snookera, nie spotkałem nikogo lepszego, a pracowałem przecież z kilkoma dobrymi trenerami, na przykład z Frankiem Adamsonem, starszym z Bristolu. Ma teraz coś koło osiemdziesiątki i przez wszystkie te lata bardzo mnie wspierał. Prezentuje zupełnie inne podejście do gry niż ja. W pewnym momencie nie mogłem już tego znieść, postanowiłem więc przywrócić go do pionu. Powiedziałem:

– Frank, popatrz tylko – po czym stanąłem na jednej nodze i zacząłem wbijać bile lewą ręką. Czasem niektórym ludziom trzeba udowodnić, że nie mają monopolu na rację.

W pewnym sensie sam jestem najlepszym trenerem, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Zawsze obserwowałem innych i się od nich uczyłem. Umieć powiedzieć, dlaczego bila uderzona przez kogoś innego zachowuje się tak, a nie inaczej, a potem wykorzystać to w mojej grze. Robiłem tak ze Steve'em Davisem, a teraz robię to ze wszystkimi młodzikami, którzy występują w turniejach.

Idol rockowy: Antony Genn

Jako dzieciak Antony grał w Pulp, a potem założył grupę The Hours. Jest dla mnie jak brat, to mój najlepszy kumpel, facet o szczerzonym sercu, zabawny jak mało kto. Poza tym mógłby reprezentować Wielką Brytanię w jedzeniu czekolady. Uwielbiam go! Podobnie jak ja należy do ludzi wrażliwych – różne rzeczy mocno go dotykają. Poza tym jest z północy, a ja kocham ludzi z północy.

Po raz pierwszy spotkałem go w 2008 roku. Właśnie wygrałem mistrzostwa świata, ale wewnątrz byłem wrakiem – rozstawałem się z Jo i tłumiliem w sobie wszystkie towarzyszące temu emocje. Byłem w niewiarygodnie dobrej kondycji fizycznej, a przy tym dawałem mojemu ciału taki wycisk, jak gdyby nic więcej się już nie liczyło. Na Antony'ego natknąłem się w Sheffield, ale nie mieliśmy okazji sensownie pogadać. Pojawił się w towarzystwie Damiena Hirsta i obaj sprawiali wrażenie miłych chłopaków, poza tym nic o nich nie wiedziałem. Wymieniliśmy się numerami i kilka tygodni później spotkaliśmy się w Ivy, żeby coś razem zjeść. Po kolacji przyglądałem się, jak ci dwaj goście sączą wodę Perrier. Antony opowiadał mi o wszystkich okropieństwach, przez które przeszedł w związku z nałogiem. Może chciał mi pomóc, bo widział, że rozpadam się na kawałki? Szczerze powiedziawszy, sprawiał wrażenie tak zdrowego i rozgarniętego, że mu nie uwierzyłem.

Kilka tygodni później pojechałem do mamy. Byłem w koszmarnej formie – nie mogłem się ruszyć, miałem gorączkę, wymiotowałem, sikałem krwią. Lekarze początkowo podejrzewali nerki, więc umieścili mnie na jednym oddziale z samymi starcami, którzy wszędzie chodzili z workami stomijnymi. Zrobili badania i stwierdzili, że nerki mają się dobrze. Nikt nie umiał stwierdzić, co się właściwie dzieje. Ja jednak

wiedziałem – płaciłem cenę za to, że o sobie nie dbałem.

Gdy trochę mi się poprawiło, od razu sięgnąłem po słuchawkę i zadzwoniłem do Antony'ego, żeby zapytać, jak wyszedł z nałogu. Zaczęliśmy wspólnie chodzić na spotkania anonimowych narkomanów, ale jakoś nie mogłem ich zdzierżyć. Antony stwierdził wówczas, że mam się nie martwić, że możemy po prostu spędzić trochę czasu razem. W ten sposób się do siebie zbliżyliśmy. Spotykaliśmy się na lunch albo na kolację, tak żeby pogadać. Nie musiałem się martwić, że coś mnie skusi, ponieważ Antony nie pił i nie brał. Razem z Damienem pokazali mi nowy sposób na życie i od tamtej pory jestem czysty. Zostanę czysty choćby dla nich, nie chcę bowiem stracić ich przyjaźni i nie chcę im się pokazywać nawalony. W sumie można powiedzieć, że stali się dla mnie źródłem motywacji. Bez względu na to, co się akurat ze mną dzieje, przed Antonym zawsze mogę się otworzyć. Gdy coś jest nie tak, wiem, że mogę do niego zadzwonić, a on zawsze mi powie: „Wpadaj, jakieś łóżko się dla ciebie znajdzie”.

Idol artysta: Damien Hirst

W tej kategorii znów jest tylko jeden kandydat, Damien Hirst. Ludzie, którzy nie znają go osobiście, widzą tylko absurdalnie bogatego artystę ze sporym temperamentem. Tymczasem prywatnie to zupełnie inny człowiek. Niewykluczone, że to najbardziej szczodry i dobry gość, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Wspierał mnie na trzech turniejach o mistrzostwo świata, z których dwa wygrałem. Potrafił mnie rozbawić, gdy robiło się naprawdę ciężko.

To jedna z niewielu osób, które lubię mieć przy sobie, kiedy gram. Zainwestowałem mnóstwo czasu i energii we wspieranie mnie w trudnych chwilach, więc teraz staram się za wszelką cenę nie zawieść go przy stole.

Damien często jeździ ze mną na turnieje – do Sheffield, do Gloucester, do Niemiec i do Walii – jeździ też na mecze w ramach Premier League. Gdy mi towarzyszy, prawie nigdy nie przegrywam. Sam sporo gra, jego średni brejk wynosi ponad 40 punktów. Uwielbia snookera. Czasem wiem, że mój rywal stara mi się namieszać w głowie, a wtedy w czasie przerwy Damien mówi do mnie: „W co on gra? Po co on to robi? Nie daj mu się wyprowadzić z równowagi. Nawet jeśli przegrasz, nic się nie stanie. Pojedziemy do Londynu i się rozerwiemy. Kogo to w ogóle obchodzi?”.

Damien przyjechał oglądać mnie w finale mistrzostw świata w 2008 roku. Nie miałem pojęcia, że siedział wtedy na widowni. Zjawił się z Antonym Gennem. Stopniowo zacząłem go lepiej poznawać i okazało się, że się świetnie dogadujemy.

Parę sezonów temu był na pięciu czy sześciu turniejach. W Sheffield wytrzymał całe 17 dni – pojechał do domu na urodziny syna, po czym natychmiast wrócił. Powiedział mi, że musi się stawić na tej imprezie, ale że zaraz będzie z powrotem. Sylvia, jego asystentka, także jest wielką fanką snookera, więc siedzieliśmy tam w trójkę. Przed rozpoczęciem mojej rocznej przerwy od snookera powiedziałem jej:

– Mam poczucie, jakbyśmy widzieli się ostatni raz, przecież spotykamy się tylko dzięki snookerowi.

Odparła:

– Nie, nie, to nie tak.

Ostatecznie okazało się, że miałem rację. Nie widziałem się Damienem przez dziewięć miesięcy. Snooker stanowił dla niego znakomitą wymówkę, żeby na tydzień wykroczyć się od pracy.

Damien wyświadczył mi wielką przysługę z Ronniem Woodem, gitarzystą The Rolling Stones. Ronniego znam od bardzo dawna, poznaliśmy się jeszcze w czasach, gdy był ze swoją żoną Jo. Jimmy White i ja chodziliśmy do nich do domu i rozgrywaliśmy legendarne partie snookera, a przy okazji piliśmy na umór w towarzystwie Keitha Richardsa. Pewnego wieczoru szło nam rewelacyjnie, Jimmy i ja wbijaliśmy setkę za setką. To był chyba najlepszy mecz w naszym wykonaniu, ale nie było tam nikogo, kto mógłby nas podziwiać – oczywiście poza dwoma nawalonymi muzykami The Rolling Stones. Keith nazwał mnie Mozartem snookera. Nie jestem ekspertem od muzyki klasycznej, ale nawet ja wiem, że to komplement.

Co jakiś czas dzwonił do mnie ktoś z rodziny Ronniego i mówił: „Czy mógłbyś pomóc nam przywrócić Ronniego do pionu? Wpadł w ciąg, a musi jechać w trasę i Mick chciałby, żeby był czysty”. Sądzę, że dzwoniли akurat do mnie, bo znali moją historię. Mieli świadomość, że jestem nałogowcem, który pomimo potknięć próbuje nie ulegać pokusom. Ronnie nigdy sobie z tym nie radził, dlatego jego rodzina zgłaszała się do mnie, żebym przyjechał i zabrał go do Priory. Wydaje mi się, że podchodził do tego trochę na zasadzie: „Aha, znowu to samo, zadzwonią do Ronniego, pojedziemy do Priory, pokażę wszystkim, że chcę być czysty”. Tak naprawdę jednak Ronnie nie chciał zrywać z nałogiem, zależało mu jedynie na tym, żeby bliscy dali mu święty spokój. Do Priory odwoziłem go kilkakrotnie.

Tym razem jednak Ronnie wydawał się być w gorszym stanie niż kiedykolwiek wcześniej. Urwał się gdzieś z jakąś Rosjanką, z którą sam go w sumie poznałem. To było w 2008 roku, tuż przed premierą filmu o Stonesach, koniecznie musiał wziąć się w garść. Właśnie skończyłem grać w mistrzostwach świata i zachowywałem się jak wariat. Kręciłem się gdzieś ze Stonesami, zaliczyliśmy niesłychanie udany wieczór. Ostatecznie Jimmy, Ronnie i ja utknęliśmy o 5.00 rano w jakimś pokoju hotelowym. Stwierdziłem wtedy, że trzeba wyjść gdzieś do klubu. W ten sposób znaleźliśmy się w przypadkowym londyńskim barze, gdzie poznaliśmy parę dziewczyn. Ronnie natychmiast zakochał się w jednej Rosjance. To był rok moich największych ekscesów.

Słyszę Ronniego:

– Dzięki, dzięki za ten wieczór!

Więc pytam go:

– Co ty wygadujesz? Przecież niedługo wsiadasz do samolotu!

A on mi dalej dziękuje. Następnego dnia odbieram telefon:

– Gdzie jest tata? Gdzie on jest?

No więc mówię:

– O 7.00 rano odstawiłem go do pokoju hotelowego i wyglądał w porządku. Leżał już w łóżku, a ja musiałem iść.

Jamie, jego syn, odpowiada:

– Na razie się nie pojawił.

Ostatecznie jakoś zdążył na samolot do Kenii i dołączył do reszty rodziny. Gdy stamtąd wrócił, wyekspediowałem go w Priory, ale nie zamierzał wychodzić na prostą – nie dlatego, że nie chciał, tylko dlatego, że nie umiał.

Po wyjściu zaszył się gdzieś w Irlandii ze swoją nową dziewczyną z Rosji. Jego rodzina bardzo to przeżyła.

Tym razem gdy odebrałem telefon od Jamiego, nie bardzo wiedziałem, co robić. Zastanowiłem się i powiedziałem mu:

– Sądzę, że znam kogoś, kogo Ronnie mógłby posłuchać, do kogo odniósłby się z szacunkiem.

Wydaje mi się, że Ronnie szanował mnie jako człowieka i jako snookerzystę, nie mógł mnie jednak brać poważnie jako kolesia od odwyków – za dużo razem piliśmy i ćpaliśmy, za dużo szaleliśmy po nocach. Pomyślałem, że Ronnie jako odnoszący sukcesy artysta dobrze zareaguje na Damiena, innego artystę z sukcesami na koncie. Może udałoby mi się go przekonać, żeby wziął przykład z Damiena i zrobił to dla niego.

Ledwo znałem Damiena, gdy zwróciłem się do niego z prośbą o tę przysługę. Odpowiedział mi krótko:

– Jasne. O co chodzi?

– Ronnie Wood się pogubił – powiedziałem. – Jego rodzina się zamartwia, a do tego on musi wyjechać. Mógłbyś pomóc? Ja już nic więcej nie zdziałam. Ronnie mnie nie słucha, nie słucha też Micka Jaggera.

Nałóg to tak potężna siła, że nawet Mick nie umiał sobie poradzić z Ronniem. Miałem jednak poczucie, że Damien będzie umiał mu pomóc. Nie należę może do ludzi szczególnie przenikliwych, ale czasem potrafię dodać dwa do dwóch i znaleźć jakieś skuteczne rozwiązanie. Bum! Od tego momentu wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Damien stwierdził, że się tym zajmie. Razem z Antonym wynajęli prywatny odrzutowiec, po czym Damien zatelefonował do Ronniego i zapytał go, gdzie jest. W odpowiedzi usłyszał, że w Irlandii, więc poinformował Ronniego, że już po niego lecą. Udał się do Irlandii wspólnie z Antonym, który był czysty od ponad dziesięciu lat, ale doskonale wiedział, jak funkcjonuje człowiek uzależniony. Solidnie przygotował się do tematu – stwierdził, że nie ma sensu ograniczać się do odstawienia Ronniego do Priory i że tym razem należy zadziałać bardziej zdecydowanie. Podkreślam, że w tamtym momencie Damien i Antony w ogóle nie znali gitarzysty Stonesów.

Ronnie nie mógł wyjść z domu. Wokół roilo się od fotografów, którzy tylko czekali, aż pokaże się ze swoją Rosjanką. Chłopakom udało się jednak przemycić go tylnym wejściem, przykrytego kocem, prosto do samochodu. Błyskawicznie pojechali na lotnisko. Gdybym to ja się tam znalazł, pewnie powiedziałbym: „Ron, wsiadaj do tego pieprzonego samochodu. Twoje życie i tak jest popierdolone, więc kogo obchodzą fotografowie?”. Oni zrobili to jednak tak, jak należy. Damien stwierdził:

– Wysyłamy go w jedno miejsce w Anglii. Upewnij się, że nie będzie tam miał komórki ani tego i tamtego. Tym razem nie będzie opieprzania się, tylko intensywny miesięczny odwyk.

Ronnie zachował się jak zwykle:

– Zanim zacznę ten cały odwyk, muszę się napić.

Zatrzymali się zatem na chwilę, dali mu wypić piwo, a potem pojechali na miejsce. Zadzwoniłem do Antony’ego i spytałem:

– I jak poszło? – Po czym usłyszałem:

– O kurwa! To był długi dzień pełen emocji!

Ronnie dał się jednak zamknąć i ostatecznie wydobrał.

Po odwyku przez jakiś tydzień mieszkał u Antony’ego, który się nim opiekował. Później Damien wynajął dla niego dom. Gdy tylko Ronnie się tam wprowadził, na miejsce podjechała ciężarówka wypełniona artykułami plastycznymi: ołówkami, szablonami, farbami, pędzlami, kartonami i różnymi innymi materiałami. Damien zrobił to wszystko sam z siebie. Zostali kumplami, a Ronnie nie wrócił już do picia i prochów. Naprawdę świetnie się stało. Choć to bez wątplenia zasługa samego muzyka, Damien i Antony odegrali w tej historii niebagatelną rolę.

Damien stoi teraz w moim narożniku, tuż obok Irish Chrisa. Chrisa poznałem przez AA, on również stanowi dla mnie źródło motywacji do tego, by nie wracać do nałogu. To jeden z moich najlepszych kumpli. Chciałbym, żeby pozostał w moim życiu. W towarzystwie Chrisa i Damiena mogę być sobą, a to duża rzecz. Mówię im, że czuję się cholernie słabym snookerzystą, a oni patrzą wtedy na mnie jak na wariata. To się nazywa przyjaźń!

Damien i ja nieraz świetnie się bawiliśmy, poza tym on mnie bardzo wspiera – i tylko nigdy nie daliśmy razem w palnik. Jest czysty, odkąd go poznałem. Damien to niesamowity przyjaciel. Jego zdaniem jestem autystyczny. „Ta twoja gra w snookera to musi być forma autyzmu”, powtarza. Uznaję to za komplement. On chce przez to powiedzieć, że takiej gry jak moja nie da się od nikogo nauczyć, i pewnie coś w tym jest.

Dopóki nie poznałem Damiena osobiście, nie interesowałem się jego dorobkiem artystycznym. Nie wiedziałem nawet, że odnosi na tym polu największe sukcesy w całej Wielkiej Brytanii. Dzisiaj wiem o sztuce nieco więcej, poznałem jego talent. Towarzyszyłem mu tamtego pamiętnego wieczora w 2008 roku, kiedy to zorganizował

w Sotheby's aukcję i zarobił na niej fortunę. Co zabawne, nie mieliśmy okazji w niej uczestniczyć. Siedzieliśmy akurat w obskurnym klubie snookerowym gdzieś w londyńskim King's Cross.

Damien postanowił opylić całą kolekcję zatytułowaną *Beautiful Inside My Head Forever*. Nikt przed nim nigdy tego nie próbował. No dobra, nikomu wcześniej nie udało się odnieść takiego sukcesu finansowego.

Damien zadzwonił do mnie, opowiedział mi o aukcji i stwierdził, że się na nią nie wybiera.

– O co chodzi, Damien? Czemu nie chcesz tam być?

– Wiesz, zawsze gdy moje dzieła trafiają na aukcję, ja idę do Groucho Club i wbijam kilka bil. Nie mogę brać w tym udziału, to dla mnie zbyt trudne. Zawsze proszę kogoś, żeby do mnie zadzwonił i zrelacjonował mi rozwój wydarzeń. Poza tym uwielbiam grać w snookera.

– Dobra – odparłem. – Biorę kije i bile i zaraz jestem na miejscu.

– Super, czekam.

Do Groucho Club dotarliśmy koło 18.00 i zaczęliśmy sobie pykać. Aukcja zaczynała się o 19.00. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać, ponieważ właśnie zaczęły upadać banki i nie dało się przewidzieć, czy ktokolwiek będzie w nastroju do wydawania pieniędzy. Potem pojawił się pierwszy przedmiot wystawiony na sprzedaż, więc Sylvia pyta:

– Mam ci mówić, po ile chodzą?

– No pewnie – mówi Damien.

Sylvia odbierała kolejne telefony.

– Pięć milionów – powiedziała. Damien spodziewał się trzech.

– Pięć milionów za pierwszy przedmiot? – zapytałem. Nie mogłem w to uwierzyć. W głowie dosłownie mi szumiało: 8 milionów, 9 milionów, 13 milionów, 14 milionów, 850 tysięcy funtów za popielniczkę... Rzuciłem wówczas: – Popielniczka poszła za 850 kawałków, a na sprzedaż są jeszcze dwie.

Aukcja trwała w najlepsze, a ja uznałem, że muszę zacząć wbijać bile, żeby odciągnąć uwagę Damiena od tego cyrku. Zbudowałem kilka brejków, wykonywałem różne uderzenia, zabawiałem go i w sumie zaliczyliśmy udany wieczór.

– Dlaczego ktoś płaci tyle kasy za popielniczkę? Nie rozumiem tego – powiedziałem mu.

Wybuchnął śmiechem. To przekraczało moje pojęcie. Po półtorej godzinie Damien miał na koncie 111 milionów funtów. Nie mieściło mi się to w głowie, jemu zresztą też nie. Wróciliśmy do hotelu. Ja, Ronnie, mój mały kumpel T i parę innych osób siedzieliśmy w pokoju Damiena, on sam jednak gdzieś zniknął. Zastanawiałem się, gdzie się, u licha, podział, gdy nagle dostałem SMS-a od Antony'ego: „Musieliśmy wynająć drugi pokój, żeby móc się położyć!”.

U Damiena najbardziej zaskakuje mnie talent kulinarny. W kuchni zamienia się w prawdziwego geniusza. Gdy zjawiam się u niego na jakieś cztery czy pięć dni, staram się jak najwięcej jeść, bo nie wiem, kiedy znowu go odwiedzę. Pizza, lasagne, pieczeń, curry... potrafi przyrządzić dosłownie wszystko. Moim zdaniem jest nawet lepszym kucharzem niż artystą.

Damien namalował dla mnie obraz przedstawiający maksymalnego brejka, wbitego przeze mnie w rekordowym czasie (dokładnie 5 minut i 20 sekund, tak z góry odpowiadając na pytanie, które na pewno zaraz padnie) podczas mistrzostw świata w 1997 roku. Nie mogę trzymać go w domu, bo nie mam wystarczająco dużej ściany. Obraz jest wielkości stołu do snookera – 12 na 6 stóp. Nie wiem, ile jest wart, ale na pewno majątek. Damien parokrotnie mnie pytał, czy mam ścianę o wymiarach 12 na 6, a ja zachodziłem w głowę, o co mu, do cholery, chodzi.

Słyszałem, że malował obrazy dla innych, ale sam na nic takiego nie liczyłem. Zależało mi tylko na jego przyjaźni. Zawsze mam ten sam problem w relacjach z ludźmi – nie bardzo umiem przyjmować prezenty. Nie chcę, żeby ktoś wziął mnie za pasożyta. Po prostu nie chcę i kropka! Damien parę razy zagadywał mnie o tę ścianę, ale ja go zawsze zbywałem. Pewnego dnia odebrałem telefon:

– Damien chciałby, żeby zjawił się pan w jego studiu.

„O, nie! – pomyślałem wtedy. – Coś dla mnie zrobił”. Nie miałem zielonego pojęcia, co to może być.

Przechodziłem przez jego studio, gdy nagle zapytał mnie:

– Co sądzisz o tym?

Spojrzałem na ten obraz i natychmiast odparłem:

– Wow, to moje 147 punktów! Widzę, o co ci chodziło. Widzę poszczególne bile.

Obraz był przepiękny.

– Jeśli coś jest nie tak, mów śmiało. Namaluję od nowa.

– Zostaw. Jest idealnie.

SZEMRANE INTERESY

Niedzielny poranek, las Epping, spokojne osiem i pół mili. Nie biegło mi się najlepiej, chyba w ostatnich dniach straciłem do tego serce. Katorga.

Jeśli jesteś częścią świata sportu, co chwila docierają do ciebie różne plotki. W każdym sporcie istnieje korupcja, więc i w snookerze są tacy, którzy myślą, że mogą dorobić na boku, traktując swoją karierę jak stale nabijający przychody rachunek. Wiadomo – każdy z nas rachuje i sprawdza stan konta, ale niektórzy wolą oddać mecz czy frejma, by jednorazowo zarobić na tym 100 tysięcy funtów i udawać, że nic się nie stało, niż pracować przez następne kilka lat.

Myślę, dla części zawodników taki proceder to norma. To ludzie, którzy kochają pieniądze, hazard i wysoki standard życia. Sam znam siedmiu czy ośmiu graczy, którzy ustawiali swoje mecze. Większość wymigała się od odpowiedzialności. 80–90 procent oszustw dokonuje się na niższych szczeblach, ale są też tacy, którzy kantowali na najważniejszych turniejach.

Prawdziwym szokiem była jednak informacja podana przez *News of the World*, że w korupcję zamieszany jest sam John Higgins. Stał się on ofiarą prowokacji policjantów, którzy działając pod przykrywką, spotkali się z nim w jednym z kijowskich hoteli i wręczyli mu 300 tysięcy funtów w zamian za przegranie czterech frejmów w czterech różnych meczach.

Następnego dnia John wydał specjalne oświadczenie, w którym bronił się, twierdząc, że sądził, że ma do czynienia z rosyjską mafią i ze strachu przed śmiercią zgodził się na tę transakcję. Ostatecznie został zawieszony na sześć miesięcy za samą gotowość, by złamać przepisy. Ukarano go też grzywną w wysokości 75 tysięcy funtów za brak złożenia wyjaśnień, ale z zarzutów korupcyjnych został w pełni oczyszczony.

– Jeśli czymś zawiniłem, to tylko swoją naiwnością i ślełą wiarą w ludzi, o których myślałem, że działają dla dobra snookera i mojego – powiedział tuż po nałożeniu kary.

I tak miał kupę szczęścia. Spokojnie mógł zostać wyrzucony na dłużej, może nawet na zawsze. Na policyjnym nagraniu doskonale było widać, jak John – co prawda podjudzany przez swojego agenta Pata Mooneya – ubija interes: „No dobrze, to frejma numer trzy mam przegrać. OK, zrobione”. To nie wyglądało za dobrze, niezależnie od

wymówek, po które sięgnął.

Nie chce mi się jednak wierzyć, by John kiedykolwiek sprzedał się na którymś z najważniejszych turniejów.

Sprawa Higginsa, oprócz potężnego szoku, wywołała u mnie równie wielki smutek. Zawsze byliśmy blisko zarówno jako rywale, jak i jako koledzy. To jeden z moich idoli. Tylko Hendry grał na takim poziomie jak on i miał większą żądzę zwycięstw. W erze „post-hendry’owskiej” to ja i John walczyliśmy o najwyższe laury. Nigdy nie zapomnę jego życzliwości, którą mi okazał, gdy po raz pierwszy sięgnąłem po mistrzostwo świata. Pogratulował wówczas mnie i mojemu ojcu. Cieszę się, że udało mu się zapomnieć o całej sprawie. Wiem, że wyciągnął z niej właściwą lekcję.

W październiku 2012 roku Światowy Związek Profesjonalnego Bilarda i Snookera zawiesił Stephena Lee, któremu zarzucono obstawianie swoich meczów u bukmachera. W jego przypadku była to recydywa. W lutym kolejnego roku ŚZPBIS oskarżył go o ustawienie serii spotkań z lat 2008–2009.

Sprawa była o tyle przykra, że Stephen po kilku latach złapał niezłą formę. Chwilę przed tym, jak został zawieszony, wrócił do czołowej ósemki światowego rankingu i miał za sobą sezon, w którym zgarnął z 200, może nawet 300 tysięcy funtów. Oczywiście zaprzeczył wszelkim oskarżeniom. Jego prawnik Tony Miles mówił:

– Pan Lee nie może się pogodzić z faktem, że został posądzony o złamanie przepisów oraz regulaminu i jest poważnie zawiedziony, że został zawieszony, zanim ruszyło postępowanie wyjaśniające.

Mam nadzieję, że Stephen jest tak naprawdę niewinny i padł ofiarą zbiegu nieprzychylnych zdarzeń, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że nie byłby pierwszym, który uległ pokusie. Nie wiem, co ci ludzie mają w głowach. Odpuszczanie meczów w zamian za pieniądze nigdy nie kończy się dobrze.

Plotki o tym, że niektórzy zawodnicy lubią pójść na łatwiznę, krążyły od zawsze. Pamiętam, jak w 1989 roku Południowoafrykańczyk Silvino Francisco został aresztowany tuż po przegranym 1:5 meczu z Terryem Griffithsem. Odkryto, że tego dnia ktoś postawił mnóstwo pieniędzy na taki właśnie wynik, ale ostatecznie Francisco nie usłyszał żadnych zarzutów (co ciekawe, i tak trafił za kratki – trzy lata później wsadzono go za przemyt konopi). Jednak przed skandalem Higginsa wszystkie hazardowe historyjki stanowiły jedynie pogłoski. Gdy Hearn przejął stery w Związku, zapowiedział, że wszelkie oszustwa przestaną być tolerowane i zajmie się nimi policja. Powołał specjalną komisję, która do dziś bada ślady afer bukmacherskich. Traktował ją jak środek odstraszający. Powtarzał, że każdego, kto zerwie zakazany owoc, dosięgnie ręka sprawiedliwości.

Tylko raz proponowano mi łapówkę za przegranie meczu. Nie było szans, żebym się zgodził. Pewnego dnia ktoś zadzwonił do mnie i powiedział, że chciałby się ze mną spotkać w pobliskim lesie i przejść na spacer. Kojarzyłem gościa. Typ faceta, z którym

nie chcielibyście wychodzić gdziekolwiek. „Kurwa, mam kłopoty”, pomyślałem. Gdy otrzymujesz taką propozycję, zaczynasz się zastanawiać, czy wrócisz z takiego spaceru żywy. Znamienny był też fakt, że umówiliśmy się w lesie Epping. Cholerne miejsce. Tam przecież biegam, by oczyścić umysł.

Spotkałem się z nim, bo nie wiedziałem, w czym rzecz. Byłem zdenerwowany. Zjawił się sam.

– Co tam słysząc, Ronnie? – zagaił.

– Gra i buczy – odpowiedziałem niby na luzie.

– Dobra, przejdźmy się trochę – powiedział. Jezu. Modliłem się, by chodziło tylko o spacer. Był miły, ale i tak uważałem, by go nie wkurzyć. Nie chciałem mieć z nim nic do czynienia.

– Grasz w Premier League – podjął.

– Owszem.

– Mamy ludzi, którzy mogą w to włożyć sporą kasę. Wiesz, obstawić mecz. – Kurwa, świetnie. Właśnie tego potrzebowałem. – Jeśli przegrasz jednego czy drugiego frejma, możemy zarobić niezły hajs. Oczywiście się z tobą podzielimy.

Zaoferowali 20 patyków za „kilka robótek”. Sumę, która w ogóle nie zrobiła na mnie wrażenia. Chciałem stamtąd uciec, uciąć temat. Powiedziałem mu prosto z mostu, że nie mogę tego zrobić. O dziwo, nie miał z tym żadnego problemu.

– W porządku Ron. Szanujemy to.

Cała rozmowa trwała około 15 minut. Facet był potulny jak baranek. Myślę, że zaimponowałem mu swoją asertywnością i szczerością. Dziś od tego wydarzenia minęło ponad dziesięć lat. Nigdy później nie dostałem podobnej propozycji. Wracając do domu, czułem się dziwnie.

Jeśli ktokolwiek mógłby oszukiwać, nie rzucając na siebie nawet cienia podejrzeń, to właśnie ja. Grałbym wtedy jedną ręką, na przykład wyłącznie lewą. Mógłbym nawet zarzucić sobie ręcznik na głowę, a ludzie myśleliby, że to kolejna z moich szopek. Nie potrafiłbym jednak z tym żyć. Czułbym się jak złodziej.

Moja uczciwość ukształtowała się jeszcze w czasach, gdy byłem dzieckiem. Wtedy, owszem, kłamałem na potęgę. Miałem problemy w szkole, podbierałem ojcu drobniaki z tych paczek, o których pisałem wcześniej. Aż wreszcie doszedłem do momentu, w którym wszystko się wydało i ojciec wykurzył ze mnie oszusta za pomocą pasa. Nauczyłem się, że nie warto kłamać. Ludzie nauczyli się mówić co innego, niż myślą – nawet ojciec, który z natury jest uczciwy. Ja wolę być szczery do bólu. Zwyczajnie nie lubię robić z gęby cholewy.

ZNÓW NA WŁAŚCIWEJ DRODZE

Wtorek, siłownia, Terry. 50 minut. Ciężary, od pasa w górę, klatka, uda i ramiona, brzuszki. Intensywne ćwiczenia, moc w nogach.

Wczoraj zafundowałem sobie intensywny trening. Było ciężko, ale dzisiaj rano czułem się zupełnie dobrze. Jest kwiecień 2013 roku, a ja właśnie zaczynam wracać do formy. W zeszłym roku, po tym, jak zdobyłem tytuł mistrza świata, odpuściłem sobie bieganie. Zaraz po powrocie złamałem jedną z kości śródstopia. To uraz, który często przytrafia się piłkarzom. Przybiło mnie to. Właśnie wracałem do formy. Biegałem wtedy przez las z Alanem, moim kumplem. Wcześniej dużo padało i zrobiło się jak w okopach z czasów I wojny, ale tamtego dnia wyszło słońce. Trzykrotnie poderwaliśmy się do szybszego biegu, minęliśmy też kobietę spacerującą z trzema psami. To były spore psy – bulteriery staffordshire. Pomyślałem sobie wtedy: „A co tam, dajemy!”. Zdarzało mi się już wcześniej, że psy goniły mnie podczas biegania. Zwolniłem więc i właśnie wtedy trach! – skręciłem nogę w kostce. Usiłowałem to rozbiegać, ale tym razem nie dałem rady – za bardzo bolało. Wiedziałem, że musi chodzić o coś poważniejszego. Pokuśtykałem do samochodu, a następnego dnia pojechałem do szpitala, gdzie usłyszałem diagnozę: złamanie kości śródstopia.

Przez trzy miesiące chodziłem o kulach, a przez następne trzy jakoś w ogóle nie miałem serca do treningów. Przybrałem na wadze, zrobiłem się gruby. Nawet w snookera nie grałem. Waga pokazywała 86 kilogramów, czyli o 13 więcej niż w okresie mojej topowej formy. Wyjmowałem z szafy ubrania i stwierdzałem, że nie daję rady się w nie wcisnąć. Wprawiało mnie to w kijowy nastrój.

Do mistrzostw świata zostało już tylko sześć tygodni, a mnie zależy na tym, żeby wrócić do gry w najlepszej formie. To dla mnie bardzo ważne. Skoro ogłosiłem już oficjalnie swój powrót, nie chcę się teraz ośmieszać.

Dzisiaj trenowałem trochę z Tracey. To ważny człowiek w moim życiu. Znamy się, odkąd skończyłem 15 lat. Bardzo ją podziwiam. To jedna z tych osób, które nigdy nie rzucają słów na wiatr. Ma 50 lat, a wygląda genialnie. Lokalne biegi kończy z trzecim lub czwartym czasem, a w kategorii weteranów zajmuje pierwszą lokatę. Jest

fantastyczną sportsmenką i nigdy mnie nie zawiodła. Na Tracey Alexandrou zawsze mogłem liczyć. Przez ostatnie 20 lat, z przerwami, pomagała mi w treningach, a tak na poważnie trenuje mnie od dziesięciu.

Postanowiłem nie ograniczać się do zwykłego biegania i zdecydowałem, że będę trenował z Tracey. Dlaczego? Ponieważ ona stawia na typowy trening siłowy. Zwykle spotykamy się w Hainault Forest, robimy rozgrzewkę na dystansie około jednej mili, a potem Tracey wyciąga z samochodu pachołki i ławeczkę. 20 powtórzeń opuszczania na rękach, przebieżka, 20 powtórzeń opuszczania na rękach, przebieżka, 20 powtórzeń opuszczania na rękach, przebieżka. Potem 20 pompek, przebieżka, 20 pompek, przebieżka. Mordercze ćwiczenia. Każda rundka przypominała jedną rundę na ringu bokserskim – pełne trzy minuty. Na koniec biegliśmy z powrotem, chociaż ja musiałem iść, bo nogi dosłownie mnie paliły.

– Trace, skarbie, koniec, dalej nie dam rady.

– Jak to dalej nie dasz rady? – pytała.

– Normalnie, koniec, jestem wykończony, muszę się zatrzymać.

– Nie przejmuj się, kochanie – mówiła. – Naprawdę ciężko pracowałeś. Jesteś w dobrej formie. Świetnie się dzisiaj spisałeś.

Jest urocza. Potrafi człowieka wesprzeć. Gdy nie jestem akurat w formie, powie mi to prosto w oczy – nie będzie mi ściemniać. Tracey mówi, jak jest – to lubię i tego potrzebuję.

W moim życiu nie brakuje ludzi, którzy nie bardzo chcą wyklądać kawy na ławę, gdy ze mną rozmawiają. Mama, tata, Irish Chris, mój kumpel, Kimo, Damien, Antony, Tracey, Chip, mój kumpel ze Szkocji (jego syn to wielki talent snookerowy – chłopak ma 120 centymetrów wzrostu i 12 lat, a już jest mistrzem Szkocji w kategorii do lat 14) – oni nie owijają w bawełnę. Czas mnie jednak nauczył, że ludzie często starają się realizować jakieś swoje interesy. Większość z nich mnie lubi i naprawdę się o mnie troszczy, ale mówią również różne rzeczy po to, żeby zapewnić sobie określone korzyści. Zdaję sobie z tego sprawę.

Nie mówię tu o ludziach w ogóle, ale o niektórych przedstawicielach środowiska snookerowego. Ogólnie rzecz biorąc, nie interesuje ich, że mam depresję albo że nie mogę się pozbierać. Dla nich liczy się przede wszystkim to, żebym grał, wbijał bile i pracował na ich wizerunek. Trudno się wyciąga takie wnioski o ludziach. Zawsze byłem trochę naiwny, ale teraz, gdy dobijam do czterdziestki, zaczynam widzieć świat takim, jaki jest naprawdę.

Dotyczy to nawet osób z mojego narożnika, na przykład mojego menedżera Django. Nasza relacja ma charakter profesjonalny, a zatem także w pewnym sensie najemniczy. Django dorastał w trudnych warunkach, trochę jak mój tata. W młodości nie miał dosłownie nic, dlatego do dziś szanuje każdy grosz. Django zrobił dla mnie wiele genialnych rzeczy i już zawsze pozostanie moim kumplem. Nie zmienia to jednak faktu,

że mamy zupełnie odmienne podejście do pracy. Chciałbym być tak bezwzględny jak on. Kocham go! Jest też najlepszym kucharzem na świecie. Nauczył mnie gotować przyzwoitą chińszczyznę i choćby za to na zawsze ma u mnie dług wdzięczności.

Django uważa, że jestem za miękki. Czasami nazywa mnie bankomatem.

– Tyle osób cię skubie na prawo i lewo – powtarza.

– Django, ale ja mam to gdzieś.

– Musisz położyć temu kres.

– A czy to moja wina, że wokół pełno sępów? – odpowiadam.

Django zawsze kieruje się tym, co dla mnie najlepsze. Niestety wielu innym ludziom zależy wyłącznie na kasie. Jak już wspominałem, po zakończeniu kariery sportowej chciałem się zająć mediami, radiem, telewizją, wywiadami, komentarzem. Zależałoby mi też, żeby zachować niezależność od korporacji – nie chcę być na niczyje zawołanie. Chcę i potrzebuję czegoś, co mi pomoże każdego ranka wstawać z łóżka – czegoś, co mnie pochłonie – trochę zaistnieć w mediach, zorganizować kilka osobistych występów, może kilka wykładów motywacyjnych. To mi wystarczy do szczęścia. Jeśli wezmę udział w jakimś spotkaniu albo wydarzeniu, a potem ktoś do mnie podejdzie i powie, że dobrze się bawił, to sprawi mi to wielką frajdę.

Dzięki bieganiu udało mi się poznać wielu ludzi, którzy nie mają w sobie nic z sępów. Spotkałem ich mnóstwo. Był taki okres, gdy codziennie poznawałem kogoś nowego. Normalnie uzależniłem się od biegania. Tak po prawdzie to był to pomysł taty: „A może potraktujesz kolejne turnieje jak zgrupowania treningowe?”

Gdy wyjeżdżałem na jakiś turniej, prosiłem mojego dobrego przyjaciela Terry’ego McCarthy’ego z Woodward Green Athletics Club, by skontaktował się z jakimś miejscowym klubem zrzeszającym biegaczy z okolicy. Chodziło o to, żeby znaleźć mi na miejscu jakiegoś partnera do treningów.

Terry chętnie wcielił się w rolę swata. Dzwonił potem do mnie i mówił: „Dobra, Ron, na rano załatwiłem ci Eddiego, a na wieczór Trevora”.

Super. Terry zostawiał mi numery telefonów, a ja dzwoniłem do wytypowanych osób i mówiłem: „Eddie, jestem u was od soboty, więc byłoby świetnie, gdybyśmy mogli spotkać się w niedzielę”.

I tyle. Zadanie wykonane. O 8.00 rano schodziłem na dół w krótkich spodenkach i wypatrywałem drugiego gościa w krótkich spodenkach.

– Ty pewnie jesteś Eddie?

– Tak. Ronnie, zgadza się? Jak daleko chcesz pobiec?

– Pięć–sześć mil – odpowiadałem, a potem ruszaliśmy. Jeden o drugim nic nie wiedział. Czasem myślałem sobie, że koleś jest bardzo szybki, innym razem stwierdzałem, że trochę się ociąga. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dochodziłem jednak do wniosku, że skoro ktoś biega dziesięć kilometrów w 34 minuty, to znaczy, że ma moc w nogach. Zyskałem w ten sposób wielu przyjaciół.

Miałem szczęście, że trafiłem do tak dobrego klubu. Woodford Green wychował mnóstwo genialnych sportowców, w tym Sally Gunnell, mistrzynię olimpijską z Barcelony w biegu na 400 metrów przez płotki. Klub ten zrzesza wielu wybitnych trenerów i biegaczy, którzy mają kontakty w środowisku na terenie całego kraju. To dzięki nim nawiązałem wiele świetnych znajomości. Właśnie wybierałem się na mistrzostwa Wielkiej Brytanii do Telford, poprosiłem więc Terry'ego, żeby mi tam kogoś znalazł.

– W Telford znam Chrisa Daviesa. Facet zrobił dziesięć kilometrów w czasie 28 minut 37 sekund.

– Jaja sobie robisz, co?

– Mówię poważnie, ale nie martw się. Z Chrisem będzie ci się świetnie biegać. To uroczy chłopak.

Terry zaliczał Chrisa do swoich idoli. Powiedział: „W Telford znajdziesz dobry klub. Pobiega tam z tobą Chris Davies i grupka innych ludzi. Facet ma jaja, zobaczysz”.

Na miejscu powitała mnie kobieta imieniem Claire. Weszliśmy do domu i tam poznałem jego – gościa o potężnych nogach i malutkim korpusie. Pomyślałem sobie, że to nie możliwe, żeby on biegał – większość z biegaczy ma przecież chude nogi. Im więcej mówił, tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że jednak stoi przede mną Chris Davies... choć przez cały czas wydawało mi się to mało prawdopodobne. Potem poszliśmy biegać i stało się dla mnie jasne, że to musi być on.

Najpierw pobiegliśmy przez las, a potem skierowaliśmy się w stronę Wrekin, które jest oficjalnie wzgórzem, ale spokojnie mogłoby uchodzić za górę. Podobno ze szczytu widać 15 hrabstw, a na samym wzniesieniu wzorowano Śródziemie opisane we *Władcy Pierścieni* Tolkiena. Super! To właśnie tam miejscowi urządzali sobie niedzielne poranne biegi długodystansowe.

– Słuchaj, mogę zrobić jakieś dziewięć mil, ale dzisiaj gram, także nie mam zamiaru przesadzać – zapowiedziałem.

Dość spokojnie wbiegłem na wzgórze. Chris Davies cały czas dotrzymywał mi kroku. Pomyślałem, że nieco podkręcę tempo. Nie będę biegł na maksa, ale dam trochę więcej gazu. Tak też zrobiłem. Pod koniec dystansu stwierdziłem, że Chris nawet nie złapał zadyszki. Ja tu ledwie żyję, a on sobie spokojnie rozmawia! Grał w zupełnie innej lidze.

Chris brał udział w Igrzyskach Wspólnoty Narodów, był też listonoszem. Przeprowadził się później z Telford do Stoke, gdzie mieszkają jego teściowie. Teraz trenuje tam. Cała jego rodzina biega – jego szwagier robi maraton w 2 godziny 20 minut, jego dziewczyna zeszła do 35 minut na dziesięć kilometrów, a David Webb, jego drugi szwagier, przebiegł maraton w 2 godziny 15 minut i wystąpił w ostatnich mistrzostwach świata. Sian, jego siostra, pokonuje dziesięć kilometrów w czasie 34 minut. Czyste szaleństwo. Przy tym wszystkim to prawdziwie uroczy ludzie. Przyszli

zobaczyć mój występ, chociaż rozgrywka ich nie interesowała. Chris, jego tata, Claire i jeszcze jeden biegacz pojawili się, aby mi kibicować. Miło z ich strony. Później wszyscy poszliśmy na kolację do chińskiej restauracji i rozmawialiśmy o bieganiu. Wszyscy mieliśmy świra na tym punkcie.

Zacząłem zauważać pewną odwrotną zależność między tym, jak szło mi z bieganiem, a tym, jak dogadywałem się z Jo. Im więcej czasu poświęcałem na bieganie, tym bardziej nasz związek na tym cierpiał. Jo zarzucała mi, że myślę tylko o sobie, i pewnie miała rację. Ja jednak pozyskiwałem dzięki bieganiu wielu świetnych znajomych – normalnych, przyzwoitych ludzi, którzy w ogóle nie interesowali się światem celebrytów i wszystkimi tymi bzdurami. Chciałem, żeby zrozumiała, że to dla mnie bardzo ważne. Niestety, nic z tego. Na wyjazdach dawałem sobie taki wycisk, że po powrocie do domu do niczego się nie nadawałem. To pewnie też nie pomagało.

Gdy czułem się kijowo, Jo była najmilszą osobą pod słońcem. Dzwoniłem do niej i mówiłem, że dopada mnie chandra, a ona okazywała mi wielkie wsparcie. Jeśli jednak właśnie zdobyłem mistrzostwo świata, jakoś nie potrafiliśmy się tym cieszyć.

Coraz częściej najlepiej się czułem podczas biegania, co niestety z czasem stało się kością niezgody między mną a Jo. Ona wychodziła z założenia, że ten czas powinienem poświęcać dzieciom. Uważała też, że za często spotykam się z kumplami od biegania. Gdy już się kłóciliśmy, to najczęściej właśnie o to.

Po jakimś czasie miałem znajomego biegacza w każdym porcie. W Sheffield był to Jason Ward, żywa legenda. Wybierałem się na mistrzostwa świata. Forma dopisywała mi jak chyba nigdy w życiu. Wygrałem bieg na pięć kilometrów w Epping. To właśnie wtedy zawładnęła mną myśl, że chcę reprezentować hrabstwo Essex w biegach – uznałem, że jeśli tylko uda mi się to osiągnąć, z radością zrezygnuję ze snookera, mimo że nie zarobiłbym na tym ani grosza. Marzenie szaleńca!

Dopiero co ukończyłem zawody ligi południowej w biegach przełajowych na Parliament Hill, zajmując 180. miejsce. Brało w nich udział jakieś 1200 osób, generalnie bardzo przyzwoici biegacze. Oczywiście paru maruderów też się w tym gronie znalazło, ale 1000 czy nawet 1100 uczestników biegu to byli poważni zawodnicy, którzy robili tygodniowo po 35 mil. Startowało też kilka naprawdę grubych ryb – takich, co to na dziesięć kilometrów zeszli do 27–28 minut. To już rzeźnicy, najlepsi z najlepszych. Z nimi nie miałem najmniejszych szans, choć właśnie pokonałem dziesięć kilometrów w 35 minut i byłem w cholernie dobrej formie. W biegu przełajowym w Essex zająłem 27. miejsce, więc doszedłem do naprawdę rewelacyjnej kondycji, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Był 2008 rok. Powiedziałem wówczas Terry'emu:

– Znajdź mi kogoś w Sheffield, bo jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanę tam przez 17 dni.

Terry korzysta z serwisu internetowego Eightlane, który działa z myślą o ludziach

zakręconych na punkcie biegania, więc zna wszystkich przyzwoitych biegaczy w kraju. W swoim czasie miał świetne osiągnięcia, ale dzisiaj skupia się na prowadzeniu zajęć w klubie we wtorkowe wieczory. To właśnie on skontaktował mnie z Jasonem.

– Znalazłem ci tam naprawdę dobrego faceta. Nazywa się Jason Ward i pięć kilometrów robi w 14 minut.

– Chcesz mnie wkurzyć, co?

– No co ty! To sportowiec dużego formatu – odparł Terry – ale powinieneś dać z nim radę. Przecież z Chrisem poszło gładko.

– Serio? – Jakoś nie byłem przekonany. Oprócz Chrisa biegło z nami parę innych osób.

Jason z jakiegoś powodu mnie onieśmiał. Postanowiłem zatem wcześniej do niego zadzwonić.

– Cześć, stary! Tu Ronnie.

– Tak, Terry dobrze mówi – stwierdził Jason. – Właśnie zszedłem do 14 minut na pięć kilometrów.

– Jasna cholera, dajesz czadu!

– No, nieźle, nieźle. To był dobry bieg, dobre tempo.

Byłem przerażony.

Kiedy przyjechałem, wysłałem mu SMS-a, a on zabrał mnie na swoją trasę. Opuściliśmy Sheffield i dotarliśmy do miejsca, w którym najczęściej biega. Pokonaliśmy wtedy jakieś dziewięć mil. Byłem w czarnej dupie. Gdy towarzyszy ci dobry biegacz, przez cały czas się martwisz, że go spowalniasz. Starasz się nie popsuć mu biegu. Koleś mi się spodobał, biegłem więc najszybciej, jak potrafiłem – chciałem, żeby następnym razem znowu mnie ze sobą zabrał. Zapieprzałem ile sił w nogach, ale ostatecznie nie dałem rady:

– Jason, chłopie, muszę zwolnić...

A przecież byłem w naprawdę dobrej formie! W tamtym okresie mogłem się umówić z kimkolwiek z każdego zakątka świata i zafundować mu dobry, równy bieg. Na świecie nie ma nikogo, kto nie byłby usatysfakcjonowany tempem sześciu minut na milę. Mo Farah? Sześć do siedmiu mil na minutę będzie dla niego w sam raz. Wsiadałem do samochodu z myślą, że to był dopiero bieg!

Jedyny problem polegał na tym, że za kilka dni miałem grać w mistrzostwach świata, a już byłem zmasakrowany. Wróciłem do hotelu, wziąłem prysznic i przez mniej więcej półtorej godziny leżałem bez ruchu na łóżku. Byłem trupem. Doszedłem do wniosku, że powinienem iść trochę poćwiczyć, ale nie mogłem się zebrać.

Bieganie zawładnęło moim życiem. Od razu wiedziałem, że Jason to swój chłop. Sporo gawędziliśmy o naszej pasji. Pytałem go, gdzie biega, kogo zna, jakie trasy robi, jakie dystanse, jak ćwiczy. Uzależniłem się od biegania oraz od informacji na ten temat. O bieganiu mógłbym rozmawiać całymi dniami. Miałem maksymalnego świra na tym

punkcie.

Jason, gdy akurat nie biega, pracuje jako menedżer działu w sklepie sieci Iceland. To dla niego praca idealna, ponieważ na miejsce i z powrotem dociera biegiem. Stwierdził, że mógłby spróbować sił w sporcie zawodowym, uznał jednak, że ma przyzwoitą pracę, a żeby dobrze zarabiać w sporcie, trzeba biegać na poziomie Mo Faraha.

Jason jest pacemakerem, czyli zawodnikiem prowadzącym w londyńskim maratonie, co oznacza, że gdy najlepsi kończą te zawody z czasem w okolicach 2 godzin 16 minut, przez dobre 32 kilometry tempo nadawał im Jason.

Powiedziałem mu, że nasz pierwszy bieg bardzo mi się podobał, ale mnie wykończył.

– Było za daleko – wyjaśniłem. – Ja poza tym muszę jeszcze grać w snookera. Mogę utrzymywać takie tempo przez pięć mil, ale kolejnych dziewięciu nie wytrzymam.

– Dobra, stary, następnym razem zrobimy piątkę.

Został jednym z moich najbliższych przyjaciół. Biegaliśmy i biegaliśmy. Zaczął przychodzić oglądać snookera, a potem coś wspólnie robiliśmy. Fajnie jest wiedzieć, że siedzi gdzieś na widowni i mi kibicuje, nawet jeśli snooker guzik go obchodzi. Wręczając mu bilet, zawsze mówię, że nie musi się pojawiać, jeśli go to nudzi. On jednak zwykle się pojawia.

Jason to typowy biegacz. Nigdy wcześniej nie interesował się snookerem i w ogóle o mnie nie słyszał. Biegacze to zupełnie inny gatunek ludzi. Nie interesują ich pieniądze, status, praca. Chodzi im wyłącznie o to, żeby biegać. Dzisiaj dzwonię do Jasona od razu, gdy tylko się pojawiam w Sheffield. Jeśli jestem akurat w formie, chętnie z nim biegam. A jeśli jestem bez formy, nie zawracam mu głowy. Nie chcę marnować jego czasu.

Najszczęśliwszy byłem wtedy, gdy biegałem z Jasonem i Chrisem w Sheffield i Telford. Na samą myśl o powrocie do domu dopadało mnie przygnębienie. Wyjeżdżając, czułem smutek. Nawiązałem z tymi ludźmi bardzo bliską więź, a na dodatek oni niczego ode mnie nie chcieli. Po prostu biegliśmy przed siebie.

Od czasu do czasu umawiałem się z kimś z zagranicy. Pewnego razu podczas pobytu na Malcie zagadnąłem Nicka, kierownika tamtejszej siłowni.

– Nie ma sprawy, pobiegam z tobą – stwierdził.

– Po prostu chciałbym poznać tutaj kilka fajnych tras.

– Dobra, pobiegniemy sobie tam i z powrotem. To będzie jakieś pięć mil.

– Świetnie, super.

Pobieglśmy. Nick narzucił dobre tempo. Gdy stwierdził, że zawracamy, pomyślałem sobie, że drogę już znam, więc mu się urwę. Dołożyłem i zostawiłem go z tyłu. Wróciłem na siłownię, a oni mnie tam pytają, co z Nickiem. Mówię im więc, że

gdy zawróciliśmy, trochę podkreśliłem tempo, a gdy potem się obejrzałem, jego już nie było. Byłem wtedy w naprawdę dobrej formie. Biegłem pewnie w tempie zbliżonym do 5 minut 30 sekund na milę. To naprawdę szybko. Nick następnego dnia rzucił:

– Cholera jasna, biegać to ty umiesz!

Kondycji mu nie brakowało, ale nie był biegaczem.

Najlepiej biegało mi się z Eamonnem Martinem, który jako ostatni Brytyjczyk wygrał maraton londyński. Trenowałem właśnie z sześcioma najlepszymi biegaczami z Essex. Robiliśmy dystanse od 800 metrów do sześciu mil. Jeden z tamtejszych dzieciaków pokonywał dystans 1500 metrów w 3 minuty 50 sekund. Inny członek klubu robił dziesięć kilometrów w 29 minut. Prawdziwi rzeźnicy, dlatego chciałem z nimi trenować. Ćwiczyłem przez jakieś trzy miesiące i doszedłem do świetnej formy. Ściągałem koszulkę i mogłem pokazać światu zajebistą rzeźbę. Wtedy ciężko trenowałem też z Tracey, moim osobistym trenerem. Czasami musieliśmy się ograniczać do ćwiczeń siłowych, bo nie miałem już siły biegać. To był 2009 rok – ten, w którym pokonałem Marka Selby’ego w turnieju Masters. Pamiętam, że po zakończeniu tych rozgrywek popatrzyłem na swoją twarz i stwierdziłem, że jestem cholernie chudy.

Na drugi dzień po sesji z Eamonnem wstawałem z łóżka i przez dobry kwadrans nie mogłem chodzić. Typowe treningi górskie Eamonn prowadził w poniedziałkowe wieczory. Spotykaliśmy się i truchtaliśmy jakieś dwie mile na wzgórze. Po drodze przez 20 minut się rozciągaliśmy, więc całość zajmowała nam jakieś 45 minut. Potem zaczynał się właściwy trening, czyli sześć jednonminutowych podbiegów na wzgórze – przez minutę trzeba było biec pod górkę najszybciej, jak się dało. Pozostawałem w ogonie, a i tak brakowało mi tchu. Potem truchtem wracało się na dół i od nowa. I tak sześć razy. Powtarzaliśmy to samo ćwiczenie w systemie sześć razy po 30 sekund pod górę, a później jeszcze sześć razy po 45 sekund. Wtedy następowała chwila na złapanie oddechu. Przebieraliśmy się, zakładaliśmy coś ciepłego i truchtem wracaliśmy dwie mile. Cały trening trwał około dwóch godzin. Prawdziwe piekło, ale to uwielbiałem.

W środy robiliśmy dłuższe powtórzenia – od trzech do pięciu minut. Dzieliliśmy się na dwie grupy. Ja trafiałem zawsze do tej wolniejszej. Biegliśmy przez trzy minuty, potem pięć, potem znowu trzy i tak aż do jakichś 30 minut wartościowego biegu. Odpowiadało to sześciu powtórzeniom po pięć minut plus dwóm milom rozgrzewki i ćwiczeniom rozciągającym. Taka sesja też trwała około dwóch godzin.

W sobotę braliśmy udział w wyścigu albo spotykaliśmy się w Basildon w Langdon Hills, gdzie mieliśmy naszą małą trasę. Dostawałem fory – ruszałem pierwszy. Biegłem z Nickiem Weatheridge’em, rekordzistą i mistrzem półmaratonów. Facet miał już trochę brzuszka, nadal jednak potrafił przebiec dziewięć mil w tempie 5 minut 30 sekund na milę. To sportowiec, który jest tak dobry w biegach jak ja w snookerze. Mogę nie grać przez rok, a potem stanąć przy stole i zdobyć setkę.

Nick dawał mi jakieś 30 sekund na ucieczkę. Bieg trwał mniej więcej trzy minuty, ale na mecie czekał Eamonn. Po dwóch i pół minucie biegu mówił, że mam się nie ociągać. Motywował mnie do samego końca. Nick wyprzedzał mnie właśnie po dwóch i pół minucie. Gdy tylko znalazł się z przodu, myślałem wyłącznie o tym, że muszę wytrzymać. W sobotę powtarzaliśmy to ćwiczenie sześć razy. Najszybsi zawodnicy robili dłuższą pętlę. Biegliśmy na maksa.

Eamonn ma problemy z biodrem – niedawno je wymieniał. Jest już po pięćdziesiątce. Sporo się od niego nauczyłem.

Dojazd zajmował mi godzinę, potem przez dwie godziny trenowaliśmy, po czym czekał mnie jeszcze godzinny powrót do domu. Oznaczało to zatem, że dwa razy w tygodniu poświęcałem na biegi po cztery godziny. Mnie to nie przeszkadzało, ale Jo nie była zadowolona. Doszedłem do świetnej formy, postanowiłem jednak odpuścić z uwagi na problemy w domu. Gdy wróciłem na siłownię, wszyscy podziwiali moją kondycję. Tak to już jest, gdy się trenuje z prawdziwymi sportowcami. Mogłem wskoczyć na dowolne urządzenie i bez zadyszki ćwiczyć na nim przez dwie godziny.

Najlepszą kondycję osiągnąłem w 2008 roku, kiedy święciłem moje największe triumfy w biegach. Wygrałem wtedy aż trzy wyścigi. Największe zwycięstwo odniosłem chyba w pierwszym z nich. To był taki fajny bieg w Epping połączony ze zbiórką pieniędzy na rzecz Fundacji imienia Rhysa Daniela, chłopaka, który zmarł na rzadką chorobę Spielmeiera-Vogta-Sjögrena.

Właśnie zdobyłem tytuł mistrza świata. Wszystkie moje sukcesy przypadły na okres szczytowej formy fizycznej.

Drugie zwycięstwo odniosłem w biegu handicapowym w klubie Orion. Systemowi handicapowemu podlegali wszyscy, więc najpierw ruszyli najwolniejsi biegacze, a najszybszy zawodnik wybiegał na trasę jako ostatni. Załóżmy, że ktoś biega pięć mil w 45 minut, a ja pokonuję ten sam dystans w czasie 27 minut. Oznacza to, że taka osoba ruszyłaby 18 minut przede mną. Chodzi o to, żeby na metę wszyscy wbiegli mniej więcej w tym samym czasie. Ruszałem jako jeden z ostatnich w przekonaniu, że nigdy nie dogonię dwójki biegnącej przede mną. Ostatecznie wygrałem tamten wyścig. Wspaniałe uczucie! W nagrodę dostałem tort albo kanapkę z bekonem, coś takiego...

Trzeci wyścig nie miał czysto biegowego charakteru – trasa o nazwie Lactic Rush, wyznaczona przez Tracey, przypominała raczej przełajowy tor przeszkód. Na starcie stanęło 80 osób. Trasa miała zróżnicowany charakter i było na niej mnóstwo utrudnień, dlatego przez cały czas widziało się swoich rywali. Ktoś krzyknął do jednego ze swoich kumpli:

– Nie daj się wyprzedzić temu od snookera!

Pomyślałem wtedy: „Dobra, to ja wam pokażę”. Facet chciał mnie zdenerwować i mu się udało. Jego słowa tylko dodały mi skrzydeł! Był żołnierzem, więc miał wprawę w pokonywaniu takich torów przeszkód – po błocie pod górkę, przez strumienie, przez

opony. Postanowiłem go obserwować i naśladować. Na milę przed metą spadł mu but, a wtedy ja przypuściłem atak. Opadł z sił, gdy tylko go wyprzedziłem. Wygrałem, mając nad nim ponad minutę przewagi. To sporo, jeśli wziąć pod uwagę, że pierwsze sześć mil biegliśmy łeb w łeb, a cała trasa liczyła siedem mil. Mój sukces opisała „Brentwood Gazette”, dzięki czemu zrobiło się o mnie trochę głośniejsze. Wygrałem też 100 funtów w różnych kuponach. To się nazywa wynik!

Niedługo potem z ludźmi z Telford wyjechałem do Francji na wakacje z bieganiem. Znalazł się tam Chris, który robi dziesięć kilometrów w 28 minut, jego szwagier Mark, który biega maratony w 2 godziny 20 minut, a także Amanda, siostra Marka i żona Chrisa, która dziesięć kilometrów pokonuje w 35 minut. Poza nimi z Telford pojechało jeszcze kilka osób wolniejszych od Chrisa i jego rodziny. Wszyscy jednak reprezentowali przyzwoity poziom.

Wyjazd nie zaczął się najlepiej. Już po przyjeździe do Portsmouth, gdzie mieliśmy wejść na prom, uświadomiłem sobie, że zapomniałem paszportu. Musiałem ściągnąć go kurierem, co opóźniło całą sprawę o dziesięć godzin. Pozostali wsiedli na pokład i odpłynęli, a ze mną zostali tylko Chris i jego tata Terry. W sumie fajnie wyszło, bo mogłem spędzić ten czas, gadając z nimi o bieganiu. Miałem ich tylko dla siebie, ale z drugiej strony czułem się trochę winny. Spodziewałem się, że się na mnie wkurzą i uznają mnie za koszmarne towarzysza, ale zachowali się z dużą klasą.

Po przyjeździe do Francji byłem trochę nerwowy – w końcu znaleźliśmy się w towarzystwie sportowców na poziomie. Prawdopodobnie tak właśnie czuje się amator, który gra ze mną w snookera: „Kurwa, no to się wpakowałem!”. Na szczęście wszyscy byli entuzjastycznie nastawieni i okazali mi wsparcie.

Terry przedstawił nam zamysł kryjący się za całym tym wyjazdem.

– Posypią się życiówki – powiedział. – Ty poprawisz życiówkę. – Te słowa skierował do mnie. – Ona poprawi życiówkę. Chrisowi się to nie uda, ale on za to wygra wyścig, a Mark osiągnie dobry czas w półmaratonie.

Mark, najlepszy biegacz w grupie, stwierdził, że nie zamierza startować w półmaratonie, bo forma mu na to nie pozwala. Powiedział, że poprowadzi mnie na dziesięć kilometrów.

– Jutro pęknie życiówka – rzucił, jak gdyby po prostu stwierdzał fakt.

Dotarliśmy do Caen w północno-zachodniej Francji i ulokowaliśmy się w niewielkim hotelu, w którym noc kosztowała 18 funtów. Następnego dnia Mark, Chris i ja udaliśmy się na przebieżkę, żeby rozruszać nogi. Spodziewałem się, że będzie szybko, ale nie było. Biegliśmy spokojnie, dla przyjemności. Właśnie wtedy się przekonałem, że nawet najlepsi sportowcy chętnie biegają w tempie 7–8 minut na milę – że nie zawsze gnają ile sił w nogach. Analizowałem ich styl podczas treningów i wyścigów, przyglądałem się im tak samo jak snookerzystom.

Wspólnie jedliśmy śniadania i wszyscy świetnie się bawiliśmy w swoim towarzystwie. W czwartkowy wieczór Amanda wygrała wyścig na pięć kilometrów w kategorii kobiet. Uzyskała czas 15 minut i pokonała trzy tysiące rywalek. Dalej czekały nas wyścig na dziesięć kilometrów, półmaraton i maraton.

Mark postanowił mnie poprowadzić. Nadawał tempo.

– Po prostu się mnie trzymaj – stwierdził.

Po pięciu kilometrach miałem dość.

– Mark, dalej nie dam rady. Zaraz padnę.

– Wyżej na palcach – rzucił. – Klatka do przodu. Do przodu i na palcach. Cały czas trzymaj się na przednich częściach stóp.

– Mark, już nie mogę, jestem wypruty.

– Dobrze ci idzie – powiedział. – Klata do przodu.

Gdy tylko zaczynałem zwalniać, Mark krzyczał:

– Bliżej mnie, bliżej mnie!

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko próbować się za nim utrzymać.

Po czterech milach zacząłem wyprzedzać pierwszych rywali. Pomyślałem sobie wówczas, że zaczynamy tu coś osiągać. Mark mówił:

– Dobrze ci idzie. Zostało jeszcze tylko półtorej mili.

– Mark, puchnę, nie dam rady...

– Dasz, dasz.

Do mety została mila. Miałem wrażenie, że biegnę na dobry czas.

– Biegniesz na życiówkę – powtarzał Mark. – Biegniesz na życiówkę.

Mój najlepszy czas na tym dystansie wynosił 35 minut i 50 sekund, więc zadowoliliby mnie wszystko poniżej tego poziomu.

– Jeszcze pół mili – rzucił Mark. – Dajesz, dajesz!

Wiedziałem, że teraz to już nie zrezygnuję. Uznałem, że skoro zaszedłem tak daleko... Zdążyłem się już nauczyć, że można biec pomimo znacznego dyskomfortu fizycznego. Na ostatnich 400 metrach Mark rzucił:

– Teraz finiszujesz! Jeśli zostały ci jakieś resztki sił, to teraz dajesz!

Pobiegłem jak wariat przed siebie i wpadłem na metę z wynikiem 34 minuty 50 sekund. Nie mogłem w to uwierzyć!

Chris ukończył wyścig w 30 minut. Usiadłem gdzieś z boku i zagadnąłem go:

– Jak się masz, Chris?

– Nieźle. Wygrałem. A ty zrobiłeś życiówkę.

Wtedy podszedł do nas Terry, tata Chrisa, i powiedział:

– A nie mówiłem? Masz nową życiówkę. Nowa życiówka! – był wniebowzięty.

Poprawiłem mój dotychczasowy rekord o całą minutę. Biegłem w dobrym tempie 5 minut 40 sekund na milę.

Byłem zachwycony. Moje życie rodzinne praktycznie legło w gruzach, ale ja czułem

się szczęśliwy, że mogę biegać ze znajomymi we Francji. Jedliśmy pizzę, oglądaliśmy Euro 2008. Myślałem sobie wtedy: spędzam czas ze wspaniałymi ludźmi, właśnie zrobiłem życiówkę, mam świra na punkcie biegania, wygrałem mistrzostwa świata, a mimo to siedzę w hotelu za 18 funtów; nikt nie pije, nikt nie ćpa, nawet nie muszę się martwić, co jem, bo wszystko spala się na bieżąco. Wydawało mi się, że oto poznałem tajemnicę doskonałego życia.

Następnego ranka wstałem z łóżka i usłyszałem, że idziemy na plażę. Brzmiało świetnie, tym bardziej że jakieś bieganie na pewno dało się w to wcisnąć. Gdy dotarliśmy na miejsce, Chris rzucił:

– Dobra, wybieram się z Amandą na krótką przebieżkę. Ktoś chce się przyłączyć?

Zgłosił się Mark, a po nim ja. Ostatecznie razem z Markiem zrobiliśmy pięć mil po plaży w bardzo dobrym tempie. Byliśmy w samych spodenkach, bez koszulek, bez butów, a mimo to zasuwaliliśmy. Jedną milę musieliśmy pokonywać w jakieś sześć minut. Biegliśmy po plaży, a ja się nawet nie zmęczyłem! Czuję się tak, jak gdybym mógł biec w nieskończoność. Ciężko pracowałem na tę kondycję, ale było warto. Życie już lepsze być nie może. Nigdy nie czułem się szczęśliwszy.

BIEGANIE – KRÓTKI PORADNIK RONNIEGO

*24 minuty, trzy i pół mili, dobre wrażenia, niezły rytm, próbuję obijać stopy o pośladki
i prostować plecy.*

Dziel dystans

Przez lata dopisywało mi szczęście. Spotkałem na swojej drodze wielu dobrych trenerów, a także różnych innych ludzi, którzy mieli dla mnie cenne wskazówki. Najprościej jest uznać, że wystarczy biegać jak najwięcej, aby osiągnąć szczytową formę. W rzeczywistości jednak żeby szybko biegać, trzeba właśnie biegać szybko. To zaś od początku wymaga dzielenia dystansu na krótkie segmenty oraz ćwiczeń interwałowych. Koncepcja treningu interwałowego polega na tym, że biega się znacznie szybciej niż normalnie, ale nie na tyle, aby cierpieć na tym technika. Tak czy owak 400 metrów można pobiec szybciej niż jedną milę, w związku z tym biega się cztery razy 400 metrów z dwuminutowymi przerwami. Te przerwy pozwalają przebiec każde 400 metrów w szybszym tempie, niż gdyby się biegło od razu całą milę.

Słuchaj własnego ciała

Poza tym trzeba słuchać swojego ciała. To wyświechtany slogan, ale przy tym sama prawda. Często zdarzało mi się doznawać urazów, bo przesadzałem z treningiem, za bardzo naciskałem, starałem się dojść do wysokiej formy w zbyt krótkim czasie. Zawodnik, który tak myśli, kończy poobijany i nie może dalej trenować – wpada w błędne koło. Najlepszą radę w tej kwestii dostałem w Telford od Terry’ego, taty Chrisa. Wyszkolił mnóstwo dobrych biegaczy. Trenowałem jeden dzień, potem drugi i trzeci, a później musiałem przestać. Szedłem na masaż i okazywało się, że mam bardzo spięte mięśnie łydek. Nie wiedziałem o tym, dopóki masażysta się za mnie nie zabrał. Po złamaniu kości śródstopia zadzwoniłem do Terry’ego i powiedziałem:

– Słuchaj, jestem kompletnie bez formy, ponieważ nie trenowałem od siedmiu miesięcy. Nie mogę się zebrać, sporo przytyłem.

Odparkł:

– Po prostu przez pierwsze pięć lub sześć tygodni biegaj co drugi dzień po 20 minut.

Tak też zrobiłem. Biegałem spokojnie, bez żadnych urazów, i po czterech tygodniach stwierdziłem, że nabieram szybkości i nie muszę już tak często przystawać. Krótko mówiąc, słuchałem swojego ciała, nie przesadzałem. Cieszyłem się każdym kolejnym biegiem, bo mięśnie mi później nie dokuczały.

Gdy się ma obsesje na punkcie biegania, wsłuchiwanie się we własne ciało przychodzi człowiekowi z trudem. Nie można jednak fundować sobie morderczych treningów, bo można się co najwyżej wykończyć. Teraz, gdy piszę te słowa, staram się postępować rozsądnie. Nie jestem w takiej formie jak kiedyś, ale jest całkiem nieźle. Powoli osiągam to, co sobie założyłem. Codziennie robię małą czteromilową trasę, ponieważ na ten moment moje ciało właśnie tyle wytrzyma. Głupotą byłoby przyspieszać ten proces. Po trzech czy czterech miesiącach treningów pewnie przycisnę trochę bardziej.

Biegaj wyprostowany

Istnieje wiele różnych rad na temat postawy podczas biegu, jednak wyjątków od obowiązujących reguł jest tyle, że już sam nie bardzo potrafię stwierdzić, w jakim stopniu te wszystkie zalecenia należy uznawać za przydatne. Sam na przykład przyglądałem się Pauli Radcliffe, której głowa kiwała się jak u kurczaka. Trudno to nazwać klasyczną postawą, fakt jednak pozostaje faktem – Paula wygrywała wszystkie swoje biegi. Postanowiłem zatem spróbować ją naśladować. Sprawdziło się! Przestałem myśleć o obolałych nogach, bo przez cały czas skupiałem się na kiwaniu głową. Powiedz o tym trenerowi, to cię wyśmieje!

Trenerzy mówią, iż tylko wtedy dobrze się biega, kiedy ma się poczucie, że zachowuje się wyprostowaną sylwetkę ciała. Człowiek bez formy zaczyna się garbić, przysiada w biodrach i skraca krok. Sam wielokrotnie tak robiłem, ponieważ często biegałem z długodystansowcami, a oni mają właśnie taką technikę. Wydłużenie kroku wymaga wielu ćwiczeń, w tym unoszenia wysoko kolan. Zmiana naturalnego schematu stawiania nóg wymaga sporego wysiłku, jednak im lepszą łapie się formę, tym więcej człowiek ma siły, tym mniej przysiada w biodrach i tym lepszy ma rytm biegu. Gdy akurat byłem w gorszej formie, szybko opadałem z sił. Wtedy rozluźniałem ramiona, przysiadałem w biodrach i skracałem krok. Kiedy natomiast byłem w dobrej formie, zawsze miałem poczucie, że wypycham do przodu całą górną część ciała. Wtedy człowiek czuje, że naprawdę biegnie. Poczucie, że się biegnie dobrze, działa jak samospełniająca się przepowiednia.

Biegaj na przedniej części stóp

Najlepsi biegacze stają na przedniej części stóp, ponieważ tak jest szybciej. Stając na całych stopach, trzeba włożyć w pokonanie tego samego dystansu więcej pracy. Bieg na

samych palcach pozwala ruszać się bardziej energicznie i biec szybciej, choć to trudne. Gdy biegnę dobrze, mam poczucie, jak gdyby moje stopy szybciej uderzały o ziemię, ciągle jednak nie mogę powiedzieć, że biegam na przednich częściach stóp.

Zrezygnuj ze smażonego jedzenia

Moja idealna dieta? Tost przed treningiem, a po powrocie owsianka. Na lunch sałatka z tuńczykiem, a na kolację ryba z gotowanymi lub pieczonymi ziemniakami. Do tego jogurt naturalny lub grecki z bananem i odrobiną miodu. Gdy nie trenuję, wracam do niezdrowych nawyków i zajadam się różnymi smażonymi potrawami. Gdy biegam, po prostu tego nie robię. Oprócz dzienniczka biegania prowadziłem kiedyś dzienniczek spożywczy. Cóż, czasami zachowuję się jak maniak. Gdy miałem ochotę na coś niezdrowego, dzienniczek mnie przed tym powstrzymywał – wiedziałem, że wieczorem musiałbym to tam wpisać.

SZALONE CHWILE

Słabe tempo, brak satysfakcji z lekkich przebieżek, 25 mil przez cały weekend.

Miewam szalone chwile. Pojawiają się znienacka – przed tym były tajemnicą. Szalonymi zachowaniami zasłynąłem pewnie w takim samym stopniu jak grą w snookera. Takie chwile nigdy jednak nie zdarzają się bez powodu. Owszem, miałem powód, aby wyjść w połowie meczu ze Stephenem Hendrym w ramach UK Championship. Nie bez powodu zakryłem twarz rękami podczas pojedynku z Markiem Kingiem. Miałem powód nawet wtedy, gdy w trakcie turnieju zafundowałem sobie golenie na zero, wychodząc tym samym na najgorszego skinheada w historii. Nadszedł czas spowiedzi.

Wyjście z pojedynku ze Stephenem Hendrym

To się mogło stać podczas każdego z sześciu wcześniejszych meczów. Był 2006 rok, grałem w Premier League. W półfinałach mierzyłem się ze Steve'em Davisem, a w finale moim rywalem był Jimmy White. Jo i ja przeżywaliśmy właśnie trudny okres. Miałem wszystko w dupie. Brakowało mi chęci do gry w tych turniejach. W mojej głowie panował chaos. Na pewno nie byłem szczęśliwy.

Grałem przeciwko Davisowi, prowadziłem 3:1. Nie trafiłem jednej bili, więc ruszyłem w stronę rywala. Miałem zamiar uścisnąć mu dłoń i wyjść. Po drodze pomyślałem sobie jednak: „Co ty robisz? Przecież tak nie można!”. Przecież prowadzę 3:1. To był pojedynek w ramach Premier League. Za chwilę czekał mnie turniej UK Championship rozgrywany w Yorku. W ostatniej chwili powstrzymałem się od uściśnięcia mu dłoni i usiadłem na swoim miejscu. Przez cały czas marzyłem o tym uścisku, chciałem stamtąd uciec, miałem dość. Jakoś się jednak powstrzymałem i wróciłem na miejsce.

Wziąłem się w garść, wygrałem mecz i awansowałem do finału, w którym czekał na mnie Jimmy White. Prowadziłem 4:0, trafiałem praktycznie wszystko, aż wreszcie spudłowałem. Jimmy wyczyścił stół i było 4:1. W następnym frejmie znów spudłowałem, po czym zrobiłem to samo co wcześniej – ruszyłem w stronę White'a, żeby uścisnąć mu dłoń.

Pomyślałem sobie: „Jezu, dwa razy pod rząd!”. Wtedy również nie uległem pokusie, ale fakt, że znowu nabrałem na to ochoty, wydał mi się bardzo niepokojący. Problemy w domu dawały mi w kość do tego stopnia, że traciłem ochotę do gry. Czułem się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Tak naprawdę nie wiedziałem, czego chcę. Nie miałem ochoty brać udziału w turniejach, ale nie chciałem też siedzieć w domu, bo tam czułem się cholernie nieszczęśliwy. Chyba zależało mi po prostu na szczęściu w życiu rodzinnym.

Lily miała wtedy zaledwie kilka miesięcy. Była wspaniała, absolutnie cudowna, ale nawet jej obecność nie poprawiała moich relacji z Jo. Przed narodzinami Lily kłóciliśmy się podobnie jak większość par – zawsze jednak umieliśmy zostawić to za sobą. Po pojawieniu się dziecka sprawy przybrały znacznie gorszy obrót. Gdyby nie Lily, sądzę, że po prostu odszedłbym wtedy od Jo. Powstrzymało mnie przed tym jednak ogromne poczucie winy i smutku. Postanowiłem za wszelką cenę nie dać plamy jako ojciec – wystarczy, że zawałem w przypadku Taylor, mojej pierwszej córki.

Idąc w kierunku Jimmy’ego, żeby uścisnąć mu dłoń, pomyślałem: „Co ty, kurwa, wyprawiasz? Tak nie można. Prowadziłeś 4:1, potem 4:2. Wygrasz ten turniej. Co ty wyczyniasz, debilu?”. Dotrwałem do końca meczu i wygrałem cały turniej. Coś mi jednak podpowiadało, że to nie koniec moich problemów. Nie myliłem się.

Zacząłem dostrzegać u siebie pewien schemat. Jak dotąd dwukrotnie mało brakowało, a wyszedłbym w środku meczu. Teraz znalazłem się w Yorku, gdzie odbywały się rozgrywki w ramach UK Championship. Wygrałem dwie rundy, po których trafiłem na Stephena Hendry’ego. W obu meczach czułem się tak samo – chciałem sobie odpuścić, ale wytrwałem. Wreszcie nadszedł mecz przeciwko Hendry’emu. Grałem koszmarnie – nie udawało mi się wbić żadnej bili, źle uderzałem. To był ćwierćfinał. Przegrywałem 4:1. Stephen grał dobrze, więc pomyślałem sobie: „Pierdolę to, idę do domu – wychodzę i zorganizuję sobie jakiś fajny wieczór”.

Było coś koło 16.00. Pomyślałem, że mam tu dwóch dobrych kumpli, którzy lubią dać w palnik. „Dzisiaj się nawalę jak messerschmitt”. Jeśli chodzi o bieganie, na formę nie mogłem narzekać, tylko w środku coś mi nie grało.

W sumie to zabawne – dla zewnętrznego obserwatora wyglądałem na okaz zdrowia: byłem elegancki, w dobrej kondycji. Wszyscy mi powtarzali, że świetnie wyglądam, ja się tymczasem rozpadałem i nie mogłem się pozbierać. Ratunku przed depresją szukałem nie w jedzeniu, lecz w bieganiu. Niestety nawet biegi nie zawsze pomagały. Teraz po prostu miałem dość.

To był pierwszy z dziewięciu frejmów. Hendry potrzebował jeszcze pięciu do zwycięstwa. Nie dotarliśmy nawet do połowy pojedynku, ale co z tego!

Najzwyczajniej w świecie nie chciałem tam siedzieć. Odwróciłem się na pięcie, uścisnąłem dłoń sędziemu, potem wymieniliśmy uścisk dłoni z Hendrym i rzuciłem:

– Powodzenia, Steve – po czym wyszedłem.

Później oglądałem reakcję Stephena na YouTube. Najwyraźniej nie wiedział, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Czy powinien zostać, czy może również wyjść? Zapytał sędziego Jana Verhaasa:

– Jan, co robimy?

Ten mu odpowiedział:

– Cóż, to chyba koniec meczu, bo O’Sullivan oddał go walkowerem.

Ktoś z widowni zaczął krzyczeć:

– Ronnie, bez jaj! Nie możesz tego zrobić.

Wtedy pomyślałem, że mogę robić, co mi się żywnie podoba. Dlaczego miałbym nie móc? Nic dziwnego, że wszyscy zaczęli wtedy wątpić w moją równowagę emocjonalną i mówić o problemach psychicznych.

Nikt nie mógł uwierzyć, że wykręciłem taki numer. Najbardziej zaskoczony był Stephen. Muszę przyznać, że zachowywał się w tej sprawie z dużą klasą. Najwyraźniej uznał, że w mojej głowie musiało się naprawdę źle dziać, skoro zdecydowałem się na taki krok.

– Nie podejrzewałem, że cokolwiek jest nie tak – powiedział po tym, jak zostawiłem go przy stole. – Wcześniej wydawał się być w dobrej formie. Gawędziliśmy sobie przed meczem za kulisami. Ronnie najwyraźniej miał swoje powody i nie zamierzam go za to krytykować. Po prostu powiedział, że ma dość, i życzył mi powodzenia w pozostałej części turnieju. Tylko on wie, co czuje. Nie mogę nikogo za to krytykować, choć przyznaję, że z czymś takim spotykam się po raz pierwszy. To po prostu dziwne.

Wydałem oświadczenie, w którym przeprosiłem za moje zachowanie. „Żałuję, że nie zagrałem dzisiaj lepiej, ale miałem ciężki dzień w pracy – stwierdziłem. – Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że przy stole jestem perfekcjonistą. Dzisiaj do tego stopnia się na siebie wkurzyłem, że straciłem cierpliwość i się poddałem. Teraz przyznaję, że należało grać dalej. Przykro mi, że nie zostałem i nie dałem Hendry’emu potrenować przed półfinałem. Przepraszam również fanów, którzy przybyli oglądać moją grę. Nie chciałem ich zawieść. Teraz jestem rozczarowany własnym postępowaniem, ale nie należę do ludzi, którzy się poddają, dlatego już wkrótce stanę na nogi i wyjdę z tego silniejszy niż dotąd”.

Opinii publicznej to właściwie nie usatysfakcjonowało. Większość ekspertów uznała, że zhańbiłem szlachetną grę, jaką jest snooker, i że jestem zakałą tej dyscypliny.

Wydaje mi się, że prędzej czy później musiałem opuścić turniej w ten sposób. Siedziało we mnie coś takiego, co nie dałoby mi spokoju, dopóki bym tego nie zrobił. To była tylko kwestia czasu, kiedy w końcu wejdę w tryb ucieczki. Przeszło mi przez myśl, żeby awansować do finału i się na nim nie pojawić. Wydawało mi się, że oficjeli już bardziej nie dałoby się wkurzyć. Było we mnie coś takiego, co bardzo chciało uderzyć w snookerowy świat. Moi przyjaciele, Bobby i Les Liverpoolczycy, bliźniaki, tylko mnie nakręcali. To świetne chłopaki. Uwielbiam ich, ale tonować

emocji to oni nie potrafią. Ciągłe mi powtarzali, że władze to, władze tamto – i mieli zresztą sporo racji. Część przedstawicieli snookerowego świata to zwykli jajogłowi, których interesuje tylko to, jak utrudnić innym życie. Jednak ci ludzie tworzą moje środowisko zawodowe i muszę umieć się z nimi dogadywać.

Kwestie utrzymywania dobrych relacji z władzami snookera traktuję poważnie. Bracia Liverpoolczycy tymczasem mieli to gdzieś – im na tym nie zależało. Nie chcieli też, żebym ja o to dbał. Tak naprawdę sam jestem sobie winien, bo słuchając ich, zachowałem się trochę jak idiota. Nie powinienem dać się tak nakręcać. Przez pewien czas można było odnieść wrażenie, że między mną a władzami toczy się otwarty konflikt, ponieważ miałem poczucie, że moi kumple zostali skrzywdzeni. To było po prostu głupie.

Po tym jak odszedłem od stołu zrobiło się niezłe zamieszanie. Nawet sobie nie wyobrażałem, że to pociągnie za sobą tak daleko idące konsekwencje. Nie rozumiałem, dlaczego zrobiło się wokół tego takie duże halo. Nie czułem się dobrze, walczyłem z depresją, a Stephen dostał trochę wolnego. Wtedy się dowiedziałem, że nałożyli na mnie karę w wysokości 25 tysięcy funtów. Moja pierwsza myśl: „Co jest, kurwa? Co tu się dzieje!?”. Potraktowali mnie bardzo surowo. Uznałem, że drugi raz nie mogę sobie pozwolić na taki wybryk. Byłem wściekły na wieść o tej karze. Poczuję się jeszcze bardziej osamotniony.

Tamtego wieczoru piłem na umór. Zadzwoiłem do jednego z kumpli i powiedziałem:

– Dino, stary, pijemy!

Przyszedł do mnie i po prostu założył, że mecz zwyczajnie się skończył. Bob i Les już mi towarzyszyli.

Po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim Jo. Byłem przybity, więc ona po raz kolejny otoczyła mnie wsparciem. To zawsze tak wyglądało. Powiedziała mi:

– Nie martw się, to najlepsza decyzja w twoim życiu. Zachowałeś się szczerze względem samego siebie.

Odparłem:

– Szczerze? Żle to wyszło. Właśnie dostałem karę w wysokości 25 tysięcy. To nie za dobrze.

Kara wydawała się wysoka, ogólnie jednak nałożono ją na mnie słusznie. Jak by nie patrzeć, gdyby musieli się obawiać, że w każdej chwili mogę poddać mecz i odejść od stołu, stałbym się dla nich tylko ciężarem. Gdyby fani myśleli tak samo, też mogliby wyjść w połowie pojedynku – albo w ogóle nie kupować biletu.

Spotkałem się z Rodneyem Walkerem, prezesem World Snooker. Wyjaśniłem, że zmagam się z depresją i że mam problemy rodzinne, nad którymi nie chciałbym się rozwodzić.

– Przechodzę trudny okres. Nie jest mi łatwo i po prostu coś we mnie pękło. Jestem

dość wrażliwy, więc gdy wbiję sobie do głowy, że coś zrobię, to na pewno to zrobię. Tym razem jednak chodziło o problemy osobiste, o trudną sytuację w domu. – Powiedziałem mu prawdę, choć nie całą. Przemilczałem, jak bardzo jestem wkurzony na World Snooker.

– W porządku – odparł. – Nie ma problemu. Cieszę się, że z tym do mnie przyszedłeś.

Karę dostałem tak czy owak.

Być może martwili się również, że zapoczątkuję jakiś trend i inni gracze także zaczną poddawać mecze, choć wydaje mi się, że akurat tego nie musieli się obawiać. Inni snookerzyści nie są aż tak stuknięci.

Fani trochę się wtedy ode mnie odwrócili. Gdy grałem w Preston, zdarzyło mi się usłyszeć buczenie z widowni. Sytuacja powtórzyła na następnym turnieju Masters na Wembley. John Parrott skrytykował moje zachowanie. Twierdził, że jeśli mam problemy emocjonalne, to powinienem je najpierw rozwiązać, a dopiero potem wrócić do gry. Mnie się to wydawało nie w porządku – nie kopie się leżącego. Powinno się okazać mu raczej odrobinę empatii. Hendry zachował się jak należy. Powiedział, że skoro zdecydowałem się na taki krok, myślami naprawdę musiałem być gdzie indziej. Inni utrzymywali natomiast, że nic mnie nie tłumaczy – zawodowiec powinien stanąć do gry i grać.

Podczas turnieju Masters odczuwałem dodatkową presję. Od mojego walkowera nie minęło dużo czasu, więc wszyscy się zastanawiali, jak się zachowam. Zachodzili w głowę, czy zagram dobrze... albo czy utrzymam się na tyle długo, żeby to się w ogóle dało ocenić. To był turniej, w którym w finale pokonałem Dinga, a ten się rozplakał. Jak go wygrałem? W niedzielę siedziałem w domu i obserwowałem grę Dinga, który prezentował wówczas dużą klasę. John Virgo powiedział wtedy:

– Nadchodzi zmiana warty. To on przejmie palmę pierwszeństwa od Ronniego O’Sullivana.

„Ma niewyparzoną gębę!”, pomyślałem sobie. Uwielbiam Johna, ale na Boga! Trochę za wcześnie zaczął pisać mój nekrolog. Dał mi powód, żeby wyjść i wygrać ten turniej. Trudno o lepszą motywację. Nigdy nie rozmawiałem z nim na ten temat, jego słowa wracały jednak do mnie za każdym razem, gdy stawałem przy stole treningowym. Na ich wspomnienie dochodziłem do wniosku, że muszę zamknąć usta krytykom.

Tak się złożyło, że w finale trafiłem właśnie na Dinga, któremu bardzo dobrze szło. Zaczął od prowadzenia 2:0, uznałem więc, że czeka mnie trudny pojedynek. Co do własnej formy nie miałem wątpliwości. Co prawda wypadła ona trochę w kratkę, ale mecz przypadł akurat na dobry dzień – naprawdę dobry. Pomyślałem, że poczekam, aż uda mi się pokazać kilka lepszych zagrań. Postanowiłem wtedy obserwować jego reakcję. Przegrywałem 2:0, ale nie spanikowałem. Potem zrobiło się 2:2, a potem 5:3 do przerwy dla mnie. To był mój triumf – byłem lepszy. Ding wiedział, że czeka go

bolesna porażka, bo popisywałem się naprawdę ładnymi uderzeniami.

Przy wyniku 9:3 Ding chciał się poddać. To w sumie zabawne, ponieważ to ostatni snookerzysta, po którym można by się czegoś takiego spodziewać. Może trochę go do tego zainspirowałem. Ding zaczął płakać. Była przerwa. Do zwycięstwa potrzebowałem już tylko jednego frejma, a wtedy on do mnie podszedł, żeby uścisnąć mi dłoń. Pomyślałem o własnych problemach i powiedziałem mu:

– Nie, stary. Nie możesz tego zrobić. Najpierw zniszczą za to mnie, a potem zniszczą ciebie. Nie możesz tego zrobić.

Piszę, że mu to powiedziałem, ale tak naprawdę poprosiłem Django, aby zorganizował tłumaczenie tych słów. Otoczyłem Dinga ramieniem i stwierdziłem:

– Chodź, napijemy się herbaty.

Może był do tego stopnia nieobecny, że pogubił się w wyniku i myślał, że już przegrał? Poszliśmy na herbatę i wtedy powiedziałem mu:

– Twoja mama cię ogląda, tata cię ogląda, to szaleństwo. Jeszcze jeden frejm i po krzyku.

Pociągał nosem. Zabrałem go do mojej garderoby. Był z nami Django, więc poprosiłem go:

– Powiedz mu, że musi tam jeszcze raz wyjść i zagrać. Powiedz, że wszystko jest w porządku.

Zapytałem, czy lubi się ścigać samochodami, na przykład ferrari. Zaproponowałem, że pojedziemy na jeden dzień na tor Brands Hatch.

Zaczął się uspokajać. Towarzyszył nam również Gary Baldry, jego menedżer. Powiedziałem mu:

– Musi wyjść i zagrać.

– Wiem.

– Dobra, to chodźmy, zagrajmy jeszcze jednego frejma i będzie po krzyku. W przeciwnym razie World Snooker i dziennikarze zaczną po nim jeździć tak, jak jeździli po mnie. Z pewnością mu się to nie przysłuży.

Wróciliśmy zatem do stołu i zagraliśmy tego ostatniego frejma. Wtedy ktoś krzyknął do mnie:

– Ty wcale nie jesteś lepszy z tym twoim wyjściem!

„Siedź cicho – odparłem. – Nie masz nic miłego do powiedzenia, to idź do domu.

Rzecz działa się w momencie, gdy czyściłem stół w ostatnim frejmie. Postanowiłem temu idiotcie nie odpuszczać.

Ogólnie rzecz ujmując, całe to doświadczenie związane z przerwaniem meczu z Hendrym miało dla mnie negatywne konsekwencje, ale mimo wszystko czegoś mnie nauczyło – to dzięki niemu mogłem potem pomóc Dingowi, gdy ten znalazł się w podobnym położeniu.

Nigdy nie rozmawiałem z nim o tym, co się wtedy stało. Nie było takiej potrzeby.

Wyciągnął z tej sytuacji wnioski – dokładnie tak, jak ja z mojej przygody z poddaniem meczu.

Mokry ręcznik na głowie

Grałem przeciwko Markowi Kingowi. Niektórych zawodników ogląda się z przyjemnością. Człowiek myśli sobie wtedy: „Hm, z jednej strony zbieram straszne baty, z drugiej jednak mam najlepsze miejsce w całej sali”. Stephen Hendry, John Higgins – człowiek od razu wie, że to kolesie z klasą. Potem przychodzi mi grać z Markiem Kingiem i jakoś trudno mieć frajdę z obserwowania jego występu.

On prawdopodobnie sam wie, że jest nedorajdą. Z pewnością nie należy do tych, którzy sami siebie uważają za geniuszy. Jest szczery i otwarty. Doskonale rozumie, że jak na człowieka jego talentów zdołał osiągnąć niewiarygodny sukces. Wali kijem po bilach – całkowicie brakuje mu wyczucia – ma jednak niesamowity charakter i więcej woli walki niż jakikolwiek inny snookerzysta. Krótko mówiąc, przesiadywanie przy stole i obserwowanie go w akcji nie należy do szczególnych przyjemności.

King wszystko robi nie tak – źle stoi, źle podpiera kij, źle uderza. W jego grze nie ma ani krztyny płynności. Z całym szacunkiem dla Marka – no dobra, przyznaję, że wykazałem się w ten sposób odrobiną lekceważenia – po prostu musiałem położyć sobie mokry ręcznik na twarz, żeby dłużej tego nie oglądać. Bałem się, że będę go widział nawet przez ten ręcznik. Zasłaniając sobie głowę, cały czas myślałem: „Chryste, czy ja go ciągle widzę?”. Na szczęście nie widziałem.

Słyszałem kolejne bile wpadające do kieszeni. Zdążył chyba ze dwa razy okrążyć stół, zanim sędzia wyjął każdą z nich, a on złożył się do kolejnego uderzenia. Gracz na poziomie na tym etapie rozgrywki wbija bile jedna po drugiej – pach, pach, pach i gotowe. Mark chodzi dookoła stołu chyba ze cztery razy tyle co ja.

Po prostu bardzo trudno mi się to oglądało. To był długi mecz UK Championship – do ośmiu wygranych frejmów. W pewnym momencie uznałem, że dłużej już nie dam rady na niego patrzeć. Oczywiście ten problem dotyczy nie tylko jego. Jest wielu innych zawodników, na których też nie mogę patrzeć. Czasami chciałbym być cieniem właśnie dlatego, żeby nie widzieć tych wszystkich braków i nedoróbek. Chciałbym nie rozumieć, co odróżnia dobrych graczy od złych. Gdy się gra z kimś słabym, można przejść od niego złe nawyki dokładnie tak samo, jak można się czegoś nauczyć od dobrego gracza. Od Marka Kinga nie mogłem przejść niczego pozytywnego. Nie sądzę, żeby się wcześniej dowiedział, dlaczego wtedy założyłem sobie ręcznik na głowę. No to teraz już wie.

Pokonał mnie 9:8. To z tego meczu wyszedł Ray Reardon, bo dawałem popis braku celności. Wtedy też wprowadzono regułę zakazującą zakładania ręcznika na głowę, ponieważ takie zachowanie nie przystoi dżentelmenowi.

Podobną postawę zaprezentowałem w meczu z Selbym, gdy zacząłem liczyć kropki

na łyżeczce. Wiedziałem, że nie wolno mi założyć ręcznika na głowę, a to gracz dokładnie tego samego typu co King. Popełnia przy stole tyle błędów, że patrząc na niego, człowiek się zastanawia, jakim cudem on w ogóle wbija bile. Prędzej czy później facet się złamie. To uderzenie spóźnione, tamto nieczyste. Oglądam go i przez cały czas w myślach krytykuję. Dodam, że nie chciałem tego robić, ale nic nie mogłem na to poradzić. Czułem wewnętrzny przymus. Zacząłem więc liczyć te kropki, żeby nie musieć oglądać jego gry... bo to nie jest przyjemny widok.

Sądzę, że byłbym dobrym trenerem, choć pewnie przypominałbym trochę Raya Reardona – dziwiłbym się i frustrował, gdyby gracze nie grali tak, jak tego od nich oczekuję. Ludzie mówią, że mam instynkt, ale moim zdaniem to nie tak. Jest raczej na odwrót – najpierw trzeba się wyszkolić technicznie, a dopiero potem można zdać się na szósty zmysł. Technicznie wyszkolony gracz uderza z dużą łatwością i precyzją, co pozwala mu się nie martwić, czy bila wpadnie i gdzie zatrzyma się biała. Wtedy można myśleć wyłącznie o kolejnych uderzeniach. Człowiek zaczyna się zastanawiać, co chciałby osiągnąć, i nie zaprzęta sobie głowy tym, że dane uderzenie mu nie pasuje. Na zasadzie: to uderzenie było zbyt gwałtowne, albo: jestem tutaj, ale chciałbym znaleźć się tam.

Odpowiednie umiejętności techniczne zapewniają dużą swobodę i pozwalają skupić się na samej grze, a nie na dopieszczaniu kolejnych uderzeń. Właśnie dlatego zawsze powtarzałem, że Selby'emu trudno będzie sobie poradzić na turniejach z większą liczbą frejmów, ponieważ podobnie jak ja miał parę problemów technicznych.

Co ciekawe, nigdy nie został mistrzem świata, a UK Championship wygrał dopiero wtedy, gdy mecze zostały skrócone z lepszego z 19 frejmów do lepszego z 11. W dłuższych pojedynkach technika często okazuje się decydująca, ponieważ rośnie prawdopodobieństwo wystąpienia problemów, zwłaszcza gdy mecz rozkłada się na kilka sesji i którąś z nich przegra się 6:2 albo 7:1. Potem trzeba się naprawdę postarać, żeby odzyskać szansę na zwycięstwo. Kiedyś sądziłem, że nigdy nie wygram mistrzostw świata, ponieważ brakuje mi umiejętności technicznych. Na szczęście się myliłem.

Słynna wpadka w Chinach

Nie wiem, czy to się liczy jako szalona chwila. We własnym odczuciu tylko się wygłupiałem, ale nie wszyscy tak to odebrali. Problem polegał na tym, iż nie miałem pojęcia, że kamery wszystko kręcą i że działają mikrofony. Gdybym wiedział, w życiu nie powiedziałbym tego, co wtedy chlapnąłem.

Siedziałem tuż obok Ivana Hirschowitza, szefa World Snooker do spraw mediów. Kumplujemy się, a on ma rewelacyjne poczucie humoru. Zadali mi pierwsze pytanie, które zostało przetłumaczone na angielski. Pomyślałem sobie wtedy, że po chińsku brzmiało na strasznie długie, a po angielsku wyszło bardzo krótkie.

– O kurwa – powiedziałem do Ivana. – To chyba najdłuższe pytanie w historii świata.

Ivan wybuchł śmiechem.

– Czy uważasz, że zagrałeś na 100 procent swoich możliwości? – zapytał dziennikarz.

– Wydawało mi się, że gram dobrze, ale Marco zagrał lepiej – odparłem. Odłożyłem na stół mikrofon, który trzymałem w dłoni. Szepnąłem do Ivana: – Patrz, jest taki duży jak mój kutas. Ma nawet ten sam kształt.

– Cóż, śmieszny ten kształt – odparł Ivan.

– Tak, to jakiego kształtu jest twój?

Nie wiedziałem, że wszystkie mikrofony działają. Sądziłem, że tak sobie tylko swobodnie żartujemy. Wtedy spojrzałem w stronę sali i powiedziałem:

– Czy ktoś chciałby zrobić mi laskę? Ktoś chce mi obciągnąć? – Wpatrując się w kobietę siedzącą w pierwszym rzędzie, mówiłem dalej: – Chciałaby pani podejść i trochę possać?

Patrzyła na mnie i się uśmiechała, a Ivan zanosił się śmiechem, łzy spływały mu po policzkach. Powiedziałem to tylko dlatego, że ona mnie nie rozumiała. Zachowałem się głupio, normalnie jednak nie bywam niegrzeczny i nie obrażam ludzi. Po prostu się wygłupialiśmy.

O włączonych mikrofonach dowiedziałem się dopiero po powrocie do domu, gdy zadzwonił do mnie ojciec.

– Masz przechlapane za te sprośne uwagi. W radiu aż o tym huczy.

– Że co?

Nie miałem pojęcia, o czym on mówi. Zatrzymałem się w domu kolegi w Ongar, gdzie nie było dostępu do internetu. Musiałem uwierzyć tacie na słowo. Na własne oczy przekonałem się dopiero nazajutrz, gdy kupiłem „The Sun”. Do domu wróciłem w poniedziałek, a zapis mojej wypowiedzi pojawił się w gazecie we środę. Czytałem tekst i się śmiałem. „To świetne – pomyślałem – naprawdę zabawne”. Z drugiej strony się zmartwiłem, bo wiedziałem, że World Snooker szuka byle wymówki, żeby mi przywalić. Zapewne uznali, że Chińczycy ocenią moje słowa jako znieważające i zarzucą mi zepsucie moralne. Wydawało mi się, że World Snooker szuka okazji do wykluczenia mnie z rozgrywek. Lepszej szansy nie mogli sobie wymarzyć – Ronnie gości na terenie mocarstwa i prosi, żeby ktoś zrobił mu laskę, tym samym obrażając Chińczyków. Byłem przekonany, że teraz się do mnie dobiorą. Powiedzą, że ten sport obejdzie się beze mnie. Zacząłem ze strachu robić w gacie.

Poprosiłem kilku znajomych z Chin, żeby spróbowali wy badać tamtejsze nastroje. Chciałem się przekonać, czy faktycznie aż tak bardzo uraziłem Chińczyków swoim zachowaniem. Po pewnym czasie otrzymałem następującą informację:

– Nie, nie, nie zrozumieli cię. Uważają, że jesteś wielki i wszyscy żałują, że już

wyjechałeś. Kochają cię tutaj i nie rozumieją, o co chodzi w całym tym zamieszaniu.

„Dzięki Bogu”, pomyślałem. W kanałach sportowych wyemitowaliśmy oświadczenie z moimi przeprosinami. Powiedziałem, że żałuję swojego zachowania, że uwielbiam chińskich kibiców snookera i że już się nie mogę doczekać, kiedy znów ich odwiedzę. Wszystko to zrobiłem sam z siebie, bez kontaktu z World Snooker. Chiński Związek Snookera i chińska prasa stały wówczas po mojej stronie, więc przynajmniej o to mogłem być spokojny. Chciałem pokazać włodarzom z World Snooker, że przeprosiłem Chińczyków i że znów jesteśmy w najlepszej komitywie – że moje słowa nie wyrządziły żadnych trwałych szkód.

Czasami mam poczucie, jak gdyby z World Snooker łączyły mnie odrobinę patologiczne relacje. Oni mnie tam kochają i wiedzą, że jestem ważny dla tej dyscypliny. Jednocześnie chyba mnie nie znoszą – wydaje im się, że w moim własnym mniemaniu snooker to ja. W ostatnich latach byli w pewnym stopniu ode mnie uzależnieni i bardzo im się to nie podobało. Mam świadomość, że nigdy nie robiłem dokładnie tego, czego ode mnie oczekiwano – nigdy nie byłem posłuszny i bezbarwny. Gdybym się tak zachowywał, szybko straciłbym poczucie własnej tożsamości.

„Co mogą mi zrobić w najgorszym razie?”, zastanawiałem się. Mogą mnie wykluczyć. Gdyby faktycznie zdecydowali się na ten krok, a ja zdołałbym przekonać sam siebie, że gra mnie już nie cieszy, że wpadłem w depresję, wyszłoby na to, że tak naprawdę wyświadczyli mi przysługę. W związku z tym za każdym razem, gdy miałem na pieńku z World Snooker, starałem się dostrzec w tym pozytywy – powtarzałem sobie, że wykluczenie będzie dla mnie korzystne, że moje nieszczęście wreszcie się skończy. Koniec z depresją snookerową: świetnie. Postanowiłem nie godzić się na żadne kompromisy. Jeśli chcą, mogą mnie wykluczyć, ale wyjdzie wtedy na to, że po prostu na złość mamie odmrozili sobie uszy. „Szczęścia i pomyslności w rozmowach ze sponsorami. To wy podejmiecie decyzję o moim ewentualnym wykluczeniu. Ja nie muszę się tym martwić. Farciarz ze mnie”. Tak sobie powtarzałem i mniej więcej coś takiego powiedziałem im.

To w sumie dziwne, że po tylu latach to ich uzależnienie ode mnie ciągle pozostaje takie silne – że jak dotąd nie pojawił się nikt, kto miałby na tyle duży talent i na tyle barwną osobowość, by zająć moje miejsce. Wydaje mi się, że to właśnie osobowość odgrywa tu największą rolę. Snookerzyści to w sumie okropni nudziarze. Nawet tym najbardziej utalentowanym brakuje czegoś, czym mogliby zainteresować kibiców – tak jak interesujemy ich ja, Jimmy White czy Alex Higgins. Sądzę, że dzięki różnym szalonym zachowaniom stawali się tylko bardziej atrakcyjni. Każdy z nas był pod tym albo innym względem wrażliwy i nigdy nie dało się do końca przewidzieć, jaki numer wywinie.

Kibice kochali Jimmy'ego i Alexa. Jimmy genialnie sprawdzał się w roli zabawiacza tłumu. Na sympatię kibiców zasłużył tym, że przegrał wszystkie sześć

finałów, w których wystąpił. Głęboko pragnęliśmy, żeby w końcu sięgnął po tytuł. Ja jednak chyba mam więcej wspólnego z Higginsem, zarówno ze względu na technikę gry, jak i na dręczące mnie demony. Kibice zdają się jednak dostrzegać pewną istotną różnicę między nami: „Tak, on jest jak Higgins. Jest w nim jednak coś jeszcze – to nieustające dążenie do tytułu mistrzowskiego. Ciągłe zmagania się z jakimiś demonami. Odbija mu i nigdy nie wiadomo, jaki numer zaraz wywinie, ale jest zdrowy i sprawny. Jest rasowym sportowcem”.

Oficjele z World Snooker wiedzą, jak postrzegają mnie kibice, i mają z tym problem. Czasem mam wrażenie, że najbardziej na świecie chcieliby się mnie pozbyć raz na zawsze. Z Higginsem mogli sobie na to pozwolić – nie trafiał do kieszeni, nie wygrywał, więc za każde niepoprawne zachowanie dostawał długie kary wykluczenia. Gdy akurat odnosił zwycięstwo, mógł liczyć na większą tolerancję dla swoich dziwnych zachowań.

Ja też na razie gram dobrze, więc włodarze naszej dyscypliny muszą mnie jakoś ścierpieć. Mam jednak pełną świadomość, że pozbędą się mnie natychmiast, gdy tylko zacznę przegrywać albo gdy wypadnę z łask kibiców. To po prostu kwestia czasu. Przyznam, że już dawno postanowiłem, że odejdę sam, zanim ktoś mnie usunie siłą. Zawsze chciałem odejść na własnych warunkach. Nie chcę powtarzać historii Alexa Higginsa, nie chcę dać się wykopać. Właśnie dlatego odszedłem w zeszłym roku jako mistrz świata, najlepszy snookerzysta na naszej planecie. Ta-dam! Zrobiłem to na moich warunkach. A potem oni poruszyli niebo i ziemię, żebym wrócił. To było moje prywatne zwycięstwo.

Jestem pewien, że gdzieś w głębi duszy już nie tylko czekają, aż przejdę na sportową emeryturę. Pewnie, że zatęsknią za wszystkimi moimi wybrykami i całą tą moją nieprzewidywalnością, ale przynajmniej zyskają poczucie większej kontroli nad snookerem i nad graczami. Będzie trochę tak: Ronniego mamy z głowy, trzeba żyć dalej.

Ludzie zaczęli mówić, że moim następcą zostanie Judd Trump, mnie się jednak wydaje, że to człowiek trochę innego kalibru. W moim życiu mnóstwo się dzieje – zarówno dobrego, jak i złego – cały czas jednak odczuwam palącą potrzebę wygrywania. Ponadto w mojej grze można doszukać się swego rodzaju inteligencji. Nie podchodzę po prostu do stołu i nie wbijam bil jak leci w nadziei na jak najlepszy wynik. Wszedłem w połowie meczu, a potem wróciłem na następny turniej i go wygrałem. Podniosłem się po wszystkich dotychczasowych potknięciach. Wydaje mi się, że między innymi dlatego inni mnie szanują. Ludziom się to podoba. Pod tym względem przypominam trochę Rocky’ego albo Muhammada Alego – upadam, podnoszę się i znów zwyciężam. Alego odsunięto od boksowania za sprzeciw wobec wojny w Wietnamie i za odmowę wstąpienia do wojska. W 1966 roku wygłosił słynne zdanie: „Nie mam żadnego zatargu w Wietkongiem”. Po trzech latach wrócił do sportu i został

mistrzem świata.

Ze wszystkimi moimi demonami, z dala od mamy i taty, z pićm i ćpaniem, z dziećkami, codziennymi obowiązkami, podtrzymywaniem kondycji fizycznej, obsesjami i depresjami – ze wszystkim tym na głowie zdobyłem cztery tytuły mistrza świata, a także czterokrotnie wygrałem turniej Masters i cztery razy triumfowałem w UK Championship. Nie wiem, jak mi się to udało. Wygrałem 24 turnieje rankingowe, dziesięciokrotnie triumfowałem w Premier League. Łącznie zwyciężyłem w ponad 50 turniejach. Całkiem nieźle jak na takiego popaprańca!

Higgins dwukrotnie triumfował w mistrzostwach świata, co samo w sobie jest fantastycznym osiągnięciem. Potrafił się wzbić na szczyt umiejętności właśnie wtedy, gdy tego potrzebował. Zabrakło mu natomiast charakterystycznej dla mnie nieustępliwości. Podczas gdy on się obijał i co najwyżej chodził się odlać, ja biegłem jakieś osiem mil (a czasem robiłem jedno i drugie). Czasami wygrywałem niejako na przekór sobie. Sądzę, że ludzie zawsze po cichu liczyli na to, że nie wytrzymam presji, że się ugnę. Wystarczy na mnie popatrzeć, żeby zrozumieć, skąd się to brało. Tymczasem ja gram zawodowo już od ponad 20 lat. Wygrywam turnieje i mam poczucie, że ciągle jeszcze czeka mnie kilka triumfów. Ludzie, którzy wróżą mi porażkę, podobnie jak ci, którzy zarzucają mi słabość psychiczną, tak naprawdę mnie nie znają. Komentatorów pokroju Johna Parrotta pożeram na śniadanie. Jasne, czasem wybucham, ponieważ nie wytrzymuję. Wydaje mi się jednak, że w perspektywie 20 lat górowałem nad większością moich krytyków dzięki sile psychicznej.

Nie sugeruję bynajmniej, że dysponuję siłą psychiczną Petera Ebdona, który potrafi grać frejma za frejmem w iście żółwym tempie. Mam serce na dłoni, kocham snookera i w ogólnym rozrachunku jako gracz mam wszystko pod kontrolą.

Bywam niekonsekwentny, a moje zachowania są odbierane jako przeczące sobie nawzajem, ale to samo można powiedzieć o wielu ludziach. Kto choć w pewnym stopniu nie odnajduje w tym opisie samego siebie?

Jednego dnia się tę grę kocha, następnego nienawidzi. Założę się, że wiele osób ma podobne odczucia co do swojej pracy (i to jeśli ma szczęście!). Jednego dnia towarzystwo dzieci stanowi źródło wielkiej radości, następnego dnia dzieciaki doprowadzają nas do szału. Takie życie. Wychodzę z założenia, że liczy się przede wszystkim to, w jaki sposób radzimy sobie z emocjami i czy cały czas zmierzamy naprzód. Kiedyś emocje brały nade mną górę. Musiałem sięgać dna, bym nie miał już innego wyjścia, jak tylko piąć się w górę. Mam nadzieję, że już więcej nie wpadnę w tę spiralę. Dzisiaj potrafię dostrzec, że sytuacja zmierza w złym kierunku, i zdusić negatywne uczucia w zarodku. Łapię oddech, myślę, pytam sam siebie, czego chcę, i staram się cieszyć grą.

Sądzę, że większość ludzi doświadcza silnej huśtawki nastrojów – tylko po prostu o tym nie mówi. Ja nie umiem trzymać gęby na kłódkę. Jeśli można mi coś zarzucić, to

właśnie nieustanne gędzenie o tym, co dzieje się w mojej łepetynie.

Golenie głowy w Sheffield

Był 2005 rok. Trwały mistrzostwa świata w Sheffield. Moja gra była do dupy. Miałem za sobą świetny sezon, wywalczyłem cztery z ośmiu możliwych tytułów, ale w Sheffield nie potrafiłem sobie poradzić z presją. Byłem jakiś taki zdołowany, ospały. Wszystko szło nie tak. W telewizji pokazywali akurat klip z moim dorobkiem – popatrzyłem i pomyślałem: „Zobacz, w jakim jesteś stanie”. Miałem wtedy długie włosy. Rzuciłem do mojego przyjaciela Mickeya, żeby chwycił za brzytwę i zgolił mnie na zero. Stwierdził, że mam nie wariować. Ostatecznie jednak zrobił, co mu kazałem.

Następnego dnia udałem się na miejsce turnieju w przekonaniu, że wezmą mnie za psychola. Wyglądałem, jakbym właśnie przeszedł lobotomię. Wtedy pojawił się Ken Doherty. Spojrzał na mnie uważnie i zaczął dociekać, co to za świr stoi przy stole. Mogło się wydawać, że ktoś wpuścił tam jakiegoś seryjnego mordercę.

Wyglądało to źle.

W tamtym roku grałem w ćwierćfinałach z Ebdonem. Zafundował mi ciężkie przejścia i całkowicie nade mną dominował. Przechodziłem katusze. Przez długie okresy meczu siedziałem zatopiony w fotelu, trzymając głowę w dłoniach – a jeśli akurat tego nie robiłem, to głównie wykręcałem palce i robiłem dziwne miny do Raya Reardona. Zupełnie się posypałem. Ebdon sprawił, że rozdrapałem sobie czoło do krwi. Wykończył mnie. Autentycznie mi ulżyło, gdy wreszcie przegrałem. On potrzebował 5 minut i 12 sekund na 12-punktowego brejka. Nie ruszając się z fotela, zapytałem kogoś z widowni o godzinę. Gdy usłyszałem, że jest 11.00, pomyślałem, że czekają mnie jeszcze dwie lub trzy godziny tej męki. Teraz już rozumiem, na czym polega podtapianie. Miałem poczucie, jak gdyby ktoś celowo pozbawiał mnie snu. Ebdon nie ma w sobie ani krztyny współczucia. Dla niego liczyła się tylko sztuka wygrywania, sztuka gry. Mówią o nim „Pan Psychoza”, bo jest podobny do Anthony’ego Perkinsa. Ja go lubię – to miły facet, ale przy tym najgorszy oprawca, jakiego można sobie wyobrazić. Gdy przegrałem, wszyscy sądzili, że jestem niepokieszony, a tymczasem czułem wielką ulgę. Wreszcie koniec! Wreszcie wakacje!

Na zero ostrzygłem się w połowie poprzedniego meczu. Całe szczęście, że się wtedy nie zabiłem, tylko ograniczyłem do zgolenia głowy. Czułem się wtedy naprawdę źle, więc w sumie mi się upiekło. Grałem koszmarnie. W pewnym momencie wygrywałem nawet 8:2, ale w okropnym stylu. Ebdon mnie jednak wykiwał. Nie mam do niego żalu – miał żonę i czwórkę dzieci do wykarmienia, a to był jego jedyny sposób na zwycięstwo. Bywa. Potem musiałem się jednak dobrze nawalić.

Od Anonimowych Alkoholików do Anonimowych Seksoholików

Przez cały czas przesuwam coś z miejsca na miejsce. Na kuchennym stole trzymam

notes, telefony i miskę. Gdy robi się tam bałagan, sprzątam. Gdy Damien gotuje, kuchnia przeistacza się w pole bitwy. Sprzątam więc. Nie denerwuje mnie to – wręcz pomaga, bo mam coś do zrobienia. Przez cały czas muszę coś robić. Jeden z moich kumpli powiedział o mnie, że mój byt definiuje się nie przez bycie, ale przez robienie. To pewnie jeden z przejawów mojej obsesji.

Dopóki nie zgłosiłem się do szpitala Priory, nawet mi przez myśl nie przeszło, że mam skłonność do uzależnień. Wcześniej sądziłem po prostu, że mam mały problem z narkotykami i że muszę przestać je zażywać albo przynajmniej zapanować nad ich zażywaniem. Absolutnie nie uważałem się za nałogowca. Nawet po tym, jak się tam znalazłem, potrzebowałem pewnie jeszcze z dziesięciu lat, żeby do końca pogodzić się z własnym nałogiem.

Dzisiaj sędzę, że różne rzeczy próbowałem sobie racjonalizować. Wmawiałem sobie, że ciężko pracuję albo że dobrze pobiegłem – że zasługuję na to, żeby się wieczorem rozerwać. Powtarzałem sobie, że nie jest ze mną tak źle jak z innymi, że ze mną jest inaczej. Wychodziłem z założenia, że lepiej jest przez miesiąc albo przez sześć tygodni nic nie brać, a potem ostro zaszaleć – przecież inni robią to codziennie. Starałem się nie przesadzać z takimi ostrymi imprezami. Uznałem, że jeśli nad tym zapanuję, to żadnego problemu nie będzie.

Każdy dzień tego typu zaczynał się od drinka – nieodmiennie wódki z sokiem pomarańczowym. Drinki to nie moja rzecz, niewiele wiem też o piwie i mocniejszych alkoholach. Wiem tyle, że wódką i sokiem pomarańczowym mogę się porobić. Fachowcem w tej dziedzinie to jest Ronnie Wood. Gdy zacząłem z nim pić, stało się dla mnie jasne, że na alkoholu to ja się nie znam. Facet miał konkretnego drinka na każdą możliwą okoliczność. Zaczynał od guinnessa, potem przechodził do wódki, a potem sięgał po uroczą mieszankę w sam raz na wczesne popołudnie. Nie pamiętam, co to było, ale Ronnie pił to zawsze o tej porze. Pił z zegarkiem w ręku, czym w moich oczach zasłużył sobie na miano prawdziwego eksperta. Przy nim jestem zupełnym amatorem. Mogę pić cokolwiek i za wiele o tym nie wiem. Ronnie trochę mnie jednak doksztąpił.

Tak naprawdę to nie lubię alkoholu. Lubię natomiast skutki jego spożycia. Dobry dzień z piciem spędzałem przy wódce z sokiem pomarańczowym. Wypijałem pewnie z dziesięć takich drinków. Do domu wracałem około 3.00 nad ranem i wtedy sięgałem po wino. W sumie to piłem wtedy cokolwiek. Na tym etapie było mi bez różnicy. Do tego dochodziło parę skrętów. Gdy o 7.00 rano wschodziło słońce, w mojej głowie pojawiała się myśl: „Chryste, znów to zrobiłem”. Ptaki zaczynały ćwierkać, a ja stwierdzałem, że znowu się wpakowałem w kanał. Kładłem się na podłodze i leżałem w promieniach słońca mniej więcej do 11.00 albo do południa, rozpamiętując własną głupotę. Żeby znów się poczuć normalnie, potrzebowałem z trzech czy czterech dni.

Będąc na bani, cały wieczór coś pieprzyłem, doprowadzałem innych do szału.

Zanudzałem ich własnym gadaniem.

Zgłaszając się do Priory, myślałem przede wszystkim o tym, jakim cudem przeżyję tam bez niczego, co by mnie znieczulało. Przez jakiś czas faktycznie było trudno. Nie sądziłem, że można tak po prostu przestać pić i ćpać. Gdy nie byłem akurat na haju, zamykałem się w domu i w ogóle nie wychodziłem. To samo na turniejach – nie czułem się dobrze w towarzystwie innych. Dopadała mnie paranoja.

Dopiero po skręcie nabierałem odwagi, żeby się śmiać i żartować. Do tego stopnia przywykłem do trawy, że mogłem na niej normalnie funkcjonować. Mogłem grać w golfa, w snookera, mogłem robić cokolwiek – dzięki skrętom zyskiwałem równowagę emocjonalną. Na koniec do tego stopnia uodporniłem się na trawę, że nie byłem w stanie się upalić.

Dość często mnie badano, ale jeśli akurat byłem na haju albo miałem coś we krwi, po prostu wycofywałem się z turnieju. Raz mnie jednak przyłapali i wtedy uznałem, że drugi raz nie puszczą mi tego płazem. Wiedziałem, że lepiej darować sobie turniej, niż ryzykować wykluczeniem. Tak naprawdę za każdym razem ryzykowałem wykluczeniem, ale jak człowiek czuje się nieszczęśliwy i nie może się pozbierać, a do tego ma pełną świadomość, że skręt mu pomoże, właściwie nie da się po niego nie sięgnąć. Gdy przestałem brać narkotyki, wpadłem w głęboką depresję. Przestałem sobie radzić z życiem. W sumie to było błędne koło. Wpadłem w depresję, ponieważ rzuciłem picie i ćpanie, ale przecież piłem i ćpałem właśnie dlatego, że zmagalem się z depresją. Ostatecznie stwierdziłem, że wolę depresję na trzeźwo niż depresję na bani i na haju. Przynajmniej można wtedy polegać na swoich faktycznych uczuciach. Jak dół, to dół, a jak czujesz się lepiej, to faktycznie czujesz się lepiej.

Po pobycie w Priory przez długi czas chodziłem na spotkania AA. W tamtym okresie dawało mi to wyraźną ulgę. Pomagało na moją depresję. Szedłem tam, mówiłem, że mam deprechę, bo brakuje mi alkoholu i narkotyków, a wtedy wszyscy okazali mi współczucie. Mówili, że mam przyjść na następne spotkanie i modlić się do Boga. W ten sposób na jakiś czas wyrwałem się z nałogu. W razie potrzeby szedłem na następne spotkanie AA. AA to skrót od Anonimowych Alkoholików, ja jednak chadzałem do najróżniejszych grup. Zaliczyłem Anonimowych Narkomanów i Anonimowych Żarłoków, zresztą chyba wszystkie możliwe opcje. Uznałem, że mam nałogi i że zalicza się do nich jedzenie. Postanowiłem więc iść i się przekonać, co mają tam do powiedzenia o żarciu, bo szamać to ja lubię. Na miejscu dowiedziałem się, że mam nie jeść jakiegoś tam chleba i jakichś tam ziemniaków. W tamtym okresie miałem zupełnie szczupłą sylwetkę i ogólnie na formę nie narzekałem, uznałem więc, że to nie jest miejsce dla mnie. Doszedł do wniosku, że w tych sprawach panuję nad sytuacją.

W pewnym momencie próbowałem nawet Anonimowych Seksoholików. Od dwóch lat żyłem sam i postanowiłem sobie znaleźć jakąś zdirowatą, uzależnioną laskę, która byłaby gotowa naprawdę zaszaleć. Postanowiłem się rozejrzeć – z myślą, że może trafią

się jakieś apetyczne kąski. Trafiłem tam jednak na ludzi, z których część nie chciała nawet trzymać się za ręce – byli do tego stopnia uzależnieni (albo przynajmniej tak myśleli). Uznałem, że nie – że to mnie przerasta.

Po przygodzie z Anonimowymi Seksoholikami wróciłem do narkotyków. U seksoholików panowało takie wariactwo, że postanowiłem czym prędzej się stamtąd zawijać. Nie chciałem skończyć tak jak oni. To zabawne, ale mogłem tam zaobserwować to samo co u Anonimowych Narkomanów. To trochę tak, jak gdyby ktoś miał wcześniej problem z ćpaniem, zwalczył go i przestał potrzebować spotkań Anonimowych Narkomanów, więc zaczynał szukać innych nałogów, które mogłyby „okiełznać”.

U seksoholików spotkałem część spośród tych ludzi, których widywałem wcześniej na spotkaniach Anonimowych Narkomanów – normalnych, rozsądnych, zwyczajnych. Zacząłem podejrzewać, że podnoszenie się z nałogu to proces, który nigdy się nie kończy. Tego nie chciałem. Zależało mi na tym, żeby iść przez życie po swojemu i mieć nad nim kontrolę. Stwierdziłem, że zaryzykuję.

Na spotkaniach Anonimowych Seksoholików nie trzeba nic mówić, co w sumie wyszło mi na dobre, bo stwierdziłem, że nie mam za wiele do powiedzenia. Jakoś nigdy nie wydawało mi się, żebym był uzależniony od seksu. Wręcz przeciwnie – w ogóle nie jestem. Gdy jestem z dziewczyną, która mnie pociąga, to świetnie. Nie czuję jednak żądy. Bez seksu mogę się obyć. W głębi serca wiedziałem, że z tym nałogiem nie mam problemów. Chciałem jednak poznać wszystkie te grupy.

Najlepszym nałogiem jest bieganie. Nie różni się wiele od AA, AN i wszystkich innych A. AB – Anonimowi Biegacze. Spotykamy się co tydzień w gronie przyjaciół, rozmawiamy, wspieramy się wzajemnie w utrzymywaniu formy, motywujemy się. Zawsze ktoś jest szybszy, a ktoś wolniejszy. Zawsze zatem znajdzie się ktoś, komu możesz pomóc i kto pomoże tobie. Biegacze są nałogowcami – niektórzy zaczynają wręcz od tego niezdrowo wyglądać. Zdecydowanie bardziej wolę jednak wyglądać jak nałogowy biegacz niż jak Steve Lee, który postanowił walczyć z problemami poprzez pałaszowanie wieprzowiny. Też tego próbowałem, wiem jak to jest – niefajnie. Ja po prostu chciałem biegać. Biegać, biegać i jeszcze raz biegać. To było moje lekarstwo na wszystko. Pewnie lepiej by było otwarcie stawiać czoła problemom, ale akurat z tym nigdy nie radziłem sobie najlepiej.

Gdy biegnę, myślę tylko o stawianiu kroków, o dobrym rytmie i tempie. Jestem sam ze sobą. Podczas ćwiczeń, na przykład gdy biegam 12 razy po 200 metrów, zastanawiam się, po co to robię, jaki to ma sens. Myślę tylko o tym, żeby to się już skończyło. Kiedy jednak po takim treningu w końcu mam wolne, jestem z siebie zadowolony, że poćwiczyłem. Nigdy nie sprawia mi to przyjemności, ale im lepszą osiągam formę, tym więcej bólu znosi moje ciało.

Przekonałem się, że oprócz biegania terapeutyczny wpływ ma na mnie również

chodzenie. Chodzić zacząłem parę lat temu, gdy straciłem prawko za zbyt szybką jazdę. Nauczyłem się odnajdywać przyjemność w spacerach po Manor Road do stacji metra.

Maksymalny brejk, ale bez pośpiechu

W 2010 roku Barry Hearn uznał, że koniec z przyznawaniem nagród za 147-punktowe brejki. W turniejach World Open taki wynik premiowano wcześniej nagrodą w wysokości 25 tysięcy funtów, aż wreszcie ktoś uznał, że czas położyć temu kres. Zostało zatem tylko cztery tysiące funtów nagrody za największego brejka w całym turnieju. Moim zdaniem to czyste szaleństwo graniczące ze zniewagą – przecież 147 punktów to najwyższy cel, maksimum tego, czego można dokonać w tej grze, snookerowy ideał.

Zamiast narzekać na tę decyzję, zacząłem szukać najlepszego pomysłu na to, jak by ją publicznie oprotestować. Doszedłem do wniosku, że jeśli znajdę się w sytuacji umożliwiającej zdobycie maksymalnego brejka, mogę zapytać sędziego, ile wynosi nagroda pieniężna za 147 punktów. Gdy powie mi, że nagrody nie ma, będę mógł na którymś etapie w ramach protestu dokonać celowego sabotażu tego brejka. Tak też się stało. Otworzyła się przede mną szansa na 147 punktów, poszedłem więc na słówko do sędziego Jana Verhaasa i spytałem:

- Ile wynosi nagroda pieniężna za maksymalnego brejka?
- Cztery tysiące – odparł.
- Za takie grosze nie będę robił 147 punktów.

Miałem dopiero jakieś 40 czy 50 punktów, więc do 147 było jeszcze daleko. Sędzia nic nie powiedział. Podejrzewał, jak sędzę, że żartuję. Wraz z każdą kolejną wbitą czarną bilą informowałem go, że maksa nie będzie. Słysząc to nawet na transmisji telewizyjnej. Dotarłem do żółtej bili.

- Nadal nie zamierzam trafiać 147 – powtórzyłem.

Czułem przyływ adrenaliny. Wychodziłem z założenia, że to świetny protest, który lepiej zapadnie wszystkim w pamięć niż kolejny maksymalny brejk. Uznałem, że snookerowi mędracy będą woleli się przechwalać, że byli na meczu, w którym Ronnie celowo nie zdobył 147 punktów, niż na takim, w którym to zrobił. Bądź co bądź maksymalne brejki zdobywałem w swoim czasie nie raz i nie dwa. Ten wyczyn miał się zapisać w historii tak samo jak najszybszy maksymalny brejk w historii, choć oczywiście z innych powodów. Jeszcze nie zdarzył się taki snookerzysta, który by doszedł do 140 punktów, a potem postanowił nie wbijać czarnej. Miałem przejść do historii.

Jeden z komentatorów, Dennis Taylor, powiedział:

- Ronnie żartuje z sędzią Janem Verhaasem. – Tak naprawdę nie wiedział jednak, czego dotyczyła rozmowa.
- Cóż zrobić? – odparł drugi z nich, John Virgo. – W poprzednim frejmie wydawało

się, że nic go nie rusza. Ten frejm jest natomiast genialny. Genialny. – Miałem 134 punkty. Virgo rzucił: – Dawaj, Ronnie.

140 punktów i głośne poruszenie na widowni.

W tym momencie uściśnąłem dłoń Markowi Kingowi. Wygrałem 3:0. Wbicie czarnej bili pozostawało zwykłą formalnością. Mark spojrział na mnie zaskoczony. Na widowni wszyscy zamarli – nikt nie był w stanie uwierzyć w to, co się dzieje. Jan postanowił jednak, że tego tak nie zostawi.

– Ron, no dalej, zrób to dla swoich fanów – powiedział.

Ja tu zapewniam sobie chwilę wiecznej chwały, a ten drań próbuje rozbudzić we mnie wyrzuty sumienia! Oczywiście, że ostatecznie tę czarną wbiłem.

– Czy kiedykolwiek widzieliście coś podobnego? – pytał Virgo. Cóż, gdybym odpuścił tamtą czarną, z pewnością byłoby to coś zupełnie nowatorskiego.

Zaraz po meczu podszedł do mnie Barry Hearn.

– Dzięki Bogu, że wbiłeś tę czarną bilę, inaczej miałbyś spore kłopoty. Mamy tu inspektora, który prowadzi śledztwo w sprawie skandali z zakładami. Staramy się oczyścić ten sport z tego typu spraw. Miałbyś nie lada kłopot, gdybyś wywinął taki numer na jego oczach.

Od uściśnięcia dłoni Markowi do wbicia czarnej minęło zaledwie kilka sekund.

Reakcje na całe to zajście były mieszane. Dla mnie było oczywiste, że tylko się zgrywałem i chciałem zwrócić na coś uwagę, wziąć parę osób pod włos. Oficjele byli jednak wstrząśnięci. Krytycznie odniósł się do tego również Mark Williams: „Ronniemu należałoby policzyć tylko 140 punktów w tym brejku, ponieważ przed wbiciem czarnej bili wymienił uścisk dłoni z rywalem. Powinien bezzwłocznie wbić czarną bilę albo, jeśli chciał coś komuś udowodnić, od początku zagrać zachowawczo. Pamiętajmy jednak, że to właśnie dlatego ludzie przychodzą go oglądać. Są ciekawi, co wymyśli tym razem”.

Część graczy mnie poparła. W końcu też się wkurzali brakiem nagrody. Neil Robertson określił moje zachowanie jako „rewelacyjne”: „Wbić jedną czerwoną i jedną czarną, a potem pytać sędziego, czy jest nagroda za 147 punktów? Czysty geniusz! Nikt inny nie zrobiłby czegoś takiego. Wiedział, że nie ma nagrody, po prostu od początku planował ten protest. W żadnym sporcie nie ma ludzi niezastąpionych, ale gdy Ronnie wycina taki numer, snooker od razu staje się atrakcyjniejszy”.

MOJE NAJWIĘKSZE TRIUMFY

Mocny bieg, raczej dobre tempo, w połowie trochę zwolniłem, potem dałem sobie wycisk, biegnąc pod górę.

Znaczenie mojego pierwszego mistrzostwa świata, wywalzonego w 2001 roku, wynikało z tego, że jego zdobycie zajęło mi więcej, niż się wszyscy spodziewali. Im dłużej grałem bez tego tytułu, tym presja była większa. Miałem 25 lat i powoli zaczynałem myśleć, że już nigdy tego nie dokonam. Pod pewnymi względami był to więc tytuł najważniejszy i zarazem najtrudniejszy do wywalczenia.

Gdy jako 16-latkowi trafiła mi się ta nieprawdopodobna seria zwycięstw, nie sądziłem jeszcze, że moim przeznaczeniem jest zdobyć tytuł mistrza świata. Wszyscy co prawda mi to wróżyli, ale ja nie wiedziałem, jak grają najlepsi snookerzyści – zakładałem, że są znacznie lepsi ode mnie.

Wtedy chciałem po prostu grać i się tym cieszyć. Zamierzałem poczekać i zobaczyć, dokąd mnie to zaprowadzi. Jaki byłem dobry wtedy, w Blackpool, w wieku 16 lat, uświadomiłem sobie dopiero znacznie później – już po tym, jak miałem okazję zmierzyć się z najlepszymi i doświadczyć spadku formy. Dzisiaj wiem, że jako 15- i 16-latek osiągnąłem poziom światowej czołówki. Wtedy tego nie wiedziałem, bo nie miałem okazji grać z najlepszymi. Uważałem wówczas, że im się nie zdarza chybić.

Tuż przed pierwszym sukcesem w mistrzostwach świata w życiu układało mi się raczej kiepsko. To zresztą mało powiedziane – chyba gorzej być nie mogło! Byłem wówczas wolny od nałogu, więc na to akurat nie mogłem zwalać winy. Wygrywałem turniej za turniejem, więc również snooker nie był przyczyną moich kłopotów. Po prostu w moim życiu panował mrok.

Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać, zagrzebywałem się w sobie, nie miałem za grosz pewności siebie. Klasyczna depresja. W tamtym okresie przez cały czas robiłem dobrą minę do złej gry. W pewnym momencie stwierdziłem, że mam tego dość. Udzielałem wywiadu jednej stacji radiowej, a dziennikarz oczekiwał chyba miłej i energicznej rozmowy, jaką się zwykle prowadzi tuż przed mistrzostwami świata. Ja tymczasem stwierdziłem:

– Nie czuję się zbyt dobrze, nie umiem wziąć się w garść, w ogóle nie chcę tu być. –

Biedak nie wiedział, jak na to zareagować.

Dzień wcześniej zadzwoniłem na telefon zaufania i wyznałem, że ogarnia mnie rozpacz. Nie przedstawiłem się, ale powiedziałem, że zawodowo gram w snookera, miewam napady paniki i nie chcę już stawać przy stole. Rozmawiała ze mną urocza dziewczyna.

– A musisz grać w snookera? – zapytała.

– Cóż, to całe moje życie. To moja praca. Chcę móc grać.

– Czy to jest ważniejsze niż twoje zdrowie? Czy kiedykolwiek brałeś pod uwagę możliwość rezygnacji z uprawiania tego sportu?

– Tak, rozmyślałem o tym przez ostatnie osiem lat.

Właśnie tak długo grałem wtedy zawodowo.

Żadnego konkretnego problemu nie udało mi się rozwiązać, ale po tej rozmowie poczułem się lepiej. Uznałem, że nie ma sensu ukrywać tego, jak się czuję, więc dzień później wszystko poszło na antenie radiowej. Stamtąd pojechałem prosto do lekarza i powiedziałem, że chyba spróbuję tych antydepresantów, które mi wcześniej proponował. Nie bardzo wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Uznałem, że nie mam nic do stracenia. Zrealizowałem więc receptę i na samym początku turnieju zacząłem przyjmować leki.

Było to dość ryzykowne posunięcie. Wiele osób po rozpoczęciu kuracji antydepresantami przez pierwsze tygodnie czuje się kijowo, ja jednak nie widziałem wtedy innego wyjścia. Brałem te leki przez parę lat i naprawdę dobrze na mnie działały. Chyba jednak nie chciałem się od nich uzależnić. Gazety ciągle się rozpisują o ludziach, którzy wpadli w nałóg i mieli potem popieprzone życie. Pomyślałem, że lepiej będzie spróbować je odstawić. Stwierdziłem, że w razie potrzeby mogę w każdej chwili do nich wrócić. Trochę jak do Anonimowych Alkoholików albo Anonimowych Narkomanów. Zdecydowanie wolę metody naturalne, właśnie dlatego tak dużo biegam – zapewniam sobie zastrzyk serotoniny. Uwielbiam poczucie, że ciężko pracuję. Uwielbiam się pocić. Nasze ciała to maszyny, które powinniśmy szanować, nawet jeśli od czasu do czasu zdarza nam się je sponiewierać. Powiedziałbym, że sam ostro daję w palnik przez jakieś dziesięć dni w roku. To mniej więcej trzy procent roku. Przez jakieś 20 procent jestem beczynnym siedzącym leniem, a pozostały czas poświęcam na pracę nad kondycją.

Gdy w finale pokonałem Johna Higginsa 18:14, poczułem przede wszystkim ulgę. On już wcześniej zdobył tytuł mistrza świata, więc tym razem to przede wszystkim ja odczuwałem presję. John to inny typ snookerzysty. Pod pewnymi względami wydaje się bardziej kompetentny – gra bardziej taktycznie, lepiej buduje brejki i świetnie trafia. We wszystkich aspektach można mu spokojnie dać dziewięć punktów na dziesięć. To zawodnik najwyższej klasy.

Wydaje mi się, że w mojej grze zawsze bardziej liczył się instynkt i umiejętność wytrącania rywali z ich naturalnego rytmu. Nie powiedziałbym, że jestem lepszym snookerzystą niż Higgins. Powiedziałbym natomiast, że z racji swojego stylu gry potrafiłem w większym stopniu pokrzyżować szyki innym zawodnikom. John Higgins zawsze przypominał maszynę, nie wydaje mi się jednak, żeby onieśmiał swoich rywali. Jednocześnie mam nadzieję, że ja miałem – i mam – na nich taki właśnie wpływ. Higgins to snookerowy odpowiednik piłkarskiej reprezentacji Niemiec, która niszczy przeciwnika skrajną efektywnością. Nie zawsze wychodzi z tego piękne widowisko, ale Niemcy nieodmiennie rozmontowują rywala i trudno się przeciwko nim gra. U mnie wygląda to raczej na zasadzie: „Pyk, pyk, pyk i po krzyku”. Pewnie bliżej mi do Brazylii niż Niemiec.

W 2001 roku leki zaczęły działać bardzo szybko. Przestałem się aż tak przejmować sobą i po prostu skupiłem się na grze. Zwykle podczas turnieju nie rozmawiam za dużo z ludźmi, a tymczasem w trakcie tamtych dwóch tygodni mnóstwo wisiałem na telefonie i gadałem z tatą. Zwrócił uwagę na zmianę, która we mnie zaszła:

– Ron, brzmisz o niebo lepiej. Te leki najwyraźniej działają. Słyszę to w twoim głosie.

Stwierdził również, że gram bardziej naturalnie.

– Wybierasz same ryzykowne uderzenia – powiedział – a potem pakujesz bile w kieszeń. Czasami aż nie mogę uwierzyć, że coś takiego wpada.

Te rozmowy także sprawiały, że czułem się lepiej. Na depresji to on się raczej nie znał, ale na pewno potrafił stwierdzić, że mi się poprawiło.

Finał przeciwko Johnowi to nie była bułka z masłem. Zacząłem bardzo dobrze, prowadziłem 6:2 pomimo dość przeciętnej gry. Potem jednak wszystko zaczęło się psuć. Podbiłem na 7:2, ale w żenującym stylu. To był chyba najgorszy frejm zarówno w jego, jak i w mojej karierze. Trzy następne frejmy wygrał John. Było 7:5. Jezus Maria! Po zejściu na przerwę powiedziałem do Dela Hilla, mojego ówczesnego menedżera:

– Co tu się dzieje? To jakiś koszmar. Nie mogę wbić jednej pierdolonej bili!

– Spokojnie, po prostu się trzymaj – odparł. – Grasz całkiem nieźle. Parę razy spudłowałeś, ale on też kilka razy spudłował i będzie pudłował dalej.

Wróciłem do stołu i rozegrałem dobrą ostatnią sesję. W niedzielę wieczorem szedłem spać z prowadzeniem 10:6. Miałem za sobą dzień solidnie wykonanej roboty. W poniedziałkowe popołudnie kontynuowałem ten trend i zaliczyłem brejki po 138 i 90 punktów plus dwa brejki po 50. Było 14:7. Potem jednak Higgins się podniósł i doprowadził do stanu 14:10. Mistrzostwa świata to swego rodzaju maraton – czasem mecz ciągnie się całe wieki. 17 dni snookera... Pod koniec człowiek chodzi naprawdę półżywy. Widać to choćby na twarzach graczy. U finałowej czwórki można zwykle zaobserwować wielką bladość. Cały ten czas w ciemnościach, cała ta presja, stanie, gra,

stanie, obserwowanie, obserwowanie, obserwowanie... Katorga.

W żadnym innym sporcie aż tak się zawodników nie eksploatuje. Kamery dają zbliżenia na twarz bez względu na to, czy akurat dłubiesz w nosie, drapiesz się po uchu czy robisz krzywe miny. Nie ma się gdzie schować.

Tak się złożyło, że lekarz, który przepisał mi antydepresanty, oglądał finał w telewizji i zadzwonił do Dela.

– Ogląda mecz w telewizji – zaczął Del. – Zobaczył, że spada ci poziom koncentracji. Zacząłeś odpływać.

– Odpływać? Co to znaczy?

– Po prostu z nim porozmawiaj – powiedział Del.

– Nie będę do nikogo dzwonił.

Błagał jednak tak długo, aż się w końcu zgodziłem. Podkreślam, że nie byłem w najlepszym nastroju na pogaduchy.

– Dobra, o co chodzi? – rzuciłem do słuchawki.

Lekarz okazał mi dużo życzliwości, cierpliwości i troski.

– Po prostu weź dodatkową pigułkę. Będzie ci się łatwiej skoncentrować. Weź tabletkę, a za godzinę czy dwie odzyskasz normalny poziom energii.

Miał rację.

Podwyższyłem wynik do 15:10, a potem pozwoliłem, by osiągnął poziom 17:14. Potrzebowałem jeszcze tylko jednego frejma. Oczami wyobraźni widziałem już nagłówki, jak to zjadły mnie nerwy i nie potrafiłem postawić kropki nad i. Na szczęście jednak udało mi się dopiąć swego.

To było genialne uczucie. John zachował się z klasą i wypowiedział najlepsze słowa, jakie mogły paść z jego ust:

– Pogratuluj tacie. Gratulacje. Naprawdę cieszę się szczęściem twoim i twojej rodziny.

Wiedział, ile to wszystko znaczyło dla mnie i mojego taty – dla całej naszej rodziny. Mama nie kryła łez.

– Jestem z ciebie taka dumna – powiedziała. – Zagrałeś genialnie.

Wróciliśmy do malutkiej garderoby – ja, mama, Danielle, Jimmy White, Ronnie Wood i jego ówczesna żona Jo. Wszyscy szaleli, krzyczeli, wkładali sobie puchar na głowę. Tylko ja zachowywałem spokój.

Trzy lata później, w 2004 roku, wywalczyłem tytuł po raz drugi. Wtedy czułem się zupełnie przyzwoicie, biegałem. To właśnie w tamtym okresie zapuściłem długie włosy i nosiłem opaski. Zacząłem dobrze, ale potem szło mi gorzej. Całkowicie odciąłem się od ludzi z Sheffield, ale zawsze znajdował się ktoś, kto miał dostęp do wszystkich stref, kto donosił kawę i herbatę, wyjmował bile z kieszeni albo po prostu był obok na wypadek, gdybym chciał z kimś pogadać.

Dzisiaj podczas meczów towarzyszą mi Damien Hirst i jego asystentka Sylvia. Gdy

ich akurat nie ma, biorę ze sobą któregoś z kumpli od biegania. Po prostu warto mieć na miejscu jakąś znajomą twarz, kogoś, dla kogo się będzie grało. Na tym etapie nie chcę widzieć nikogo, kto próbowałby robić ze mnie lepszego snookerzystę albo snuł plany podboju świata w moim wykonaniu. Potrzebuję kogoś, kto rozładuje napiętą atmosferę.

Oczywiście, że zawsze chcę osiągnąć coś więcej. Wolę to jednak zrobić w atmosferze dobrej zabawy. Nie zależy mi, żeby ktoś na siłę poszukiwał brakującego elementu układanki. Ostatecznie to ja sam mam być panem swojego losu.

Na świecie nie brakuje ludzi, którzy gadają. Brakuje natomiast tych, którzy nie rzucają słów na wiatr. Gdy spotykam kogoś, kto mi mówi, że coś jest łatwe, i daje mi radę za radą, odpowiadam: „Proszę, to mój kij, to mój klucz do pokoju hotelowego, znajdziesz tam mój strój. Powodzenia, zobaczymy się przy kolacji. Dzisiaj grasz z Johnem Higginsem. To całkiem niezły zawodnik”. Gościa zwykle zatyka.

Ludzie mnie często pytają, które zwycięstwa uważam za najważniejsze. To trudne pytanie, ponieważ wiele ich było i wszystkie są dla mnie w jakiś sposób ważne. Gdybym jednak udawał się na bezludną wyspę i mógł zabrać ze sobą tylko trzy trofea, byłyby to: puchar za mistrzostwo świata z 2012 roku (mój czwarty triumf w tych rozgrywkach po dwóch latach koszmarnego spadku formy), puchar z turnieju Champions Cup wywalczony w 2000 roku tuż po wyjściu z Priory, wreszcie puchar z European Open z 2003 roku.

Champions Cup to pierwszy wygrany przeze mnie turniej po odwyku, który zakończyłem w 2000 roku. Nie należy do ścisłej czołówki turniejów snookerowych, ale świetnie mi się tam grało. Dobrze się czułem, tryskałem energią i miałem dystans do rzeczywistości. European Open, trzeci z wymienionych turniejów, nie był nawet transmitowany w telewizji. Był 2003 rok. Drugorzędne rozgrywki, w których jednak zagrałem naprawdę dobrze i w finale zmierzyłem się ze Stephenem Hendrym. Wygrałem 9:6, przy czym obaj byliśmy w wysokiej formie – zdobywaliśmy dużo punktów, celnie uderzaliśmy, cały czas atakowaliśmy. Równie dobrze mogłem przegrać tamten mecz.

Wiele osób mi nie wierzy, jak zawsze powtarzam, że zwycięstwo oraz ewentualna nagroda nie mają znaczenia – dla mnie liczy się to, jak gram. To szczerza prawda. Pewnie, że gdy jest się dzieckiem, marzy się o zwycięstwie w World Junior, w trakcie gry amatorskiej dąży się do triumfu w World Amateur, a potem w UK Championship i wreszcie w mistrzostwach świata. Prawda jest jednak taka, że od niektórych pojedynków finałowych w mistrzostwach świata lepiej pamiętam mecze rozgrywane z Jimmym White'em u Ronniego Wooda w domu. Najgorsze chwile mojego życia przypadły na Sheffield, tuż po moim triumfie w mistrzostwach świata.

W 2004 roku pokonałem w finale Graeme'a Dotta. Nie miałem poczucia, żebym zagrał dobrze, ale to zwycięstwo świetnie wygląda w moim CV. Dwukrotny mistrz świata – dla mnie było to bardzo ważne, ponieważ jeden triumf w tych rozgrywkach

mógł być dziełem przypadku. W ramach świętowania włożyłem do ust zęby Draculi. W 2001 roku mój przyjaciel John Liverpoolczyk zapytał:

– Włożysz je, jeśli powtórzysz swój sukces?

– Jasne, spokojna twoja głowa – odparłem, a potem zupełnie o tym zapomniałem.

Na początku turnieju John mi o tym przypomniał. Może coś przeczuwał?

– Nie, no co ty! Nie mogę tego zrobić – powiedziałem.

– No dalej, będzie naprawdę zabawnie. Trafisz do gazet – stwierdził. – A poza tym obiecałeś.

Uznałem, że nie mam szans na zwycięstwo, a ponieważ przed trzema laty faktycznie mu to obiecałem, ostatecznie się zgodziłem.

Ludzie odebrali to jako hołd dla Raya Reardona, rzeczywistość przedstawiała się jednak inaczej. To był szalony pomysł Johna Liverpoolczyka. Nawet nie pomyślałem, że będę wyglądał jak Ray. Zrobiłem to dla Johna.

Na kolejne mistrzostwo świata musiałem czekać aż cztery lata. Sądziłem wówczas, że dostanę od władarzy snookera mocno po łapach za pamiętny wybryk z Chin. Spodziewałem się wykluczenia, uznałem więc, że muszę koniecznie coś na tym turnieju osiągnąć.

Zrobiłem maksymalnego brejka. W materiale dostępnym na YouTube widać, jak zaciskam pięść. W ten sposób chciałem powiedzieć: „Proszę, spróbujcie mnie teraz wykluczyć. Macie twarde orzechy do zgryzienia. Zdobyłem 147 punktów, błyszczałem podczas turnieju, a wy musicie mnie wykluczyć”. Tym się motywowałem. To były moje pierwsze rozgrywki po powrocie z Chin, więc bardzo mi zależało, żeby dobrze wypaść. Zwycięstwo w tych zawodach potraktowałem jako swego rodzaju wisienkę na torcie. Po finale powiedziałem: „Chyba sobie teraz zrobię trochę wolnego”. Chciałem dać oficjelom z World Snooker do zrozumienia, że mogę sobie pozwolić na odpoczynek od gry, gdybym miał na to ochotę. Ostatecznie się jednak na to nie zdecydowałem.

Nie próbuję prowokować władz snookera. Często robię różne głupoty, bo nie umiem się powstrzymać. Wtedy władarze zaginają na mnie parol, a ja mam poczucie, że zaraz zostanę wykluczony. Takie sytuacje powodują, że potem pokazuję się z najlepszej strony. W 2004 roku dostałem trochę po łapach za swoje zachowanie. Usłyszałem, że za dużo podskakuję, więc pomyślałem: „Wiecie co? Tak naprawdę chcecie się mnie pozbyć, wykurzyć mnie”. Była to dla mnie dodatkowa motywacja, żeby zatriumfować w mistrzostwach świata, co zresztą udało mi się osiągnąć. Gdy wtopie w Chinach zostałem w 2008 roku mistrzem świata oraz gdy zwyciężyłem w turnieju Masters zaraz po tym, jak wyszedłem zwycięsko z meczu z Hendrym w ramach UK Championship, tak naprawdę wysyłałem światu jasny komunikat: „Pieprzcie się”. Część moich największych triumfów następowała bezpośrednio po tym, jak wpakowałem się w jakieś tarapaty.

JAK MAJTKI STAREJ DZIWKI

Sześć razy jedna minuta przy posterunku policji na Manor Rd. Każde kolejne powtórzenie wyszło szybciej. Pozytywne uczucie. Moc w nogach – to widać.

Był maj 2013 roku. Nie grałem już od 11 miesięcy. Spędzałem ten czas w sądzie, na farmie, z dziećmiakami, biegając – po prostu żyjąc. W końcu nadeszła pora na wielki powrót, który miał się odbyć w Sheffield. Byłem podekscytowany, a przy tym cholernie nerwowy. Już od kilku tygodni przy okazji każdej transmisji mistrzostw świata w BBC różni mądrzy ludzie podbijali bębenek i opowiadali o „powrocie Ronniego Rakiety”. Zachowywali się, jak gdyby nie było innych snookerzystów. Wprawiało mnie to w pewne zażenowanie. Liczyłem na to, że uda mi się wrócić do gry i nie odpaść z hukiem w pierwszej rundzie.

Gdzieś pod koniec marca zacząłem trenować. Dałem sobie sześć tygodni na osiągnięcie formy meczowej.

Przez pierwsze dwa tygodnie treningów czułem się świetnie, jak gdybym w ogóle nie robił sobie przerwy. Początkowo grałem ze znajomymi. Chich i T dostarczyli mi świetnej rozrywki. Po dwóch tygodniach pojechałem do Academy w Romford. W klubie prowadzonym przez Django gra trzech czy czterech najlepszych Chińczyków, więc to jeden z najlepszych ośrodków treningowych w kraju. Szło mi znakomicie – na 25 frejmów robiłem jakieś pięć czy sześć setek. Często graliśmy mecze w systemie lepszy z 25 frejmów, ponieważ tak miał wyglądać turniej w Sheffield. Im bliżej było jednak do finałów, tym częściej odnosiłem wrażenie, że snooker to ciężka praca.

W Sheffield spotkałem się z bardzo ciepłym przyjęciem. Co zabawne, w pierwszej kolejności natknąłem się na Barry’ego Hawkinsa. Poznałem go w wieku 17 lat, on miał wtedy tylko 14. Brał udział w mistrzostwach juniorów, a ja właśnie przeszedłem na zawodowstwo i wygrałem UK Championship. Zostałem zaproszony do wręczenia nagrody i rozegrania meczu ze zwycięzcą. Pamiętam, jak sobie wtedy pomyślałem, że Barry ma całkiem niezłe uderzenie. Podczas naszego spotkania w Sheffield zachował się naprawdę świetnie. Zapytał, jak się mam, i stwierdził, że cieszy się z mojego powrotu. Tak naprawdę nikt nie wiedział, dlaczego zrobiłem sobie przerwę.

Świetnie potraktowała mnie także Hazel Irvine, prezenterka BBC. Uwielbiam ją, jest najlepsza. W BBC też się cieszyli z mojego powrotu. Kiepsko by to wyglądało,

gdyby obrońca tytułu nie wziął udziału w mistrzostwach. Szefostwo stacji zapewne martwiło się o poziom oglądalności. BBC zawsze wspierała snookera, wszyscy tworzymy tam jedną wielką rodzinę. Brakowało mi tych ludzi i cieszyłem się, że ich nie zawiodłem.

Denerwowałem się nie tyle na myśl o powrocie do gry, ile w związku z całym tym szumem medialnym, który się wokół tego zrobił.

W taki czy inny sposób do mojej osoby nawiązywały prawie wszystkie nagłówki snookerowe. Pojawiło się mnóstwo spekulacji na temat przyczyn mojej nieobecności, dziennikarze zastanawiali się nad moim stanem emocjonalnym. Padły nawet zawoalowane sugestie, że wszystko to zostało ukartowane, żeby zwiększyć zainteresowanie finałami mistrzostw. Bzdura!

Zetknąłem się także z opiniami, że oto do miasta zawitał cyrk Ronniego O'Sullivana. Mówiło się również, że pojawiam się tylko wtedy, kiedy akurat przyjdzie mi na to ochota. Przypuszczam, że nawet część graczy tak się na to zapatrywała. Uważali, że po prostu pojawiam się i gram, że wszystko mi przychodzi ot tak, od niechcienia. Aż trudno mi uwierzyć, że ktoś może wygadywać takie rzeczy – moja rzeczywistość wygląda dokładnie odwrotnie.

Któregoś dnia rozmawiałem z Johnem Higginsem. John i Stephen Hendry to dwaj najlepsi snookerzyści, z jakimi kiedykolwiek grałem. Trafiłem na Johna w turnieju. Zagrał genialnie i wygrał. Gdy odchodziliśmy od stołu, powiedziałem mu, że przy tej formie chyba po prostu nie mógłby przegrać. Spojrzał na mnie tak, jak gdybym się z niego nabijał. „Poza Hendrym nie ma drugiego takiego gracza jak ty”. Mówiłem zupełnie szczerze, ale on nawet nie chciał mnie słuchać. Towarzyszył nam wtedy mój kumpel Jason Francis, który stwierdził później, że John mógł się poczuć potraktowany protekcjonalnie.

– Absolutnie nie o to mi chodziło, Jase. W takie dni jak dziś jest po prostu niesamowity.

– Ale wszyscy i tak myślą tylko o tobie – odparł Jason.

Chyba faktycznie kieruję się w grze czymś w rodzaju instynktu i gdy jestem w formie, to rzeczywiście wymiatam przy stole. Inni gracze muszą więcej myśleć i bardziej precyzyjnie się ustawiać do każdego uderzenia. Jeśli o to chodzi, to pewnie dostrzegam różne rzeczy szybciej. Inni gracze są jednak bardziej równi niż ja, bardziej konsekwentni i niezawodni, ja tymczasem gram albo bardzo dobrze, albo bardzo słabo.

Może zbyt surowo się oceniam? Kiedyś faktycznie grałem albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Dzięki Steve'owi Petersowi dzisiaj gram przyzwoicie nawet wtedy, gdy nie mogę mówić o szczytowej formie. Steve wpoił mi trochę dyscypliny. Nauczył mnie, że rezygnacja to forma emocjonalnego autosabotażu i że czasem taka pokusa może się pojawić. Dzięki niemu podczas meczów staram się już nie słuchać tego głosu. Wsłuchuję się w niego dopiero później, a dopóki stoję przy stole, w pełni koncentruję

się na grze. Bardzo wiele pojedynków przegrałem dlatego, że się poddałem psychicznie.

Dzięki pracy ze Steve'em mój stosunek do gry stał się mniej emocjonalny. To dobrze. Dzisiaj wychodzę z założenia, że to moja praca, zadanie do wykonania, nic więcej. Wy tłumaczyłem sobie, że snooker nie musi mi sprawiać przyjemności. Czy ktokolwiek potrafi czerpać przyjemność ze swojej pracy absolutnie przez cały czas? Wcześniej uważałem, że muszę być w najwyższej formie, muszę dążyć do ideału. Teraz powiedziałem sobie, że nikomu nie muszę niczego udowadniać. Zdobyłem cztery tytuły, więc czuję się spełniony na tym polu. Od 1996 roku nikomu nie udało się obronić tytułu mistrzowskiego, więc tej presji też nie było. Ostatni raz, właśnie w 1996 roku, dokonał tego Stephen Hendry (to dość niewiarygodne, ale odniósł wtedy piąte zwycięstwo z rzędu). W głowie miałem wszystko poukładane. Podszedłem do tego tak: jestem tu jednym z 32 zawodników, wszyscy mamy takie same szanse, muszę tylko wygrać pięć meczów. Podczas treningów przed turniejem grałem solidnie i wygrywałem z dobrymi zawodnikami. Zakładałem, że niczym się to nie różni od pojedynków, które przyjdzie mi stoczyć w Crucible. Przypuszczałem nawet, że dzięki obecności fanów oraz adrenalinie w Sheffield będę mógł zagrać lepiej niż podczas treningów. Podobnie jak w innych dyscyplinach element psychologiczny odgrywa w snookerze bardzo ważną rolę. Może i najważniejszą...

Ludzie zebrani na widowni okazali mi wielkie wsparcie. Gdy pojawiłem się przy stole, publiczność powitała mnie owacją na stojąco. W Sheffield zawsze mogłem liczyć na ciepłe przyjęcie, tym razem spotkało mnie jednak coś wyjątkowego. To było naprawdę wzruszające. Pomyślałem sobie, że trochę już gram, więc może to tak naprawdę ciepłe przyjęcie dla weterana. Wielu z nich oglądało mnie już od 20 lat i pewnie myśleli sobie, że jestem jednym z nich, oldboyem.

Na początek trafił mi się Marcus Campbell, naprawdę trudny rywal ze Szkocji. Rok wcześniej mierzyłem się z nim w Chinach i ledwo wygrałem. Ogólnie jednak sądzę, że Sheffield to wyjątkowe miejsce. W Crucible bardzo liczy się doświadczenie – obycie z tą atmosferą i presją oraz świadomość wcześniejszych sukcesów odnoszonych w tym miejscu. Można tam wystartować w słabej formie i wygrać, trzeba w to tylko uwierzyć.

Po pierwszej sesji prowadziłem 7:2, grałem nieźle i trafiałem. Dłuższe uderzenia wychodziły mi gorzej, ale z tym elementem gry nigdy nie radziłem sobie jakoś szczególnie genialnie, więc niespecjalnie się tym przejmowałem. W sesji wieczornej doszedłem do 9:2, a potem przestałem trafiać. Wpadłem w panikę. Mało brakowało, a uznałbym, że już po meczu. To był pierwszy dzień, pozostawało zatem jeszcze całe 16 dni tego gówna – o ile wytrwałbym tak długo... Co do tego miałem poważne wątpliwości.

Wygrałem 10:4, ale od stołu odchodziłem cholernie przybity. Damien Hirst powiedział mi wtedy:

– Można by pomyśleć, że przegraliśmy.

Tym żartem chciał mi zasugerować, że psuję nastrój wszystkim dookoła. Tak naprawdę próbował mi dać do zrozumienia, że mi odbiło.

– Nie było cię przez 11 miesięcy, wygrałeś 10:4, zaliczyłeś mnóstwo pięknych uderzeń, kilka razy spudłowałeś, ale na tym polega ta gra.

Pod tym względem zachowuje się jak Steve Peters – przez cały czas pomaga mi łapać dystans.

Wieczorami, gdy akurat nie grałem, chodziłem ze znajomymi do kasyna. Graliśmy w blackjacks albo ruletkę, jedliśmy coś, a potem oglądaliśmy snookera w telewizji. Znakomity sposób na udany wieczór. Poszedłem tam z 500 funtami i powiedziałem sobie, że ta kwota ma mi wystarczyć na dziesięć dni. Nie lubię hazardu, nie chcę dać się w to wciągnąć. Gdy już grałem, stawiałem różne kwoty, od trzech do 50 funtów. Stworzyliśmy taki mały zespół – ja, Damien, Sylvia, Chich, Irish Chris, Taze i John Liverpoolczyk. Po pierwszym wieczorze byłem jakiegoś tysiaka do przodu. Super, ale ta dobra passa nie mogła trwać wiecznie.

W drugiej rundzie trafiłem na Alego Cartera. Marcus to dobry zawodnik, ale nie ma takiego doświadczenia w Crucible jak Ali – dwukrotnie startem się z nim w finale mistrzostw świata. Mecz nie mógł się dla mnie lepiej zacząć, w pierwszej sesji pewnie prowadziłem 5:1. Potem Ali zrobił dwa dobre frejmy i było już 5:3. W drugiej sesji jakoś nie umiałem się odnaleźć. Nie trafiałem, ciągle zostawałem w tyle za rywalem. Ali wyrównał na 7:7, a ja nie czułem się najlepiej.

Przy stanie 7:7 zafundował mi snookera. Jakoś wybrnąłem z tej sytuacji, ale biała bila znalazła się niestety w kieszeni. Początkowo uznałem, że mam pecha, ostatecznie jednak okazało się, że tym razem mi się upiecie. Po wyjęciu białej Ali musiał wykonać długie uderzenie i koszmarnie spudłował. „Świetnie”, pomyślałem, a potem wbiłem 70 punktów. W ostatnim frejmie wieczoru zdobyłem ich 80. Zacząłem zatem od 5:3, by dopuścić do remisu 7:7 i ponownie wyjść na prowadzenie 9:7. Męczyłem się, a Ali grał naprawdę dobrze. Mimo to wygrywałem. Uznałem to za świetny znak. W Sheffield najlepszym prognostykiem na przyszłość są te trudniejsze sesje, wcale nie te, w których gra się jak z nut. Jeśli się chce zostać mistrzem świata, trzeba umieć wygrać lub choćby zremisować nawet w obliczu braku formy.

Dzięki temu kładłem się spać z poczuciem większej pewności siebie. Wychodziłem z założenia, że prowadzę dwoma frejmami, a słabą sesję mam już za sobą, więc tym nie muszę się martwić. Nazajutrz wróciłem do stołu i znowu grałem dobrze – jeden długi brejk, 70 punktów, drugi długi brejk, 80 punktów. Całkiem niezłe szło mi też w defensywie. To ważne, gdy nie zawsze trafia się długie uderzenia. Dzięki temu można wcześniej wrócić do stołu i wywiera się większą presję na rywala. Ostatecznie pokonałem Alego 13:8 i stwierdziłem, że wreszcie gram jak przystało na turniej tej klasy.

Dotarłem do ćwierćfinałów. Po drodze odpadło wielu znanych graczy: John

Higgins, Mark Williams, Mark Selby, Mark Allen, Neil Robertson. Nimi nie musiałem się już martwić, ale jakoś nie upatrywałem w tym swojej wielkiej szansy. Zawsze uważałem, że jeśli się chce zdobyć tytuł mistrza świata, trzeba zagrać z kimś, kto akurat znajduje się w znakomitej formie. Z czołową szesnastką świata różnie bywa, a pokonać mógł mnie każdy, kto się akurat dobrze zaprezentował. Nie bardzo mnie interesowało, kto wygrywa, a kto przegrywa. Interesowała mnie przede wszystkim moja własna gra.

Jedyny problem polegał na tym, że w Sheffield nie mogłem biegać. Tuż przed turniejem podczas jednego z treningów naderwałem mięsień łydki. Chodziłem na siłownię i jeździłem na rowerku treningowym, ale na tym musiałem poprzestać. Spodziewałem się, że w okresie przerwy od snookera będę mógł się skupić na bieganiu, tymczasem cały czas gnębiły mnie kontuzje, przez co się roztyłem i rozleniwiłem. Cóż, taki paradoks. Wracając do snookera, postanowiłem jednocześnie odzyskać dawną kondycję. Prawdopodobnie za szybko zacząłem znów tak intensywnie trenować i dlatego naderwałem mięsień łydki. W Sheffield spotkałem się z Jasonem i Lee, kumplami od biegów. Z powodu urazu nie mogłem z nimi biegać, ale zjadłem w towarzystwie Jasona kilka posiłków, a z Lee widywałem się na siłowni. Między meczami rozmawiałem też ze Steve'em Petersem, który mieszka między Sheffield a Manchesterem, dokładnie w Chapel-en-le-Frith. Przy każdej nadarzającej się okazji wpadałem tam na noc, żeby móc z nim sobie spokojnie pogadać.

W ćwierćfinale miałem się zmierzyć ze Stuartem Binghamem. W pierwszej sesji było już 7:0 dla mnie. Wielu ludzi ma Bingham'a za szczęściarza, tymczasem moim zdaniem facet jest raczej pechowcem. To dobry zawodnik, ale gdyby miał większego fuksa, częściej wygrywałby turnieje.

W ogóle nie wierzyłem wtedy we własne możliwości, ale dobra forma pozwalała mi się nie przejmować nieudanymi zagraniem, których zresztą trochę mi się zdarzyło. Wbijałem za to naprawdę bardzo dobre brejki: 79, 111, 87, 133 i 78. Komentatorzy twierdzili, że funduję wszystkim snookera na iście boskim poziomie. Ja się na to zapatrywałem inaczej – wolę wbijać bile dla czystej frajdy. Miałem poczucie, że ciężko haruję na ten wynik. Dobiłem do 7:0, a potem zdjąłem nogę z gazu.

W trzech ostatnich frejmach tej sesji nie byłem w stanie wbić ani jednej bili. Zupełnie straciłem koncentrację. Zacząłem sobie robić wyrzuty, że nie potrafię się skupić, a przecież zwycięstwo w tym turnieju wymaga koncentracji przy każdym kolejnym uderzeniu. Wydawało mi się, że jakoś okiełznam panikę nad drzemiącym we mnie potworem, ale że ten może się w każdej chwili wyrwać na wolność. Na domiar złego z jednej strony słyszałem w głowie te wszystkie głosy, że gram słabo, z drugiej zaś dochodziły mnie głosy ze studia – Steve Davis i Stephen Hendry twierdzili, że oto patrzą na najlepszego snookera w historii. Zupełnie się w tym pogubiłem. Wydawało mi się, że ktoś mnie próbuje wyprowadzić z równowagi. Z dzisiejszej perspektywy sędzę, że prawda leżała gdzieś pośrodku. Nie było mi tak łatwo jak w 2012 roku, tym razem

bowiem musiałem ciężko pracować na sukces, ale ogólnie grałem dość równo.

Robiłem sobie spore wyrzuty, jednak ostatecznie i tak pokonałem Stuarta Bingham 13:4. Muszę przyznać, że po meczu miałem raczej kiepski nastrój. Powiedziałem, że nie tęskniłem za snookerem, że to prawdopodobnie mój ostatni duży turniej i że wróciłem tylko dlatego, że z czegoś trzeba opłacić szkołę dla dzieci. Nie zostało to najlepiej odebrane. W moim stosunku do snookera miłość zawsze się przeplatała z nienawiścią. Raz ten sport kocham, a raz go nienawidzę. Czasem kocham go i nienawidzę równocześnie.

Ta uwaga o płaceniu za szkołę przez jednych została odebrana jako zabawny żart, inni uznali ją za przejaw braku klasy, który negatywnie rzutuje na mój wizerunek. Jeszcze inni po prostu mi nie uwierzyli. Niektórzy widzieli we mnie snoba, który musi posyłać dzieci do prywatnej szkoły, ale to nieprawda. Nie mam wyboru, muszę zabrać je z dotychczasowej prywatnej szkoły. W przeciwnym razie musiałbym wrócić do sądu, a tego nie chcę. Owszem, chętnie opłacałbym im chesne z własnej kieszeni, gdybym mógł sobie na to pozwolić, tak naprawdę jednak nie należę do wielkich zwolenników prywatnej edukacji. Szkoły publiczne są moim zdaniem wystarczająco dobre dla wszystkich, trzeba tylko chcieć się przyłożyć do nauki. Sam chodziłem do szkoły publicznej i się nie przykładałem, ale miałem wielu zdolnych kolegów, którzy chcieli się uczyć, a potem poszli na studia i dzisiaj robią kariery. Ludzie mi pewnie nie uwierzyli, że nie mam pieniędzy, ale to prawda. Owszem, posiadam dom, drugi dom dla dzieci, a oprócz tego kilka nieruchomości, których współwłaścicielem jest moja mama, ogólnie jednak wyglądało to tak, że albo wrócę do pracy, albo ten mój dom będę musiał sprzedać.

Komentatorzy wielokrotnie podkreślali, że sprawiam w tym roku wrażenie wyjątkowo rozluźnionego. Pewnie przy stole faktycznie tak się prezentowałem. Chwilami popadałem jednak w straszną paranoję, zwłaszcza po zakończeniu sesji. Trudno to wyjaśnić, ale to klasyczny objaw depresji paranoidalnej – nie potrafiłem rozmawiać z ludźmi ani patrzeć im w oczy, przez cały czas myślałem, że wszyscy się ze mnie nabijają i że zaraz obnażą całą prawdę na mój temat... choć nie bardzo wiedziałem, o jaką prawdę miałoby chodzić i po co mieliby to robić. To koszmarna i destrukcyjna choroba, która pochłania energię i marnuje człowiekowi życie. Na szczęście potem zaczynał się mecz i wszystko znów było w porządku. Snooker pozwalał mi się od tego oderwać – podczas gry czułem się dobrze, gra odwracała moją uwagę od problemów. Nie mogłem sobie natomiast poradzić z własnymi myślami i wyczekiwaniem między meczami. Właśnie tym zamęczałem swoich przyjaciół.

Wszyscy mieli już dość – zwłaszcza moi najbliżsi kumple, John Liverpoolczyk i Damien. Powtarzałem im, że już dłużej nie mogę, że muszę sobie znaleźć inne zajęcie, że będę pracował w mediach. Następnego dnia stawałem jednak przy stole treningowym, wykonywałem naprawdę dobre uderzenia i nagle ogarniały mnie skrajnie

przeciwne emocje: „Taaak, będę to robił przez najbliższe dziesięć lat”.

Damien zawsze mnie wspierał, bez względu na mój aktualny stan. Powtarzał: „Jeśli tak się przez to czujesz, po prostu tego nie rób. Jeśli to wzbudza w tobie takie emocje, rzuć to w cholerę. Twoim jedynym obowiązkiem jest być szczęśliwym. Jesteś królem, najlepszym snookerzystą w historii, nie lubię na ciebie patrzeć, jak jesteś taki przybity”. Nie wydaje mi się, żebym był najlepszym zawodnikiem w historii, ale miło usłyszeć coś takiego. Na Damiena zawsze można liczyć.

Sheffield to w ogóle męczące rozgrywki, tym razem jednak opadłem z sił wyjątkowo wcześnie. Do półfinałów po każdej sesji dopadało mnie skrajne zmęczenie. Najchętniej tylko bym spał. Pewnie już się odzwyczaiłem od tego poziomu adrenaliny, od rozgrywania jednego meczu za drugim. Miałem problem, żeby się zregenerować. Nawet moi kumple, którzy widywali mnie w najróżniejszym stanie, stwierdzali, że po kolejnych sesjach wyglądałem bardzo kiepsko. Zachodziłem w głowę, po co ja się tak katuję. Zdecydowanie lepiej się czułem, gdy pracowałem na farmie i nie miałem kasy. Zaraz po zakończeniu gry rozbierałem się do gatek, zakładałem jakiś stary T-shirt i padałem do wyra. Problem polegał na tym, że nie mogłem zasnąć. Mimo to zewsząd słyszałem, że w trakcie pojedynku sprawiam wrażenie absolutnie pewnego siebie. Doszedłem do wniosku, że muszę się sam o siebie zatroszczyć. Już raz przez to przechodziłem, wiem, co to mononukleoza zakaźna. Zdrowie jest dla mnie ważniejsze niż snooker. Czułem się trochę tak, jak gdybym żył życiem kolesia z serialu *Breaking Bad*. Z jednej strony myślałem, że gównu mnie to wszystko obchodzi, z drugiej natomiast bardzo mi zależało na zwycięstwie.

Paranoja powoduje, że człowiek zaczyna dostrzegać konflikt wszędzie wokół siebie i w rezultacie wątpi we własne zdrowie psychiczne. Zastanawiałem się, czy ludzie wygadują to wszystko, bo należą do ścisłej czołówki i w związku z tym należy mówić o mnie dobrze, czy może raczej ja kompletnie myliłem się w ocenie sytuacji.

Paranoja to forma depresji. Ludzie pewnie w ogóle tego nie zauważyli. Wydawało mi się, że wszyscy świetnie się bawią i tylko ja odczuwam wielki dyskomfort. Miałem ochotę nie wyściubiać nosa z pokoju, chciałem siedzieć tam sam. Najchętniej zakopałbym się pod kołdrą, oglądał telewizję, raz po raz zamawiał coś do żarcia. Kusilo mnie, żeby znowu zacząć palić, iść na starą barękę kumpla, siedzieć tam i marudzić do woli. Mały Mickey ma taką barękę na kanale. Po powrocie z wojska rozstał się ze swoją starą i kupił sobie to cudo, żeby w nim zamieszkać. Zawsze mogę tam pójść, zwiesić łeb i się nad sobą poużalać. Mówię mu, że już nie chcę grać, a on na to: „Jasne, stary”. Ma takiego malutkiego psa, który mnie po prostu nie cierpi, bo zawsze wyciągam Mickeya na herbatę, a wtedy on musi zamknąć go w środku. Problem polega na tym, że oni żyją jak mąż i żona. Powiedziałem Mickeyowi, że ten jego pieprzony pies mnie nie cierpi, a on odparł: „Nie, popatrz tylko, macha ogonem”. Tłumaczę mu więc: „Słuchaj, przecież ja stanowią dla niego zagrożenie. On myśli tylko o tym, że gdy ja się

pojawiam, ty gdzieś ze mną znikasz. Dla tego psa zawsze zwiastuję złą nowinę”.

Na pozór robiłem wrażenie człowieka zrównoważonego. Pewnie jak na siebie to nawet byłem dość zrównoważony, zdarzały mi się jednak gorsze chwile. Momentami dosłownie nie mogłem wytrzymać w Crucible, nie mogłem znieść widoku ludzi, drażnił mnie najmniejszy drobiazg.

Pod koniec turnieju poczułem się lepiej. Pamiętam, jak sobie powtarzałem, że jeszcze tylko trzy dni mycia zębów, potem dwa dni mycia zębów, wreszcie tylko jeden dzień. Nie odszedłem od zmysłów dzięki moim przyjaciołom, którzy odwiedzali mnie w garderobie. Przychodzili tam Irish Chris, John Liverpoolczyk, Damien i Sylvia, a także dwóch bliskich znajomych z Sheffield, Iyaz i Taz.

Pomimo targających mną wątpliwości dotarłem do półfinału i tam trafiłem na Judda Trumpa. Zapowiadał się wielki mecz i potencjalnie ciekawe widowisko dla fanów, bo obaj gramy ofensywnie. Wieczory nadal spędzaliśmy w kasynie. Na tamtym etapie byłem już z powrotem przy 500 funtach, z którymi zaczynałem. „Pieprzyć to – pomyślałem sobie – najwyższy czas albo dużo wygrać, albo wszystko przegrać”. Oczywiście przegrałem, ale nie miało to wtedy dla mnie większego znaczenia. Cieszyłem się z tego, co już udało mi się osiągnąć w Sheffield.

W pierwszej sesji prowadziłem już 4:1, ale ostatecznie zakończyła się ona wynikiem 4:4. Stwierdziłem, że zagrałem znacznie lepiej od rywala, a mimo to mamy remis. Nie najlepiej się to odbiło na moim poziomie pewności siebie przed drugą sesją. Uważałem, że powinienem wygrywać 6:2, no, może 5:3, ale w każdym razie powinienem prowadzić. Wychwyciłem pewną prawidłowość w grze Judda – grał dobrze zawsze wtedy, gdy przegrywał trzema frejmami, kiedy zaś udawało mu się wyrównać, tracił rezon. Zwróciłem na to uwagę i od razu poczułem się pewniej.

Przy stanie 7:6 Judd nie trafił czerwonej. W tym momencie uznałem, że oto nadeszła sądna chwila – że powinienem wyczyścić stół i uciec mu na kilka frejmów. Tak też zrobiłem. Przy stanie 11:8 odniosłem wrażenie, że w głowie pogodził się już z porażką, więc grało mi się łatwiej. Pomyślałem, że teraz wystarczy już tylko odrobina dyscypliny i że gdyby znów się do mnie zbliżył, jeszcze raz mu odskoczę, jak na profesjonalistę przystało. Innymi słowy, na tym etapie Judd nie mógł już tego meczu wygrać, ja natomiast mogłem go jeszcze przegrać.

Przy stanie 13:9, w połowie długiego i nudnego frejma, pojawiły się drobne kontrowersje. Wykonałem pewien „ruch” na moim kiju snookerowym. Ktoś pewnie mógłby uznać to za gest sugerujący trzepanie kija, ale nie ja! Trzymałem kij między nogami i po prostu lekko go potarłem. Szczerze powiedziawszy, często to robię, gdy jestem na siebie o coś wkurzony. Sędziująca tamten mecz Michaela Tabb udzieliła mi krótkiej i ostrej reprimendy:

– To był ostatni taki obsceniczny gest, OK?

Powiedziałem, że ścierałem jedynie coś z mojego kija, po czym dodałem:

– Chcę już iść do domu.

Cała ta sytuacja najwyraźniej trochę mnie wytrąciła z równowagi, bo przegrałem tamtego frejma.

Mecz toczył się w atmosferze dużego napięcia, ale podczas pierwszej sesji bardzo dobrze się bawiłem. W pozostałych nie miałem już poczucia, żeby mi jakoś szczególnie dobrze szło, nie mogłem złapać rytmu. Sklejałem pojedyncze zagrania, ale na szczęście rozegrałem wszystko dobrze pod względem taktycznym i dopilnowałem obrony. To w zupełności wystarczyło.

Dotarcie do półfinału i jednego stołu (na wcześniejszych etapach rozgrywa się zawsze dwa mecze jednocześnie) wspominam jako miłe uczucie, naprawdę świetny był jednak dopiero awans do finału. Czułem, że rzeczywiście coś osiągnąłem. Zaczynało nas 32, a tymczasem to ja – obrońca trofeum – jako pierwszy wszedłem do finału. A przecież przez rok w ogóle nie grałem. Początkowo nie wierzyłem, że to w ogóle możliwe.

Gdy na starcie bukmacherzy zaliczyli mnie do grona faworytów, wydawało mi się, że oszaleli. Wkurzałem się też, gdy inni gracze nazywali mnie faworytem. Myślałem: „Graliście przez cały rok – kiedy któryś wreszcie wstanie i powie: to ja króluję w tej dyscyplinie, ja jestem najlepszy, ja wygram mistrzostwa świata?”. Nie doczekałem się, by którykolwiek z zawodników wyraził tego typu myśl z autentycznym przekonaniem. Naprawdę chciałbym, żeby ktoś się na to zdecydował. To by dobrze zrobiło naszej dyscyplinie, a pewnie też dodatkowo zmotywowało mnie do walki. Niestety jakoś nikt się do tego nie kwapi. Pod pewnymi względami to dla mnie dobrze, bo świadczy o braku pewności siebie moich konkurentów. Z drugiej strony wiem, że snookerowi to nie służy.

Może ten ciężar powinien wziąć na siebie Judd, czasem jednak odnoszę wrażenie, że brakuje mu instynktu zabójcy. To jest chyba taki człowiek, któremu wystarczy sama obecność w tym sporcie. Ma trochę kasy, prowadzi wygodny styl życia, wygra kilka meczów, od czasu do czasu jakiś turniej... Tak naprawdę powinien jednak dążyć do tego, żeby zapisać się na kartach historii. Brakuje graczy kalibru Hendry’ego albo Davisa, gotowych poświęcić snookerowi całe swoje życie – kogoś, kto by powiedział: „Jeśli chcesz ze mną wygrać, będziesz musiał zeszkrobać mnie ze stołu. Chcę tego tak mocno, że dopnę swego”.

Gdy znalazłem się w finale, w pierwszej chwili pomyślałem, że nie chciałbym trafić na Barry’ego Hawkinsa, ponieważ ostatnio świetnie mu idzie i po prostu mnie rozniesie. Wiem, czysta głupota. Sam wcześniej wspominałem, że do finału zawsze wchodzi gracze w najwyższej formie. Przypomniałem sobie wszystko, czego mnie uczył Steve Peters. Powtarzałem sobie, że muszę się wziąć w garść. Każdy dzień przynosi coś nowego, każdy gracz jest inny, trzeba odsunąć od siebie katastroficzne myśli, trzeba się skupić na faktach i na prawdzie. Steve pomagał mi odwrócić system wartości, w którym

się wychowałem – system oparty na strachu i negatywach: musisz wygrać, nie przynieś mi wstydu.

Zafundowałem sobie zatem solidną pozytywną mowę motywującą – cokolwiek by się działo, nikt nie był w stanie mnie rozbić. Co najwyżej mogliśmy iść łeb w łeb, ale przecież w takiej sytuacji zachowam szansę na zwycięstwo. Chodziło zatem o to, aby nie stracić cierpliwości. Byłem przekonany, że raczej nie dam się ponieść emocjom. Grywałem już tutaj, wygrałem wszystkie cztery finały, do których dotarłem, a poza tym nieźle sobie radzę pod presją. Zakładałem, że jeśli tylko pojawi się szansa na zwycięstwo w tym meczu, raczej jej nie zmarnuję.

Właśnie zdołałem przekonać samego siebie, że wszystko będzie dobrze i że czeka mnie przyjemny pojedynek, gdy dotarła do mnie wiadomość, że organizatorzy zmienili sukno na stole. Początkowo zakładałem, że będzie nowe, ale takie samo jak dotąd – szybkie i gładkie. Okazało się jednak naprawdę wolne. Wolę szybsze sukna, za to Barry chyba woli te wolniejsze, ponieważ mocniej uderza. On bardziej atakuje bile, ja wolę natomiast płynnie posyłać je do kieszeni. Na wolnym stole nie da się płynnie zagrywać, trzeba wbijać bile siłowo. Umiem tak grać, ale to zupełnie inna technika – to trochę tak, jak gdyby mecz tenisa przenieśli z nawierzchni ceglanej na trawiastą. Zachodziłem w głowę, kto podjął tę decyzję. Drzemiący gdzieś w mojej duszy miłośnik teorii spiskowych uważa, że był to świadomy wybór, który miał mi utrudnić zdobycie mistrzostwa świata.

Staralem się jednak patrzeć na świat w pozytywnych barwach, więc uznałem, że skoro ktoś mi próbuje uniemożliwić wywalczenie tytułu, to tym bardziej powinienem go zdobyć. Dzięki temu wyzwanie stało się jeszcze większe, bardziej emocjonujące.

Może i miałem paranoję, ale kilku lepiej zorientowanych byłych snookerzystów potwierdzało moje przypuszczenia:

- Wiem, po co to zostało zrobione!
- Po co? – zapytałem.
- Nie chcieli, żebyś wygrał te mistrzostwa. Chcieli cię zatrzymać.

Finał sprawił mi wielką frajdę. To był jedyny mecz w całym turnieju, w którym miałem poczucie, że gram naprawdę dobrze. Dawny poziom energii odzyskałem jednak dopiero w półfinale – wtedy pomyślałem, że mam spore szanse na sukces. Pierwsza sesja finałowego meczu poszła dobrze. Zacząłem od prowadzenia 2:0, a potem Barry wyrównał na 2:2. Wtedy przeszło mi przez myśl, że to będzie wyrównany mecz. Barry wyszedł na prowadzenie 3:2. Po raz pierwszy w całym turnieju przegrywałem. Potem zrobiłem trzy naprawdę dobre brejki, w tym dwie setki, i było już 5:3 dla mnie. Świetnie, pojedynek trwał. Tak to właśnie powinno wyglądać. Pokazałem się rywalowi, on pokazał się mnie. Bardzo dobra pierwsza sesja.

W drugiej sesji finału ani przez chwilę nie grałem naprawdę dobrze. W pierwszej emocje sięgają zenitu – w końcu to finał – więc gram na wysokim poziomie. Drugą

sesję, rozgrywaną w niedzielne popołudnie, zawsze wspominam gorzej. Nie da się w niej wygrać turnieju, można jednak zagrać słabo i utrudnić sobie życie przed drugim dniem. Wtedy sytuacja zrobiła się dość napięta.

W ostatnim frejmie grałem wspaniale, nabijając punkty czarną bilą. Gdybym go wygrał, po drugiej sesji byłoby 10:7 dla mnie, gdybym natomiast przegrał, moja przewaga wynosiłaby tylko 9:8. Porażka bardzo by mnie rozczarowała, bo grałem OK. Z jakiegoś powodu doszliśmy do wbijania kolorowych bil. Mogło być kiepsko, ale ostatecznie wygrałem. Wynik 10:7 dał mi dużą motywację na następny dzień.

W poniedziałek znów grałem świetnie. Po południu zdominowałem rywala, świetnie uderzałem, a bile wpadały z najtrudniejszych pozycji. W jednym frejmie byłem 54 punkty w plecy, do zdobycia zostało jeszcze 59 punktów. Ostatecznie jednak wyczyściłem stół i zebrałem ich 56. Ostatnia czerwona bila okazała się trudna, musiałem wykonać długie uderzenie do narożnej kieszeni, a na dodatek w taki sposób, żeby biała bila dobrze ustawiła się pod niebieską, znajdującą się z drugiej strony stołu. Później musiałem kolejnym długim uderzeniem wbić żółtą bilę. Wszystko wpadło przepięknie. Zielona też nie była łatwa, wbiłem ją o krótszą bandę, pamiętając o dobrym ustawieniu pod bilę brązową. Biała zatrzymała się w idealnym miejscu i to wystarczyło. Świetnie. 12:8 dla mnie – a do tego jeden z najlepszych frejmów w całej mojej karierze, jeżeli chodzi o czyszczenie stołu.

Wykazałem się nie lada cierpliwością i byłem z tego powodu zadowolony z siebie. Trafiałem, zagrałem kilka dobrych brejków, kilka snookerów. Uznałem, że nie będę się spieszył, że będę spokojnie grał i nabierał pewności siebie. W poniedziałkowej popołudniowej sesji zagrałem dobrze i tego samego oczekiwałem przed sesją wieczorną. To był sprawdzian efektów pracy wykonanej ze Steve'em Petersem. Rok wcześniej mi się udało, nie wiedziałem jednak, czy zdołam powtórzyć tamten wyczyn. Barry pojawił się przy stole, zagrał bardzo długie uderzenie czerwonej bili i skończył frejma ze 130 punktami. Następnego frejma wygrał dzięki dobremu brejkowi i nagle zrobiło się 15:12, a ja zacząłem się lekko denerwować.

W kolejnym frejmie Barry miał już ponad 20 punktów. Złożył się do trudnego uderzenia czerwonej bili. Grał na tyle dobrze, że uznałem taki ambitny wybór za przejaw celowego działania. Nie spodziewałem się, że spudłuje, a tymczasem tak się właśnie stało. Na widowni rozległ się pomruk. Fani Barry'ego patrzyli na to z rozczarowaniem, moi natomiast się ożywili. Pomyślałem sobie, że muszę wygrać frejma w tym podejściu. Zrobiłem 70–80 punktów, podwyższając tym samym na 16:12, a potem wygrałem kolejnego frejma dzięki następnemu dobremu brejkowi.

Na przerwę schodziliśmy przy stanie 17:12. Potrzebowałem już tylko jednego frejma do zwycięstwa, ale jakoś nie mogłem się skoncentrować. Już po meczu John Liverpoolczyk przypomniał mi to, co sam mu wcześniej powiedziałem.

– Jaki jest wynik? – zapytałem go.

– 17:12.

– Więc musi wygrać sześć frejmów z rzędu, żeby mnie pokonać.

John nie rozumiał, że mówiłem poważnie. Przez całe 17 dni wątpiłem we własną formę i nie dawałem sobie szans na wygraną w turnieju. John uznał, że się nabijam, ja jednak mówiłem zupełnie poważnie. Naprawdę uważałem, że Barry mógłby wygrać sześć frejmów z rzędu. Tak się jednak złożyło, że po przerwie zakończyłem mecz i zdobyłem tytuł 77-punktowym brejkem.

Uniosłem puchar. Świetnie, bardzo dziękuję, pięciokrotny mistrz świata, pierwszy obroniony tytuł od czasu Stephena Hendry’ego, powód do dumy. Byłem naprawdę szczęśliwy. Osiągnąłem coś, co wydawało mi się niemożliwe. Pięciokrotny mistrz świata, to jakoś od razu do mnie przemówiło. Gdy 12 lat temu pisałem swoją pierwszą książkę, miałem na koncie tylko jeden tytuł mistrza świata. Dwa lata temu byłem trzykrotnym mistrzem. Niby nieźle, to jednak kolosalna różnica: mieć trzy tytuły, a mieć pięć. Dzisiaj brakuje mi już tylko jednego tytułu, aby dogonić Steve’a Davisa, mojego wielkiego idola, oraz dwóch tytułów, żeby zrównać się z Hendrym.

Na trwałe zapisała mi się w pamięci scena, jak mały Ronnie skacze po stole, a zaraz potem uśmiejemy się razem do kamery. Oczywiście w ogóle nie ma co tego porównywać z rokiem 2012. Wtedy przechodziłem tak koszmarne okresy w życiu osobistym i zawodowym, że w ogóle nie dawałem sobie szans na zwycięstwo – chociaż ostatecznie i tak czułem się wówczas świetnie. Zrobiono wtedy urocze zdjęcie: jedną rękę kładę na pucharze, a drugą otaczam małego Ronniego, który przytula się do mnie i również dotyka trofeum. Piękny obrazek.

W wywiadzie udzielonym po meczu znów trochę zamieszałem. Hazel Irvine powiedziała, że wyglądało to tak, jak gdyby mistrzostwa to był dla mnie spacer. Zaraz potem zapytała, jak to wszystko wyglądało za kulisami, wobec kogo mam dług wdzięczności. Stwierdziłem, że nie wywalczylibym dwóch tytułów z rzędu bez pomocy Steve’a Petersa.

– Przecież wszyscy mnie znają. Moje życie to taki rollercoaster. Z góry na dół i z powrotem, trochę jak majtki starej dziwki.

Hazel zaniemówiła, chyba nawet nie zrozumiała, co usiłowałem w ten sposób wyrazić. Po prostu stwierdziła, że moja wypowiedź nie bardzo się nadaje do emisji w najlepszym czasie antenowym. Widownia wybuchła śmiechem.

– Chyba przymknijmy oko na ten język rodem z ulicy – stwierdziła Hazel. – Chcesz to wyrazić jakoś inaczej czy jedziemy dalej?

– Chyba trochę na to za późno, Hazel. Idziemy na żywo – odparłem.

Uznałem, że tak będzie zabawnie. Wiedziałem, że Hazel ma już zaplanowane następne pytanie, postanowiłem więc posłużyć się takim obrazowym określeniem i obserwować reakcję mojej rozmówczynie. Następnego dnia podeszła do mnie i powiedziała:

– Zaskoczyłeś mnie. Myślałam już o następnym pytaniu, a tu nagle usłyszałam ten śmiech na widowni i zaczęłam się zastanawiać, co mogłeś powiedzieć. Musiałam jakoś z tego wybrnąć.

Powiedziałem również, że planuję więcej grać w mniejszych turniejach z serii Players Tour Championship. Oczywiście od razu odezwali się krytycy. Zastanawiali się, po co to robię, skoro nie da się tam wygrać dużych pieniędzy. Otóż uwielbiam tę kameralną atmosferę, podoba mi się również, że te rozgrywki trwają krócej. Większość turniejów obejmuje okres od 10 do 14 dni, mistrzostwa świata to wyniszczające 17 dni, tymczasem w PTC zaczynam w piątek, a w poniedziałek jestem już w domu. Można tam zatem podtrzymać dobrą formę, nie trzeba się zmagać z wielką presją i nie siedzi się tygodniami z dala od domu. Poza tym chodzi o miłość do snookera, w którego można grać również poza mistrzostwami świata. Główna nagroda w większości turniejów PTC to około 20 tysięcy funtów, czyli całkiem przyzwoita kwota, daleko jej jednak do 250 patoli, które można zainkasować w mistrzostwach świata. Rozumiem, dlaczego niektórzy widzą w takiej decyzji oznaki szaleństwa, w mojej sytuacji nie mogę sobie jednak pozwolić na przebywanie przez cały rok poza domem. Chcę widywać Ronniego i Lily, ale chcę też regularnie grać. Dlatego doszedłem do wniosku, że najłatwiej mi będzie wypracować równowagę, jeśli zacznę brać udział w mniejszych turniejach. Robię to też po to, żeby sobie zapewnić rozrywkę. Nie można grać tylko dla pieniędzy, bo to zawsze źle się kończy. Pieniądze przynoszą czasami tylko cierpienie.

Od zwycięstwa w mistrzostwach świata minął już tydzień, a ja ciągle czuję się dobrze. Wiem, że nie jestem największym optymistą na świecie i pewnie już zawsze będę się z czymś zmagać, ale wiem też, że mam w życiu dużo szczęścia. Mam świetną rodzinę i przyjaciół, piękne dzieci, absolutnie nie mogę narzekać na stan zdrowia, a na dodatek... jest jeszcze ten dziwny talent do snookera. Nie mogę też nie wspomnieć o moich fanach, na których wsparcie czasami chyba nie zasługuję. Mam też świetną dziewczynę, która stanowi w moim życiu ważny element równoważący. Laila jest aktorką, najlepiej chyba znaną z ról Amber Gates w *Footballers' Wives* i Sahiry Shah w *Holby City*. W 2009 roku dotarła też do półfinału *Tańca z gwiazdami*. Stanowi fantastyczne dopełnienie mojego życia. Wspiera mnie i wpływa na mnie kojąco. Wydaje mi się, że tworzymy zgrany duet. To dobra dziewczyna, z sercem. Dzięki niej moje życie stało się lepsze. Ma świetnych znajomych i zabiera mnie w miejsca, których dotąd nie znałem. Wywodzi się z muzułmańskiego Maroka, ma wśród przyjaciół wielu Marokańczyków. Większość z nich w ogóle nie pije. Wolą rozmawiać, niż pić, to niesamowicie otwarci ludzie, taka już marokańska mentalność. Od większości moich znajomych ciągle słyszę coś w tyłu: „Idź tam albo tam, zrób to, zrób tamto”. Nie bardzo mi to odpowiada. Laila otworzyła mi oczy na zupełnie inną rzeczywistość. Podobnie jak ja nie lubi świata celebrytów. To jedna z naszych wspólnych cech. Laila jest bystrą i przenikliwą dziewczyną, ale nie ciągnie jej na czerwony dywan.

Zaczynam również przygodę z pracą w mediach, tak w ramach przygotowań do zakończenia kariery sportowej – choć jeszcze nie mam pojęcia, kiedy się na to zdecyduję. Kto wie, może nawet wydam jakąś powieść? Pisząc zakończenie tej książki, snuję już plany na kolejny rok. Opłaciłem chesne dzieci, wygrałem mistrzostwa świata, odłożyłem trochę pieniędzy w banku i odzyskałem poczucie własnej wartości. Jeśli chodzi o biegi, to pracuję nad kondycją i już niedługo znów będę w formie. Za nieco ponad dwa lata, gdy stuknie mi czterdziestka, będę mógł brać udział w wyścigach Masters w kategorii weteranów, a wtedy dopiero pokażę, co potrafię. Tak że ogólnie rzecz biorąc, majtki starej dziwki znów są w górze i jeśli szczęście mi dopisze, już tam zostaną.

POSŁOWIE DO POLSKIEGO WYDANIA

RAFAŁ JEWTUCH

Sięgając po tę pozycję, zastanawiałem się, czy będzie to autobiografia pięciokrotnego mistrza świata, ciężko pracującego na swoje sukcesy, dla którego bieganie jest tylko pasją i sposobem spędzania czasu, czy też może historia niespełnionego runnera, przy okazji najlepszego snookerzysty, który minął się z powołaniem.

Kiedy spojrzymy na skomplikowane życie Ronniego, pytanie, co tak naprawdę pomaga mu przetrwać, wyda się kluczowe. Dragi, wszechobecny alkohol, ojciec morderca, kilka nieudanych związków oraz potomstwo na utrzymaniu. Oprócz tego sława, tytuły i – niestety topniejąca – góra pieniędzy. Nie każdy by to uniósł, ba!, wielu w podobnych okolicznościach palnęłoby sobie w łeb. A przecież cały ten kram jest udziałem introwertyka z tendencją do najprzeróżniejszych wyskoków.

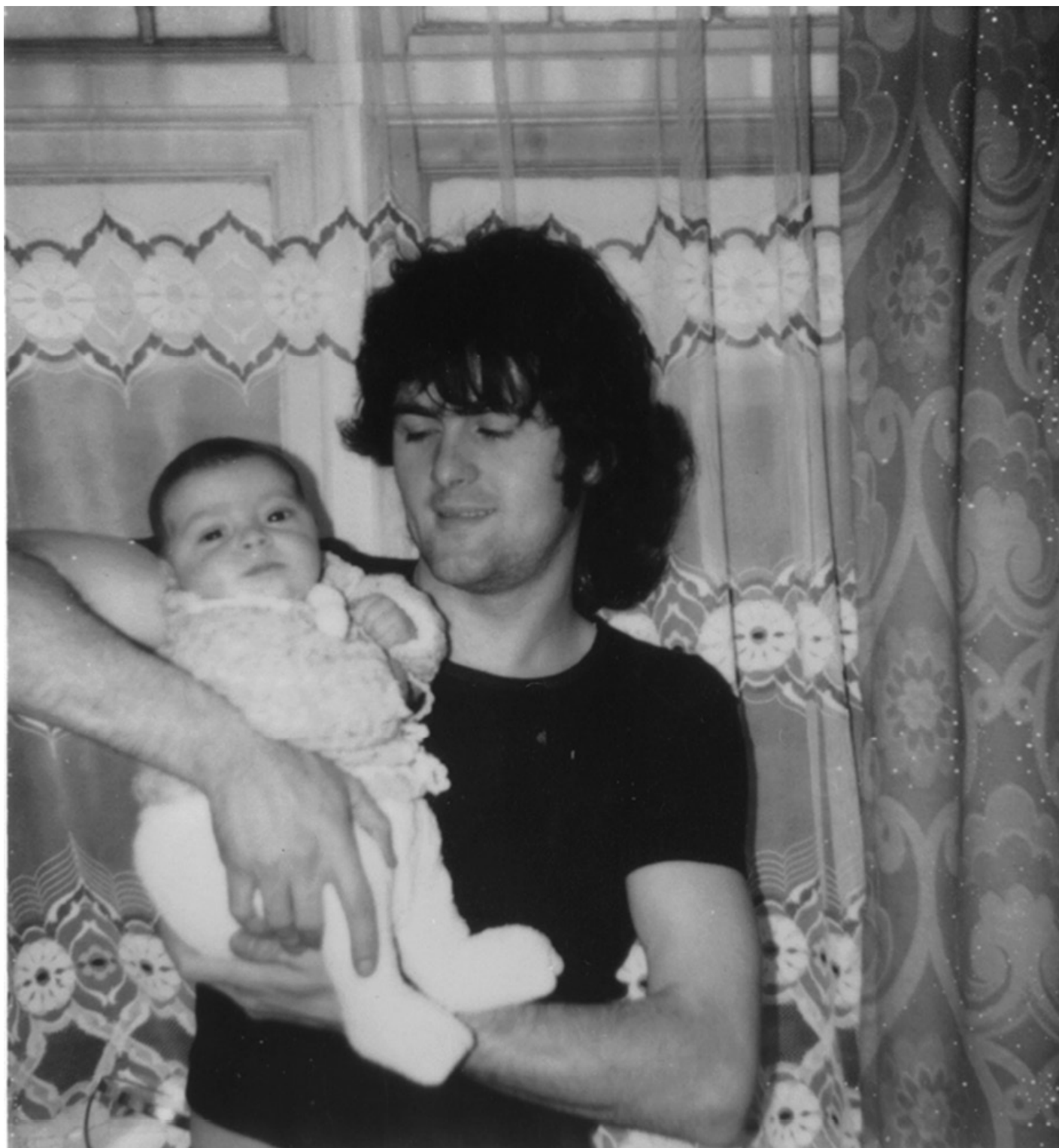
Running to książka o poszukiwaniu i odnalezieniu równowagi między rozsądkiem, głosem serca i skłonnością do podejmowania nie zawsze przemyślanych decyzji. Ronnie dążył do tej równowagi przez wiele lat – szukał jej w chrześcijaństwie i islamie, w stałej współpracy z psychologiem, w życiu na krawędzi. Dopiero bieganie okazało się prawdziwym *katharsis*, pozwalającym unieść przeszłość bez przykrych flashbacków, pokonać fizyczne i psychiczne bariery, dojść ze sobą do ładu i zaakceptować siebie.

Z wielu względów jest to dla mnie książka wyjątkowa, poniekąd osobista. Z racji wykonywanego zawodu siłą rzeczy Ronnie towarzyszy mi już od prawie dwóch dekad. Myślę o nim jak o dobrym kumplu, choć nie znamy się wcale.

Dzięki *Running* nareszcie dowiadujemy się, skąd rezygnacje z turniejów w ostatniej chwili, mecze rozegrane bez zaangażowania, a nawet z widoczną chęcią przegranej. Dopiero czytając to szczere wyznanie, można połączyć fakty i dostrzec, jak bardzo zagubiony był O'Sullivan. A także zrozumieć, jak wielkim dopingiem stała się dla niego biegowa rywalizacja – doskonale dopełniająca perfekcyjną, czasem wręcz nieziemską grę przy stole. Sam snooker okazał się niewystarczający, by poskromić tak ognisty temperament. Dopiero bieganie pozwoliło odnaleźć poczucie normalności i stabilności oraz uświadomić sobie ogrom miłości do własnych dzieci. Jak długo ten stan potrwa? Prawdopodobnie do następnej książki Ronniego.

W *Running* znajduję pewne analogie do własnego życia – bezgraniczną miłość do snookera i biegania, trochę zagmatwane sprawy osobiste. Choć oczywiście gram w zupełnie innej lidze.

Rafał Jewtuch,
Eurosport



Fot. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum Ronniego O'Sullivana
Ja i mój tata. Jego obecność (i nieobecność...) mocno na mnie wpływała. Kiedy poszedł siedzieć za morderstwo, moje życie rozpadło się na kawałki...



Moja mama. Kiedy oboje zaczęliśmy pracę, powiedziałem, że wszystkie pieniądze wrzucimy do jednego worka



Ja, Sylvia, Damien i mały Ron świętujemy po moim mistrzostwie w 2013 roku. Sylvia jest asystentką Damiena i członkiem paczki



Damien Hirst pokazuje światu palec. Przy nim wyglądam na grzecznego chłopca



Z moją trenerką Tracey Alexandrou. Jest świetną sportsmenką i bardzo ją cenię. Ma na mnie dobry wpływ i nie udaje, że nie widzi, kiedy nie jestem w formie



Na farmie... Uwielbiałem tam pracować, kiedy zrobiłem sobie rok przerwy od snookera. Czyszczenie chlewów nie osłabiło jednak mojego zamiłowania do szynki
Fot. Tom Jenkins



Z Chrisem Daviesem, jego rodziną i przyjaciółmi. Byli pewni, że pobiją swój życiowy rekord we Francji i faktycznie mi się udało



Z Chrisem Daviesem i jego żoną Amandą we Francji. Cała ich rodzina to świetni biegacze i czuję się świetnie z tym, że traktują mnie jak krewniaka. Wszystkiego najlepszego!



Z rodzicami Chrisa Daviesa, Terrym i Lyn, we Francji. Mieszkaliśmy w hotelu za 18 funtów za dobę, codziennie biegaliśmy, jedliśmy pizzę, rozmawialiśmy o sporcie. Czułem się, jakbym wygrał życie



W klubie Woodford Green z Alanem Ruggiem, Barrym Elwellem, Bernadine Pritchett i Terryem McCarthym... Żadne z nich nie przejmowało się tym, że byłem snookerzystą. A w zasadzie niektórzy nawet nie mieli o tym pojęcia.

Zaakceptowali mnie jako biegacza

Fot. Tom Jenkins



Uwielbiam to zdjęcie. Z Lil i małym Ronniem. Wszystko, co się dla mnie w życiu liczy. Zrobiłem sobie rok przerwy od snookera, żeby móc z nimi spędzić więcej czasu



Moi wspaniali przyjaciele, Damien Hirst i Antony Genn. Spędzamy razem wieczór w klubie snookerowym, ten sam wieczór, kiedy miała miejsce słynna aukcja dzieł sztuki Damiena. Musieliśmy pograć, żeby odciągnąć jego myśli od aukcji. Gdy odchodził od stołu, był bogatszy o 111 milionów funtów...



Mogę powiedzieć Irish Chrisowi, jak gównianym jestem snookerzystą, a on się na mnie popatrzy, jakbym zwariował.
To jest przyjaźń! A na tym zdjęciu pozujemy z ładnym małym trofeum za mistrzostwo świata



Po prawej: Chwilę po wbiciu dziewiątego w karierze maxa. Działo się to podczas meczu z Markiem Williamsem podczas mistrzostw świata w 2008 roku
Fot. Paul Gilham / Getty Images



Tuż po zdobyciu mistrzostwa. Ktoś zszedł z nim na dół i włożył mi małego Ronniego w ramiona, a ja trzymałem go mocno. Mój skarb. Niewiarygodne. Nie interesował mnie puchar, nie miałem potrzeby wznosić się jeszcze wyżej. Liczyliśmy się tylko my dwaj. Nasza chwila. Bezcenna. Chciałem, by trwała wiecznie

Fot. Warren Little / Getty Images



Podczas finału mistrzostw świata z Barrym Hawkinsem w 2013 roku
Fot. Warren Little / Getty Images



Choć brzmi to dziwnie, kiedyś na powierzchni utrzymywały mnie alkohol i narkotyki. Teraz to bieganie trzyma mnie
w pionie
Fot. Tom Jenkins

* Czyli *Running* – przyp. red.

** Pierwsza córka Ronniego z dwuletniego związku z Sally Magnus – przyp. red.

*** Chodzi o sytuację, w której przeciwnik nie jest w stanie zagrać kolejnej bili, bo ta jest zasłonięta – przyp. tłum.

**** W marcu 2015 roku statystyki te przedstawiały się następująco: 19 zwycięstw w grze pojedynczej, 13 w deblu i dwa w mikście – przyp. tłum.

RUNNING
THE AUTOBIOGRAPHY

Copyright © Ronnie O'Sullivan 2013

The right of Ronnie O'Sullivan to be identified as the author of
this work has been asserted in accordance with the
Copyright, Designs and Patents Act 1988

First published in Great Britain in 2013 by Orion Books
An imprint of the Orion Publishing Group Ltd

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015
Copyright © for the Polish translation Konrad Mazur (1–11, 13);
Bartosz Sałbut (12; 13–18) 2015

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Michał Wachuła, Kamil Misiak / Editor.net.pl

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okladka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na I stronie okładki – ChinaFotoPress / Getty Images

Fotografia na IV stronie okładki – Warren Little / Getty Images

Grafika w książce – Balint Roxana / 123RF

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015
ISBN EPUB: 978-83-7924-331-0
ISBN MOBI: 978-83-7924-330-3




www.wydawnictwosqn.pl


Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej




 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Podziękowania](#)

[Wstęp do polskiego wydania](#)

[Prolog](#)

[Łapiąc fazę](#)

[Gdy życie kopie cię w dupę](#)

[Walcząc z prawem](#)

[Rewolucja Barry'ego Hearn](#)

[Comeback kid](#)

[Ja i mój szympans](#)

[Na szczycie świata: Sheffield 2012](#)

[Buntownik z wyboru](#)

[Jesteśmy rodziną](#)

[Mama i tata: historia prawdziwa](#)

[Ja i ojciec: historia opowiedziana](#)

[Idole](#)

[Szemrane interesy](#)

[Znów na właściwej drodze](#)

[Bieganie – krótki poradnik Ronniego](#)

[Szalone chwile](#)

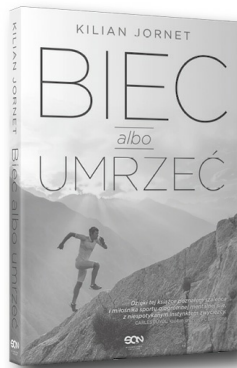
[Moje największe triumfy](#)

[Jak majtki starej dziwki](#)

[Posłowie do polskiego wydania](#)

[Zdjęcia](#)

[Strona redakcyjna](#)



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

f/WydawnictwoSQN

🐦/SQNPublishing

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labotiga.pl



